

"AN EKS"

24
25

kwartalnik polityczny

RICHARD PORTES

Polski kryzys

ALEKSANDER SMOLAR

Paradoksy liberalizacji i rewolucja

JERZY JEDLIŃSKI

Forma i treść „umowy społecznej”

LESZEK KOŁAKOWSKI

Ludobójstwo i ideologia

WYWIAD Z ALEKSANDREM ZINOWIEWEM

przedruk: ALTERNATYWY Polska 1981

kwartalnik Polityczny *ANEKS* wydawany jest
przez Polskie Koło Naukowe Uppsala-London

© by *ANEKS* - Political Quarterly
ISSN 0345-0295

REDAGUJE ZESPÓŁ

Redaktor: Aleksander Smolar
9, rue dr. A. Schweitzer
92 220 Bagneux, France

Zamówienia *ANEKSU* oraz listy do redakcji
prosimy kierować na adres:

ANEKS, 61 DORSET ROAD
LONDON W5 4HX, ENGLAND

CENA ROCZNEJ PRENUMERATY (+ opłaty) *ANEKSU*
wynosi:

w Europie i gdziekolwiek na świecie pocztą zwykłą

US\$16.50, Skr. 5.00, FF65.00;

w Wlk. Brytanii £7.00

Cena prenumeraty pocztą lotniczą wynosi:

U.S.A. i Kanada	rownowartość US\$29.00
Ameryka Płd. i Łacińska	rownowartość US\$29.00
Bliski Wschód i Afryka	rownowartość US\$25.00
Australia	rownowartość US\$35.00

Cena prenumeraty dla bibliotek, instytucji oraz organizacji
jest wyższa o 50%.

Cena pojedynczego egzemplarza: US\$4.50, Skr. 20.00, FF20.00;
w Wlk. Brytanii £2.00

Należność za prenumeratę oraz wpłaty na fundusz wydawniczy *Aneksu*
prosimy przysyłać w formie:

- przkazu pocztowego na konto (CCP, National Giro):
Postgiro-Stockholm, konto Nr 87 42 56-1,
- lub czeku, PO, International MO wystawionego na:
ANEKS (61 Dorset Road, London W5 4HX, England)

"ANEKS"

kwartalnik polityczny

24-25/1981

SPIS TREŚCI

Aleksander Smola: Paradoxy liberalizacji i rewolucja	3
Jerzy Jedlicki: Forma i treść „umowy społecznej”	38
DOKUMENTY	
Analiza KC PZPR głównych założeń programowych NSZZ „Solidarność”	50
Andrzej Żabiński: Od-nowa członka Biura Politycznego	57
Werner Kastor: Reakcja wschodnio-niemiecka na wydarzenia w Polsce	62
Richard Portes: Polski kryzys — alternatywy polityki gospodarczej Zachodu	65
Polski kryzys — czerwiec 1981	142
Stanisław Gomułka: Zachód zwleka z decyzją	146
Zdenek Mlynář: Mróz idzie od Kremla	151
Wywiad Aneksji: Aleksander Zinowiew	158
Leszek Kołakowski: Ludobójstwo i ideologia	171
Jan Kott: Góra i dół albo o wieloznacznościach Prometeusza	189
Krzysztof Dorosz: Dylematy neomanichejskie czyli spor o gnidy i anioły	215

Konstanty Jeleński: <i>Kultura: Polska na wygnaniu</i>	236
Anthony Burgess: <i>Dzieci Bakunina</i>	255
Jędrzej Sadowski: <i>Demokracja</i>	269
<i>a współczesne idee emancypacji</i>	276
Adam Mazur: <i>Podcinanie najzdrowszej gałęzi?</i>	281
NOTY I REFLEKSJE	281
Przewodnik dla zagubionych • Zrozumieć sowietyzm • Sukcesja władzy • Zachód i Polska • Porcja wolności • Jak się fałszuje wybory • List Leopolda	

Pragniemy przeprosić W.P. Czytelników za opóźnienie w ukazaniu się kolejnego numeru *Aneksu*. Jest to pośrednio wynikiem wydarzeń w Kraju, które nałożyły na wydawców i grono współpracowników pisma liczne bardzo, dodatkowe obowiązki.

Jednocześnie z przykrością powiadamiamy, że rosnące koszty druku zmuszają nas do podniesienia ceny *Aneksu* (wykaz nowych cen poprzedza spis treści). Nowe ceny nie tyczą się, oczywiście, prenumerat już opłaconych.

Z prawdziwą radością i satysfakcją odnotowujemy fakt ukazania się w Kraju dwutomowego wyboru artykułów z numerów 1-20 *Aneksu* nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA.

Zespół redakcyjny

Aleksander Smolar

PARADOKSY LIBERALIZACJI I REWOLUCJA

Jak każdy wielki ruch społeczny również ten, który przetacza się przez Polskę, nie da się sprowadzić do jednego wymiaru, ująć w jedną formułę. Można w nim widzieć rewolucję — i to jedyną w historii rewolucję prawdziwie robotniczą — albo też pokojowy ruch reformy; można na plan pierwszy wysuwać rewindykację materialne, potrzebę hardziej ludzkich stosunków w społeczeństwie, albo wymiar moralny i religijny ruchu; można podkreślać klasowy jego charakter, albo odmowę posłuszeństwa ze strony całego społeczeństwa; konfrontację robotników z państwem-przedsiębiorcą, albo narodu z nową Targowicą.

W uwagach poniższych ograniczę się do jednego tylko wymiaru zachodzących w Polsce zmian: mającej miejsce ewolucji stosunków między partią-państwem a społeczeństwem w Polsce w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Jej wynikiem i punktem kulminacyjnym są globalne negocjacje toczące się przy stole obrad w Radzie Ministrów, ale również, i przede wszystkim, w fabrykach, na wsi, na manewrach wojskowych armii polskiej i obcych, negocjacje, które wyrażają się w strajkach, prowokacjach, w kolejnych konfrontacjach rozgrywających się na skraju przepaści. Przedmiotem negocjacji są kontury zmodyfikowanego systemu politycznego Polski, tak aby dał się on pogodzić z oczekiwaniami polskiego społeczeństwa, grup rządzących Polską i Moskwą. Chodzi przy tym nie tyle o zaspokojenie aspiracji jednej lub wszystkich stron, ile o uniknięcie akumulacji nadmiernego niezadowolenia jednej z nich, czyli o to, by uniknąć z jednej strony

przekształcenia samooograniczającej się polskiej rewolucji w rewolucję *totur*, a z drugiej strony przekształcenia się codziennych prowokacji, napięć, zewnętrznych nacisków i manifestacji siły w próbę masowego użycia siły z tragicznymi dla narodu polskiego konsekwencjami.

Chcę spojrzeć na historię ostatnich dwudziestu pięciu lat stosunków pomiędzy społeczeństwem a władzami PRL. albowiem wydaje mi się, że wydarzenia ostatnich miesięcy i zmiany, których jesteśmy świadkami, są konsekwencją i kontynuacją procesu desowietyzacji, który trwa z różnym natężeniem, z momentami przyspieszeń i załamaniem, od 1956 roku. Łato 1980 — ukoronowanie tego procesu — jest wynikiem pogłębiającej się sprzeczności między logiką systemu politycznego narzuconego Polsce po wojnie a realnymi możliwościami władzy coraz bardziej ograniczanej od połowy lat pięćdziesiątych w wyniku nacisków społeczeństwa.

By lepiej dostrzec specyfikę procesów desowietyzacji, które miały i mają miejsce w Polsce, warto przyrzeć się dwóm innym w przeszłości podjętym próbom, obu przerwany przez sowiecką interwencję:

Przemyca dygresja — o Rewolucji Węgierskiej i Praskiej Wiosnie

Desowietyzacja przez rozpad systemu. Rewolucja Węgierska zaczęła się 23 października 1956 roku od pokojowej, dozwolonej przez władze manifestacji solidarności z narodem polskim, który przeżywał wówczas zmiany Październikowe. Manifestacja, która przerodziła się w masowy protest przeciw zniechęconemu systemowi, napotkała na kule policji politycznej i wezwanych na pomoc wojsk sowieckich. Odpowiedzią ludności był rozszetlający się na cały kraj strajk. Rozpada się partia i administracja, znika z dnia na dzień policja polityczna, wojsko brata się z ludnością. Spontanicznie się formują rady robotnicze i regionalne, powołujące reprezentację ogólnonarodową. Niechęć i niezdolność grupy rządzącej do przeprowadzenia destalinizacji kraju, poczucie narodowego upokorzenia oraz wiadomości dochodzące o polskim Październiku — wszystko to podziało jak miecz szanki wybuchowa, nad którą nikt już nie mógł zapanować. Powołany na premiera Imre Nagy ogłasza, pod naciskiem zrewolucjonizowanego społeczeństwa, powrót do pluralizmu politycznego i tworzy rząd jedności narodowej, w skład którego wchodzi przedstawiciele zlikwidowanych wraz ze stalinizacją kraju partii politycznych.

5

Symbolem zmiany, zerwania z dawnym systemem, staje się rozwiązanie starej partii komunistycznej i powołanie nowej. Georgy Lukacs, filozof i jeden z jej założycieli, przewidywał, iż w wolnych wyborach nie dostanie ona więcej niż 3 procent głosów. W obliczu przygotowywanej drugiej interwencji sowieckiej Imre Nagy ogłasza wycofanie z Paktu Warszawskiego i neutralizację Węgier. O świcie 4 listopada czołgi sowieckie wkładają do Budapesztu.

Rewolucja trwała niepełne dwa tygodnie. Wystarczyło ich dla likwidacji sowietyzmu. System, który zdawał się być wszechpotężny, znikł nie tyle w wyniku walki zbrojnej, przemocy rewolucyjnej, która odegrała rolę marginalną, ile w następstwie masowej publicznej odmowy posłuszeństwa przez zbuntowanych Węgrów. Okazało się, że poza nielicznymi skorumpowanymi grupami, poza tymi, którzy bali się odpowiedzialności za popełnione zbrodnie, władza sowiecka na Węgrzech nie miała na kogo liczyć. Musieli zdawać sobie z tego sprawę nawet tacy ludzie jak Nagy-ideowy komunist, który pragnął reform eliminujących najbardziej odrażające cechy systemu. W obliczu fiaska patriotyzm kazał mu przyjąć za swoje aspiracje społeczne.

Desowietyzacja przez wewnętrzne reformy. Kolejna próba desowietyzacji ma miejsce w Czechosłowacji w 1968 roku. To, co zwykle nazywa się Praską Wiosną, zaczęło się w styczniu wraz ze zmianami w kierownictwie partyjnym. Mimo, iż próba czechosłowacka zakończyła się podobnie do węgierskiej, jej przebieg i charakter były odmienne. Nie było tam żywiołowego wybuchu, woli zniszczenia znienawidzonego ustroju i uniezależnienia się od Rosji. Uczucia dla Związku Radzieckiego były w zasadzie przychylnie, ustrój miał znacznie poważniejszą niż na Węgrzech i w Polsce bazę społeczną. Praska Wiosna nie była wymierzona przeciwko partii komunistycznej, lecz w dużym stopniu była wynikiem inicjatywy partyjnej inteligencji i części aparatu partyjnego. Podstawowym celem inicjatorów zdobywających coraz szersze poparcie społeczne (które staje się rzeczywiście powszechne dopiero w obliczu zewnętrznego zagrożenia, na krótko przed interwencją), była demokratyzacja ustroju. Jugosławia i polityka niezależności Ceausescu są bardzo popularne, ale ruch nie jest wymierzony w charakter stosunków ze Związkiem Radzieckim. Główne żądania dotyczą sfery informacji, prowadząc do obalenia cenzury, przeprowadzenia głębokich reform gospodarczych, zmiany roli partii komunistycznej w całości systemu politycznego kraju (ze zblorowego

nimi się posługujące za pozytywne. Ich zakres znaczeniowy jest jednak niezbyt jasny: pewne zmiany polityczne uważane są przez jednych za przykład liberalizacji, przez innych — demokratyzacji (patrz dyskusja Raymonda Arona z Ernestem Gellnerem w *Government and Opposition*, nr 1, 1979).

Przyczyn nieporozumień jest wiele. Niektóre z nich dadzą się odnaleźć w skomplikowanych stosunkach łączących tradycję demokratyczną z liberalną. Gdzieś u początków odmiennie, często nawet radykalnie przeciwstawne (wystarczy wspomnieć liberala-monarchistę Chateaubrianda czy jakobinów — antyliberalnych demokratów Rewolucji Francuskiej) tradycje te z czasem się połączyły, tworząc współczesny ideał państwa demokratycznego. Dzisiaj pojęcie demokracji, zwycięskie w historycznym wyścigu o dominację nad społeczną wyobraźnią, opanowało teren zajmowany niegdyś przez liberalizm, który — swoisty to rewanż — nasączył treścią współczesną zachodnią wizję demokracji.

Dlatego raz i pewną przesadą stwierdzenie Friedricha A. Hayeka, rzecznika bezkompromisowego liberalizmu, który, chcąc wydobyc różnicę między demokracją a liberalizmem, demokrację przeciwstawia autokracji, liberalizm zaś totalitaryzmowi. Współczesne demokracje są w równym stopniu antytotitarne co wrogie autokracji. Trudno zaiste wyobrazić sobie porządek demokratyczny, który nie opierałby się dzisiaj na gwarancjach autonomii jednostki, równości praw, podziale władzy, czy też porządek liberalny żyjący obecnie w symbiozie z autokracją (chyba że zredukuje się liberalizm do jego wymiaru ekonomicznego; Pinochet uchodzić by wówczas mógł za owego liberalnego autokratę).

Pódobnie, gdy Hayek przeciwstawia liberalizmowi totalitaryzm, ma się wrażenie, że myśli on raczej o „despotyzmie demokratycznym” Tocqueville’a niż o totalitaryzmie z krwi i kości, który jest w równym stopniu antyliberalny co i antydemokratyczny (choć, to prawda, w Niemczech demokracja go zrodziła) — przykładem stalinizm.

Jednakże, mimo iż obie tradycje — liberalną i demokratyczną — trudno jest dzisiaj rozdzielić, wartości, do których się one odwołują, niepokój, który wyrażają — pozostają nadal żywe. Jak pisał Ortega y Gasset, demokracja i liberalizm są dwiema odpowiedziami na dwa odmiennie pytania.

Demokracja odpowiada na pytanie: kto i jak powinien sprawować władzę publiczną, władzę nad zbiorowością. Zgodnie z tą tradycją,

która dążyła do zapewnienia równości politycznej, władzę powinien sprawować ogół obywateli tworzących ową zbiorowość bądź bezpośrednio, bądź delegując ją zgodnie z odpowiednimi regułami ustalającymi tryb jej powoływania i kontroli. Liberalizm zaś, skoncentrowany na problemie obrony wolności, stawia pytania dotyczące granic władzy państwowej, zarówno wybieranej demokratycznie jak i autorytarnej. Chodzi więc nie tyle o mechanizm podejmowania decyzji w ramach domeny publicznej, ile o ograniczenie tej sfery dla dobra jednostki i społeczeństwa i narzucenie jej reguł eliminujących arbitralność władzy.

Pytania formułowane przez tradycję demokratyczną i liberalną mogą być wielce użyteczne dla oceny położenia różnych systemów politycznych, dla usytuowania poglądów. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że ograniczając się nawet do państw zachodnich, mamy do czynienia z całym wachlarzem rozwiązań instytucjonalnych i propozycji zmian, gdzie różna jest rola państwa, gdzie odmienny nieco kształt ma demokracja. Na Zachodzie coraz silniejszy zdaje się być ostatnio wpływ polityków i idei liberalno-konserwatywnych. Prezydent Reagan, pani Thatcher, Milton Friedman czy Irving Kristol głoszą liberalny program ograniczenia roli państwa. Z kolei tradycyjna lewica zainteresowana jest bardziej demokratyzacją niż liberalizacją i w upaństwowieniu części gospodarki widzi rozwiązanie wielu podstawowych problemów społecznych. Pewien margines lewicy, intelektualnie ruchliwy, ale niezbyt wpływowy, szuka od 1968 roku nowej syntezy obu tradycji w różnych koncepcjach samorządności.

Odróżnienie tradycji demokratycznej i liberalnej wydaje się być szczególnie użyteczne dla myślenia o politycznej ewolucji krajów, które los umieścił daleko zarówno od wymogów demokracji jak i liberalizmu. Pytania, które one stawiają, tworzą jakby dwie osie, na których badać można zmianę położenia w czasie, ewolucję, która wcale nie musi przebiegać w równym tempie w obu wymiarach. Można w tak zakreślonej przestrzeni dwuwymiarowej wyznaczyć drogę przebytą przez Grecję, Portugalie, Hiszpanię, Węgry, Związek Radziecki, znacząc za każdym razem inny punkt wyjścia i dojścia. W dalszej części artykułu spróbujemy naszkicować drogę przebytą przez Polskę.

Jeszcze jedna uwaga przed zamknięciem dygresji. Przez liberalizację, zmianę położenia na jednej z naszych współrzędnych, rozumie się zazwyczaj zjawisko samoograniczania się władzy państwowej, jak

dzisiaj np. w Brazylii. Podobnie, z pojęciem demokracji, przesunięciem wzduż drugiej współrzędnej, wiąże się zazwyczaj proces, którego inicjatorem są ośrodki kierownictwa państwa. Otóż stanowi to poważne i niepotrzebne ograniczenie użyteczności tych pojęć. Można, jak myślę, mówić o liberalizacji zawsze wtedy, gdy pole władzy sprawowanej nad jednostką i społeczeństwem przez państwo podlega ograniczeniu. Zawsze, gdy powiększa się możliwość decydowania jednostki o swoim losie, gdy grupa społeczna może wyrażać i bronić swych interesów niezależnie i poza państwem; mamy do czynienia ze zjawiskiem liberalizacji. I to zarówno wtedy, gdy proces ten jest inicjowany przez władzę jak i wtedy, gdy jest na niej wymuszony. Liberalizacja może mieć miejsce zarówno w domenie *sensu stricto* politycznej, jak i w życiu społecznym, gospodarczym czy kulturalnym.

Podobnie z demokracją: w interesującym nas politycznym wymiarze, mamy do czynienia zawsze — i niezależnie od woli władz — gdy powiększa się zbiór tych, którzy mają prawo i możliwość współdecydowania o sprawach zbiorowości, bądź wpływania na decyzje jej dotyczące.

Polska wczoraj — desowietyzacja przez liberalizację

Pierwsza polska próba desowietyzacji o mało nie skończyła się równie tragicznie co na Węgrzech i w Czechosłowacji.

Polski 1956 rok przypominał węgierski ogólnym stosunkiem społeczeństwa do ustroju i Związku Radzieckiego. Trzeba było wysłać czołgi przeciw robotnikom Poznania tak, jak w parę miesięcy później przeciw robotnikom Budapesztu. W Polsce, podobnie jak na Węgrzech, choć w znacznie słabszym stopniu, wystąpiło zjawisko rozkładu organów kontroli nad społeczeństwem: cenzury i policji; partia stała się w dużym stopniu nazwą bez desygnatu. Kwestionowano powszechnie zależność Polski od Związku Radzieckiego.

Wiele czynników złożyło się na to, że polski Październik nie miał tragicznego zakończenia późniejszej o parę dni rewolucji na Węgrzech. Odegrały tu niewątpliwie rolę wspomnienia wojenne, szczególnie pamięć o Powstaniu Warszawskim. Ta kosztowna lekcja realizmu kazała poszukiwać rozwiązań możliwych, nie upragnionych.

Ważną też rolę odegrała i tu podobieństwo z Praską Wiosną: znacznie większa elastyczność niż na Węgrzech poważnej części kierownictwa państwowego, która dążyła do pewnego niezłowiecznia

ustroju; istotne były motywacje ideologiczne, silne w pierwszym pokoleniu komunistów, jak i pragnienie zakorzenienia się w polskim społeczeństwie.

Tak więc, presja społeczeństwa w kierunku stworzenia bardziej ludzkich warunków życia, większego poczucia bezpieczeństwa, eliminacji upokarzających symboli państwowej i narodowej niesuwerenności, spotkała się z odgórnym dążeniem do ograniczonej politycznej demokratyzacji. Był on na tyle silny, że można było przeprowadzić w porę zmiany, które rozładowały rosnące napięcie. Niektóre z tych zmian — jak np. zarzucenie polityki masowych represji, wprowadzenie pewnych norm praworządności — przeprowadzono zgodnie z ogólną tendencją występującą w obozie. Inne zmiany zostały wymuszone przez społeczeństwo, czy też, co na jedno wychodzi, przeprowadzone przez władze szukające społecznego poparcia. Pozwolono na dekollektywizację rolnictwa, zaprzestano represji przeciw Kościołowi, uznano jego rolę i prawa, uznano rady robotnicze i zwiększono autonomię przedsiębiorstw; uznano konieczność przeprowadzenia wyborów z ilością kandydatów większą niż ilość miejsc, ograniczono cenzurę, uczelniom przyznano autonomię, a młodzieży prawo do pluralizmu organizacyjnego, zniesiono system prawdziwego poddaństwa robotników w postaci przepisów o dyscyplinie pracy, i wreszcie zapewniono większy margines niezależności państwa od Związku Radzieckiego. Tendencje reformistyczne w partii, ale przede wszystkim nacisk społeczeństwa były wystarczająco silne, aby zapewnić trwałość pewnych koncesji, były jednak zbyt słabe, aby utrzymać wszystkie.

Jaki jest bilans zrealizowanych i niezrealizowanych obietnic Października? Najogólniej można powiedzieć, że udało się zachować te koncesje, które ograniczały pole władzy; utracone zostało na ogół wszystko, co dotyczyło zmian zasad funkcjonowania systemu, czy to w dziedzinie gospodarki, w życiu społecznym, czy też w życiu politycznym *sensu stricto*. Innymi słowy, udało się system zliberalizować, ale nie zdemokratyzować. Pomimo fundamentalnej niepraworządności ustroju większość obywateli mogła względnie spokojnie spać. Władze uznały ograniczenia wynikające z istnienia Kościoła i z faktu istnienia indywidualnej gospodarki chłopskiej. Wyłączone zostały spod bezpośredniej kontroli politycznej poważne polacie życia umysłowego i artystycznego. Istotną autonomię zdobyły sobie uczelnie i stowarzyszenia twórcze. Znaczna dezideologizacja życia publicznego

zwiększała autonomię jednostki niepoddawanej takiemu „praniu mózgów” jak w innych krajach komunistycznych. Obyczaje życia codziennego przestały być przedmiotem wnikliwej uwagi partii i policji. Jakis obserwator zachodni napisał na początku lat sześćdziesiątych, że władza komunistyczna w Polsce nauczyła się samopograniczeniom obszaru władzy, jej liberalizacji, nie towarzyszyły zmiany mechanizmów jej sprawowania. Pluralizm, który się zarysował w partii w okresie Października, był wyrazem okresowej słabości, a nie zmiany jej natury. Już po paru miesiącach występuje wyraźna tendencja do ujednolicania stanowisk, do eliminowania „dogmatyków” i przede wszystkim „rewizjonistów”, czyli właśnie tych, którzy postulowali reformy w partii i w państwie. Następuje również likwidowanie różnorodności, mikropluralizmu poza partią. Stronnictwa „sojusznicze” zostają przywołane do porządku, organizacje młodzieżowe poddane są jeszcze ściślejszemu nadzorowi. Zaostrezenie cenzury (momentem przełomowym była likwidacja *Poprostu* — 1957) osłabiło możliwość wywierania presji przez społeczeństwo na władzę i jakiegokolwiek nad nią kontroli.

Szybko zostają porzucone projekty reform demokratyzujących gospodarkę. Stopniowej likwidacji ulegają rady robotnicze, jako organy pracowniczego samorządu w przedsiębiorstwie.

Dlaczego los okazał się mniej łaskawy dla przedsięwzięć demokratyzacyjnych niż dla liberalizacyjnych? Myślę, że wiele złożyło się na to czynników. Fakt, że komunizm nie miał w Polsce, w przeciwieństwie do Czechosłowacji, żynego gruntu nie był tu bez znaczenia. Osłabiało to dążenie najbardziej nawet radykalnych sił wewnątrzpartyjnych do rozszerzania „praw obywatelskich” na całość społeczeństwa. Zbyt wielkie wiązało się z tym ryzyko. Popularność Gomułki była i musiała być czymś przejściowym, związanym z powszechnym poczuciem zagrożenia narodowego bytu. W tym, narodowym, aspekcie Października leży dalsza przyczyna słabości nacisków na demokratyzację. Społeczeństwo było wówczas, ze zrozumiałych względów, najbardziej uwrażliwione, po pierwsze — na eliminowanie terrorystycznych cech ustroju i ograniczenie arbitralności władzy; po drugiej — na problem zależności Polski od ZSRR. Postęp liberalizacji z jednej strony i widoczny wzrost autonomii Polski w ramach bloku z drugiej, zadowalały w dużym stopniu społeczeństwo i czyniły z Gomułki, symbolu tych zmian, bohatera narodowego. Mniejsza była świadomość wagi mechanizmów sprawowania władzy, zwłaszcza w

kregach politycznie najbardziej aktywnych. Często zaufanie do jednostek zastępowało wiarę w skuteczność gwarancji instytucjonalnych. Ale najważniejszej przyczyny braku postępów demokratyzacji po Październiku — i ogólnie większej łatwości ograniczania zakresu władzy niż zmieniania sposobów jej sprawowania — trzeba szukać jak myślę, w stosunku ZSRR do tych usiłowań.

W świadomości przywódców sowieckich liberalizacja nie jest zjawiskiem dramatycznym, nie stwarza zasadniczego zagrożenia dla ustroju. Można ją nazwać, w języku bliskim mentalności tej grupy, krokiem w tył, który ma poprzedzić następne dwa kroki, tym razem, do przodu. Okresy liberalizacji zna ZSRR ze swojej przeszłości (lata NEP-u i oczywiście po śmierci Stalina). Dopóki nienaruszona zostaje partia typu leninowskiego, dopóki w jej rękach pozostaje monopol przemocy fizycznej (policja, wojsko), materialnej (monopol pracy i płacy) i psychicznej (cenzura, indoktrynacja), dopóty wszelkie ograniczenie obszaru władzy może być traktowane jako zjawisko przejściowe, planowe wycofanie niezbędne dla przegrupowania wojsk do następnego natarcia. Dlatego dopiero zagrożenie partii, jej organizacji typu wojskowego, jej pozycji w całości systemu politycznego, jest dla Moskwy nie do przyjęcia. Z tego oczywiście nie wynika, że pewnych zmian demokratyzacyjnych nie można było w Polsce w 1956 roku przeprowadzić i utrzymać, ale było to znacznie trudniejsze niż ograniczenie pola władzy.

Jak na naszych dwóch współrzędnych wygląda dalszy rozwój Polski po 1956 roku? Latom sześćdziesiątym historia poświęci zapewne niewiele słów. W stosunku do najpierw tragicznych, a później pełnych nadziei lat pięćdziesiątych, w zestawieniu z podminowanymi latami siedemdziesiątymi, lata sześćdziesiąte — okres małej stabilizacji między burzami — w niewielkim stopniu przyciągają uwagę.

Represje stopniowo się zaostrzają. Skazywani są ludzie za poglądy, za posiadanie książek. Procesów nie jest zbyt wiele, ale wystarczająco dużo, aby istotnie zmienić atmosferę społeczną, by znów pojawił się strach, potęgowany poczuciem wszechobecności policji, ponownie rozbudowywanej.

Ani na chwilę władze nie rezygnują z projektów poddania chłopstwa swojej bezpośredniej kontroli. Chcąc uniknąć masowego oporu, władze szukają środków łagodnej, stopniowej kolektywizacji rolnictwa. Toczą się wielkie strategiczne dyskusje, jak „socjalizować” poprzez kółka? spółdzielnie produkcyjne? pe-ge-eryzację? poprzez

objęcie chłopów wielkim systemem nadzorczym, którego organizatorem i głównym beneficjentem byłoby państwo? Pomimo tych wszystkich dyskusji wolność chłopów uległa niewielkim tylko ograniczeniom. Wystarczającym jednak, by wzbudzić ich nieufność, przyczyniając się w ten sposób (wraz z polityką cenową i inwestycyjną państwa) do zahamowania wzrostu produkcji rolnej.

Od końca lat pięćdziesiątych zaczyna się na nowo wojna podjazdowa przeciwko Kościołowi. Wycofuje się pewne koncesje, przyznane w momencie słabości w 1956 roku. Szykanuje się wierzących i księży, nie dopuszcza się do budowy kościołów, próbuje się wycieńczyć Kościół podatkami. Dąży się do ograniczenia roli Kościoła wyłącznie do jego funkcji czysto religijnych. Kampania przeciw Kościołowi osiągnęła apogeum w 1966 roku w związku z listem Episkopatu do biskupów niemieckich. Nie można jednak powiedzieć, by polityka ograniczania roli i wpływów Kościoła powiodła się. Było wprost przeciwnie.

Największy regres następuje w dziedzinie wolności słowa i wolności twórczych. Grupą najbardziej dotkniętą jest inteligencja. Zaostrza się cenzura, coraz ścisłej kontroli poddana jest prasa, organizacje twórcze, instytuty naukowe. Punktem kulminacyjnym tego procesu był Marzec 1968: masowa czystka wśród intelektualistów, likwidacja autonomii uniwersytetów, skazywanie na niebyt publiczny najwybitniejszych twórców. Marzec oznaczał też poważny, lecz przejściowy wzrost represji policyjnych i sądowych. Po raz pierwszy od czasów stalinowskich miały miejsce masowe procesy na podstawie fikcyjnych zarzutów.

Oczywiście na współrzędnej „demokratyzacja” — lata sześćdziesiąte też nie pozytywnego przynieść nie mogły. Gdy usuwano Gomułkę w grudniu 1970 roku, dowiedzieliśmy się, że nie tylko nie było *demos-kracji*, ani *parto-kracji*, ale nawet *biuro-kracji* (od biura politycznego), że władza spoczywała wyłącznie w rękach Gomułki i jego popleczników.

Po grudniu 1970 r. na pozór zmieniło się niewiele. Zmieniła się częściowo ekipa dzierżąca władzę. Doszli do niej ludzie w średnim wieku, uformowani przez stalinizm i ZMP, pozbawieni złudzeń w 1956 roku, ludzie, którzy znali wyłącznie aparat i mało subtelna technikę wspinania się po kolejnych szczeblach kariery. Ludzie, których władza przyciągała, bo widzieli, że „tyle twojego, ile nuchapiesz”, albo doszli do tego przekonania po krótkich reformatorskich iluzjach roku 1956.

Obiecano po Grudniu wyjaśnić sprawę odpowiedzialności za masakrę robotników na Wybrzeżu (raport w tej sprawie nigdy nie został podany do wiadomości publicznej); kolejny raz obiecano przeprowadzić reformę gospodarczą — spotkał ją rychło ten sam los co poprzednie; czyniono na początku pewne gesty dobrej woli w stosunku do inteligencji. To, co szybko okazało się być cechą najbardziej widoczną nowej polityki, to szczególną strategią dynamizowania rozwoju gospodarczego, której ogromnie koszty płaci dzisiaj społeczeństwo.

Niewiary w głębokość zachodzących zmian wyrażały dwa popularne dowcipy krążące w kraju na początku lat siedemdziesiątych. Jeden witał zachodzące zmiany okrzykiem: **NOWE WRACA!** Drugi porównywał zmiany do owego spędzającego z drzewa stada wron, które po pewnym czasie znów je obsiadają. **OD NOWA:** sraja i kraczą, kraczą i sraja!

Takie wrażenie odnosiło bardzo wielu. Jeżeli jednak przyrzeć się uważniej, to od początku dekady zachodzą ledwie dostrzegalne, ale bardzo istotne zmiany.

W latach siedemdziesiątych następuje stopniowy zanik strachu jako zjawiska społecznego. Szereg czynników ma na to wpływ. Zamazaniu w świadomości społecznej uległ obraz wojny i stalinizmu. Po ważną rolę odegrał Kościół przelansując poczucie społecznego osamotnienia. Wielkimi momentami w tym procesie był wybór Karola Wojtyły na tron papieski i następnie jego wizyta w Polsce. Bardzo dużą rolę w przelamywaniu strachu odegrała opozycja demokratyczna manifestująca swoim istnieniem siłą odwagi i solidarności.

Najbardziej istotna zmiana ubiegłej dekady dotyczyła roli klasy robotniczej. Od Grudnia jej cień jest nieustannie obecny przy podejmowaniu wszystkich ważnych decyzji w dziedzinie polityki gospodarczo-społecznej. Uzyskała ona niepisane prawo *veta* w tym zakresie. Na długo zanim zostały stworzone niezależne związki zawodowe, robotnicy byli w stanie zmusić władzę do ustępstw poprzez mnożące się przez całe dziesięciolecie strajki, których zakres i trwanie były ograniczone przede wszystkim dlatego, że władze nauczone doświadczeniem natychmiast ustępowały, aby uniknąć rozszerzania się ruchu. Nieudana, kolejna próba podniesienia cen w czerwcu 1976 roku, z której musiano natychmiast się wycofać, stanowiła potwierdzenie tego niepisanego przywileju, z którego robotnicy od tej chwili nie mają zamiaru rezygnować.

Zjawisko to oznaczało kolejne i bardzo istotne ograniczenie władzy

komunistycznej w Polsce, czyli jej przymusową liberalizację. Tak jak już przedtem musiała się ona liczyć do pewnego stopnia z interesami chłopów, tak teraz interesy robotników stają się granicą, której nie należało przekraczać pod groźbą narażenia się na kolejny wybuch o nieobliczalnych skutkach.

Lata siedemdziesiąte odznaczały się liberalizacją w jeszcze jednej dziedzinie — zmniejszyła się represyjność systemu. Wiele działań przedtem karanych, w tych latach nie podlega penalizacji, albo przynajmniej w znacznie mniejszym stopniu. Przypomnijmy. W latach poprzednich, nawet na grubo przed Marcem, skazywano za posiadanie wydawnictw emigracyjnych, za rozmowę o pakcie Ribbentrop-Mołotow, za treść prywatnego listu. Bezpośrednim powodem pierwszej demonstracji Marcowej było między innymi wyrzucenie z uniwersytetu dwóch studentów i wszczęcie przeciwko nim śledztwa pod zarzutem przekazywania informacji korespondentom prasy zagranicznej. U schyłku rządów Gomułki odbył się proces ludzi, oskarżanych o przekazywanie na Zachód informacji i dokumentów związanych z ruchem Marcowym i sprowadzanie książek pozbawionych debitu.

Lata siedemdziesiąte zaczynają się co prawda dwoma procesami politycznymi, ale o innym charakterze. W jednym sądzono członków bynajmniej nie wyimaginowanej organizacji nielegalnej (co nie znaczy oczywiście, by jej członkowie byli skazani przez jakikolwiek niezależny sąd), w drugim uczestnicy prawdziwego zamachu terrorystycznego. Później nie ma już procesów z oskarżeń o przestępstwa polityczne (włączając do tej kategorii więźniów, których Amnesty International nazywa więźniami sumienia). Co najwyżej próbuje się skazać aktywnych uczestników opozycji z artykułów o przestępstwach pospolite (jak w przypadku Chojeckiego, Kozłowskiego czy Zadrożyńskiego).

Liberalizacja, będąca rezultatem uzyskania przez robotników prawa *veta*, nie była w żadnym wypadku gestem władzy. Została wywalczona i podtrzymywana powtarzającymi się strajkami mem ich rozszerzenia. Natomiast w drugim wymiarze libeli była niewątpliwie wynikiem nie tylko wymuszenia, ale i przyzwolenia, rezultatem świadomego wyboru polityki, dokonanego przez ekipę Gierka. Było to w dużym stopniu następstwem zasadniczej zmiany strategii partii w jej stosunkach ze społeczeństwem.

W telegraficznym skrócie, politykę końca lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych nazwać można wojną przeciw narodowi. Po

krótkiej Październikowej idylli, do końca lat sześćdziesiątych mamy do czynienia z mieszaną strategią konfrontacji i integracji. Atakuje się wybranych w danym momencie nieprzyjaciół: Kościół, intelektualistów, Żydów. Zarazem w planie ideologicznym pokreśla się coraz bardziej wątki solidaryzmu narodowego, społecznego i politycznego. Lata siedemdziesiąte to tryumf tej ostatniej tendencji w ideologii oficjalnej. Zapomniano dawno o „wrogach klasowych”, o „walce klas”, dominuje hasło zgody narodowej, wspólnoty wszystkich Polaków. Zmiana była wynikiem osłabienia władzy, ale też intensywnego poszukiwania przez nią narodowej legitymacji. Tym też tłumaczyć można mniej agresywny stosunek w tych latach do Kościoła. Tym też można tłumaczyć, myślę, względnie bardziej tolerancyjny stosunek do niepokornych, nonkonformistów, uczestników demokratycznej opozycji. Wybór strategii postępowania w stosunku do społeczeństwa narzucał konieczność poszukiwania mniej terrorystycznych metod radzenia sobie z konfliktami społecznymi i politycznymi.

Tego samego wymagała coraz bardziej komplikującą się sytuacja gospodarcza, rosnące napięcia społeczne, zwłaszcza po Czerwcu 1976. W sytuacji, gdy władza miała coraz silniejsze poczucie, że siedzi na beczce prochu, polityka represji w stosunku do niezależnej inteligencji mogła łatwo podważyć niezwykle kruchą społeczną równowagę. Liberalizmowi władzy sprzyjało też bardzo coraz większe uzależnienie gospodarcze od Zachodu. Partia nie mogła sobie pozwolić na pösunięcia, które mogłyby łatwo doprowadzić do wyschnięcia źródeł kredytów na Zachodzie, wtedy gdy były one coraz bardziej niezbędne. Nie mogła zwłaszcza zbyt ostentacyjnie grzeszyć przeciwko modnym w drugiej połowie dekady uchwałom konferencji w Helsinkach i ustaleniom zawartym w „trzęcinie koszyku”.

Tak więc, obserwujemy w Polsce lat siedemdziesiątych, zwłaszcza w drugiej ich połowie, paradoksalne zjawisko. Z jednej strony w szkołach, fabrykach, wydawnictwach, komitetach, na uczelniach pogłębił się proces sowietyzacji. W życiu instytucji oficjalnych Marzec pozostawił trwale ślady w postaci sterylizacji życia intelektualnego, uniemożliwiania dyskusji, formułowania propozycji jakichkolwiek zmian, zwiększonej intensywności indoktrynacji. Zabrakło miejsca nawet dla umiarkowanych krytyków. A równocześnie w latach siedemdziesiątych staniała niewątpliwie odwaga. Oczywiście płaciło się cenę niepokorności i to, bywało, bardzo wysoką. Najbardziej aktywni uczestnicy opozycji demokratycznej często znajdowali się w areszcie.

mnożyły się rewizje, zatrzymania, zdarzały się pobicia. Pod byle pretekstem wyrzucano z pracy, ze studiów, zakazywano druku. Ale wybór niezależności nie wiązał się z groźbą więzienia. A co równie może ważne, nie wiązał się w Polsce tego okresu z osamotnieniem, poczuciem przegranego życia, wyrzucenia poza nawias. Albowiem poza, coraz bardziej sterylnym życiem oficjalnym, na jego obrzeżach, rozwijało się coraz bogatsze życie kulturalne, intelektualne, społeczne, tworzył się cały świat, choć nie odizolowany od Polski oficjalnej, to na tyle atrakcyjny, że wytwarzane przezeń hierarchie i autorytetu, prestiżu, dokonań wpływały coraz silniej na szerokie kręgi społeczne.

Połączenie imobilizmu władzy z jej cynizmem (np. po ujawnieniu dokumentów cenzury zachowała się ona jak stary złodziej, który przyłapany na kradzieży nie objawia już nawet wstydu, ani ag. sji płynącej z upokorzenia, a wie też, że nie jest zdolny do poprawy; nie było ani represji, ani próby ograniczenia cenzury, która przybrała absurdalne rozmiary — po prostu udawano, że nic się nie stało) oraz pewien liberalizm nie tylko wzmacniały siłę szeroko pojętej opozycji, ale, co jest trudno wymierne, tworzyło i w ramach życia oficjalnego poczucie, że kontynuować dotychczasowy rozwój nie sposób. Atmosferę dekadencji, rozkładu wyczuwa się na każdym kroku (jej znakomite świadectwo da się odnaleźć w *Malej apokalipsie* Tadeusza Konwickiego). Pojawia się szeroki krąg ludzi, którzy ze względu na swoje kwalifikacje zawodowe czy osiągnięcia twórcze zajmowali wysokie pozycje w oficjalnych instytucjach życia publicznego i którzy zarazem działali, mniej czy bardziej aktywnie, w sposób mniej czy bardziej jawny, w „Polsce równoległej”.

Zaczynają się mnożyć zachowania nonkonformistyczne czy wręcz cpozycyjne w ramach Polski oficjalnej, wśród ludzi, którzy w swoim myśleniu politycznym przywiązują przede wszystkim wagę do procedur zachodzących w aparacie władzy. Chodzi tu o całą gamę zjawisk bardzo między sobą się różniących. Trudno nie dostrzec znaku czasu w fakcie opublikowania w wydawnictwie emigracyjnym szkiców politycznych przez Jana Szczepańskiego i Janusza Zabłockiego. Znaczące jest zarówno bezkarne publikowanie w wydawnictwie emigracyjnym przez osoby zajmujące formalnie wysokie stanowiska w oficjalnej hierarchii władzy, jak i odczuwana przez nich oba potrzeba — niewątpliwie pod wpływem działania opozycji demokratycznej — wytlumaczenia się z dokonanego wyboru politycznego i serwilizmu wobec władzy.

Innego zupełnie rzędu zjawiskiem „wewnętrznej opozycji” były

wystąpienia na forum publicznym Olszowskiego czy Grabkiego. Innym jeszcze było zbiorowe wystąpienie konwersatorium. Doświadczenie i przyszłość, w którego stworzeniu i funkcjonowaniu poważną rolę odegrali członkowie partii. Wszystkie te zjawiska były jednak dowodem słabości i rosnącego paraliżu władzy.

W kreslonym grubą kreską obrazie przemian zachodzących w latach siedemdziesiątych zwracałem uwagę na te zjawiska, które prowadziły do ograniczenia władzy, do jej niezamierzonej liberalizacji. Należy jednak odnotować również fakty, które osłabiając jednoznaczność tendencji, układają się w antyliberalny trend. O niektórych wspominałem już przedtem.

Wyraźny regres w stosunku do lat sześćdziesiątych występuje w dziedzinie informacji. Dziesięciolecie zaczyna się od wprowadzenia zagłuszania radia Wolna Europa, którego można było swobodnie słuchać przez cały okres rządów Gomułki. Bardziej jeszcze radykalne niż poprzednio podporządkowanie polityki informacji bieżącym potrzebom władzy prowadziło do patologii, tzw. „propagandy sukcesu”. Pokoleniowa, w kierownictwie partii, nostalgia za początkiem lat pięćdziesiątych wyraziła się m.in. w próbie powrotu do ówczesnych wzorców informacji, której jedynym celem zdaje się być ponownie propaganda. W pewnym okresie rządów Gierka zaczęło się mówić o „bierutyzacji”.

Próbę cofnięcia się o kilkanaście lat wstecz dostrzec można również w dążeniu do pozbycia się resztek pluralizmu organizacyjnego w ruchu młodzieżowym.

W latach siedemdziesiątych pojawia się ponownie tendencja do kolektywizacji rolnictwa. Wybrano strategię upaństwowienia, powiększenia roli PGR-ów. Stosowano różne środki — od czysto ekonomicznych do przymusowego wykupu ziemi. Główną konsekwencją tej polityki jest obecna sytuacja na rynku konsumpcyjnym, chociaż ma ona swoje źródło nie tylko w polityce kolektywizacji.

Granice liberalizacji i kryzys systemu

Analiza zmian zachodzących w Polsce po 1956 roku wskazuje na nie zrównoważony rozwój mierzony na dwóch naszych współrzędnych. Z jednej bowiem strony mieliśmy do czynienia z poważną liberalizacją systemu (wiele osób stawia pod znakiem zapytania

możliwość jego opisu w kategoriach systemu totalitarnego), z drugiej — z niezmiennym od czasów stalinowskich sposobem organizowania i kontroli oficjalnego życia publicznego.

Stopniowość procesu wymuszanej liberalizacji i jej ograniczony charakter eliminowały praktycznie groźbę sowieckiej interwencji (poza oczywiście samym Październikiem, kiedy Kreml nie mógł przewidzieć, jak daleko posuną się zmiany w Polsce i w jej stosunkach ze Związkiem Radzieckim). Za każdym bowiem razem, gdyby nawet Kreml taką ewentualność rozpatrywał, miałby on wybór między o g r a n i c z o n y m i kosztami tolerowania prawa *veto* robotników, wzmocnienia Kościoła, czy samoorganizacji grup inteligencji, z drugiej zaś strony — g l o b a l n y m i, niezwykle wysokimi kosztami zbrojnej interwencji. Nawet w Grudniu, gdy władze w Warszawie gotowe były użyć brutalnych środków dla złamania rewolty robotniczej, Moskwa, pragnąc zapewne uniknąć uwikłania w konflikt, doradzała rozwiązanie „polityczne”. U siebie, sądząc z bogatego doświadczenia, Kreml zastosowałby niewątpliwie inne metody, mniej „liberalne”. Podobnie, są podstawy by sądzić, że Moskwa zaakceptowała podpisanie umów w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu woląc kompromis, samoograniczenie od brutalnej konfrontacji o nieobliczalnych skutkach. Oczywiście nie oznacza to, że pogodziła się z konsekwencjami tych umów.

Z powyższych uwag nie wynika bynajmniej, że proces liberalizacji, nawet jeśli przebiega stopniowo i nie towarzyszy mu kwestionowanie „sowieckich reguł gry” w ramach coraz bardziej zawężającego się oficjalnego życia publicznego, może trwać bez końca. Granice liberalizacji wyznaczane są nie tylko przez Kreml i opór tych, którzy w Polsce zainteresowani są utrzymaniem *status quo*. Granicę tę wyznacza przede wszystkim fundamentalna sprzeczność, która powoduje, że nie można ograniczyć pola władzy bez podważenia zasad, na jakich oparte jest funkcjonowanie systemu typu sowieckiego. Zawężanie pola władzy, której naturalną tendencją jest dążenie do wszechpotęgi i wszechobecności, prowadzi do głębokiego kryzysu całego systemu. Historia Polski po 1956 roku zdaje się potwierdzać te tezę. Ostrzejsze niż w innych krajach bloku konflikty społeczne oraz polityczne i powtarzające się społeczne konwulsje są przejawem postępującego paraliżu i nasilającego się kryzysu.

Analiza źródeł obecnej sytuacji gospodarczej jest dobrą ilustracją tezy, którą ogólnie sformułowaliśmy, a zarazem domeną, w której owa sprzeczność najbardziej brutalnie zdaje się manifestować.

Polityka gospodarcza i liberalizacja

Od lata ukazało się szereg artykułów, w których analizuje się przyczyny obecnego kryzysu. Wcześniej jeszcze, TKN opublikował pracę Waldemara Kuczyńskiego* na ten temat. Spotykane opisy i oceny są dość podobne i trudno je zakwestionować. Piszemy więc o narzuceniu gospodarcę zbyt wysokiej stopy, wzrostu, o nieracjonalnej strukturze inwestycji, o nieskuteczności kontroli władz centralnych nad polityką inwestycyjną różnych resortów; pisze się o niszczeniu rolnictwa polityką wymierzoną przeciw gospodarce rodzinnej, o nieefektywności tradycyjnego systemu, który nie był w stanie wchłonąć strumienia nowoczesnej technologii importowanej z Zachodu. Wszystkie oceny można z grubsza podzielić na te, które większy nacisk kładą na archaiczny, prymitywny system organizacji gospodarki i te, które podkreślają przede wszystkim błędy w polityce gospodarczej lat siedemdziesiątych.

Analiza tego typu pozostawia jednak bez odpowiedzi jedno istotne pytanie: dlaczego to tylko w Polsce i to już po raz trzeci mamy do czynienia z głębokim kryzysem gospodarczym, któremu towarzyszy polityczne trzęsienie ziemi (choć oczywiście obecny jest głębszy i następstwa polityczne są zasadniczo różne). Nie da się tego wytłumaczyć wyłącznie tradycyjnym systemem gospodarczym. Ten sam system przetrwał bowiem nienaruszony we wszystkich krajach bloku poza Węgrami, i np. w NRD daje wcale niezłe wyniki. Nie można też powtarzających się w Polsce kryzysów zredukować do fałszywie wybranej polityki gospodarczej: jeżeli nie szuka się strukturalnych źródeł owych wyborów, to sugeruje się tym samym, że głupota przywódców tłumaczy tak ważne i powtarzające się zjawisko. Pewien pisarz, dobrze znający dwór, napisał ostatnio, że Bierut był miernotą z dobrymi doradcami. Gomułka osobą wybitną z marnymi doradcami, a Gierek poziomem dorównywał Bierutowi, zaś jego doradcy byli na poziomie doradców Gomułki. Każdy z nich doprowadził Polskę na skraj przepaści. Jest więc rzeczą oczywistą, że źródeł kolejnych katastrof trzeba szukać gdzie indziej, nie w kalibrze przywódców.

Wydaje mi się, że dla zrozumienia przyczyn okresowo powtarzających się kryzysów, specyfiki w tej dziedzinie polskiej sytuacji, należy rozważyć konsekwencje fundamentalnej sprzeczności, jaka istnieje

*W. Kuczyński: *Po wielkim skoku*. Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1980.

między logiką systemu typu sowieckiego, który pozostał w Polsce w postaci prawie niezmięnionej od początku lat pięćdziesiątych, a szczególną ewolucją, której w Polsce od połowy lat pięćdziesiątych podlega władza polityczna i którą nazwalismy liberalizacją.

Zacznijmy jednak rozpatrzenie owej sprzeczności od krótkiej dygresji na temat logiki gospodarki typu sowieckiego. Paradoksalnie, system planowania i zarządzania, który według rozpowszechnionych stereotypów ujawniać ma pewne zalety w krajach słabo rozwiniętych, umożliwiając im przyspieszony rozwój, w rzeczywistości zakłada istnienie obfitości. Chodzi, rzecz jasna, o obfitość szczególnego rodzaju: taką, która jest wyłącznym atrybutem władzy. Przejawia się ona w tym, że władze dążąc do realizacji własnych celów, mogą praktycznie abstrahować od ograniczeń materialnych i ludzkich: mogą rip, z dnia na dzień podnieść stopę wzrostu, zwiększyć poważnie wydatki zbrojeniowe, ograniczyć sprzedaż mięsa na rynku, aby „wygospodarowaną” nadwyżkę przeznaczyć na eksport, skrócić z planu wydatki na lecznictwo, a poza planem rozpocząć, nikogo nie pytając o zdanie, budowę huty Katowice itp.

Oczywiście owa obfitość, która jest przywilejem władzy, jest możliwa dzięki nieliczeniu się, czy przynajmniej możliwości nieliczenia się z potrzebami społecznymi. Ale też jest ona niezbędnym warunkiem funkcjonowania gospodarki typu sowieckiego. Gdyby nie możliwość podnoszenia stopy inwestycji, gdyby nie zdolność utrzymywania na niskim poziomie dochodów ludności i ich dynamiki, gospodarka ta dawno już znalazłaby się w stanie stagnacyjnym. „Obfitość” służy planiście dla kompensowania niskiej efektywności gospodarki, jest nieuchronnego marnotrawstwa.

„Obfitość” jest również niezbędna dla funkcjonowania systemu, którego jedna z głównych cech charakterystycznych jest to, co w żargonie ekonomistów nazywa się wysoką skłonnością do inwestowania. Na wszystkich szczeblach zarządzania — poczynając od przedsiębiorstwa, a kończąc na władzach centralnych — istnieje tendencja do maksymalizacji inwestycji. U jednych jest to wynikiem dążenia do stworzenia sprzyjających warunków wykonania planu, u innych — motywem jest świadomość, że inwestycje, czyli większy potencjał gospodarczy, oznacza większy prestiż, więcej środków na budownictwo mieszkaniowe, szpitale, szkoły w danym regionie, silniejszą pozycję na targowisku władzy; inni jeszcze chcą „dogonić i przegonić”, oraz działają pod naciskiem centralnych, moskiewskich planów strategicznych.

Normalne funkcjonowanie gospodarki typu sowieckiego wymaga obfitości trzech podstawowych czynników produkcji: pracy, kapitału i cierpliwości społecznej. Jednakże już od końca lat pięćdziesiątych ograniczenia zaczynają się pojawiać coraz wyraźniej we wszystkich krajach bloku sowieckiego. R z a d k o ś ć — przeciwieństwo obfitości — fundamentalna cecha gospodarowania nowoczesnych społeczeństw, uderza również w planistę wschodnioeuropejskiego. Coraz rzadsza staje się praca i surowce, coraz trudniej o narzucenie społeczeństwu wyrzeczeń, pokornej cierpliwości.

Wróćmy do sytuacji polskiej gospodarki na początku lat siedemdziesiątych. Władza nie mogła już liczyć na społeczną cierpliwość. Grudzień i ruch, który trwał jeszcze przez szereg następnych miesięcy, uświadomiły jej granice pola manewru. Rządzący nie tylko wiedzieli, że Grudzień może się powtórzyć, ale również, że nie mogą do tego dopuścić dla dobra trwałości ustroju.

Polityka naturalną w takiej sytuacji było faworyzowanie konsumpcji. Zaspakajanie konsumpcyjnych potrzeb społeczeństwa stało się też jedynym możliwym sposobem zdobywania sobie, jeżeli nie przychylności, to przynajmniej spokoju społecznego. Wzrost spożycia produktów materialnych miał służyć jako substytut różnych dóbr i wartości społecznie cenionych, których w ramach tego ustroju nie można było społeczeństwu zagwarantować. Konsumpcja nie tylko przestała być amortyzatorem, który pozwalał osłabiać koszty nieracjonalnych decyzji, ale musiała stać się jednym z priorytetowych celów władzy.

Wielu ekonomistów w Polsce i na Zachodzie widziało w rozwoju gospodarczym lat siedemdziesiątych, opartym o masowe pożyczki zachodnie, wynik świadomej strategii, próbę przeszczepienia na grunt socjalistyczny doświadczenia takich krajów jak Japonia, Brazylia czy Korea Południowa. Sądzę jednak, że jest to sposób racjonalizowania rozwoju, który tylko w małym stopniu był podporządkowany koherentnemu projektowi. Pożyczki zagraniczne okazały się być łatwym wyjściem pozwalającym na okresowe przezwyciężenie antynomii, wobec której stanęła władza: antynomii między dążeniem do realizacji własnych celów, a koniecznością uwzględniania aspiracji społeczeństwa. Odrzucenie wyboru było jednak możliwe, rzecz jasna, tylko do pewnego momentu. Wraz z upływem czasu, problem musiał pojawić się z większą jeszcze ostrością. Jednak nawet mnożące się w latach 1973-74 sygnały zbliżającego się kryzysu nie powodowały rewizji tej polityki.

Doświadczenia polskiej gospodarki lat siedemdziesiątych pokazują, jak myślę, granice liberalizacji, której nie towarzyszą zmiany zasad funkcjonowania gospodarki. Władza oparta na arbitralności, na „obfityści”, nie może funkcjonować w sytuacji coraz bardziej ograniczonego pola jej wyboru, coraz większej „rzadkości”.

Tę samą tezę zdaje się potwierdzać realizowana od dwudziestu pięciu lat polityka rolna. Rezygnacja z kolektywizacji w 1956 roku nie oznaczała, jak już pisałem, porzucenia planów poddania rolnictwa bezpośredniej kontroli państwa. Historię tych lat można opisać jako próbę znalezienia bezbolesnego sposobu zniewolenia chłopów. Za każdym razem władze zmuszone były rezygnować z owych prób, by uniknąć głębokiego kryzysu produkcji rolnej, a w konsekwencji rosnącego niezadowolenia ludności miejskiej. Jednakże kolejne niepowodzenia podejmowanych prób kolektywizacji nie prowadziły do ostatecznego uznania gospodarki prywatnej w rolnictwie. Wycofanie państwa miało zawsze charakter prowizoryczny, było taktycznym oczekiwaniem na lepszy moment dla „socjalistycznej przebudowy rolnictwa”.

Nie mogąc jednak znacjonalizować gospodarki rolnej, „nacionalizowano” przynajmniej jej przyszłość — to znaczy robiono wszystko, aby nie dopuścić do jej rozwoju. Czyniono to na różne sposoby: poprzez politykę cen bijącą w dochody rolników, poprzez politykę inwestycji pozbawiającą ich jakiegokolwiek możliwości rozwoju, a nawet często prostego odtwarzania posiadanych środków, poprzez ograniczenia w handlu ziemią itp.

I znów ten sam paradoks liberalizacji w warunkach sowyetyzmu. Władze nie były w stanie przełamać ograniczeń nałożonych na nie przez niezależne rolnictwo, nie były też skłonne pogodzić się z rzeczywistością. Stagnacja produkcji rolnej była tego wynikiem. I drugi paradoks: brutalne kolektywizowanie po zdławieniu rewolucji rolnictwo węgierskie (podobnie jak i rolnictwo innych krajów bloku poza ZSRR) jest w znacznie lepszym stanie niż rolnictwo polskie oparte w przeważającej mierze na niezależnych gospodarstwach rolnych. Po osiągnięciu pełnej kontroli nad rolnictwem, władze węgierskie nie miały bezpośrednich czy pośrednich powodów, by toczyć wojnę przeciw chłopom. Wręcz przeciwnie, obficie dostarczały rolnictwu środki produkcji, pozwalały na pewną, nieformalną (a więc odwoływalną) reprivatyzację pracy rolników, korzystnie ustalały ceny na produkty rolne i w końcowym efekcie osiągnęły poważny wzrost produkcji rolnej.

Można rządzić przy pomocy terroru bądź groźby terroru, można rządzić w oparciu o społeczny *consensus*. Jednakże system rządów który nie jest w stanie sterroryzować społeczeństwa, a nie jest też w stanie uzyskać społecznej akceptacji, skazany jest na głęboki, przewlekły kryzys i rozkład.

Zjawisko korupcji, które według zgodnych ocen obserwatorów rozpowszechniło się niesłychanie w Polsce lat siedemdziesiątych, także jak myślę, wyrosło ze zderzenia tradycyjnych zasad sowietyzmu z wymuszoną liberalizacją władzy.

Kleptokracja i liberalizacja

Rozbudowany system przywilejów istnieje w krajach komunistycznych od Rewolucji Październikowej. Pozwala on grupom wysoko usytuowanym w hierarchii władzy i wpływów uniknąć nacisku reformy ekonomicznej i tworzy oazę dla wybranych, gdzie nie ma kolejek, braku towarów i tandety. Przywileje, choć pozbawione społecznej akceptacji (stad ich przeważnie ukryty charakter: niegdys sklepy za żółtymi firankami, w ostatnich latach dyskretne dostawy bezpośrednio do domu itp.) były jak najbardziej legalne: władze różnych szczebli tworzyły je świadomie dla zadowolenia własnej klienteli.

Poza misterną siatką legalnych przywilejów, w szerokich kręgach rządzących zawsze istniała tendencja do dyskontowania pozycji władzy w sferach rozdziału dóbr materialnych i innych korzyści społecznych. Lata siedemdziesiąte przyniosły Polsce taki rozrost tego zjawiska, że można wręcz mówić o porostaniu kleptokracji, grupy społecznej, która traktowała zajmowane przez siebie wysokie stanowiska jako źródło dodatkowych, nielegalnych korzyści materialnych.

Otóż i tę tendencję do formowania się kleptokracji można przypisać, sądzę, skutkom obecności elementów liberalizmu w ramach tradycyjnego systemu sprawowania władzy. Liberalizm stwarza odpowiedni klimat tolerancji, patrzenia przez palce, liberalizacji obyczajów. Daleko w przeszłości pozostali przedstawiciele pierwszego, ascetycznego pokolenia komunistów. Równocześnie braki kontroli społecznej, charakterystyczny dla sowietyzmu, prowadził do wytworzenia się powiazan, typu mafijnego, zorganizowanych,

wszechoświecnych gangów, których celem było faktyczną reпрыва-
tyzacja własności państwowej oraz pobieranie swego podatku od
konsumentów, pracowników i petentów.

Klasyczny system sowiecki rozwiązuje problem kleptokracji po-
przez czystki, policyjne kontrole dochodów i wydatków, utrzymywa-
nie w strachu członków aparatu władzy. W kraju demokratycznym
hamuje się wzrost zjawisk patologicznych poprzez społeczną kontrolę,
prasę, wybory. System, który wytworzył się w Polsce w latach
siedemdziesiątych ani nie dysponował radykalnymi środkami, jak w
swoim poprzednim wcieleniu, ani nie miał zdolności kontroli systemu
demokratycznego.

Stalinowską ideokrację lat pięćdziesiątych zastąpiła ideologiczna
partokracja lat sześćdziesiątych, która zrodziła z kolei pokolenie
„liberalnych” kleptokratów lat siedemdziesiątych.

Revolucja i perspektywy

Jak już wspominałem, rozwój Polski w latach 1956–1980 przebie-
gał w sposób nierównomierny na obu wyodrębnionych przez nas
osiach: liberalizacji i demokratyzacji. Proces daleko idącej liberaliza-
cji przy zablokowaniu zmian na drugiej współrzędnej prowadził do
nieuchronnych napięć i kryzysu systemu. Nie wynika z tego oczywiście,
że Sierpień był konieczny, nieuchronny. W rewolucjach, w wiel-
kich ruchach społecznych element przypadkowości odgrywa zawsze
ogromną rolę. Władze mogły niewątpliwie – ograniczając się do
naszych przykładów – optować za bardziej rozsądną polityką wobec
wsi i uniknąć w ten sposób kryzysu żywnościowego; mogły prowadzić
rozsądniejszą politykę gospodarczą i nie doprowadzić do obecnej
dramatycznej sytuacji; mogły wybrać inną politykę wobec rosnącej
opozycji demokratycznej i wewnętrznej, i być może zapobiec w ten
sposób uformowaniu się dobrze przygotowanych grup działaczy w
środowisku robotniczym, inteligentkim czy chłopskim; mogły wresz-
cie nieco bardziej dbać o morale własnej „publiczności głosującej”
nie dopuszczając czy ograniczając zjawisko kleptokracji. Katastrofa
systemu nie była więc nieuchronna, ale stała się możliwa ze względu
na ową fundamentalną sprzeczność między logiką arbitralności, na którą
której wspiera się władza komunistyczna, a ograniczeniami narzuczo-
nymi jej przez społeczeństwo.

W tym co się stało latem i później, w ustępstwach wymuszonych na

partii i spisanych w rozlicznych umowach i przygotowywanych aktach prawnych, dostrzec można przedłużenie dotychczasowego, liberalizacyjnego trendu. Bowiern uznanie wolnych związków zawodowych i prawa do strajku, zgoda na ograniczenie kompetencji cenzury — oznaczają dalsze, radykalne ograniczenie monopolu władzy. Jest jednak rzeczą oczywistą, że procesów zachodzących w Polsce nie można sprowadzać do postępu liberalizacji, chociaż podkreślanie przez przywódców „Solidarności” i innych ruchów społecznych, iż uznają niezmienną ram ustrojowych i nie zamierzają ingerować w sferę polityki, zdaje się to właśnie sugerować.

Samo tworzenie niezależnych związków zawodowych i innych autentycznych organizacji społecznych jest już oczywiście ogromnej wagi aktem politycznym, albowiem powoływanie do istnienia niezależnych instytucji życia zbiorowego nie jest i nie może być w tym systemie działaniem apolitycznym. Jest to co najwyżej działanie antypolityczne, bowiern celem jego jest ograniczenie domeny polityki, domeny kontroli sprawowanej przez partię-państwo. Deklaracje przywódców związkowych można traktować jako złożenie solennej obietnicy, że nie będą wkraczali w domenę polityki jeżeli tylko zostanie ona poważnie zredukowana, a więc jeżeli partia uzna istotne ograniczenie swojej władzy.

Ale nawet w takim sensie nie można mówić o apolityczności, o czysto związkowym charakterze rewindykacji. Wykraczamy daleko poza logikę liberalizacji, gdy w Umowie Gdańskiej gwarantuje się robotnikom prawo wpływania na decyzje dotyczące całej gospodarki całego społeczeństwa. Lenin pisał kiedyś, że plan gospodarczy jest drugim programem partii. Otóż związek zawodowy wywalczył, co prawda jak dotychczas tylko na papierze, prawo do współkształtowania decyzji, które powinny mieć — wedle Lenina — charakter wewnątrzpartyjny, choć dotyczą całego społeczeństwa. Nie można też do posunięć li tylko liberalizacyjnych zaliczyć mnożących się przypadków wymuszania przez społeczeństwo usuwania najbardziej skompromitowanych przedstawicieli aparatu władzy. Społeczeństwo nie ma możliwości wybierania swoich przedstawicieli, ale stara się spontanicznie zalegalizować praktykę, dzięki której będzie co najmniej mogło kontrolować narzuconych jej wielkocządków.

Jest jeszcze trzeci, najpoważniejszy powód, dla którego wywalczona przez robotników i następnie inne grupy koncesje muszą mieć głębokie polityczne konsekwencje. Albowiem już samo respektowanie narzuconych polityce ograniczeń musi prowadzić do radykalnych

w niej przekształceń. Innymi słowy – i świadomość tego jest szeroko rozpowszechniona – dalszy postęp liberalizacji wymaga daleko idących zmian w mechanizmie sprawowania władzy – jej demokratyzacji.

Weźmy przykład gospodarki. Powstanie związków zawodowych stworzyło sytuację, w której nie może dalej funkcjonować tradycyjny system planowania i zarządzania. Choćby dlatego, że utrzymanie monopolu władzy ekonomicznej powodowałoby koncentrowanie się fantastycznej energii społecznej na działaniach czysto rewindykacyjnych, czego nieuchronną konsekwencją byłby paraliż całego systemu. Jest to czysty model „walki klas”. Jej ostryść nie byłaby łagodzona – co ma miejsce na Zachodzie – spontanicznymi, anonimowymi mechanizmami rynkowymi, które rozmywiają odpowiedzialność w systemie opartym o zasadę (choć i tak daleko nie praktykę) centralizacji decyzji i kontroli, w oczach społeczeństwa za wszystko zawsze odpowiada władza, nawet jeżeli przypadkiem nie jest to prawda. Konfliktu tego nie łagodziłoby też istnienie poważnej klasy średniej, bowiem socyzm prowadzi do generalnej proletaryzacji społeczeństwa – wszyscy, czy prawie wszyscy, są płacobiorecami, wszyscy mają przeciw sobie państwo-przedsiębiorcę.

Aby więc osłabić impet rewindykacji, konieczne jest stworzenie warunków, w których społeczeństwo byłoby współodpowiedzialne za gospodarkę. W warunkach ostrości konfliktów, z którymi mamy do czynienia w Polsce, nie jest możliwe naśladowanie Jugosławii i jej systemu manipulowanej samorządności. W Polsce, jeżeli system gospodarczy ma odzyskać zdolność do życia w warunkach stworzonych przez sierpniowe umowy, samorządność poszczególnych jednostek gospodarczych musi się wiązać z realnym wpływem społeczeństwa jako całości na treść decyzji makroekonomicznych. Zakres planowania centralnego jest przede wszystkim problemem politycznym, chociaż ma oczywiście bardzo poważne konsekwencje gospodarcze. Im mniejsze są możliwości instytucjonalizacji społecznej kontroli nad decyzjami makroekonomicznymi, im mniejszy udział społeczeństwa w ich kształtowaniu – tym mniejszy musi być (aby stworzyć warunki funkcjonowania gospodarki na znośnym poziomie konfliktowości) zakres planowania, tym większa rola rynku. Sprowadzając do absurdu: utrzymanie dotychczasowego monopolu decyzji ekonomicznych na szczeblu centralnym wymaga, dla uniknięcia kumulowania się konfliktów, likwidacji planowania centralnego i przywrócenia, czy raczej stworzenia gospodarki wolnorynkowej, czyli eliminacji decyzji makroekonomicznych. Państwo może więc zachować monopol jed-

nie likwidując jego przedmiot!

Radykalne ograniczenie centralnego planowania, autonomia przedsiębiorstw, ustalanie decyzji o zasięgu ogólnospołecznym w trybie negocjacji między władzą a reprezentantami interesów społecznych, stworzyć może sytuację, w której względnemu osłabieniu ulegnie pozioma integracja pracowników zrzeszonych w związkach zawodowych, na rzecz integracji w ramach przedsiębiorstw. Inaczej mówiąc, dążenie do podnoszenia poziomu życia drogą wzrostu produkcji znajdzie w tych warunkach trwalszą i bardziej autentyczną bazę społeczną osłabiając nacisk rewindykacji, których celem jest podnoszenie dochodów w drodze walki o redystrybucję dochodu narodowego.

W polu napięć stworzonych z jednej strony przez istnienie „Solidarności” i innych niezależnych organizacji społecznych, z drugiej przez ograniczenie cenzury, musi dojść do istotnej zmiany w życiu politycznym *sensu stricto*. Nieuchronne jest – dokonujące się już w pewnym stopniu – ożywienie różnych organizacji-atrap na oficjalnej scenie politycznej (jak SD, ZSL, PAX itp.).

Najistotniejsze zmiany – jeżeli nowy ustrój ma być zdolny do życia – muszą się jednak dokonać w ramach samej partii. Abstrahując tutaj celowo od obecnej presji demokratycznej, szczególnie ze strony członków partii należących zarazem do „Solidarności”, chociaż, trudna dzisiaj do oceny, rola jej może być ogromna. Chcę zwrócić uwagę na potrzebę, wręcz konieczność dostosowania się partii do nowych reguł gry, do ram ustrojowych-kształtujących się obecnie i na związane z tym zagadnienia.

W warunkach radykalnie zdecentralizowanej gospodarki i administracji, wobec istnienia niezależnych reprezentacji interesów społecznych, funkcjonowanie partii według dotychczasowego wzoru (to znaczy jako „pasa transmisyjnego” służącego władzy do „mobilizowania mas”), abstrahując od łatwej do przewidzenia niewielkiej skuteczności tych zabiegów, prowadziłoby tylko do permanentnej manifestacji „klasowej” natury systemu. Członkowie partii musieliby wybierać, chociaż dziś obie strony starają się sugerować, że taka konieczność nie istnieje, między przynależnością do partii – czyli reprezentowaniem interesów „właścicieli Polski Ludowej” – albo do „Solidarności”. Łatwo przewidzieć, że występująca już dzisiaj tendencja do opuszczania partii, szczególnie w środowisku robotniczym, uległaby nasileniu. Partia łatwo mogłaby zostać zredukowana do swej esencji, niebezpiecznie społecznie przejrzystej, stać się organizacją rządzącą aparatu.

Istnieją, jak się wydaje, dwa kierunki ewolucji partii, które pozwalają uniknąć tej nie dającej się utrzymać na długą metę, konfliktowej sytuacji. Pierwszy polega na głębokiej demokratyzacji partii, porzuceniu przez nią leninizmu. Partia stałaby się w takim przypadku areną otwarcie manifestowanego pluralizmu politycznego, który byłby ograniczony jedynie pewnymi regułami gry (np. tymi, które zostały uznane również przez „Solidarność”, jak monopol partii na inicjatywę polityczną, niezmiennosc ustroju, więź ze Związkiem Radzieckim). Frakcje tak radykalnie przekształconej partii, reprezentowałyby interesy polityczne różnych grup społecznych – na ile obecność Związku Radzieckiego by na to pozwalała – tak jak związki zawodowe interesy społeczne i ekonomiczne.

Drugi możliwy kierunek ewolucji partii pozwala zachować, na pozór przynajmniej, jej scentralizowany leninowski charakter. Zarazem jednak, aby uniknąć nadmiernej konfliktowości wynikłej z osadzenia partii w nowym środowisku instytucjonalnym stworzonym przez gdańskie umowy, przeprowadzało by niejako jej samolikwidację. Eliminując z pola działania członków wszystko, co stawiałoby przed nimi dramatyczny problem lojalności, co prowadziłoby do zastraszania konfliktów między partią a różnymi grupami społecznymi, przekształcano by partię praktycznie w Ogólnopolski Klub Zwolenników Najbardziej Postępowej Idei. Partia uwalniając się od bezpośredniej odpowiedzialności za gospodarkę, obecna tylko symbolicznie w życiu codziennym, ograniczona narzuconymi przez społeczeństwo regułami gry utrwalonymi w przepisach prawa, miałaby tendencję do przekształcania się w szczególnego rodzaju zbiorowego monarchę konstytucyjnego.

Tak więc dylemat, przed którym musi stanąć partia, można ująć w taką oto drastycznie sformułowaną alternatywę: albo się ona zdemokratyzuje, czyli przestanie istnieć jako partia leninowska, albo, zachowując leninowskie normy, utraci byt realny.

Oczywiście żadna z tych tendencji nie musi znaleźć potwierdzenia w historycznym rozwoju, który rzadko mieści się w ramach wyidealizowanego „modelu idealnego”. Elementy obu tendencji zdają się jednak obecnie współwystępować. Szeregowi członkowie partii wyraźnie prą ku debolszewizacji, pluralizacji partii. W aparacie zaś widoczne są działania, mające na celu pomniejszenie zakresu odpowiedzialności partii za sprawy bieżące i za gospodarkę, przy zachowaniu jej zintegrowanego, leninowskiego charakteru.

Zakończenie → czyli powrót na ziemię

Powyżej próbowałem pokazać, jak szczególny typ zachwiania równowagi w procesie deśowietyzacji Polski, który uchronił ją przez dwadzieścia pięć lat od poważniejszej konfrontacji z ZSRR, prowadził zarazem do głębokiego kryzysu gospodarczego, politycznego i społecznego. Ale lato 1980 otwierając możliwości głębokich zmian systemowych wprowadziło zarazem Polskę w strefę ogromnego zagrożenia. Tym razem stoimy wobec fundamentalnej sprzeczności między aspiracjami polskiego społeczeństwa, przeprowadzonymi zmianami, a imperialnymi interesami Związku Radzieckiego.

Nikt nie wie, jakiego wyboru dokonają władze Związku Radzieckiego wobec dalszej ewolucji sytuacji w Polsce. Nikt nie wie, czy decyzja już nie zapadła. Nikt nie wie również, czy możliwe jest stworzenie systemu hybrydy, który zapewniłby utrzymanie tego. Dla Związku Radzieckiego jest najważniejsze, a jednocześnie pozwoliłby na zaspokojenie aspiracji Polaków i ich poczucia sprawiedliwości. Na co dzień zadajemy sobie pytania prostsze, bo dotyczące jutra: czy nie będzie kolejnej prowokacji, kolejnego zaostrzenia konfliktu, kolejnej radykalizacji nastrojów, konfrontacji? Czy wydarzenia nie zaczną się znów toczyć ku rozwiązaniu najbardziej tragicznemu, nawet jeżeli nikt go nie będzie chciał?

Być może najbardziej optymistyczną jest hipoteza, że Polska będzie się jeszcze długo znajdowała w stanie ograniczonej anarchii gospodarczej i społecznej. Albowiem trudno jest wykluczyć — a wiele faktów zdaje się na to wręcz wskazywać — że Moskwie łatwiej jest przystać na obecny stan rozkładu organizmu państwowego niż na stabilizację w warunkach dla niej nie do przyjęcia. Można przypuszczać bowiem, iż nie uznaje ona i nie uzna obecnie dokonywanych w Polsce zmian; zbyć są one niebezpieczne dla jej fizycznego i duchowego imperium. Zarazem jednak ogromne i wielorakie koszty interwencji zbrojnej powiększają Rosję przed najbardziej dla niej naturalnym rozwiązaniem polskiego problemu.

Tak więc, czeka Polskę, być może, długi okres ograniczonego kryzysu, negatywnej równowagi, to znaczy takiego stanu, którego istnienie jest możliwe tylko dlatego, że koszty każdej alternatywy traktowane są przez wszystkich uczestników konfliktu jako prohibicyjne. Groźba sowieckiej interwencji nie pozwala społeczeństwu zrzucić pasożytniczej władzy, a Moskwa nie może pozwolić sobie na zniszczenie tego, czego się nie da zniszczyć bez wielkiej wojny przeciw

polskiemu narodowi. Do tej ostatniej musiałaby również prowadzić próba złamania społeczeństwa poprzez wywołanie wojny domowej.

Przyjęta przez Moskwę strategia „ani wojny ani pokoju”, której towarzyszą m. in. wściekłe, niezwykle brutalne presje, obliczona jest na zmęczenie polskiego społeczeństwa kryzysem, permanentnym napięciem, na wzmocnienie zwolenników porządku za wszelką cenę. Ale ta sytuacja negatywnej równowagi może grać również na korzyść polskiego społeczeństwa, pomimo ogromnych ofiar, które ponosi i długo jeszcze będzie ponosić. Im więcej bowiem upływa czasu tym głębsze i bardziej nieodwracalne są przeobrażenia w pejzażu politycznym, społecznym i duchowym kraju.

marzec 1981

Aleksander Sznol

4

kry
ty
ka

KWARTALNIK
POLITYCZNY

WYDAWANY POZA CENZURĄ W POLSCE

E. LIPINSKI: O niepodległość Polski; Z DZIEJÓW NAJNOWSZYCH
POLSKIEGO SOCJALIZMU: T. Aleksandrowicz — A. Ciolkosz —
J. Hochweld — W. Pański — Z. Żuławski, Stanowisko redakcji (J. Ku-
ron — S. Starczewski); S. BARANCZAK: Mąż opatrnościowy; A. BO-
NIECKI: Być księdzem w Polsce; H. BUCZYŃSKA: O upadku filozo-
fii; V HAVEL: Mój areszt domowy; A. MICHNIK: Uwięzienie V. Ha-
vela; S. KISIELEWSKI: Wspomnienia polityczne; NAD KSIĄŻKĄ
MI — POLEMIKI — LISTY

NUMER 4, str. 200 — cena £2.00, US\$5.00

Dostępne są poprzednie numery w cenie:

Nr 1-2 (podwójny) — £4.00, US\$10.00, Nr 3 — £2.00, US\$5.00

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

ANEKS, 61 DORSET ROAD, LONDON W5 4HX, U.K.

załączając czek lub przekazy pieniężne wystawione na Aneks.

Jerzy Jedlicki

FORMA I TREŚĆ „UMOWY SPOŁECZNEJ”

1

„Umowa społeczna” stała się modnym hasłem posierpniowych dni i łatwo może zetrzeć się na jeszcze jeden slogan ujeżdżany do upadłego przez polityków i publicystów jak tyle przed nią propagandowych pustaków, by przypomnieć choćby „drugą Polskę”, „manewr” lub „dialog”. Może jednak także stać się pojęciem pożytecznym i rzeczywistą podstawą porozumienia, jeżeli zadamy sobie nieco trudu, aby określić umowy takiej formę i treść.

Musimy w tym celu przywołać w pamięci przeszłość i wybiec wyobraźnią w przyszłość. Wyłania się oto bowiem przed nami niejasny jeszcze zarys takiego układu polityczno-społecznego, jakiego nie było w całej 63-letniej historii państw komunistycznych. Jest bowiem cechą tego — choć nie tylko tego — ustroju państwowego i działaczy w tej szkole wychowanych, że zdobycie przez partię monopolu władzy politycznej i ekonomicznej rodzi natychmiast pokusę obezwładnienia wszelkich ośrodków inicjatywy społecznej i poddania wszystkiemu dziedzin życia arbitralnej kontroli funkcjonariuszy. Mówię o pokusie, nie o realizacji, która zależy od wielu okoliczności, nie trzeba wszak przypominać, jak odległa była Polska Gierka lub są Węgry Kadara od Koroji Kim-İr-sena czy Albanii Envera Hodży. Różne, bardzo różne są więc realizacje tej samej „doktryny ustrojowej”.

Pokusę totalitarną odradza się jednak ciągle, zakorzenienia głęboko w tradycji komunistycznego nurtu i w mentalności partyjnych działaczy staryj i nowej szkoły. Poprzestaniemy na historii naszego kraju. W

pierwszych powojennych latach odżywały dawne i powstawały nowe związki i stowarzyszenia zawodowe, spółdzielcze, kulturalne, wyznaniowe, młodzieżowe, tworząc razem dość bogatą i różnobarwną tkankę społeczną. Ale bo też w tym czasie nie był się jeszcze wykształcił monopol władzy politycznej. Jakkolwiek PPR kontrolowała od początku kluczowe instrumenty władzy, przecież dzielić się nią musiała z innymi stronnictwami politycznymi, z PPS-em, a nawet z półrządowym, półopozycyjnym PSL-em. Instytucjonalny pluralizm życia społecznego chroniony był zatem przez zredukowany, ale jeszcze nie wydrażony do pustej formy pluralizm polityczny. Wszelako równocześnie z dążeniem do zmonopolizowania władzy politycznej rozwijało się – wyraźnie już w roku 1947 – dążenie do gleichschaltowania organizacji społecznych i niszczenia wszelkich względnie niezależnych ośrodków myśli i inicjatywy.

W tych dniach wyszła spod prasy – a raczej spod walka – książka Tadeusza Kowalika, która pokazuje, jak ten proces przebiegał w gospodarce: jak zniszczono nie tylko prywatny handel, ale i „Spółemowską” spółdzielczość, jak pozbawiono samodzielności i odsunięto od współudziału w zarządzaniu przedsiębiorstwami, a wreszcie i od funkcji kontrolnych, rady zakładowe i związki zawodowe. Zrazu nie było to jeszcze definitywnie przesądzone. Socjalistycznej idei uspołecznienia aparatu wytwórczego przeciwko zamiarowi jego etatyzacji broniła nie tylko PPS; opowiadała się za nią także – trudno orzec, na ile szczerze – część działaczy PPR. Kowalik cytuje wypowiedź oddelegowanego wówczas przez partię do pracy związkowej Włodzimierza Sokorskiego z roku 1946, wypowiedź o (niedoszłym w końcu) projekcie ustawy związkowej:

„Po raz pierwszy w dziejach naszego kraju państwo nie tylko przekazuje związkom zawodowym część swoich funkcji, ale również poddaje swoje organa władzy wykonawczej kontroli związków zawodowych. Jest to wejście na doniosły szlak reform społecznych samego organizmu państwowego, który po okresie omnipotencji państwa zarówno w schyłkowym okresie umierającego imperializmu jak i pierwszego okresu triumfującej demokracji ludowej czy proletariackiej — prowadzi nieublaganie do ohubierania poszczególnych agend państwowych na rzecz planujących organizacji ekonomicznych, związkowych czy społecznych”.

¹ Cyt. wg: T. Kowalik, *Spory o ustroj społeczno-gospodarczy Polski 1944-1948*, Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych, wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1980.

Jeszcze i w dalszych artykułach – dodaje Kowalik – Sokorski, „uzbrojony w cytaty z Lenina, akcentuje potrzebę niezależnych od państwa instytucji kontroli społecznej, walczących z nadużyciami aparatu państwowego i jego biurokratyzacją. Więcej, podkreśla, że tylko warunki wojenne mogą usprawiedliwić tymczasową przewagę aparatu państwowego nad związkami zawodowymi.”

Słowa te – podkreślam – pisał komunista, i to najwierniejszy z wiernych. Dziwnie się je czyta po 34 latach, w ciągu których dzień po dniu uczono nas utożsamiać pojęcie socjalizmu właśnie z omnipotencją państwa, a raczej jego niewytłaczalnych organów władzy, i z wołą kolejnych przywódców.

Przypomnijmy inne fakty. Przypomnijmy, że tzw. zjednoczenie ruchu młodzieżowego dokonało się i wcześniej, i sumiennie niż zjednoczenie partii politycznych. Sumiennie, bo młodzieży nie pozostawiono nawet osobnej, choćby ściśle podporządkowanej przybudówki „ludowej” czy „demokratycznej”. Wkrótce potem zniesiono i autonomię (bardzo już zredukowaną) organizacji studenckich. Zaprzepaszczone została w całym tym procesie i wykarczowana doszczętnie bogata tradycja związków akademickich, harcerstwa, „Wici”, Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, uniwersytetów ludowych, Związku Nauczycielstwa Polskiego, Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Zdelegalizowano stare organizacje katolickie zastępując je dywersyjnym ruchem tzw. „księży-patriotów” i Stowarzyszeniem „Pax”. Ograniczano bogate życie organizacji żydowskich, które rozkwitło na gruzach, tworzone przez ocalałych z zagłady. Tamowano rozwój towarzystw regionalnych i wielu innych zrzeszeń, które ludzie zawiązują po to, aby działać na rzecz bliskich im celów społecznych i aby kultywować drogie im wartości. Znoszono lub łączono redakcje tygodników kulturalnych, aby wyeliminować współzawodnictwo idei i stylów.

Wszystkie prawie idee, szkoły myśli, ruchy społeczne i struktury organizacyjne, które dwa-trzy pokolenia społeczników, pedagogów, spółdzielców, związkowców, ludowców, socjalistów budowały co najmniej od roku 1905, zostały zglądzone – nie przez okupację, lecz w tym procesie, który się dokonał w latach 1947-1950, kiedy wszystko musiało zostać zjednoczone, scentralizowane, zetatyzowane albo utracić prawo do istnienia. Nawet do istnienia w pamięci. Nawet do istnienia w historii.

To właśnie wtedy dokonało się w y w l a s z c z e n i e społeczeństwa, jego upaństwowienie, zniszczenie ciał pośredniczących. Doko-

nało się w łopocie sztandarów, przy wtórze entuzjastycznych haseł, w imię idei, która wcielić miała wiekową tęsknotę rzesz ludzkich do wolności i sprawiedliwości. Rękoma ludzi nie najgorszej woli lecz obłąkanej wiary złamany został kregosłup społeczeństwa obywatelskiego, zdolnego do niewymuszonej partycypacji, do inicjatywy, do solidarnego – jeśli trzeba – sprzeciwu. I o to właśnie chodziło. Bo nie tylko potencjalny rywal polityczny, ale każde najskromniejsze zrzeszenie, które zawiązało się samodzielnie, było traktowane podejrzliwie przez dyrekcję i funkcjonariuszy tego ogromnego koncernu.

Prawie nic z tego przez najbliższych trzydzieści lat nie zostało odbudowane. Dziś widzimy – z perspektywy – jak wątle były owoce tego wielkiego ożywienia, które miało miejsce w roku 1955/56. To prawda: zakończył się wtedy czas terroru fizycznego i duchowego, ludzie poczuli się bardziej bezpieczni, a ich umysły mniej zniewolone. Otworzy się granice państwa, odrąbiono socrealizm i można się było wykrzyknąć, powypływać skrzepy z gardeł. Ale prawnicy darmo szukają roku 1956 w dziennikach ustaw, socjologowie darmo go szukają w skorowidzach instytucji społecznych. Naród – jak nieraz bywało w przeszłości – lekkomyślnie zawierzył osobie popularnego nagle przywódcy. Rzucono hasło „nie będzie drugiego etapu”. Rzucono hasło „skończyć z obrachunkami”. Rzucono hasło „głosujemy bez skreśleń”. Nie było drugiego etapu, obrachunki ograniczyły się do czterech szefów z Ministerstwa Bezpieczeństwa, głosowaliśmy bez skreśleń. Leszek Kołakowski z najwyższej trybuny ogłoszony został głównym niebezpieczeństwem dla socjalizmu i w ciągu paru miesięcy zapanowała głęboka apatia. „Apatia” – taki był tytuł artykułu Stefana Kurowskiego w tym pierwszym po przerwie letniej 1957 roku numerze *Po i Rosu*, który się już nie ukazał.

Nie uzyskało się wówczas nawet zniesienia Małego Kodeksu Karnego, tej drakońskiej ustawy wyjątkowej z 1946 roku „o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”. MKK obowiązywał nadal i niejedyn jeszcze raz miał się przydać do legalnego gwałcenia praw ludzkich, aż wreszcie z niewielkimi zmianami inkorporowany został do ogólnego kodeksu karnego z roku 1969.

Rok 56 zrodził trochę pozytywnych zmian fragmentarycznych, by przypomnieć nie najgorszą ustawę o szkołach wyższych z roku 1958. Dwie poważne reformy instytucjonalne tego czasu – to rady robotnicze i Rada Ekonomiczna. Ale Rada Ekonomiczna po krótkim

embrionalnym żywocie zmarła, a rady robotnicze, pozbawione wsparcia ruchu związkowego (a także dostatecznie wspierającego je układu motywacyjnego) dały sobie szybko skreślić swoje uprawnienia i sprowadzone zostały do czczej i zetatyzowanej formy KSR-ów. Okazało się, że autentyzm społecznej demokracji wymaga tkanki złożonej, szerokich strukturalnych powiązań, tworzonych nie dekretem, lecz wyrastających z ruchu społecznego. Reformy „punktowe”, wydarte jako doraźne ustępstwa osłabionej władzy, okazują się nie trwałe, jeśli ludzie, których one dotyczą, utracili poczucie własności domu i są tylko jego lokatorami.

Prawda, proces totalizacji czy raczej etatyzacji życia został w 56 roku zatrzymany, trochę nawet cofnięty, ale grupy i klasy społeczne nie odzyskały utraconej podmiotowości. Wszystko co mieliśmy otrzymać, wszystko czego mieliśmy się w latach „stabilizacji” dorobić, było jakby łaskawym darem przywódcy, partii, państwa. Społeczeństwo nie istniało, była tylko ludność – amorficzna i bierna.

Młodsze pokolenie politycznego aktywu miało mentalność pod wieloma względami inną od pokolenia KPP-owców, używało nieco innego języka, swoje symbole i stereotypy czerpało chętniej z dziedzictwa prawicy niż lewicy, ale żywiło tę samą pokusę ogarnięcia wszystkiego, kontrolowania wszystkiego, kwalifikowania wszystkiego i wszystkich. Tę samą pryncypialną nietolerancję dla odmienności, różnorodności, spontaniczności. Pokusa totalitarna objawiła się w roku 1968 jako reakcja na pierwszą od lat niezdarną, młodzieńczą próbę solidarności. Zostało wtedy sprawdzone: inteligencja była bezbronna, nie potrafiła wydać głosu protestu, kiedy minister oświaty z unia na dzień wyrzucał profesorów, kiedy po raz wtóry odebrano uczelniom nawet pozory samorządności, kiedy każdy mógł się stać obiektem paszkwilu w porannej gazecie. Zostało sprawdzone w niepełną trzy lata później: robotnicy byli bezbronni wobec kul karabinowych.

Nie były to jednak doświadczenia przyjemne także dla drugiej strony. Rząd Edwarda Gierka, przynajmniej to, był jednym z najłagodniejszych w naszej, i nie tylko naszej, najnowszej historii. Był to rząd paternalistyczny, rząd dobrego króla, który przechadza się po kraju, zagaąda tu i tam, chwali i przygania i naprawdę cieszy się, że Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej. Był to rząd wrażliwy na *image* polski na świecie, rząd niechętnie uciekający się do siły i na ogół rzymskający w ryzach tych, którzy lubiliby ją dobitniej zademonstrować. Był to najgorszy rząd dla narodu ubewłasnowolnionego.

Alc ten rząd był przejęty tą samą co poprzednie rządy obawą, że coś może się wyniknąć spod pieczy, spod rozporządzenia i instrukcji, że coś może się dziać inaczej niż odgórnie zaprogramowano. Cóż innego, jeśli nie ta obawa, zahłokowało podjętą w roku 1971 próbę zmiany modelu kierowania gospodarczego, jego racjonalizacji? Cóż innego, jeśli nie ta obawa, każało zmuszać wszystkie dzienniki do powtarzania stale tych samych rytuałnych słów i zdań? Cóż innego, jeśli nie ta obawa, prowadziło do cedzenia przez coraz gęstsze sito informacji z kraju i zagranicy, do rakowatego rozrostu cenzury? Rząd mający w tym celu, jak się okazało, nieudaną funkcję, a nie funkcjonariuszy i podlegających, niepokoił się każdą nieuzgodnioną wiadomością i opinią, tym bardziej każdym głosem przestrogi lub sprzeciwu.

Absurd tej sytuacji polegał na tym, że swoją zdegenerowaną informacją i propagandą rząd oszukiwał nieporównanie bardziej siebie aniżeli społeczeństwo, że sam żył w kramie własnych czarów. Im bardziej chciał kontrolować wszystko, tym mniej kontrolował cokolwiek. I tym mniej rozumiał, co się dzieje, ku czemu Polska idzie.

Przed kilku laty w jednym z państw środkowo-afrykańskich, w okresie długiej straszliwej suszy, zniecierpliwiony lud zniszczył stację meteorologiczną, która nadawała niepomysłne komunikaty. Nasz rząd kierował się taką samą racjonalnością zabraniając badania opinii publicznej, konfiskując artykuły i druki diagnostyczne czy prognozytyczne i przesładując ich autorów. Rząd zdawał się przekonany, że to, co głośno nie nazwane, nie może istnieć, a to, co nazwane i obwieszczone, istnieć musi.

Rząd nie wiedział, nie czuł, nie domyslał się, że coraz szersze kręgi narodu mają dość tej paternalistycznej groteski, jego świata pozorów i deklamacji. Tym bardziej dość, im bardziej namacalnie objawiało się niedołęstwo zarządzania i skutki dyktandowej polityki gospodarczej. Ludzie zaczęli sztydzić, to znak, że wkrótce zaczną się buntować.

Bunt robotniczy 76 roku był jeszcze ślepym wyladowaniem nagromadzonejłości. Burzył nie tworząc. Wystraszony rząd cofnął podwyżkę cen, powstrzymał się przed wydaniem fatalnego rozkazu, nie powstrzymał się przed wprowadzeniem policyjnego terroru. Powagi ostrzeżenia jak zwykle nie rozumiał. Nie dostrzegał rozwierającej się znowu przepaści.

Rząd wdał się w walkę z organizującym się ruchem cywilnego oporu, zważywszy nieudatnie opozycję. Uznał, że działacze tego ruchu to tylko margines ogólnie zadowolonego społeczeństwa niebezpieczny wprawdzie, ale margines, mający jakies swoje własne potrzeby.

interesy i rachuby. Tak sobie ten ruch zdefiniowawszy, przywódcy i funkcjonariusze nie byli już w stanie pojąć, skąd się biorą rosnące z roku na rok wpływy ugrupowań „opozycyjnych”. A brały się one stąd, że ci ludzie – przeciwnie niż ludzie na górze – mieli doskonały kontakt z rzeczywistością. Nękani i prześladowani, nie dali się przecieżyć zepchnąć na pozycję izolowanej sekty, lecz przeciwnie – potrafili odczuć i zartykułować tłumione jeszcze pragnienia i coraz bardziej niecierpliwe oczekiwania większości narodu. Czuli tego narodu puls i umieli odczytywać z a p i s kardiogramów.

Zaczęło się od petycji. Ale wkrótce potem sprawą główną stało się wymaganie od siebie, a nie od władzy. W pozacierzuralnych pismach i oświadczeniach, w nazwach komitetów pojawiło się wiele słów na „samo”: samoobrona społeczna, samorząd, samoorganizacja, samodruki, samokształcenie. I do tego słowo „niezależny” i słowo „solidarność”. Te słowa wyrażały coś autentycznego, co się dopiero rodziło – wbrew sceptykom zawsze uważającym, że, nic nie zależy od ludzi, a wszystko od systemów. Jeśli odwołać się do analogii historycznych, to w tym załazkowym ruchu nie było ewolucyjnego romantyzmu, był to realny, ideowy program pracy o r g a n i c z n e j pracy u podstaw, odbudowywania elementarnych więzi społecznych – z tą jedynie różnicą, że był to taki program organiczny, który nie pyta codziennie o pozwolenie. Była to praca organiczna zmężniała, połączona z hartem cywilnego nieposłuszeństwa w imię nadrzędnych racji.

W wieczór sylwestrowy 1979 pisałem odpowiedź na drugą ankietę konsersatorium „Doświadczenia i Przyszłość”. Odpowiedź na pytanie:

„Jak z tego wyjść? Jakie kroki winny być podjęte w najbliższym czasie przez władze, instytucje lub środowiska społeczne, by osiągnąć stan porozumienia społecznego w Polsce, zapoczątkować partnerskie stosunki między społeczeństwem a władzą oraz zahamować proces rozkładu gospodarki i państwa” (podkr. moje – J.J.)

Z mojej odpowiedzi chciałbym przytoczyć dziś trzy fragmenty:

1. Idea partnerskich stosunków między społeczeństwem a władzą jest teoretyczną nowością.

Wedle Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej „lud pracujący sprawuje władzę państwową przez swych przedstawicieli” (art. 2). Którym podporządkowany jest rząd (art. 9, 37, 38). Jest to stosunek zależności, a nie partnerstwa.

W rzeczywistości władzę najwyższą i arbitralną sprawuje kierownictwo partii i rządu, zaś podporządkowany mu jest cały naród. To także jest stosunek zależności, nie partnerstwa.

Stosunki partnerskie są więc pojęciem dziwnym, jakiego ani demokracja nie zna, ani dyktatura. Pomyśl taki zakład: suwerenność podzieloną: podmiotową autonomię „społeczeństwa” i podmiotową autonomię „władzy”. W Polsce nie jest suwerenne ani „społeczeństwo” ani „władza”, choć z różnych powodów.

Konieczna część opracowanego przez zespół usługowy DiP „Raportu o stanie Rzeczypospolitej” oraz tekst zaproszenia do obecnego ankiety opierają się na przekonaniu, że nowy ład społeczny w Polsce, który ma ją uratować od katastrofy, musi zostać wspólnie wynegocjowany przez te dwa jak gdyby niezależne podmioty – na zasadzie podobnej, jak się negocjuje układy między państwami. Rezultatem porozumienia miałyby być pół dyktatury i pół demokracji. Taki rezultat, jeśli byłby realny i miał szanse trwałości, byłby oczywiście czymś znacznie lepszym od tego, co jest. Kłopot w tym, że „władza” do takich układów przystąpić nie chce, choćby nawet mogła, zaś „społeczeństwo” nie może, choćby nawet chciało.

Na rzecz tej osobliwej konstrukcji przemawia jednak bliski mi pogląd, że w razie groźnego konfliktu interesów należy wyzyskiwać wszystkie możliwości rokowań. Otóż sumienne rozważenie idei negocjacji polegałoby na zbadaniu, jakie też warunki niezbędne są to tego, aby „władza” mogła chcieć i aby „społeczeństwo” mogło móc.

2. „Społeczeństwo” partnerem w żadnych układach być nie może, ponieważ nie jest zorganizowane i nie ma swego pełnomocnego przedstawicielstwa.

Praktycznie nie ma również organizacji reprezentujących dążenia parttykularne: klasowe, zawodowe, lokalne lub ideologiczne. Wszystkie takie organizacje dawno już zostały albo rozwiązane, albo włączone w system rządowy. W tym drugim przypadku oddziałują wiernie: stanowisko rządu, a nie grup społecznych, które formalnie reprezentują. Wyjątkiem jest Kościół jedyna niezależna organizacja, której żaden ekipa rządowa, PRL, ani nie oddziałył się rozwiązać, ani nie zlikwidować. Toteż jedyne prawdziwe negocjacje w Polsce prawnie

dzione bywają między rządem a episkopatem. Skoro zaś Kościół jest tą jedyną ocaloną strukturą organizacyjną, to nie dziwnego, że staje się rzecznikiem spraw nie tylko wyznaniowych, które w normalnym społecznym należałyby do innych zrzeszeń. Społeczeństwo obywatelskie, zdolne do artykulacji swoich różnorodnych dążeń, zostało zniszczone z premedytacją. Dlatego też w momentach krytycznego zachwiania autorytetu rządu może on albo „dialogować” sam ze sobą i cłycalić sam siebie, co też czyni do upojenia, albo jest zmuszony do konfrontacji z tłumem amorficznym i groźnym. Parokrotnie dramatyczne doświadczenia takich konfrontacji nie skłoniły jednak rządu do zgody na odbudowę społecznych zrzeszeń i instytucji, które mogłyby podjąć negocjacje. Wydaje się, że dwojga złego rząd mniej się boi niepokoju społecznych i destrukcyjnych wybuchów ludowego gniewu (które szybko można sprowadzić bądź przez chwilowe ustępstwa, częste obietnice i zmiany personalne, bądź przy pomocy terroru), niż uformowania się i utrwalania jakichkolwiek niezależnych ośrodków opiniotwórczych i przedstawicielstw społecznych. Partynokratyczny monopol inicjatywy okazuje się filarem całego systemu. I dopóki ten filar nie zostanie naruszony, dopóty nie może być mowa o negocjowanym wyjściu z obecnego kryzysu, bo nie ma kto i z kim pertraktować.

3. Nie przeceniam zastęgu wpływów opozycji, choć jest on znacznie większy niż ktokolwiek mógł się spodziewać przed trzema laty. Nie w tym jednak rzecz. Istotne jest to, że został przełamany rządowy monopol opinii i inicjatywy publicznej i że został wypracowany wzór samodzielnej organizacji społecznej, posiadającej własny program i styl działania. W społeczeństwie ubezwłasnowolnionym, niemym i zobojetniałym na sprawy Rzeczypospolitej jest to fakt o znaczeniu historycznym. W chwili krytycznej wzór taki powieścić się może s k o k o w o. I właśnie w tym tkwi szansa uchronienia kraju przed katastrofą kolejnych rozruchów. Społeczeństwo, które umie się organizować, wybierać przedstawicieli, i zadąć, jest lepsze niż tłum, który umie krzyczeć i podpalac. W obliczu kompletnego upadku autorytetu rządu, ku czemu wszystko zdaje się zmierzać, alternatywą społecznej organizacji będzie tylko społeczna dezorganizacja, ochłokracja, samosąd i krew.

To było pisane w grudniu. Osiem miesięcy później spełnił się, szczęśliwie, pierwszy człon alternatywy: powstała i zwyciężyła *o r g a n i z a c j a*. Powstała skokowo, w minutę, nie wiedząc kiedy i jak, gdyż jej idea istniała już w umysłach ludzi i ich woli. Potwierdziło się, że porozumienie nie może zostać zawarte między jakimś abstrakcyjnym „społeczeństwem” a „władzą”. Pierwszy akt umowy społecznej to jest porozumienie *m i ę d z y s o b ą*, umowa między ludźmi o odbudowie społeczeństwa. Ta umowa zawija się w momencie, gdy stoi ciżba ludzi i kiedy ktos wskakuje na koparkę i mówi do tego tłumu, i mówi w imieniu tego tłumu i w tej to chwili tłum przekształca się w ruch społeczny. I w tej to chwili kończy się okres moralnej walki „sily bezsilnych”², a zaczyna okres świadomej siebie sily mocnych.

Dzisiaj jeszcze trudno sobie zdać sprawę z łezkowego i ideowego potencjału tego ruchu, który już objął znaczną część klasy robotniczej, inteligencji, studentów, a rozszerza się dalej i wkrótce zapewne obejmie także wieś. A jednak musimy już teraz, na gorąco, próbować spojrzeć na ten ruch z perspektywą historyczną. Otoż w sierpniu roku 1980 miał miejsce najbardziej masowy ruch strajkowy w dziejach Polski. Co do skali i trwania jest on porównywalny tylko z październikowo-listopadowym strajkiem powszechnym w Królestwie Polskim roku 1905 – z tym, że inny zupełnie był jego charakter, organizacja i dynamika. Będą mieli co badać przyszli historycy polskiego ruchu robotniczego.

Postrajkowy ruch rewindykacyjny, jakiego świadkami i uczestnikami zarazem jesteśmy obecnie, jest terytorialnie i środowiskowo jeszcze bardziej rozległy, choć wraz z tym mniej jednorodny. Jest on zjawiskiem odmiennym od tego co miało miejsce latem i jesienią roku 1956: ma mniejszy ładunek emocjonalny, mniej w nim patosu i rozluźnionego gaduślrwa, jest za to bardziej skupiony na działaniach rzeczowych, nastawiony na szybkie budowanie struktur organizacyjnych. Jest to ruch, który w swoim doświadczeniu, w swoim opłanowaniu, w swoim języku ma zakodowaną naukę węgierską, naukę czeską i naukę nadbałtycką.

Samoograniczenie jest artykułem zawartej umowy społecznej, niepisanej konstytucji ruchu. *Samoograniczenie* słów, środków i celów.

² „Sily bezsilnych” to tytuł esaju Vaclava Havela, opublikowanego w przekładzie naszym w nr 3 kwartalnika politycznego *Krytyka* (1979).

W tym samooograniczeniu i dzięki niemu ruch przybrał od początku charakter kreatywny: nie burząc tworzy. Tworzy przyjazną wspólnotę ludzi, tworzy instytucje i prawa.

31 sierpnia pojawiła się umowy społecznej postać druga: zostały podpisane *pacta conventa*. Zostały podpisane dzięki temu, że rząd miał z kim pertraktować i dzięki temu, że nie mógł nie pertraktować. I jakkolwiek i forma, i treść tych umów są – trzeźwo patrząc – dalekie od ideału, sam fakt ich zawarcia przez takie właśnie wysokie układające się strony jest wydarzeniem bez historycznego precedensu. Oznacza bowiem (jeśli historia raz jeszcze nie potoczy się wstecz) okres absolutyzmu i paternalizmu, ale bynajmniej przez to nie zwiastując demokracji politycznej, rządów przedstawicielskich i odpowiedzialnych. Zapoczątkowuje więc owe dziwaczne, z żadną współczesną doktryną polityczną niezgodne „stosunki partnerskie” między społeczeństwem a władzą. Partnerzy wprawdzie wzajemnie sobie nie ufają i nie- prędko zapewne ufać zaczną, ale muszą się ze sobą liczyć i wzajemnie ograniczać. Swoiste *checks and balances*, koegzystencja politycznego i ekonomicznego monopolu z demokratycznym pluralizmem zrzeszeń społecznych i opinii publicznej.

Ten wylaniający się model stwarza zupełnie nowe problemy, nowe pole rozważań dla myśli politycznej i społecznej. Pierwsze pytanie, jakie się rodzi: czy taka hybryda może być trwała i względnie stabilna? To znaczy: czy jest możliwe, aby środowiska społeczne, które odzyskują swoją podmiotowość i poczucie siły, nie zechciały szybko tego wykorzystać do rozszerzania zakresu rewindykacji? i czy z drugiej strony jest możliwe, aby rząd, który wyłączność inicjatywy i kontroli utracił, nie usiłował jej odzyskać? czy jest możliwe, aby nie czekał na zmianę układu sił, na zmęczenie, rozbitcie i spadek energii ruchu społecznego w nadziei, że wówczas roszczenia jego będzie można okroić, a instytucje przezeń stworzone skooptować?

Wydaje się, że rezygnacje takie po obu stronach są mało prawdopodobne – w tym przynajmniej sensie, że po obu stronach będą zapewne pojawiały się tendencje ofensywne, których żadne porozumienie nie zniweczy. Z tego jednak bynajmniej nie wynika, że ten eklektyczny system polityczno-społeczny jest skazany na krótkie trwanie. Stabilność jego zależy będzie bowiem od tego, czy ciśnienia wywierane przeciwnie ze stron obu będą się równoważyły na tyle, by zapobiec niekontrolowanej grawitacji.

Ouż sadzę, że równowaga taka nie jest wykluczona, aczkolwiek wymaga spełnienia wielu niepewnych założeń. Jeżeli w naszych pro-

gnostycznych rozważaniach postrzegać oddziaływanie sąsiadów jako czynnik najmniej przewidywalny, to najsilniejszych zachwiał równowagi można oczekiwać od gospodarki, która rozregulowuje się w dalszym ciągu i bez wątpienia jeszcze długo rozregulowywać się będzie. Co do tego zgodne się dziś wydają wszystkie prawie opinie ekonomistów, publicystów i działaczy gospodarczych. W tej dziedzinie największe deficyty i napięcia mamy jeszcze przed sobą. Mogą się tu uruchomić procesy społeczne dwojakiego rodzaju.

Po pierwsze, jest wysoce prawdopodobne, że rząd nie będzie mógł wywiązać się z podjętych zobowiązań płacowych, rynkowych i socjalnych lub że wywiąże się z nich tylko nominalnie: zdobycze pracownicze będą szybko konsumowane przez czarny rynek i spirale inflacyjną. Jedyną okolicznością pomyślną jest obecna sytuacja demograficzna, która na najbliższe lata zdaje się wykluczać masowe bezrobocie, grożąc raczej niedoborem niż nadmiarem pracowników. Niemniej, w warunkach recesji czy też – mówiąc amerykańskim żargonem – stagflacji, w którą wchodzimy, może się pojawić bezrobocie w niektórych zawodach kwalifikowanych: w pierwszej kolejności da się ono zapewne we znaki inteligencji, zwłaszcza młodym absolwentom wyższych uczelni. W sumie zawiedzione oczekiwania życiowe mogą spowodować groźny stan społecznej frustracji i nastroje znacznie bardziej niż w sierpniu desperackie i agresywne.

Po drugie, w tejże recesji i wśród ostrego niedoboru wielu dóbr mogą się ujawnić konflikty wewnętrzne społeczne, walki o zmianę klucza podziału dochodu narodowego: między nisko i wysoko uposażonymi warstwami robotniczymi czy urzędniczymi, a przede wszystkim między miastem a wsią. Przy obecnym i na najbliższą przyszłość przewidywanym stanie zaopatrzenia wsi w węgiel, materiały budowlane, nawozy, narzędzia, mięso itd. odnowa dostaw i strajki rolne nie będą zjawiskiem nieoczekiwanym.

Dynamikę takich konfliktów – zarówno między społeczeństwem a rządem, jak między klasami społecznymi – trudno przewidzieć, ale są podstawy do obaw, że będzie to dynamika zła, niełatwo poddająca się moderującej perswazji.

Paradoksalnie jednak, te pesymistyczne prognozyki mogą przyczynić się do wykształcenia się nowej racjonalności zachowań politycznych, zwłaszcza zachowań aparatu rządzącego, który w razie anarchizacji życia społecznego ma największą do stracenia. Aparat ten uczy się, jak dotąd, z wielkim niegolem i niewiele w nim widać uczniów zdolniejszych. Nie trzeba jednak szczególnej błyskotliwości

na to, by pojąć, że dla rządu, który sam nie posiada moralnego autorytetu, bezpieczniejsze jest – zwłaszcza w czas burzliwy – mieć do czynienia ze społeczeństwem zorganizowanym, które ma autorytety własne. I że bezpieczniejsze jest, jeżeli naród poddaje się sam autorytetom rozumny niż gdyby miał się nakłonić ku demagogom politycznym i socjalnym. Jest to zresztą bezpieczniejsze dla wszystkich bez wyjątku.

Otoż ta nowa racjonalność władzy, o której mówię i którą sobie usiłuję wyobrazić, polegałaby na uznaniu odradzającej się społecznej integracji, a wraz z nią społecznej opozycji i kontroli, nie za chwilowe nieszczęście, które się przydarzyło wskutek politycznych i ekonomicznych błędów, nie za okazję do uruchomienia personalnej kariery, lecz za stan normalny, za nowe warunki pracy, do których trzeba przystosować swoją mentalność i nawyki rządzenia. Przystosować szczerze, nie koniunkturalnie. Ten warunek, w świetle dotychczasowych doświadczeń, zdaje się szczególnie trudny, może wręcz niewygodny. Czy jednak zupełnie nieprawdopodobny?

Rzecz wiąże się ze znanym sporem o to, czy nasz system państwowy i ekonomiczny jest reformowalny. Zdanie przeczące zdarza się słyszeć często. Jako historyk, zwykłem na nie odpowiadać, że systemów niezmienionych nie znam. Także nasz system reformował się już parokrotnie – tyle że wielkim kosztem, nietrwałe i nie zawsze w pożądanym kierunku. Teza (formułowana m.in. przez Jadwigę Staniszkis), iż system ten nie umie się regulować inaczej niż poprzez kryzysy, ta teza zyskała kolejne potwierdzenie. Wszelako koszty tych regulacji są tak ogromne, że chciałoby się wierzyć, iż zostaną jednak wynalezione oszczędniejsze i bardziej racjonalne mechanizmy zmian. Jako niepoprawny redukcjonista (w metodologicznym sensie tego słowa) sędzę, że pojęcie „systemu” politycznego czy organizacyjnego jest hipotezą oznaczającą jedynie mniej lub bardziej zinstytucjonalizowane obyczaje i umowne reguły zachowań. Dlaczegoż by te obyczaje i reguły nie miały podlegać zmianom, gdy okazują się nieinstrumentalne? Teza o niereformowalności systemu jest także tezą groźną, usprawiedliwia bowiem równie całkowity konformizm, jak całkowitą, a więc rewolucyjną negację – oboje członki tej alternatywy uważam za niemożliwe do zaakceptowania. Jest to wręcz teza samoobsługowa: system jest niereformowalny tak długo, dopóki go za taki uważamy.

Zakładam więc – pomimo argumentów przeciwnych – możliwość wykształcenia się obecnie w Polsce nowej racjonalności władzy. Za-

kładam możliwość uformowania się takiej politycznej, rządzącej, która w odmienny niż dotąd sposób będzie reagowała na sygnały o złej pogodzie. I dopiero z takim rządem możliwe będą – i realnie – *pacta conventu* zawierane inaczej niż w stanie najwyższego zagrożenia. Możliwa będzie „umowa społeczna”, która – jak trafnie pisze Andrzej Micewski – nie kończy się na punktach sierpniowych, ale trzeba będzie ją zawierać nadal, niemal każdego dnia, na różnych szczeblach i w coraz to wyłaniających się nowych sprawach.”

Taka umowa permanentna nie musi wcale prowadzić do ujednolichenia interesów, dążeń, ocen sytuacji – w imię doszczetnie ośmieszonej „jedności moralno-politycznej narodu” z „frontem jedności” na przykład (przeciwko komu ten front?). Potrzebne jest jednak – dla wspólnego dobra – ograniczenie pola konfliktów i środków ich rozstrzygania. Potrzebne jest uzgodnienie reguł prowadzenia sporów, w obopólnej trosce o zmniejszenie współczynnika tarcia. Oznacza to nie tylko zakaz używania przemocy, ale także wprowadzenie do naszego życia publicznego zasady *fair play*. Na mocy takiej ugody zniknąć by musiało raz na zawsze najbardziej odrażające zjawisko w tegoczesnej masowej propagandzie, jakim jest odgórnie sterowane oszczerstwo i podszywanctwo. Żadne bowiem porozumienie nie jest możliwe w smrodzie.

Ważną cechą każdej umowy jest jej język. O dewastacji języka politycznego powiedziano już u nas wiele. Tu wystarczy dodać, że ten szwyr czy szryft sztuczny, rytualny, określony, pełen eufemizmów i epitetów, słów-fetyszów i słów-padek, tak wieloznacznych, że w końcu, bez znaczących, że ten żargon nie nadaje się ani do wymiany informacji, ani do porozumienia, ponieważ jest wyłącznie językiem funkcjonariuszy, co uwidoczniło się wyraźnie w czasie rozmów gdańskich. Język układów może być albo oschłym, jęczącym, precyzyjnym językiem artykułów praw, albo językiem ludzkiej rozmowy i potocznego doświadczenia, językiem przedmiotowym i empirycznym (w imię tego empiryzmu, a nie dla zadeklarowania jakichkolwiek bądź ideologicznych „za” czy „przeciw”, staram się nie używać w tym tekście słowa „socjalizm” i jego pochodnych, wręczanych w nazbyt już liczne i nie zawsze zaszczytne służby). Tak widzę niektóre z psychologicznych i formalnych warunków niezbędnych do wytworzenia się tego niepisanego obywatelskiego consensusu, o którym tu cały czas mowa. Zasadniczą treść tej umowy polityczno-społecznej będzie wytycz

nie granicy między tym obszarem, na którym społeczeństwo może zostać na nowo uwłaszczone, a tym, który pozostać musi obszarem *off limits*, zastrzeżonym dla centralistycznej władzy. Przebieg tej granicy będzie zapewne głównym przedmiotem przetargów i powodem napięć.

Dziś już widać, że rewindykacje środowisk społecznych kierują się w kilka łóżysk.

Pierwszym i najbardziej widocznym nuteń jest tworzenie i legalizowanie nowych zrzeszeń, budowanych oddolnie i demokratycznie. Mam oczywiście na myśli niezależne związki zawodowe, związki i samorządy studenckie, wkrótce zapewne dołączą tu i związki rolnicze. Słychać już głosy domagające się reaktywowania takich instytucji samorządu zawodowego, jak izby lekarskie i adwokackie.

Wariantem tego samego w istocie dążenia jest demokratyczne udrożnienie i reanimacja zrzeszeń od dawna istniejących, lecz spętanych i zdemoralizowanych statystyczną kontrolą: spółdzielni wszelakiego typu, stowarzyszeń naukowych i twórczych, związków branżowych itp. Proces ten z czasem obejmie przypuszczalnie także towarzystwa wyższej użyteczności, takie jak np. Polski Czerwony Krzyż albo Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Można sobie wyobrazić, że w instytucje o charakterze rzeczywiście przedstawicielskim i w ograny samorządu lokalnego przeobrażą się rady narodowe niższych szczebli, przede wszystkim rady gminne, może rady miejskie. Sceptycznie oceniałbym perspektywę demokratyzacji rad wojewódzkich, nie mówiąc o sejmie.

Zrealizowanie takiego programu oznaczałoby cofnięcie ponad 30-letniego procesu dezintegracji społecznej. Bógata i różnorodna sieć autentycznych przedstawicielstw interesów partykularnych i ich koalicje czy federacje nie wyłonią wprawdzie jednego pełnoocnego partnera do rozmów z rządem, ale stworzą kanały przekazywania nastrojów i żądań, odrestaurować wyłanianie się indywidualnych lub zbiorowych autorytetów.

Drugim nurt rewindykacji to walka o prawo: gdzie trzeba, o jego zmiany, gdzie trzeba, o jego egzekucję. Zapowiedziana już, na mocy porozumień sierpniowych, ustawa ograniczająca cenzurę i nowa ustawa o związkach zawodowych to zaledwie początek. W kolejce czeka pilna ustawa o zmianie ustroju szkolnictwa wyższego, zmiany kodeksu pracy, zasady reformy światowej, prawo prasowe i wydawnicze, nowelizacja ustawy paszportowej, kodeksowe regulacje zmieniające do skuteczniejszego zabezpieczenia praw osobistych, prawne

gwarancje niezawisłości sędziów i wiele innych nieodzownych aktów ustawodawczych. Reform czysto legislacyjnych nie podobna przy tym często oddzielić od reform administracyjnych, od zmian schematów kierowania i podporządkowania, nadzoru i odpowiedzialności. Pakietem najtrudniejszym, obciążonym największym stopniem ryzyka błędu i niepowodzenia, jest dziś reforma modelu sterowania gospodarką, reforma, która – odroczone o dziesięć lat – przypadnie na najbardziej niefortunny dla jej przeprowadzenia okres, a to choćby dlatego, że centralna dystrybucja i racjonowanie dóbr nie da się pogodzić ze wzrostem funkcji rynku i rachunku ekonomicznego.

T r z e c i nurt rewindykacji to odzyskiwanie praw do publicznego głosu, prawa do informacji, do ekspresji opinii, przekonań i wiar, i wraz w tym przywrócenie wolności kultury tworzonej i przekazywanej. Nasz naród w mało temu sprzyjających warunkach zdołał obronić swoją kulturę przed jej zniwelowaniem i wyjąłowieniem. Był i pozostał różnorodny i jest dziś żądaniem powszechnym i niezbywalnym, aby ta różnorodność duchowa znalazła odzwierciedlenie w różnorodności czasopism, wydawnictw, programów telewizyjnych i radiowych, zespołów artystycznych, kursów szkolnych i uniwersyteckich. I aby ta różnorodność mogła się żywić i wzbogacać przez swobodny obieg dzieł kultury polskiej stworzonych na obczyźnie i przez nieskrępowaną wymianę z kulturami innych narodów.

I wreszcie c z w a r t y nurt rewindykacji to żądania ekonomiczne i socjalne. W gruncie rzeczy – po odcedzeniu oczekiwań najbardziej wygórowanych – nie są to rewindykacje, raczej obrona osiągniętego standardu życia przed jego załamaniem. I mimo to właśnie ta kategoria żądań najbardziej powszechnych i elementarnych ma dziś, trzeźwo patrząc, najmniejsze szanse zaspokojenia. I zapewne nie na to nie poradzi zwiększona siła przetargowa klasy robotniczej. Dramatycznie załamują się na naszych oczach wszystkie plany i bilanse ekonomiczne. Trudno już ludzię się co do tego, że wszystkie klasy narodu – choć zapewne w różnym stopniu – będą musiały ponieść koszty wielkiej tromtadacji lat siedemdziesiątych: koszty „drugiej Polski”, „dalszego doskonalenia”, „dynamicznego rozwoju” i „porządkowania gospodarki”. A także koszty czekającej nas dopiero terapii. I że koszty te będą wysokie i wieloletnie.

Część zachodnich komentatorów wydarzeń w Polsce sądzi w związku z tym, że doraźny sukces rewindykacji, które oni nazywają politycznymi – to jest uformowanie się niezależnych związków i ograniczenie arbitralności cenzury – przyspieszy posąwanie się Polski ku

stanowi gospodarczej anarchii, a zatem i politycznego zagrożenia; właśnie dlatego — ich zdaniem — że pracownicy zyskali skuteczne środki wywierania nacisku na centralną dyspozycję mocy gospodarczych, a nacisk ten z kolei i ustępstwa pod nim dokonywane będą czynić położenie Polski coraz bardziej rozpaczliwym.

Sądzę, że podobnie rozumuje część naszego rządu (jeżeli rozumuje w ogóle). Gdyby to rozumowanie miało się okazać poprawne, to biada nam wszystkim, ponieważ wówczas każde poszczególne zwycięstwo mas narodu będzie tylko przybliżać jego totalną klęskę. Myślę jednak, że jest to rozumowanie błędne. Myślę bowiem, że sam rząd żadnym sposobem — apelem ani groźbą, ideologią czy siłą — nie zdoła nakłonić milionów pracujących do nieodzwrotnych niestety ofiar. Nie zdoła — ponieważ jest zdyskredytowany i zapewnienia jego nie mają wiarygodności. Gdy przezo nadejdzie pora wyrzeczeń i niedostatku — a nadejdzie rychło — wtenczas ogół robotników, rolników, inteligencji, młodzieży będzie słuchał tylko zdania tych, którym zaufał i którym udzielił swoich pełnomocnictw. I tylko wtedy, kiedy będzie czuł, że jest w tym domu współgospodarczem. Dotąd jeszcze tego nie czuje. Na to, aby to poczuł, aby na nowo, jak dawniej w chwilach największych dziejowych zagrożeń zidentyfikował się z państwem i jego ocaleniu podporządkował aspiracje prywatne i dobrobyt rodzin — na to spełnione być muszą co najmniej te trzy pierwsze i podstawowe artykuły społecznej umowy:

— samorządne związki i zrzeszenia;

— rządy prawa zgodnego z powszechnym poczuciem godności i sprawiedliwości

i w granicach prawa wolne słowa.

Te artykuły nie wyczerpują bynajmniej historycznych aspiracji narodu polskiego. Nie wkraczają one w ogóle w ścisłą sferę polityki, omijają sprawę suwerenności narodu i demokracji politycznej, uznają obecne zasady funkcjonowania najwyższych organów państwa i sposób doboru elity władzy. Są tacy, którzy tę wstrzemięźliwość, tę ugodę uważają za niehonorową kapitulację. Niech im będzie. Powiem jak przed stu laty pisał Aleksander Świętochowski: nie marzeń się wyrzekał; lecz złudzeń. Pańuje dziś u nas powszechna świadomość, że jest taki punkt krytyczny, którego w słowach nawet przekraczać nie wolno w imię bezpieczeństwa zbiorowego. W dziejach Polski zdarzało się nieraz, że ci niecierpliwi, którzy chcieli wszystkiego od razu i nie zadowalali się żadnym kompromisem, powodowali utratę wszyst-

kiego, byli zwiastunami nie dnia, lecz nocy.

A wreszcie umówiliśmy się, że nie będziemy czynili fetyszów ze słów i z symboli, że będziemy się trzymali twardego gruntu empirii. Zwykły człowiek w Polsce, jeden spośród milionów, nie ma na co dzień do czynienia z sejmem ani z KC, z konstytucją ani z Paktem Warszawskim. Ma do czynienia z kierownikiem, z majstrem, z punktem skupu, ze sklepem na rogu, z gazetą i z dziennikiem telewizyjnym, ze szkołą, do której chodzą jego dzieci, z przychodnią i szpitalem, z koleją i autobusem, ze spółdzielnią mieszkaniową i z naczelnikiem gminy, czasem z milicjantem, czasem z prokuratorem, czasem z klawiszernią, czasem z sędzią i często z wódką, w której topi swoje poczucie, że nie od niego, nie zależy. Więc może pilniejsze jest tworzenie nowego „środo-wiska” życia, godniejszego i ciekawszego życia, niż celebrowanie wielkich idei i wzniosłych słów.

Alc też na koniec należałoby powiedzieć, że poczucie godności ludzkiej, godności obywatelskiej obudziło się latem 1980 roku i trwa. I dlatego właśnie jest też taki punkt krytyczny, którego żadnej władzy i z żadnym wyrachowaniem przekroczyć nie wolno, jeśli nie chce doprowadzić niebezpieczeństwa powszechnego. Bo na ten wypadek jest taki artykuł, który w dawnym prawie Rzeczypospolitej istniał dla powściągnięcia królewskiego absolutyzmu, dla powściągnięcia władzy łamiącej *paucia conventu*, a którego moc przywrócili dziś robotnicy polscy: artykuł *de non praesumenda oboedientia*⁴.

Pomiędzy tymi dwoma punktami krytycznymi mieści się terytorium dyskusji i negocjacji. Zagospodarowanie tego obszaru zależy – jak sądzę – nie od radykalizmu roszczeń, lecz od zbiorowej wytrwałości narodu, wytrwałości w obronie uzyskanych i uzyskać się mających instytucji i praw. Jeśli tej wytrwałości zabraknie, to za niecały rok my będziemy pisali artykuły o apatii, oni nam je będą zdejmowali i wszystko znowu będzie jak najładniej w tym naszym najlepszym z możliwych światach.

30 września 1980 r.

Witold Jedlicki

⁴ O prawie wypowiedzenia posłuszeństwa (z Artykułów Henrykowskich, r. 1573)

DOKUMENTY

ANALIZA KC PZPR

GŁÓWNYCH ZAŁOŻEŃ PROGRAMOWYCH

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

W analizie oparto się przede wszystkim na wypowiedziach publicznych i prasowych przywódców NSZZ „Solidarność”. Umożliwiło to rekonstrukcję podstawowych założeń Związku, chociaż należy pamiętać, że pomiędzy poszczególnymi ośrodkami regionalnymi „Solidarności” występują istotne różnice. Na uwagę zasługuje też fakt, że wystąpienia przywódców „Solidarności” odbywają się w specyficznej atmosferze wieców, są manifestacją siły i zdecydowania. Rzeczowe argumenty i konstruktywne propozycje są zastępowane demagogią. Język przywódców „Solidarności” jest niedyscyplinowany, cechuje go prostota, granicząca niekiedy z prymitywizmem. W wystąpieniach L. Wałęsy do najpopularniejszych należą np. takie określenia jak „wykołegować”, „wpuścić w maliny”, „wycwanie”, „picować”, „namieszać”, „Kahlarze”.

W oficjalnych publicznych wystąpieniach większość przywódców NSZZ „Solidarność” opowiada się za ustrojem socjalistycznym, przy czym widzi konieczność jego modyfikacji. L. Wałęsa stwierdził 20.X.br. w Jastrzębiu, że „...z tym socjalizmem to można żyć, ale z polskim socjalizmem, z uczciwością i prawdą”. Zaś w wywiadzie dla *Polityki* (1.XI.br.) powiedział, że „socjalizm to jest dobra droga, ale niech to będzie polska droga”. Akcentował, że „Solidarność” nie kwestionuje socjalizmu, nie dąży do jego unicestwienia i nie będzie doprowadzać do zmian w krajach zachodnich.

Należy jednak podkreślić, że członkowie przywódcy NZSS „Solidarność” używają rzadko pojęcia „socjalizm”. Odwoływanie się do soc-

jalizmu ma w większości wypadków charakter werbalny i nie wpływa z głębszej motywacji ideowej. Akceptują oni raczej socjalizm jako ustrój już istniejący, który można przyjąć po wprowadzeniu korekt. W znamienny sposób wyraził to L. Wałęsa w wywiadzie dla *Polityki*, stwierdzając, że „socjalizm to system niezły i niech będzie, ale kontrolowany”.

W wystąpieniach niektórych działaczy „Solidarności” pojawiają się hasła „socjalizmu polskiego” czy „socjalizmu prawdziwego”. Nie są one jednak sprecyzowane, poza stwierdzeniami, że mają stanowić realizację zasad sprawiedliwości, uczciwości, równości i dobrobytu.

Jednocześnie można wypowiedzi działaczy „Solidarności”, które mają wyraźnie antysocjalistyczny charakter. Autorami tych wypowiedzi są zwłaszcza jawni i znani od dawna przeciwnicy socjalizmu z KSS „KOR”, którzy usadowili się na zapleczu doradczym „Solidarności”, jak np. J. Kuroń, a także działacze szczebla regionalnego i zakładowego. Przykładowo: do powtarzających się najczęściej opinie, iż należy studiować dzieła W.I. Lenina i Statut PZPR, popiewań umożliwiają to dobre poznanie przeciwnika.

„Solidarność”, będąca ruchem o znacznym udziale przedstawicieli klasy robotniczej, nie odwołuje się do tradycji międzynarodowego ruchu robotniczego. Nie posługuje się też tradycyjną symboliką proletariacką, a nawiązuje głównie do symboliki, tradycji oraz retoryki narodowej i katolickiej. Pieśnią intonowaną na jej zgromadzeniach nie jest „Międzynarodówka”, a z reguły „Jeszcze Polska nie zginęła” lub „Boże, coś Polskę”. Nie używa się też w zasadzie czerwonego sztandaru, lecz biało-czerwony. Działacze „Solidarności” posługują się często symbolem krzyża, a niektórzy z nich wręcz demonstrują swoją religijność (L. Wałęsa, K. Świtoń, A. Waleniyowicz). Dla wielu działaczy „Solidarności” charakterystyczny jest stereotyp „Polaka — katolika”. Wyraził to 20.X.br. w Jastrzębiu L. Wałęsa w następujący sposób: „nie eksponujemy religii, ale wiemy, że prze-ważnie to jesteśmy wierzący”.

Niektórzy przywódcy „Solidarności” podkreślają jednakże wyraźnie, że Związek nie jest i nie chce być organizacją religijną, ani antyreligijną, lecz jedynie wieloświatopoglądową. Uważają, że najważniejsze jest przyjmowanie otwartej postawy wobec różnych inspiracji i motywacji światopoglądowych, zgodnie z polską, pluralistyczną rzeczywistością światopoglądową i tradycyjną tolerancją. Najdobitniej stanowisko to wyrażają przywódcy z Jastrzębia Zdroju. W oświadczeniu stwierdzają „jesteśmy organizacją otwartą światopoglą-”.

dowa dla wszystkich, a więc jest u nas miejsce dla wszystkich ludzi dobrej woli, reprezentujących wszystkie zawody niezależnie od ich światopoglądu i przynależności partyjnej, wierzących i niewierzących" (*Polityka* 15.XI.br.).

Istnieją znaczne różnice pomiędzy poszczególnymi ośrodkami regionalnymi w określeniu funkcji roli NSZZ „Solidarność”. Najprecyzyjniej kwestię tę wyłożyli działacze z Jastrzębia. Podkreślili oni w oświadczeniu, że jako masowa organizacja związkowa chcą reprezentować i bronić interesów przeciwniczych, skupiać ludzi świadomych swej roli i czynnego udziału w życiu społecznym kraju, dążyć do tego, aby decyzje władz były zgodne z potrzebami świata pracy. Stwierdzili, że chcą wpływać na decyzje władz, ale nie będą ich sami podejmowali.

Także działacze szczecińskiej „Solidarności” stwierdzają, że „nie uchylają się od współodpowiedzialności czy współzarządzania” (J. Mróczek; *Polityka* z 18.X.br.). Uważają oni, że będą współzarządzali zakładem „na pewno inaczej niż dotąd. Bardziej aktywnie, ale nie przez nawoływanie do pracy bardziej intensywnej, czy po godzinach. Związki będą kontrolowały, jak wygląda zaopatrzenie w surowce, w narzędzia, jaka jest organizacja pracy, bo to jest droga do podnoszenia wydajności”.

Inne stanowisko zajmują przywódcy gdańskiej „Solidarności”. Sprowadzają oni funkcję Związku głównie do kontroli i nie godzą się na współodpowiedzialność i współzarządzanie. B. Borusewicz w wywiadzie dla *Polityki* (1.XI.br.) powiedział, że jeśli Związki będą współzadziły, to zostaną sprowadzone do dotychczasowej roli i ograniczą się do „naganiania” ludzi do pracy. Współzadaniem powinien natomiast zająć się — jego zdaniem — samorząd. Podobnie też mówił L. Wałęsa 21.X.br. w Częstochowie: „Solidarność” nie chce rządzić, niech rząd rządzi, a my będziemy kontrolować tylko, jak nam się żyje. Będziemy patrzeć, gdzie te pieniądze idą, jak one idą”. Jeszcze dobitniej wyrażono tę myśl podczas wystąpienia L. Wałęsy 20.X.br. w Katowicach: „My po prostu musimy czuwać, nie dać się wymanewrować. Wtedy będą chodzić jak na smyczy, nie będą mieć wyboru”.

Większość przywódców „Solidarności” koncentruje się na sprawach podziału, a nie na produkcji. Jasno wyłożył to A. Gwiazda 21.XI.br. na spotkaniu w Częstochowie, stwierdzając, że najpierw trzeba się umówić „jak będziemy dzielić, a potem będziemy się brać za podnoszenie wydajności”.

Powyższe problemy stanowiły podstawowy nurt dyskusji podczas

zorganizowanego 4.XI.br. w Gdańsku przez „Solidarność” symposium pt. „Związki zawodowe a problematyka gospodarcza”. Ujawniły się tam wyraźnie dwa stanowiska: większość dyskutantów wypowiedziała się przeciw szerokiemu podejmowaniu przez „Solidarność” kwestii związanych ze współzarządzaniem i współodpowiedzialnością. Jedynym obszarem zainteresowania związków zawodowych powinny być — ich zdaniem — sprawy płac, warunków pracy, rent, emerytur, działania komunikacji itp. Podkreślali oni również, że w sytuacji rosnącej dysproporcji między oczekiwaniami społeczeństwa a możliwościami ich spełnienia wzięcie przez związki odpowiedzialności za gospodarkę grozi utratą ich wiarygodności w oczach załóg.

Rzeczniczy drugiego stanowiska stwierdzili, że „Solidarność” musi wziąć na siebie część odpowiedzialności za realizację zadań gospodarczych, gdyż zajmując się tylko podziałem, Związek będzie powodował eskalację nierealnych żądań i straci szansę zaprezentowania się jako konstruktywna siła.

Z silnym akcentowaniem przez gdańską „Solidarność” funkcji kontrolnych koresponduje głoszony często postulat robienia zdecydowanych porządków i pouczania innych regionów, jak to należy czynić. Motyw ten jest wyrażany bez ogródek w wystąpieniach L. Wałęsy 21.X.br. w Częstochowie: „na pewno przeszkadzają wam dyrektorzy, wojewodowie, jeszcze inni ludzie. Proszę państwa, czas skończyć ze starym stylem, czas przestać się bać, koniec zabawy, czas klaskania i rządzenia skończył się i państwo pokażecie wszystkim, że nikt, żaden cwaniak z Gdańska nie przyjedzie, ani z Warszawy, nie zrobi porządku, porządek musicie sami zrobić, bez wytycznych, bez wskazówek i bez czekania na kogoś...zostały otwarte bramy dla działalności, dla zrzeszania się, dla robienia porządków i dla rozliczania tych, którzy wam przeszkadzają. My wszem i wobec mówimy, że do tej pory, no tak, można się było jakoś ustawić, ale teraz kto będzie wam przeszkadzał, niezależnie od tego, czy to wojewoda, czy komendant MO, czy SB, to on za to odpowie przed państwem i przed nami. Bo straszyć to można było kiedyś czołgami, rakietami, interwencjami. Teraz to już nie, my się niczego nie boimy i nie możemy się bać. Tego się nie da zatrzymać”.

Przywódcy „Solidarności”, dążąc do osłabienia systemu politycznego, partii i państwa, nawiązują do działania z pozycji siły i prowadzenia polityki faktów dokonanych wobec władz. Mówił o tym wprost L. Wałęsa, że wszystko „zależy od nas, czy ktoś nas lekceważy, czy nie. Bo niech sobie lekceważy, robimy fakty dokonane, Niech on

sobie rządzi, niech on tam sobie postulaty, raczej hasła wymyśla, my i tak swoje będziemy robili”.

Wielu czołowych przywódców „Solidarności” ma uproszczony obraz społeczeństwa i nie bardzo rozumie lub nie chce zrozumieć mechanizmów funkcjonowania władzy. Władza polega wg. nich na wyborze pomiędzy dobrem a złem, jest przede wszystkim wyborem moralnym. Rządzący wybierali do tej pory złe rozwiązania i dopiero działalność „Solidarności” wniesie pierwiastek moralny do polityki.

W uproszczony sposób pojmują też przywódcy NSZZ „Solidarność” rolę poszczególnych instytucji życia społeczno-politycznego. Działacze szczecińscy np. uważają, że państwo ma być jedynie sługą narodu (J. Mroczek), a rząd „nie ma obowiązków, tylko dług. Nie-spełniony dług względem społeczeństwa” (A. Zieliński).

Działacze z Jastrzębia podkreślają, że „Solidarność” nie ma zamiaru pełnić roli partii politycznej, a w swojej działalności będzie przestrzegać zasad konstytucyjnych. W oświadczeniu z 6.XI.br. stwierdzili oni jednoznacznie, że stoją na gruncie artykułu 3 Konstytucji, ust. 1.

Oficjalny stosunek gdańskiej „Solidarności” do PZPR nie jest jednoznaczny. Wyraźnie podkreśla się, że partia nie pełni kierowniczej czy przewodniej roli wobec „Solidarności”. L. Wałęsa 11.XI. br. stwierdził na spotkaniu w Łodzi: „Przecież my się wypowiedzieliśmy — kierownicza rola w państwie, a nie w związku, w związku to nie ma kierownicy”.

Przywódcy NSZZ „Solidarność” unikają atakowania wprost całej partii. Jednocześnie w wielu wypowiedziach krytykuje się różne aspekty polityki partii, wskazuje, że władze partyjne są odpowiedzialne za sytuację w kraju, podważa decyzje kadrowe. Niekiedy ma to charakter ingerencji w wewnętrzne sprawy partii.

L. Wałęsa wypowiedział się wielokrotnie na temat udziału członków PZPR w NSZZ „Solidarność”. Zauważalna jest tutaj wyraźna ewolucja stanowiska „Solidarności”. Jeszcze 7.X.br. L. Wałęsa w Bydgoszczy stwierdził, że Związek nie chce mieć w swoich szeregach członków partii. Później podkreślił, że w „Solidarności” jest także miejsce dla członków partii, ale nie będą mogli oni realizować w Związku linii partii.

Przywódcy NSZZ „Solidarność” z Gdańska zajmują w porównaniu z przywódcami ze Szczecina i Jastrzębia ekstremistyczną pozycję. Ich poglądy są głoszone wyraźnie z pozycji siły, mają charakter anarchoiczny i destruktywny. Cechuje ich nieodpowiedzialność i niefrasob-

liwość. Nie zaprezentowali też dotychczas żadnej pozytywnej wizji Polski, do której dążą. Jeżeli u przywódców ze Szczecina i Jastrzębia zauważa się próby konstruktywnego podejścia i odpowiedzialności za losy kraju, to w wypowiedziach większości działaczy z Gdańska przeważa demagogia, awanturnictwo i butna pewność siebie.

Stanowisko gdańskiej „Solidarności” budzi sprzeciw niektórych innych ośrodków. Przewodniczący „Solidarności” w Jastrzębiu J. Sienkiewicz, w wypowiedzi dla *Perspektyw* (21.X.br.) zarzucił Krajowej Kom. Porozumiewawczej, że jest organem nie reprezentatywnym. Umożliwia to — jego zdaniem — ośrodkowi gdańskiemu sterowanie całą „Solidarnością”. Stwierdził również, że ośrodki, które podporządkowały się MKZ w Gdańsku cieszą się jego pogarciem moralnym — i finansowym.

Istotne rozbieżności można także zaobserwować pomiędzy przywódcami z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia w kwestii stosunków z antysocjalistycznymi. Zdecydowaną sympatię dla KOR-u przejawiają działacze gdańscy. Przykładowo: A. Walentynowicz stwierdził na spotkaniu w Częstochowie 21.X. br., że „...takie same honory przysługują dla KOR, bo nauczył on społeczeństwo bronić swoich interesów”.

Sympatię dla KOR wyrażał również wielokrotnie L. Walęsa. Określał on, że członkowie KOR stanowią jedną z trzech grup ekspertów, z których usług korzysta NSZZ „Solidarność”. Akceptuje on jednocześnie, że KOR nie rządzi „Solidarnością”. L. Walęsa stwierdził m.in. na spotkaniu 20.X.br. w Jastrzębiu, kiedy mówił o Kuronii i KOR, że „...w sumie oni nam też przetarli drogę. Teraz nie chcemy, żeby oni nami zarządzili, ale przecież oni nam przetarli drogę, tak jest prawda, a prawdy stę nie bomy”. Rozwój wydarzeń w Kuronii wykazał, że rola działaczy KOR w „Solidarności” znacznie wzrosła.

Odmienne stanowisko zajmuje szczecińska „Solidarność”. Przewodniczący M. Jurczyk, stwierdził w wywiadzie dla *Polityki* (12.X.br.) że elementy antysocjalistyczne „istnieć istnieją, ale jedynie w przeszłości. Ani podczas strajku, ani teraz.” Wtórował mu J. Mroczek stwierdzając, że „te elementy to bardzo wygodny straszak, przeciwko nam. Zawsze można go rozciągnąć.”

Diametralnie inne stanowisko zajmują działacze „Solidarności” z Jastrzębia. W oświadczeniu z 6.X.br. podkreślili oni, że „...ogromne istnienie sił antysocjalistycznych byłoby demagogią. Oczywiście, jeśli motywem sprzeciwu jest przekonanie, że kwalifikacja taka ma być

zagrożenia osobistego: to publiczne głoszenie tego wykracza poza działalność polityczną. Ale teza, że nie ma sił antysocjalistycznych, brzmi nieprawdopodobnie”.

Działacze z Jastrzębia uważają, że zasadniczym kryterium wyróżniania sił antysocjalistycznych jest stosunek do linii porozumienia. Ten, kto jest zaangażowany w realizację zobowiązań wszystkich stron porozumienia, reprezentuje i klasę robotniczą i cały naród.⁴ W innym oświadczeniu, opublikowanym w *Perspektywach* (21.XI.br.), przewodniczący „Solidarności” w Jastrzębiu, J. Sienkiewicz, stwierdził, że „od samego początku Jastrzębie stało twardo na stanowisku: żadnego politykierstwa. Dotyczy to również KOR-u jako instytucji, która po zakończeniu strajków robotniczych straciła sens swego istnienia... Wszyscy doskonale wiemy, że większość tych działaczy założyła swoją siedzibę przy MKZ w Gdańsku. Nie wiemy, do jakiego stopnia ma to wpływ na decyzje, jakie podejmuje ten MKZ, ale oznaki takiego wpływu dostrzegamy. Jak to symptomy? Niesamowite usztywnienie, jeśli chodzi o sprawy statutu, rejestracji, przy jednoczesnej świadomości, że sprawa ta może wtrącić cały kraj w przepaść”.

Istnieją również rozbieżności pomiędzy ośrodkiem gdańskim a szczecińskim. L. Wałęsa, indagowany na ten temat, nie udzielał konkretnej odpowiedzi, stwierdzając jedynie, że nieporozumienia występują, ale są przewyżczone. Narastające rozbieżności pomiędzy ośrodkami w NSZZ „Solidarność” są także dostrzegalne przez prasę burżuazyjną. Przykładem może być opinia reprezentowana przez *Der Spiegel* nr 45 z 3.XI.br. Piśmo to dzieli przywódców „Solidarności” na „gołębi i jastrzębi”. L. Wałęsę określa jako przywódcę należącego do „gołębi”, który jednakże stał się ostatnio rzecznikiem „jastrzębi”. Na uwagę zasługuje także pogląd wyrażony w tym piśmie, że niektórzy członkowie kierownictwa „Solidarności” np. A. Gwiazda, zdają sobie doskonale sprawę z ograniczonych możliwości L. Wałęsy. Zimna kalkulacja skłania ich jednak do utrzymywania L. Wałęsy jako przewodniczącego Krajowej Komisji Porozumiewawczej, gdyż stał się on w społecznej świadomości uosobieniem i symbolem sukcesów „Solidarności”.

Analiza wykazała, że NSZZ „Solidarność” jest organizacją o kształtującym się obliczu ideowo-programowym. W organizacji tej stierają się różne koncepcje i brak jest jednoznacznie ustalonej linii politycznej, chociaż obecnie przewagę zyskały poglądy głoszone przez elementy ekstremistyczne z Warszawy i Gdańska, co znalazło np. wyraz w strajku politycznym, zorganizowanym dla uwolnienia J. Narożniaka.

Wydział Socjalno-Zawodowy KC PZPR

OD-NOWA CZŁONKA BIURA POLITYCZNEGO

....Jak wiadomo, salami najlepiej kroić na bardzo ciemnitkie plasterki, tak aby nie zorientowani nie zauważyli prawie ubytku wagi. Ostatecznym efektem jest i tak pełna likwidacja. Stąd też najpierw należy odłączyć od Solidarności reakcyjnych polityków niegodnych socjalistycznego ruchu i psujących dobre imię Solidarności. Następnie zwrócić uwagę na „prawe skrzydło” i lewaków, którzy też nie pasują do doskonałej reszty. Później należy odłączyć złych doradców i ekspertów wypaczających istotę robotniczej sprawy. W dalszej kolejności należy zadbać o czystość szeregów i napiętnować wszystkich przestępców, oraz wypada wytrać spomiędzy związkowców tych przywódców, którzy myślą o sobie a zamedbują sprawę ludzi pracy. Potem skłócić ze sobą wszystkie branże i wzbudzić antagonizmy regionalne. Pozostałych przywódców — nie usuniętych, skłócić można za pomocą informacji, że współpracują ze służbami wyspecjalizowanymi i dlatego uniknęli aresztowania, ludzie sami ich złinczuja.

Tak więc, cel „odnowy” nie jest bliski, jednakże migający już dość wyraźnie na horyzoncie. Nie bardzo wiadomo jednak co robić w ramach „odnowy”, jeżeli Solidarność nadal stanowić będzie monopol i na prowokację oraz „krojenie plasterków salami” będzie reagować tak jak w przypadku Janka Narożniaka — natychmiastowym, masowym, powszechnym protestem, strajkiem godnym nazwy — Solidarność.

Pokazową lekcją jak można rozumieć istotę Odnowy, jak interpretować porażenia sierpniowe daje nam i sekretarz KW PZPR w Katowicach Andrzej Zabiński. Poniżej drukujemy odpis zapisu magnetofonowego ze spotkania sekretarza Zabińskiego z komendantami MO i SB województwa. Stenogram dość wnieśliwie oddaje atmosferę i składnię zdaniową mówcy. Oryginał taśmy magnetofonowej znajduje się w MKZ Katowice. I to by było na tyle.

Redakcja: „Wolnego Związkowca”

....Zdawaliśmy sobie sprawę, że szereg haseł, wysuniętych w postulatach, inspirowanych jest przez wroga, ale wróg narzucił nam pole walki, które zmusiło nas do takiego postępowania a nie innego, bo narzucił nam pole walki w fabrykach, w klasie robotniczej. Nie byłoby mowy o żadnej przemocy, bo skończyłoby się nie wiem czym, można powiedzieć najogólniej ograniczeniem suwerenności Polski.

Po drugie, nawet taka kalkulacja walki w tym okresie — sucha.

sztabowa, nie dawała nam żadnych gwarancji czy ktoś posłucha. Jak byśmy nawet chcieli, bo byłoby to nieodpowiedzialne i niesłuszne. ale oczywiście nikt tego nie analizował, tylko ja, w tym gronie fachowców muszę powiedzieć: że przecież to nie dziecinada tylko po prostu analizy były poważne i wszystkie więc przesłanki decyzji, a więc świadoma decyzja rozmów na bardzo niedobrym gruncie pod hasłem: wygasić strajki, uspokoić społeczeństwo, a później zastanowimy się co dalej. I na tym tle rozmowy trudne, w bardzo trudnych warunkach od bardzo wręcz wulgarnych pierwszych dni do: na kolana, powiesić, aż do uścisku dłoni, że zgoda.

Kilka postulatów rzuconych przez przeciwnika, do nich należą: związki zawodowe, tzw. samorządne związki zawodowe. Hasło jest wroga. Ale klasa robotnicza poparła je powszechnie. Popiera do tej pory. Klasa robotnicza to rozumie jako związki zawodowe. Poparła dlatego, że nie ma do nas zaufania, jeżeli my znowu nie zrobimy jakichś głupstw, że muszą być takie związki niezależne, w tym sensie niezależne, które będą nam dawały po łapach, jak będziemy zapominąć o celach społecznych naszej polityki, które żeśmy ciągle proklamowali, bo-myśmy ciągle proklamowali cele społeczne, a robiliśmy coś wręcz odwrotnego. Wszystkie inwestycje, wszystkie forsowane idiotyczne, powiedziałbym samobójcze, różnych gałęzi przemysłu, które, dla których nawet surowców nie mamy itd. I dlatego stosunek partii do nowych związków zawodowych nie może być tylko takim, jakie ma klasa robotnicza do niego, tzn. nie jest to stosunek walki. Uważamy, że jeden i drugi związek ma charakter robotniczy. Dla nas podstawową sprawą jest, żeby członkowie partii byli w jednym i drugim związku, żeby nie dopuścić do sytuacji, które doprowadziłyby że są związki partyjne, w tym wypadku wąskie, małe i związki bezpartyjne tzn. antypartyjne. Nie wstąpimy do „nowych”, to ułatwimy robotę, bo byśmy stworzyli korowską organizację. Oczywiście, za tyżni całymi związkami, nowymi stoi KOR, jest to niewątpliwe, i te wszystkie inne organizacje zjednoczone zresztą. Sympatyzuje z nim kler. Niewątpliwe, jest to, powiedziałbym, krok na prawo, ale lepiej krok na prawo, niż w przepaść.

Dlatego teraz o to toczy się bój, żeby te związki zawodowe nie były antypartyjne. Co zamierzamy robić? Po pierwsze należy zaatakować, w sensie politycznym koncepcję terytorialności, którą wygłasza pan Włosek lub ci co mu tam podpowiadają. Widać, że i ci ... oni nie rozumieją klasy robotniczej, jak oni wysuwają terytorialne związki, więc my musimy, oni to robią chyba dlatego, że nie mają tyle kadr, a

chcą się zainstalować w całej Polsce. My musimy to bardzo mocno atakować, oczywiście przez zadawanie im tysiące pytań, jak to będzie z majątkiem górniczym, a w ogóle to będą górnicy razem z fryzjerami, gdzie na świecie są takie związki zawodowe. To jest naprawdę miękki punkt do ataku politycznego, bardzo miękki punkt, musimy atakować. I to po prostu w tej chwili czynimy. Trzeba po prostu uwikłać te MKR-y w ogromną pracę wyjaśniającą, odwrócić sytuację, nie że my chcemy odwet na nich, że myślimy musieli tyle tłumaczyć, tylko niech wiedzą, co to znaczy mieć trochę władzy, to też ich trochę ostudzi. Oczywiście, tam gdzie jest to tylko możliwe rozmawiać z nimi uczciwie, bo bardzo poważna część tego elementu, który wszedł do tych komisji robotniczych, to autentyczni przywódcy, porządni ludzie, oczywiście też są kanalie, ale nie możemy tak o wszystkich powiedzieć, cieszących się zaufaniem i autorytetem i w przyszłości musimy ich zdobyć, jako ludzi, którzy po prostu stanęli tyle na wysokości zadania, że ich ludzie sfuchają. To jest poważna sprawa, tak, że nie należy być w stanie wojny z tą kadrą. Po prostu trzeba mieć bardzo, bym powiedział no, no ... taką mozaikową wielowarstwową politykę i grę, w tym zakresie. To oczywiście towarzysze doskonale robią, ale chodzi również o naszą partię. Bo z natury działacze partyjni oduczuli się tej walki, no służba bezpieczeństwa zawsze musiała, ale działacze partyjni byli tak samo identyfikowani, on dostawał instrukcję, a system wiecowy nie wspomagał do walki, po prostu wrogów nie było. Jesteśmy tak silni, że nam nikt nic nie robi i w związku z tym są rozbrojeni w sensie umiejętności walki, to nie są źli ludzie, tylko ich trzeba nanowo nauczyć. I nagle katastrofa, no i co, no i albo apatia albo wściekłość, że to wrogowie, że to kontrrewolucja — a nie walka, walka trudna, żmudna, granic z przeciwnikiem, przewidywanie jego ruchów, a jesteśmy w takim okresie. Cel tej walki to oderwanie tych głównych korowców od fabryk, a więc rozbić ich na branżowość. Nawet niech to już będą niezależne związki, ale całkowicie branżowe, ale branżowe; będzie nam łatwiej, bo jednak, a tradycje robotnicze są tu ogromne, no ja ... przecież temu kolejarzowi czy górnikowi: powiesz, że będzie z taką modystką, przy całym szacunku do tego zawodu, ale modystki też mają swoje inne problemy, więc też tędy chciały mieć swoją organizację. Wam się nie uda, po prostu... dlaczego broniśmy CRZZ? Dlatego broniemy CRZZ, że po pierwsze: cały czas musimy walczyć z nimi na drodze legalizmu. Jest to nasza żelazna broń: porozumienia legalne, uchwała Rady Państwa o rejestracji, uchwała Rady Państwa o nowych związkach zawodowych. A więc

musimy dalej walczyć z nimi na płaszczyźnie, bym powiedział, legalizmu, i dlatego nic im nie możemy oddać bez walki. Przeciwnik też się musi męczyć, też się musi wykruszać. Oddanie CRZZ-u, po pierwsze byłoby bezprawne, bo jedynym forum prawnym i legalnym do rozwiązania CRZZ jest Kongres. A więc jest to płaszczyzna, bo oni tego zażądają na pewno: zlikwidować CRZZ, bo już go nie ma, już wszystkie związki wystąpiły. Bardzo przepraszam, trzeba rozpiąć wyborny do związków zawodowych i zwołać Kongres. Musimy iść na takie starcie, a że im teraz rozwiążemy CRZZ i wtedy my będziemy stali z tym pokutnym worem, jak ten Jurand ze Spychowa pod zamkiem, powiedziałbym tego Wałęsy z Gdańska i grzecznie prosił, żeby nas wpuścił do tych związków. Jest ustawa, kongres, nie wiemy czy nam się uda, w każdym razie mocno to będziemy stawiać. Majątek, zgodnie z prawem, wytwarzany przez pokolenia jest niepodzielny. Nie można teraz podzielić domów wczasowych dla starych i dla nowych związków, sanatoriów i domów wczasowych. Majątek jest niepodzielny, więc można albo go upaństwowić, bo to jest dobro narodowe, albo po prostu musi nastąpić jakaś centrala, ktoś musi podjąć to co będzie po CRZZ, ale prawnie, zgodnie z ustawą. Ale czeka nas ogromna bitwa polityczna, a już będziemy w wygodniejszej sytuacji, bo w międzyczasie wróg się demaskuje, my mamy coraz więcej materiałów dowodowych, pokazujemy to społeczeństwu. Jest to szokujące dla niektórych ludzi, niektórzy mówią: jak oni mogą to w ogóle w telewizji puścić, no ale chodzi o co. Po pierwsze, żeby ludzie się dowiedzieli, choć nie wspomnimy, że są to nowe związki, jakie to są kanale i do czego dążą, po drugie, żeby wystraszyli się, i bardzo dobrze, państwa zachodnie, szczególnie RFN, Dania i inni Amerykanie, co oni to robią. Niemcy mogą bardzo nie lubić Polaków, ale im się za dobrze powodzi, żeby chcieli wojny. To jest po prostu sprawa jasna, a więc wywiady te grają również na tych działaczy nowych związków zawodowych, którzy dostają aż białej gorączki, że oni nic z KOR-em nie chcą mieć wspólnego, bardzo dobrze. Jak tylko się z nimi spotykamy: odcinamy się, co wy nas z tym KOR-em łączycie, odcinają się, równocześnie walczą o informacje, o dostęp do prasy i wywalczą go, ale z doświadczeniem, że odcinają się od KOR-u. No to jest linia, nie wiadomo, czy się ją uda przeprowadzić w trakcie walki. Ale taka była by tu linia polityczna i taktyczna rozegrania tej sprawy. Byłoby tu potrzebne oświadczenie, że oni się odcinają, co znowu musi spowodować rozłam w tym KOR-e. Nie ma wyjścia. Oni muszą wiedzieć, że my nie jesteśmy takim... że nie tak ogrywać łatwo nie damy. Ale

staczymy już tą bitwą z tymi warunkami. Trzeci dzień wszystkie zakłady pracują na Śląsku, w Polsce 10 zakładów, jeszcze drobnych, strajkuje. Najbardziej zacięty strajk jest w PZU w Pilemyśli. Nie chcą się poddać, żądają komisji partyjno-rządowej, żeby do nich przyjechała, więc jest to ... ale niech strajkują, bo to się przyda do kompromitacji tych strajków. Tam nie ma co się spieszyć, żeby rozwiązywać. Okazuje się, wieście, żeśmy za czas polikwidowali tych wicepremierów, a było ich tak dużo, teraz by się przydali, bo trzeba utworzyć komisję partyjno-rządową, żeby z nimi rozmawiać. Oczywiście podobną taktykę stosujemy w stosunku do Huty Katowice, przy czym tutaj należy wprowadzić element niepokoju, że przecież ta huta nie będzie dalej rozbudowywana, wśród tych budownictw. Żeby do nich doszło, że mogą być rozwiązane przedsiębiorstwa budowlane, że trzeba być zdyscyplinowanym, bo tych gorszych wyrzucą. Teraz kolejna sprawa: system 4-brygadowy był, ja uważam, że nie słusznie po wprowadzeniu, bo dlatego, że ... ale nam też tworzy nową płaszczyznę. Te komisje, te komisje robotnicze w wprowadzeniu z nimi mają typować, kogo mają zwolnić z kopalni. Niech oni robią nietypową robotę. Nie ma systemu 4-brygadowego, tyle ludzi nie trzeba. Egzekutywa stoi na stanowisku, że mimo, że na innych wydziałach nie ma ludzi, blokujemy zatrudnianie. Ale MKR-y muszą ich wyrzucić. Trzeba ich uwikłać w tysiące spraw, ja im współczuję, bo to są kochane, niekiedy młode chłopaki, a wdali się w tę wielką politykę (ha! ha!), no, ale nie ma innego wyjścia. Muszą wiedzieć, co to znaczy smak władzy. Należy im wszędzie udostępniać lokale. Najbardziej luksusowo urządzić jak tylko można. Ja to już ciągle mówię, ale jeszcze raz powrócę w tym gronie: nie znam człowieka, którego by władza nie zdemoralizowała, to tylko kwestia jak szybko i w jakim stopniu (ha! ha!). To się już u nich obserwuje. Łatwy dostęp do pieniędzy, taksówkami do Gdańska, telefony, kontakt z sekretarzem KW, z wicepremierem, jeżdżą i po prostu zaczynają szastać pieniędzmi, które ... a więc jest to kierunek słuszny. Ja to się, czym to się skończy, no powinno to się skończyć idealnie zjednoczeniem tych wszystkich związków, ale to może potrwać lata, ale pierwszy cel jest, znaczy, żeby nie wykosili tam członków partii, drugi cel, żeby wykosili korowców, a po tym wszystkie inne rzeczy po prostu trzeba pomału rozbijać.

No i towarzysze — tak to wygląda z tymi związkami, choć jest to po prostu rzecz, która jest bardzo trudna, trzeba ją bardzo delikatnie, z dużą kulturą polityczną, ale konsekwentnie po prostu nagrywać ...

Werner Kastor

REAKCJA WSCHODNIO-NIEMIECKA NA WYDARZENIA W POLSCE

Władze NRD zareagowały tak nerwowo na wydarzenia sierpniowe w Polsce nie tylko z przyczyn ideologicznych. Odwołane spotkania na szczycie pomiędzy Erichem Honeckerem a kanclerzem RFN Schmidtem, zaplanowane na koniec sierpnia 1980, wskazuje dobitnie na poważne niepokoje dręczące kierownictwo NRD. Najwyraźniej uznało, że jego własna pozycja znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli do kłopotliwych stosunków z Niemcami Zachodnimi dołączą się jeszcze problemy z jej wschodnim sąsiadem.

Władze wschodnio-niemieckie obawiały się także o ekonomiczne reperkusje wydarzeń w PRL. Handel pomiędzy Polską a NRD poważnie ucierpiał, trzeba było dostosowywać do sytuacji plany gospodarcze, w związku z odwołaniem dostaw towarów z Polski oraz w związku z potrzebą udzielenia Polsce pomocy gospodarczej (dostarczono PRL pół miliona marek wschodnio-niemieckich, z tego połowę w twardej walucie), co spowodowało również brak niektórych towarów w sklepach.

Oczywiście kwestie ideologiczne odgrywają ważną rolę. Ale pamiętając o ścisłe ortodoksyjnym stanowisku, jakie partia wschodnio-niemiecka zajmuje zwykle wobec wszelkich problemów natury polityczno-ideologicznej, reakcja na wypadki w Polsce ma wyraźnie stonowany charakter. Na ogół wschodnio-niemieckie środki masowego przekazu trzymały się praktyki przedrukowywania artykułów z prasy czeskosłowackiej, polskiej i radzieckiej. Najostrzejszy atak, jaki same władze NRD przypuściły na Lecha Wałęsę, opublikowano w central-

nym organie partyjnym „Neues Deutschland”. W podsumowaniu długiego artykułu stwierdzono: „mamy teraz wyznanie wiary politycznej. Wałęsa — antykomunizm i wroga postawa wobec odprężenia. Takie stanowisko pasuje do reszty jego przyjaciół, jak np. włoskiej organizacji faszystowskiej MSI, z którą on sam czuje się wyraźnie związany więzami solidarności”.

Chociaż społeczeństwo wschodnio-niemieckie zdaje sobie, oczywiście sprawę z tego, iż prasa NRD wyraża opinie, do których obiektywności należy odnosić się co najmniej z rezerwą, nie wykazało wielkiej sympatii do rozwoju wypadków w Polsce. Przyczyny po temu są różnej natury.

Przede wszystkim społeczeństwo wschodnio-niemieckie odnosi się z olbrzymim sceptycyzmem do poczynąń Polaków: dlaczego ich próby miałyby się powieść, bez sprowokowania radzieckiej interwencji, skoro nie udało się to w NRD w roku 1953 i w Czechosłowacji w roku 1968? Po drugie, antypatie narodowe nie zostały hynajmniej wykorzenione w socjalistycznym ustroju NRD. Wręcz przeciwnie. Partia spotęgowała jedynie wciąż pokutujące nastroje teutońskiej hury przez nieoficjalną propagandę. Nawet najbardziej żarliwi członkowie partii mówią otwarcie: Polacy i tak nie pracują, chcieliby tylko zażądać swe zachcianki konsumpcyjne, partia polska pogrążona jest w chaosie. Polacy są spryciarzami, którzy opróżnili półki w naszych sklepach płacąc pieniędzmi bez wartości. Po trzecie, jako że wydarzenia w Polsce spowodowały ostrą reakcję władz wobec zachodnio-niemieckich turystów odwiedzających NRD (w listopadzie minimalną kwotę, jaką należy wymienić przy wjeździe podniesiono drastycznie do 25 marek dziennie), mieszkańcy Wschodnich Niemiec uważają, że muszą ponieść straty z powodu Polaków. I po czwarte, polityczna opozycja w NRD tradycyjnie ma charakter socjalistyczny i w zasadzie od lat sześćdziesiątych nie było wyjątku od tej reguły. Grupy opozycyjne w Polsce postrzegane są natomiast jako ruch pluralistyczny, w którego skład wchodzi wielu nacjonalistów i przeciwników socjalizmu. Tego ostatniego faktu nie należy nie doceniać, szczególnie w odniesieniu do wschodnio-niemieckich intelektualistów, którzy, skądinąd, są zdecydowanie za demokratyzacją życia społecznego w stylu podobnym do polskiego modelu.

Kierownictwo wschodnio-niemieckie nie wykazało całkowitego braku wrażliwości na wydarzenia w Polsce. Wielokrotnie podkreślano rolę związków zawodowych jako kanału przekazywania informacji i mówiono nawet o relacjonie związków zawodowych, choć na

razie są to jedynie pogłoski. Może się nawet tak zdarzyć, że niechętnie nastawieni mieszkańcy NRD odniosą pewne korzyści z wydarzeń w Polsce. Ale pierwszoplanową wskazówką do zrozumienia braku sympatii w NRD wobec czynionych przez Polaków prób demokratyzacji życia społecznego jest chyba wysokość stopy życiowej. Aby wydarzenia w Polsce mogły spotkać się w NRD z bardziej pozytywną reakcją, mieszkańcom tego kraju musiałoby się powodzić albo znacznie lepiej — albo znacznie gorzej.

Werner Kastor

Gdańsk 1980

OCZYMA ŚWIADKÓW

Reportaże i zdjęcia ze strajku w Stoczni Gdańskiej

Bernard Guetta (korespondent *Le Monde*): Sierpień w Gdańsku; Ewa Milewicz (red. *Biuletynu Informacyjnego*, członkini KSS „KOR”): Ja, happening, stocznia; Jan Tarno: Notatki strajkowego kibica; Kalendarium strajkowe; Protokoły porozumień strajkujących z delegacjami rządu w Gdańsku i Szczecinie.

Str. 136

Cena £4.50 (£4.95 z przesyłką)

POLONIA BOOK FUND

40 Queen Anne's Gardens, London W4 1JU

Richard Portes

POLSKI KRYZYS*

ALTERNATYWY POLITYKI GOSPODARCZEJ ZACHODU

WSTĘP

Zmiany w systemie sprzedaży mięsa, ogłoszone w Polsce 1 lipca 1980, oznaczały w praktyce podwyżkę cen niektórych wyrobów mięsnych o 90–100%. Stały się one bezpośrednią przyczyną strajków początkowo odosobnionych, zdających się być jedynie kolejnym epizodem w długiej historii oporu polskich robotników wobec podejmowanych przez władze niezręcznych prób zrationalizowania struktury cen dóbr konsumpcyjnych. Sama podwyżka cen obejmowała zaledwie 2% mięsa i wyrobów mięsnych w detalicznym handlu rynkowym, a koszt jej pokrycia wynosił mniej niż 0.5% dochodów pozostających do dyspozycji gospodarstw domowych. Była przeto o wiele mniej drastyczna niż podwyżki, które sprowokowały rozruchy w grudniu 1970 roku i strajki w czerwcu 1976 roku. Mało też wydawało się prawdopodobne, by jej konsekwencje mogły być równie dramatyczne co poprzednie: upadek kierownictwa partii i rządu, jak w przypadku zajęcia przez Edwarda Gierka miejsca Władysława Gomułki. Czy też zmiany w polityce gospodarczej, do czego Gierek został zmuszony w roku 1976.

* Copyright by The Royal Institute of International Affairs, Londyn, luty 1981.

Choć ta fala strajków rozszerzała się, do połowy sierpnia miały one względnie stonowany charakter, przybierając formę protestu ograniczonego niemal wyłącznie do rewindykacji ekonomicznych, zaspakajanych przez władze w drodze *ad hoc* przyznawanych podwyżek płac. Niespodziewanie jednak protest przerodził się w strajk powszechny na Wybrzeżu i nabrał politycznego charakteru. W następstwie takiego obrotu wydarzeń, po zaledwie dwóch tygodniach, w czasie których miały miejsce niezwykle rokowania między rządem a robotnikami, w Gdańsku i Szczecinie podpisano porozumienia. Stanowiły one polityczne i ekonomiczne ustępstwa na rzecz robotników, obejmując ogólnie zdefiniowane prawo do tworzenia niezależnych związków zawodowych i prawo do strajku. Na płaszczyźnie gospodarczej rząd zgodził się na przygotowanie reformy opartej o założenia większej niezależności gospodarczej przedsiębiorstw i udziału robotników w procesie zarządzania przedsiębiorstwem. Rząd wyraził również zgodę na podniesienie płac i emerytur, przy utrzymaniu cen podstawowych dóbr konsumpcyjnych na tym samym poziomie. Rząd zobowiązał się także przedstawić do końca roku 1980 program zmniejszenia wymiaru godzin tygodnia pracy przewidujący w szczególności większą liczbę wolnych płatnych sobót w miesiącu.

W czasie, gdy trwały negocjacje z robotnikami, Komitet Centralny PZPR powołał nowego premiera — Józefa Pińkowskiego — i dokonał przesunięć personalnych na czołowych stanowiskach ministerialnych i w Biurze Politycznym. KC PZPR wyznaczył, między innymi, Mariana Krzaka na stanowisko ministra finansów i powołał Henryka Kisiela na przewodniczącego Komisji Planowania (objął on jednocześnie stanowisko wicepremiera). W dwa tygodnie później Stanisław Kania, przejmując po Gierku stanowisko pierwszego sekretarza KC PZPR, stał na czele zmienionego kierownictwa partii, mając w rządzie nowe twarze i dysponując nową ekipą ekonomiczną, zdecydowaną na przeprowadzenie zmian w polityce gospodarczej.

Nic jednak nie wskazuje na to, by głęboko zakorzenione problemy gospodarcze i polityczne Polski, leżące u podłoża nieoczekiwanego dynamicznego biegu wypadków w lecie 1980 roku, miały zniknąć w następstwie przejścia władzy przez nowe kierownictwo polityczne i dzięki nowemu układowi sił w społeczeństwie. Wręcz przeciwnie: na krótką, przynajmniej, metę problemy stały się bardziej widoczne i nabrzmiały. Wynika to po części z zobowiązań, jakie władze musiały

pod presją przyjąć w Gdańsku. Okoliczności towarzyszące polskiemu „kryzysowi” usprawiedliwiają posłużenie się tym nadużywanym terminem: jest to bowiem istotnie punkt zwrotny, sytuacja braku równowagi, w której oczekuje się gwałtownej i radykalnej zmiany, okres przy tym pełen niebezpieczeństw. Wszelkie bowiem decydujące zmiany, jakie można by przewidywać na początek 1981 roku i wszelkie możliwe scenariusze przyszłych wypadków, w najlepszym przypadku byłyby niezwykle trudne dla Polaków, w najgorszym wróżyłyby katastrofę dla nas wszystkich, na Wschodzie i na Zachodzie.

W nagłym przypływie prawdziwego natchnienia partia mogłaby pójść dalej, poza Gdańsk, zawierając z Solidarnością „umowę społeczną” pobłogosławioną przez Kościół, w ten sposób zapewniając sobie pełną współpracę polskiego społeczeństwa, gotowego do wyrzeczeń. W oparciu o taką umowę wprowadzono by rozsądne reformy w przemyśle i rolnictwie i pozyskano by gotowość społeczeństwa do oddanej i wydajnej pracy pod kierownictwem nowej, kompetentnej ekipy ludzi. Zachodni wierzyciele wykazaliby cierpliwość i szczerą ogólnie międzynarodowe warunki gospodarcze zmieniłyby się na lepsze, silna surowcowa baza gospodarki wraz z olbrzymimi inwestycjami lat siedemdziesiątych i rozsądną dystrybucją zasobów wytwórczych zapewniłyby stan wewnętrznej i zewnętrznej równowagi. Związek Radziecki, ze swej strony, oraz pozostałe państwa bloku radzieckiego uważałyby umowę społeczną i wynikające z niej konsekwencje za środki umacniające kierowniczą rolę zjednoczonej partii, zezwalając Polsce na wewnętrzną autonomię, aby partia mogła dotrzymać ze swej strony umowy, gwarantującej stały proces liberalizacji. Ale proces liberalizacji nie prowadziłby jednocześnie do dezintegracji życia kraju — związki zawodowe, w szczególności, nie forsowałyby zasady samorządów robotniczych w stopniu, który podkopywałby podstawy sprawowania władzy tak na płaszczyźnie politycznej jak i gospodarczej.

Już sama lista koniecznych warunków pomyślnego rozwiązania kryzysu obrazuje, jak mało jest ono prawdopodobne. Nawet jeżeli takie warunki miałyby powstać, polskie społeczeństwo musiałoby ponieść ofiary, przez kilka lat godząc się na spadek dochodów realnych, aby w ten sposób zapłacić za błędy i niepowodzenia lat siedemdziesiątych. Wszystkie wyżej wymienione warunki wydają się konieczne i jedynie razem tworzą zespół okoliczności umożliwiających

rozwiązanie kryzysu. Zapewne spełnienie niektórych z tych warunków stworzyłoby podstawy do powstania innych. Łatwo jednak wyobrazić sobie inne, niepożądane kierunki rozwoju wypadków. Zwykle błędy w kierowaniu spłatami kredytów dewizowych mogłyby doprowadzić do niedotrzymania zobowiązań płatniczych, być może miałyby ono jedynie formalny charakter, lecz bezprecedensowe okoliczności mogłyby uniemożliwić ekonomistom i politykom wypracowanie rozwiązań, które powstrzymałyby prawników od wkroczenia na scenę. Miałyby to wpływ na ocenę wypłacalności innych krajów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i w konsekwencji poważnie ucierpiałaby wymiana handlowa między Wschodem i Zachodem. Ponadto ewentualne odcięcie zachodniego eksportu do Polski mogłyby prowadzić do chaosu gospodarczego, którego skutki odbiłyby się na społeczeństwie. Konsekwencją byłyby rozruchy i otwarta radziecka interwencja zbrojna. Udział Niemiec Wschodnich mogłyby wciągnąć w orbitę kryzysu Niemcy Zachodnie, stwarzając niesłychanie poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa całej Europy.

Naruszenie także niektórych innych z powyżej przedstawionych warunków mogłoby również uczynić sytuację gospodarczą politycznie niestabilną. Niezależnie od tego gra społecznych i politycznych sił, wyzwolonych przez wypadki lata 1980 mogłaby prowadzić do wystarczającej dezorganizacji życia, by Związek Radziecki poczuł się zmuszony do interwencji. Z drugiej strony, partii mogłoby się udać stopniowe przywrócenie kontroli, jak to miało miejsce po latach 1956, 1970, 1976, co osłabiłoby, a następnie zdławiło wysiłki na rzecz reformy. Polskie społeczeństwo straciłoby wówczas wielką okazję, a byłoby to tym bardziej tragiczne, iż zachodnia pomoc gospodarcza ustłaby, w takim wypadku polskim władzom czas na przywrócenie starych form działania. Trudno sobie wyobrazić, żeby w takich okolicznościach mogła nastąpić trwała poprawa gospodarki, a długofalowe konsekwencje okazałyby się wówczas niekorzystne dla zachodnich interesów handlowych i finansowych.

Dalszy rozwój wypadków w Polsce bezpośrednio wpłynie na bezpieczeństwo Zachodu i zachodnie interesy ekonomiczne, jak również będzie rzutować na nurtujące Zachód pytanie: czy ustroj polityczny i społeczny we Wschodniej Europie rozwinie się w kierunku współistnienia z państwami zachodnimi? W jaki sposób Zachód może wpłynąć na dalszy bieg wydarzeń? Ostrzeżenia pod adresem Związku

Radzieckiego, niezależnie od tego, jak zjednoczone stanowisko prezydentuje Sojusz Atlantycki, mogą brzmieć niezbyt przekonująco w świetle reakcji Zachodu na Afganistan. Tylko marginalnie będą one figurować w kalkulacjach Związku Radzieckiego, w wypadku gdy kierownictwo radzieckie uzna, że zagrożone są elementarne radzieckie interesy bezpieczeństwa. Zachód jest jednak w stanie wywrzeć pewien wpływ na wewnętrzny bieg wypadków w Polsce, a dokonanie tego może jedynie przy użyciu środków ekonomicznych. W obecnym stadium polskiego kryzysu polityka ekonomiczna Zachodu odegra kluczową rolę — i to polityka tak aktywna jak i bierna, prowadzona zarówno przez sektor państwowy jak i prywatny.

Aby ocenić drogi wyboru działań gospodarczych stojące przed Zachodem, konieczne jest przede wszystkim przedstawienie jasnego obrazu obecnego stanu polskiej gospodarki oraz określenie jej przyczyn. Niniejsza praca bada źródła braku równowagi i możliwości ich wyeliminowania. Następnie przeprowadzana jest analiza zachodnich interesów, z rozróżnieniem (gdzie jest to konieczne) interesów prywatnych banków i interesów państwowych, a także interesów poszczególnych państw zachodnich. Badane są następnie różne sposoby działania na płaszczyźnie finansowej, poprzez handel, w drodze pomocy, przy jednoczesnym uwzględnieniu warunków, w jakich Zachód mógłby przyjąć z pomocą. Brana jest też pod uwagę kwestia instytucjonalnych oraz politycznego i dyplomatycznego stanowiska wobec Polski i Związku Radzieckiego. W końcowej części rozważa się ewentualne następstwa niewywiązania się Polski ze spłat długów oraz konsekwencje interwencji radzieckiej, z udziałem lub bez udziału innych członków Układu Warszawskiego.

ZADŁUŻENIE PAŃSTW WSCHODNIO-EUROPEJSKICH

Uzasadnione będzie tu przedstawienie problemów gospodarczych Polski, zwłaszcza ciężaru zadłużenia dolarowego, w kontekście sytuacji gospodarczej wschodnio-europejskich krajów o centralnie planowanych gospodarkach. Doświadczenia państw RWPG^a w czasie i

Mówiąc o RWPG autor zajmuje się wyłącznie sześcioma wschodnio-europejskimi członkami tej organizacji i ZSRR — przyp. tłum.

biegłej dekadzie wykazują cechy zbieżne, inne wszakże od problemów z zadłużeniem, z jakimi borykają się nie-socjalistyczne kraje mniej uprzemysłowione, nie posiadające własnych zasobów ropy naftowej. Polska jest tu oczywiście nietypowym przypadkiem.

Zadłużenie

Dane dotyczące zadłużenia przedstawione w tablicach I i II wiele wyjaśniają. O ile przez cały okres lat sześćdziesiątych siedem wschodnio-europejskich państw RWPG miało stałe, ale nieznaczne deficyty w handlu z Zachodem (z wyjątkiem Rumunii, która zakupywała wówczas na kredyt maszyny), początek lat siedemdziesiątych przyniósł wyraźną zmianę sytuacji. Od roku 1972 łączny deficyt handlowy krajów RWPG z uprzemysłowionymi państwami zachodnimi podwajał się każdego roku, dochodząc w roku 1975 do sumy 12 miliardów dolarów. Cnociaż od tego czasu stopniowo zmalał, z wyjątkiem roku 1978, gdy wystąpiła tendencja przeciwna, deficyt handlowy sześciu wschodnio-europejskich państw RWPG (bez ZSRR) utrzymywał się w zasadzie od roku 1974 na stałym poziomie 6 miliardów dolarów. W miarę narastania zadłużenia rosły także spłaty z tytułu oprocentowania kredytów. Spowodowało to wzrost deficytu w bilansach płatniczych. W rezultacie wzrastała relacja spłat i oprocentowania do eksportu (z wyjątkiem Rumunii) i relacja zadłużenia do eksportu (z wyjątkiem Bułgarii). Szczególnie dramatyczny wzrost zadłużenia miał miejsce w przypadku Polski, Węgier i Niemiec Wschodnich. Polska wyróżnia się tu jako kraj, w którym trudności wystąpiły w obecnej chwili z największym nasileniem. Wzrost zadłużenia nastąpił głównie w formie zaciągania kredytów w bankach prywatnych, przede wszystkim zachodnich. Zadłużenie z tego tytułu do połowy 1979 roku osiągnęło poziom 80 procent ogólnych długów.

Na deficyty w bilansie handlowym i zaciąganie pożyczek złożyło się wiele czynników, wśród których świadomą strategią zwiększania wydajności poprzez import zachodniej technologii nie należy ugięwać pierwszoplanowej roli. Na rynku wewnętrznym krajów RWPG nadwyżka importowa pozwalała na rozładowanie występujących w skali makroekonomicznej napięć, tak po stronie podaży jak i popytu. Należy tu także wymienić wzrastające oczekiwania konsumentów i przekonanie planistów, że podwyżki płac usłuszczały budżety do zwiększenia wydajności pracy, zaległości inwestycyjne w kapitale

chłonnych gałęziach gospodarki (przemysł budowlany, komunikacja, transport, budownictwo mieszkaniowe), które napromadziły się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, spadek tempa przyrostu zasobów siły roboczej, problemy występujące w rolnictwie, wynikające z niewłaściwych rozwiązań organizacyjnych, braku bodźców i złych warunków klimatycznych, a również wzrastający ciężar wydatków na cele wojskowe.

Handel

W handlu zagranicznym kraje RWPG napotykały na trudności z eksportem do państw zachodnich z powodu niskiej jakości artykułów przeznaczonych na eksport, niewłaściwej techniki sprzedaży i braku obsługi sprzedawczych urzędów. Złożyły się na to także następujące czynniki: źle dopasowanie struktury podaży do popytu na Zachodzie, zbyt duża centralizacja decyzji dotyczących eksportu, recesja gospodarcza na Zachodzie, która zmniejszyła popyt w niektórych wypadkach stworzyła specyficzne bariery dla importu z RWPG, a także protekcjonistyczna polityka wobec rolnictwa prowadzona przez Europejską Wspólnotę Gospodarczą. Recesja stała się również bodźcem dla zachodnich eksporterów do sprzedaży dóbr inwestycyjnych krajom wschodnio-europejskim. Rządy i banki z zadowoleniem dostarczały kredytów, jako że inwestycje zagraniczne połączone z własnością są na gruncie gospodarek centralnie kierowanych niemożliwe, przepływ kapitału musiał przybrać formę pożyczek, nawet w przypadku, kiedy wspólnie ze strony firm zachodnich.

Ponadto *terms of trade* dla niektórych krajów RWPG uległy znacznemu pogorszeniu od roku 1973, chociaż sytuacja w związku z Radeczkiego na tym polu przedstawia się korzystnie, głównie dzięki ropie naftowej. Ogólnie rzecz biorąc, deficyty handlowe nie są wynikiem importu ropy, gdyż jako całość RWPG nadal jest netto eksporterem tego surowca.

Zasadę system finansowy i kredytowy oraz problemy z równoważeniem gospodarki w skali mikroekonomicznej krajów RWPG różnią się w sposób istotny od zasad i warunków występujących na gruncie gospodarki wolnorynkowej, tak w krajach wysoko przemysłowych, jak i w krajach rozwijających się. Istny stosunek międzykultu-

handlu międzynarodowego oraz do systemów finansowych znajduje wyraz nie tylko w nieobecności krajów RWPG w szeregu organizacji międzynarodowych, ale również w szczególnej roli politycznej, ekonomicznej i strategicznej, jaką kraje RWPG przypisują wymianie handlowej między sobą. Odzwierciedla to także sam fakt centralnego zarządzania gospodarką i szczególna cecha rozdziału rynku wewnętrznego od wymiany handlowej z zagranicą. Przypuszczano, że te różnice stawiają kraje RWPG w korzystnej sytuacji pod względem zdolności kontrolowania zadłużenia i wykorzystywania kredytów. Ale już w 1977 roku mniejszą otuchą zaczął napawać fakt, iż pożyczka udzielana jest państwu, ponadto takiemu, w którym, w założeniu planiści mogą w dowolnym momencie dokonać przesunięć środków produkcji, tak aby wywiązać się z zagranicznych zobowiązań. Są bowiem wystarczające dowody na ogrom silnych ograniczeń, na jakie w praktyce napotykają planiści (łącznie z faktem, że nie są w stanie zdać sobie sprawy z ich istnienia, czego Polska jest dobrym przykładem).²

POLSKA GOSPODARKA W LATACH OSIEMDZIESIĄTYCH

Można powiedzieć, że Polska jest szczególnym przypadkiem i dlatego mamy obecnie do czynienia z „polskim kryzysem”, a nie z „kryzysem węgierskim” czy „wschodnio-niemieckim”. Takie stwierdzenie nie wyklucza możliwości powstania innych kryzysów, chociaż na pewno ujawniłyby się one w innych formach politycznych i gospodarczych. Podobne problemy gospodarcze, wynikające z czynników ustrojowych, są wspólne dla wszystkich państw RWPG, z wyjątkiem Węgier, a cała szóstka (bez ZSRR) miała podobne doświadczenia w stosunkach gospodarczych z Zachodem w latach 70-ych. W przypadku Polski występują jednak pewne znaczące różnice. Z jednej strony Polska ma lepszą bazę surowcową niż pozostałe pięć państw, dysponując węglem kamiennym, węglem drzewnym, siarką, miedzią, cynkiem i srebrem. Do roku 1979 Polska miała nadwyżkę w handlu surowcami energetycznymi. *Terms of trade* dla Polski były korzystniejsze w ciągu ubiegłej dekady niż *terms of trade* dla pozostałych państw (z wyjątkiem Związku Radzieckiego). Z drugiej jednak strony korzyści płynące z posiadania surowców naturalnych zostały unicest-

wione przez żywiołową, przesadnie ambiczną, a jednocześnie błędną i woluntarystyczną politykę gospodarczą, niekompetentne planowanie i sterowanie gospodarką i nad wyraz niezrównoważoną sytuację polityczną. W Polsce uczucia nacjonalistyczne i religijne stanowią bazę dla oporu wobec władz politycznych i narzucanych przez nie decyzji gospodarczych.

Pęd ku wzrostowi gospodarczemu

Z siedmiu państw RWPG Polska na początku lat siedemdziesiątych uczyniła najbardziej zdecydowany i najbardziej świadomy zwrot w kierunku handlu z Zachodem i zakupu zachodniej technologii.³ W latach 60-ych Polska miała najniższy wskaźnik wzrostu dochodu narodowego na głowę ludności, a zaostrożna polityka płacowa i ograniczanie dóbr konsumpcyjnych pod koniec tej dekady przyczyniły się do upadku Gomułki. Pierwszym „manewrem gospodarczym” Gierka było przyznanie w roku 1971 wysokich podwyżek płac. Równocześnie przygotowano plan przyspieszenia wzrostu gospodarczego, scali-zowany następnie w latach 1972–1975. Istotą tego planu był jednoczesny i gwałtowny wzrost konsumpcji i inwestycji, przy czym wzrost konsumpcji miał posłużyć za bodziec do zwiększenia produkcji, a nakłady inwestycyjne powinny były wprowadzić nowoczesne zachodnie techniki produkcyjne. Zachodnie kredyty miały zapewnić nadwyżkę importu nad eksportem, konieczną dla realizacji takiego planu, zaś importowane urządzenia miały zapewnić wystarczający wzrost eksportu, by po roku 1975 spłacić zaciągnięte pożyczki. Dane w tabelach 3 i 4 obrazują cały ten makroekonomiczny eksperyment i jego następstwa. Tablice 5 i 6 przedstawiają konsekwencje w dziedzinie handlu zagranicznego.

Ta makroekonomiczna polityka już w pierwotnym założeniu była zbyt ambitna, a jej praktyczna realizacja w takim stopniu była pozbawiona nadzoru, że nakłady inwestycyjne, płace nominalne i realne rosły na przestrzeni lat 1972–1976 nawet szybciej niż przewidywały plany. Pewna poprawa *terms of trade* złagodziła tylko częściowo trudności w handlu zagranicznym na dodatek spotęgowane kilkoma latami złych zbiorów. Jako że kredyty z zewnątrz płynęły szerokim korytem, wewnętrzne ograniczenia wprowadzono zbyt późno, a były one przy tym wcielane w życie niezręcznie i nieefektywnie. Władze zmuszono do zmiany kursu i wycofania podwyżki cen żywności.

roku 1976. Jednocześnie przyrost zasobów pieniężnych ludności nadal rósł w tempie 12% rocznie przez cały rok 1977. Chociaż poziom nakładów inwestycyjnych był zbyt wysoki już w roku 1975, wzrósł o dalsze 2% w roku 1976, a o 4% w 1977. Pod koniec roku 1976 Gierek przeprowadził nowy „manewr ekonomiczny”, którego celem było zwolnienie tempa wzrostu i ograniczenie inwestycji, redukcja materiałochłonności produkcji oraz przesunięcie zasobów wytwórczych na produkcję eksportową, produkcję dóbr konsumpcyjnych, rolnictwo i budownictwo mieszkaniowe.

Zespół reform mikroekonomicznych, wprowadzony w roku 1973 w ramach nowego systemu zarządzania i finansowania przedsiębiorstw, a zmierzający do zapewnienia większej samodzielności WOG-om i zjednoczeniom, wkrótce musiał być ograniczony ze względu na konieczność interwencji szczebla centralnego w obliczu występującego na wszystkich płaszczyznach braku równowagi. Głównym efektem tych reform było przyzwolenie na wzrost inflacji w następstwie rozluźnienia kontroli płac i cen oraz zwiększenie nakładów inwestycyjnych i importu w rezultacie pewnej decentralizacji w tym zakresie. Zmodyfikowany system zarządzania gospodarczego i finansowego, wprowadzony następnie w roku 1977, był kolejną nieprzekonywającą próbą zrównoważenia gospodarki, zwiększającą jedynie odseparowanie polskiej gospodarki od rynków światowych.

Po roku 1976

Już na początku roku 1977 wyraźne stało się, że „strategia gospodarcza lat 1972–1976 została skompromitowana i powstały wątpliwości, czy Polska zdoła uniknąć konieczności przesunięcia spłaty długów przed końcem dekady”.⁴ Napływ zachodnich kapitałów przekroczył zdolności absorpcyjne gospodarki. Powstały wąskie gardła w budowie i opóźnienia w realizacji projektów inwestycyjnych. Gwałtowny wzrost konsumpcji podniósł oczekiwania społeczne do nowego poziomu, na którym nie można było ich zaspokoić. Niezwykle trudne stało się w tej sytuacji kontrolowanie dochodów pieniężnych, co stwarzało nadwyżkę popytu nad podażą i prowadziło do inflacji.

Produkcja wielu gałęzi i działów przemysłu, wyselekcjonowanych do specjalizacji, była wysocę materiałochłonna, szczególnie na materiały importowane, w tym często za dolary. Ołbrzymia ekspansja przemysłu stalowego, samochodowego, stocznioowego i petrochemicznego w połowie lat siedemdziesiątych była wyraźnie nieuzasadniona. Część zakupionych maszyn i urządzeń można było nabyć na dogodnych warunkach właśnie dlatego, że były nieekonomiczne bądź przestarzałe. Przemysł maszynowy, który w założeniu miał przodować w eksporcie do strefy dolarowej, w rezultacie miał mniejszy udział w imporcie urządzeń z Zachodu niż niektóre inne gałęzie.

Fakt, iż władze próbowały wprowadzić podwyżkę płac w czerwcu 1976 roku, zważywszy na okoliczności, w jakich przejęły kierowanie krajem, wykazał zdumiewający brak wrażliwości politycznej i wiarę w rzucane przez siebie hasła „propagandy sukcesu”. Przeprowadzona następnie zmiana kursu miała niezdecydowany charakter. Nie obejmowała fundamentalnej rewizji całkowicie nierealistycznego planu na lata 1976–1980 i prowadziła bezpośrednio do obecnego impasu.

Tak zwane kampanie na rzecz produkcji eksportowej i na wewnętrzny rynek konsumpcyjny spowodowały poważne zachwianie równowagi gospodarczej już przed rokiem 1978. Planisci starali się osiągnąć zaplanowane cele poprzez zwiększanie zadań produkcyjnych poszczególnych przedsiębiorstw. Wysoka energochłonność i materiałochłonność produkcji, w połączeniu ze znacznym ograniczeniem importu, spowodowanym koniecznością spłacania odsetek od zaciągniętych kredytów (rezultatem było praktyczne utrzymywanie się importu na tym samym poziomie w roku 1977 i 1978) spowodowały gwałtowne tworzenie się wąskich gardeł. Odbiło się to na produkcji cementu, tworzyw sztucznych, nawozów sztucznych, a także na przemyśle metalurgicznym i farmaceutycznym. Dostawy energii i transport były chaotyczne. Od momentu wprowadzenia administracyjnych ograniczeń importowych zaczęło działać prawo „zwielokrotniania się skutków wąskich gardeł”, uwidatniły się braki materiałowe i niedopasowanie struktury rzeczowej, nastąpiło ograniczenie dostaw na rynek wewnętrzny i na eksport. Jeszcze silniej zaznaczył się stan braku równowagi na rynku wewnętrznym i w handlu zagranicznym. Pomimo względnie dobrych zbiorów w 1978 roku i zmniejszenia udziału w dochodzie narodowym nakładów inwestycyjnych, nastąpiła stagnacja dochodów realnych, wzrosła nadwyżka popytu na dobra

konsumpcyjne, a w bilansie handlowym zaznaczyła się tylko nieznaczna poprawa. W roku 1979 tendencja spadkowa uwidoczniła się w pełni: moce produkcyjne nie były w pełni wykorzystywane a dochód narodowy zmniejszył się po raz pierwszy od wyprowadzenia centralnego kierowania gospodarką.

Ograniczenia narzucane przez bilans płatniczy trzymały gospodarke i planistów w okowach. Każda próba zmniejszenia nacisków powodowała jedynie, iż pęta zaciskały się coraz bardziej. Proces ten spolegował jeszcze rozwój wypadków na innych płaszczyznach. Wskaźnik *terms of trade* dla Polski spadł w roku 1979 o 3%, przy czym o 4% w wymianie handlowej ze strefą dolarową. Wydawało się, że Związek Radziecki przyszedł Polsce z pomocą w roku 1977. Eksport radziecki do Polski wykazał wówczas nadwyżkę na sumę 360 milionów dolarów. Ale już w roku 1978 obroty handlowe Polski ze Związkiem Radzieckim były zrównoważone, a w 1979 roku Polska miała nadwyżkę eksportu do ZSSR wartości 250 milionów dolarów (ogólna nadwyżka eksportu do krajów socjalistycznych wyniosła w tym roku 350 milionów dolarów).⁶ Import maszyn został zmniejszony na rzecz importu paliw, surowców i półproduktów, szczególnie w wymianie handlowej z Zachodem. Nadal jednak potrzebne były dostawy sprzętu, koniecznego do dalszej realizacji rozpoczętych inwestycji, a także dostawy części zamiennej półproduktów. Nadal więc wyroby przemysłu maszynowego stanowiły 30% polskiego importu z Niemiec Zachodnich, Francji i Wielkiej Brytanii (trzech z czterech głównych partnerów handlowych Polski na Zachodzie). Na drugim miejscu na listach zakupów w tych trzech krajach znajdowały się produkty chemiczne. Stany Zjednoczone znajdowały się na trzecim miejscu wśród zachodnich partnerów handlowych Polski, dostarczając Polsce przede wszystkim zboża. Ogółem, import zbóż i pasz wzrósł w roku 1979 do 8.7 miliona ton, na co wpływ miały złe zbiory (tablica 7). Jednocześnie konieczność zwiększania eksportu dolarowego powodowała odpływ surowców z rynku wewnętrznego.

Kredyty z Zachodu

A tymczasem banki zachodnie nadal udzielały pożyczek. Różpisana na wiosnę 1979 roku pożyczka, o którą wystąpiono do konsorcjum banków zachodnio-europejskich, miała na celu zebranie 500

milionów dolarów, ale subskrybenci zgłosili się w nadmiarze i zebrano 550 milionów dolarów. Jeszcze na jesieni 1979 w raporcie na temat gospodarki polskiej wysnuto wniosek, że „bankierzy w Londynie i Frankfurtie podzielają opinię, iż Polska odniosła w tym roku sukces zmniejszając deficyt handlowy praktycznie do zera (sic)... Niezależnie od przyjętych przez władze polskie środków w celu przywrócenia stanu równowagi, na bankierach korzystne wrażenie wywarły zasoby surowców mineralnych, jakimi dysponuje Polska... Bankierzy widzą możliwość krótkookresowych problemów... ale w dłuższej perspektywie przyszłość przedstawia się pomyślnie”.⁶ A właśnie wtedy, pod koniec dekady, zaczynało się stopniowe odraczanie terminów płatności niektórych pożyczek a także zaciąganie nowych pożyczek celem spłacenia starych.⁷

„Re-finansowanie” oznacza przyznanie nowej pożyczki na spłatę w terminie pożyczonego kapitału, a w niektórych wypadkach również odsetek od pierwotnie zaciągniętej pożyczki. Wysokość oprocentowania nowego kredytu, jak również inne warunki, na jakich jest on udzielany, mogą różnić się od warunków, na jakich udzielono pierwotnie pożyczki. Odraczanie płatności oznacza przesunięcie na dalszy termin płatności z tytułu zaciągniętych kredytów, odroczenie spłat kapitału i w niektórych wypadkach spłat odsetek (często z przyznaniem *respiro*, tj. okresu czasu, w którym nie przypadają żadne terminy płatności z tytułu pożyczonego kapitału). Pozostałe warunki pożyczki zwykle pozostają niezmienione. W szczególnych przypadkach zmiana terminu płatności może również wiązać się z odroczeniem bądź przyznaniem *respiro* na płatności z tytułu odsetek, które traktowane są jako część kapitału i dodawane do spłat kapitału przypadających w późniejszych terminach. Odraczanie terminów spłat i re-finansowanie zadłużenia są środkami prowadzącymi do tego samego celu: ułatwienie obsługi długu. Częstość zmiany terminów spłat jest operacją wielostronną, z udziałem wielu wierzycieli i obejmującą wiele pożyczek udzielonych danemu dłużnikowi. We wszystkich tych przypadkach przyczyna jest ta sama: nowe kredyty finansowe i towarowe udzielane dłużnikowi nie wystarczają na pokrycie potrzeb bilansu płatniczego i spłatę tych długów, których termin płatności przypada w danym czasie, a które nie byłyby automatycznie sprolongowane. W niektórych przypadkach sam dłużnik, dobrowolnie, organizuje re-finansowanie kredytów, by skorzystać z dogodniejszych warunków, na jakich może zaciągać nowe pożyczki — na skutek obniżenia

się stóp procentowych, lub dzięki poprawie swej pozycji na rynkach finansowych, które ma miejsce wtedy, kiedy maleje ryzyko niemożności spłacenia pożyczek w ustalonych terminach.

KRYZYS 1980

W takich warunkach znajdowała się Polska przed końcem 1979 roku, lub nawet wcześniej. W 1979 roku Polska zaczęła ubiegać się o kredyt dyferencyjny w wysokości o niezwykle długim terminie płatności. Zazwyczaj import półproduktów finansowany jest w oparciu o kredyty z półrocznymi terminami płatności (180 dni). Polska uzyskiwała jednak kredyty o dwuletnim, a nawet czteroletnim terminie płatności, przy czym zwrot pożyczki nastąpić miał w formie spłaty jednorazowej z chwilą upływu ostatniego terminu płatności, a nie ratałnie. Polska zaczęła nawet kupować zboże w oparciu o dwuletnie kredyty. Tego typu zmiana zwykłej praktyki finansowej umożliwia rozwiązanie niektórych minowych problemów płatniczych przez odroczenie terminów płatności, ale odbywa się to kosztem skomasywania zobowiązań płatniczych w przyszłości. Dodawszy dwa-trzy lata do okresu 1978-1979 otrzymujemy rok 1981-1. Komasaacja zobowiązań płatniczych tego piana problemem, właśnie teraz. Koniec roku 1979 był świadkiem znaczącego odstępstwa od zwykłej procedury zaciągania kredytów. W tym czasie zrealizowano jakościową zmianę pozycji Polski na rynku dłużnika. Polska otrzymała od Francji ośmiolletnią pożyczkę w wysokości 250 milionów franków na warunkach komercyjalnych, w ramach kredytu respiro. Pożyczka ta miała umożliwić wywiązanie się z przypadających w roku 1980 zobowiązań płatniczych z tytułu długoterminnych kredytów eksportowych dla Polski. Zrefinansowanie tych kredytów było kosztowne, a sam fakt, że Polskę zgodziła się na przyjęcie takich warunków, komercyjalnych wskazywał na to, w jak trudnej sytuacji się znajdowała. Pierwotnie, udzielone kredyty były bonifidami, nie oprocentowane. Francja nie mogła jednak zgodzić się na odroczenie terminu płatności z tytułu pierwszej pożyczki, utrzymując przy tym pierwotne warunki bez naruszania przyjętych na Zachodzie zasad ustalających minimalną stopę procentową i maksymalny termin płatności dla kredytów eksportowych gwarantowanych przez rząd.

Plan na rok 1980

Już przed rokiem 1980 zachodnio-niemieckie koła finansowe były podobno przekonane o konieczności konwersji polskiego zadłużenia. Cytowano wypowiedź zachodnio-niemieckiego bankiera, według którego niezbędna stała się konwersja długów.¹¹ Polska wkroczyła jednak w rok 1980, unikając tych ewentualności, mając przygotowany plan, który przewidywał zrównoważenie bilansu handlowego ze strefą dolarową. W porównaniu z rokiem 1979 oznaczało to redukcję deficytu w bilansie handlowym o półtora miliarda dolarów. Równało się to ogólnej redukcji deficytu w obrotach handlowych z Zachodem, jaką Polska zdołała osiągnąć na przestrzeni lat 1976-1979. Polska zamierzała zrezygnować ten plan, zmniejszając import dewizowy, przy jednoczesnym wzroście eksportu dewizowego o 19%.¹² Plan zakładał wzrost dochodów realnych na głowę ludności o 1,2%, oraz zmniejszenie udziału nakładów inwestycyjnych w dochodzie narodowym z 23% w roku 1979 do 17-18% w roku 1980. Na tej podstawie Polska wystąpiła na wiosnę 1980 roku do konsorcjum zachodnich banków o kolejną pożyczkę rzędu 500-550 milionów dolarów.

Przedstawiciele zachodnich banków spotkali się w kwietniu z przedstawicielami władz polskich w Warszawie, domagając się bardziej szczegółowych danych o tym, w jaki sposób Polska chce zrealizować te ambitne plany. Jednocześnie wyniki obrotów handlowych na rynku dolarowym za pierwszy kwartał roku 1980 wykazywały znaczną poprawę w porównaniu z tym samym okresem w roku poprzednim. W dużym stopniu poprawa ta wynikała z faktu, że zima 1978/1979 poważnie odbiła się na produkcji i handlu. Wskazywała ona wyraźną — jak wydawało się — poprawę, odnotowując faktyczny wzrost stopy procentowej na rynkach międzynarodowych pogarszając stosunek płatności z tytułu obsługi kredytów (spłaty plus oprocentowanie) do eksportu, być może sądząc, że bardziej dramatyczna poprawa niż pierwotnie planowano, była niezbędna dla utrzymania zaufania wierzycieli. I przypuszczalnie czerpiąc zachętę z faktu iż miejsce w rządzie zajęła nowa ekipa z Edwardem Babiuchem na stanowisku premiera, polscy planiści zgłosili propozycję dalszego zwiększenia eksportu na rynek dolarowy o 560 milionów dolarów. Wzrost wartości eksportu na rynek dolarowy dzięki zwiększeniu eksportu na rynek dolarowy o 560 milionów dolarów.

80

kowy eksport samochodów osobowych i ciężarowych wartości 100 milionów dolarów oraz eksport produktów rolnych wartości 80 milionów dolarów. Ujawniono później, że wartość dostaw przeznaczonych pierwotnie na rynek wewnętrzny, a skierowanych na eksport, szacowano na 45 miliardów złotych¹³, czyli równowartość około 3% dochodów pieniężnych ludności. Była więc to kolejna próba naprawienia zwichniętej równowagi w handlu zagranicznym kosztem dalszego zachwiania równowagi na rynku wewnętrznym.

Nowe plany

Te nowe plany, zakładające wzrost eksportu dewizowego o 27% w porównaniu z rokiem 1979, były całkiem wyraźnie absurdalne. Przemawiając w Chicago 12 maja, minister finansów Marian Kądzak oświadczył, iż stanowią one „konieczny krok w obecnej sytuacji płatniczej”. Zważywszy na istniejące bariery i ograniczenia, tym ważniejsze jest, by unikano opracowywania obecnie nierealistycznych i potencjalnie szkodliwych planów, które opierają się na niewykonalnych założeniach. W takich warunkach niezbędne jest albo pokonanie barier, albo zmiana celów. W przypadku Polski można wysuwać argument, iż władze starając się wywrzeć pozytywne wrażenie na bankach i uniknąć konwersji zadłużenia, przyjęły kierunek działania, który ostatecznie doprowadził do kryzysu. Tego typu rozważania niczemu jednak nie służą — zasadnicze znaczenie ma to, aby planiści nie przedstawiali w przyszłości nierealistycznych planów ani zachodnim wierzycielom, ani własnemu społeczeństwu. Alternatywną hipotezą, że planiści sami poszli na lep własnej „propagandy sukcesu” ma równie niepokojące konotacje. Można wszakże przypuszczać, że dalszy bieg wypadków zmienił ich punkt widzenia na tyle skutecznie, że w przyszłości podobna sytuacja się nie powtórzy.

11 czerwca Bank Handlowy w Warszawie poinformował banki zachodnie, że „rozpoczęto wprowadzanie zmian w strukturze cen detalicznych” i „ustalono nowe zasady kontroli bankowej nad systemem płac”. Czy uwaga o zmianie struktury cen odnosiła się również do podwyżki z dnia 1 lipca, nie wiadomo, ale zmiany musiały obejmować przynajmniej uchwaloną 1-go maja przez Radę Ministrów podwyżkę cen niektórych dóbr konsumpcyjnych trwałego użytku, importowanych papierosów i napojów hazardowych. Niezależnie od

tego jak było w rzeczywistości, dane przedstawione bankom uznano za wystarczające i pożyczkę przyznano. Trudno jednak przyszło znaleźć subskrybentów i pożyczka okazała się „ślakiem”. Uzyskano jedynie 325 milionów dolarów, z czego 45 milionów pochodziło z czterech wschodnio-europejskich banków, działających na Zachodzie (między innymi moskiewski Narodnyj Bank). Pożyczkę zatwierdzono zanim strajki osiągnęły punkt krytyczny, ale sama ceremonia podpisania miała miejsce pod koniec sierpnia. Jeden z bankierów oświadczył wówczas: „Opóźnienie w przyznaniu pożyczki byłoby równoznaczne z zapoczątkowaniem generalnej zmiany terminów płatności. Zamiast tego ma miejsce swojego rodzaju konwersja zadłużenia ... Banki, w przypadku długów, których płatność przypada w tym roku, uelastyczniają terminy spłat”.¹⁴ Tymczasem, pod znaczną presją rządu, syndykat banków zachodnio-niemieckich przyznał Polsce w lipcu pożyczkę w wysokości 1,2 miliarda marek (Polska wystąpiła o półtora miliarda), z czego jedna trzecia miała gwarancje rządowe.

WYJAŚNIENIE OKOLICZNOŚCI OBECNEGO KRYZYSU

Można wysunąć wniosek, że strajki wybuchły i zaoczyły szersze kręgi, gdyż robotnicy zdali sobie sprawę z powagi gospodarczych problemów kraju i z niezdolności władz do przyjęcia innego kierunku działania niż ograniczanie importu, wstrzymanie wzrostu gospodarczego i ograniczanie spożycia. Planisci mogli jednak sądzić, że przybliżone zrównoważenie bilansu handlowego na rynku dolarowym, jakie zdołano osiągnąć w pierwszej połowie 1980 r., uzasadnia przyjęcie politykę gospodarczą, dzięki której uzyskano także dwie nowe pożyczki. Z drugiej jednak strony, już przed końcem czerwca rząd musiał obniżyć planowane wskaźniki w zakresie produkcji przemysłowej z powodu braków materiałowych. Jednocześnie dochody pieniężne wzrastały szybciej niż przewidywano, a plany budownictwa mieszkaniowego były w dużym stopniu niewykonane.¹⁵

Kierownictwo polityczne

Większą wagę ma interpretacja źródeł kryzysu niż zewnętrznych form, w jakich się ujawnił. Istnieje kilka możliwych sposobów wyja-

nienia przyczyn kryzysu, po części różniących się między sobą, po części wzajemnie się uzupełniających. Błędy polityczne i nieudolność mogłyby tłumaczyć wiele. Można by uznać, że gospodarka postawiła się w zasadzie prawidłowym kursem, biorąc pod uwagę znaczną poprawę w handlu zagranicznym i wprowadzenie pewnych reform; przy takim założeniu zwolnienie tempa wzrostu produkcji można by uznać za nieunikniony rezultat jakiegokolwiek programu stabilizacji. Ale podwyżka cen mięsa, którą pierwotnie można było uważać za nie mającą większego znaczenia, za ostrożną, a nawet zręcznie wprowadzoną, w rzeczywistości stanowiła akt przekroczenia pewnego progu gospodarczego i politycznego, raz jeszcze udowadniając brak wrażliwości władz na reakcję społeczeństwa. Nieudolność polityczna jest wyraźna, natomiast twierdzenia, że gospodarka polska u swych podstaw była zdrowa i względnie zrównoważona, upadają w świetle niemal wszystkich danych z okresu ubiegłych pięciu lat.

Sytuacja finansowa

Drugim czynnikiem był fakt zaciągania względnie krótkoterminowych kredytów na realizację projektów inwestycyjnych, w przypadku których zwrot nakładów następuje po długim okresie czasu (eksploatacja surowców). Jako że przez szereg lat płatności z tytułu takich kredytów nie mogły być w pełni pokryte produkcją eksportową wybudowanych już przedsiębiorstw, niezbędne stało się ograniczenie importu i przeorientowanie dostaw na eksport. To z kolei uruchomiło spiralę prowadzącą do zwielokrotnienia ujemnych skutków wąskich gardeł.

Proces ten, poczynszy od roku 1975, spotęgowały jeszcze fatalne zbiory spowodowane niezwykle złą pogodą. Kulminacją był tu wręcz katastrofalny zbiór ziemniaków i roślin pastewnych w roku 1980. Inną zmienną pozostającą poza kontrolą planistów była stopa procentowa na międzynarodowym rynku finansowym, która poszła w górę w ślad za rosnącą inflacją. Chociaż inflacja obniżała wartość realną pożyczonego kapitału, wyższa stopa procentowa zwiększała wysokość płatności z tytułu odsetek. Ogólnym rezultatem było przesunięcie ciężaru spłat na bliższy termin, co potęgowało jeszcze bardziej opisane wyżej problemy z tytułu spłat. Inflacji towarzyszyła również recesja na Zachodzie, zmniejszająca popyt na import pols-

kich towarów. Ale jak wykazuje tablica 5. rzeczywisty eksport Polski do krajów niesocjalistycznych nie wzrastał w o wiele mniejszym tempie niż ogólny eksport w połowie i pod koniec lat siedemdziesiątych. Wynikałoby z tego, że zasadniczą rolę w potęgowaniu się trudności gospodarczych odgrywała kwestia podaży.¹⁶ Ponadto Polska, porzucając od roku 1974, nie mogłaby pożyżać z taką łatwością na Zachodzie, gdyby recesja nie zmusiła zachodnich eksporterów i finansistów do poszukiwania klientów.

Strategia Gierka oparta była na błędnych założeniach, a następnie źle była realizowana w praktyce. Zakładała ona specjalizację w niewłaściwych kierunkach produkcji i przy wykorzystaniu niewłaściwej technologii, przy czym — co ważne — następowało to w okresie gwałtownych zmian we wzajemnych relacjach cen światowych. Nowe moce produkcyjne w zbyt wysokim stopniu uzależnione były od dóbr importowanych i nie były wystarczająco nakierowane na eksport. Istotną rolę odgrywał tu także fakt, że nakłady inwestycyjne przewyższały możliwości ich asymilacji przez gospodarkę przy jednoczesnej słabej kontroli szczebla centralnego nad działalnością inwestycyjną poszczególnych przedsiębiorstw oraz przy nieuzasadnionym przekonaniu, że szybki wzrost płac realnych stanie się bodźcem do zwiększenia wydajności produkcji, podczas gdy w rzeczywistości wzrost dochodów stał się jedynie bodźcem wzrostu aspiracji konsumpcyjnych społeczeństwa. Ogólnie biorąc, taka strategia wywierała zbyt dużą presję na gospodarkę na szczeblu makroekonomicznym w warunkach spadającego wzrostu siły roboczej i pogarszającej się sytuacji gospodarki światowej. Nadwyżki importowe i akumulacja długów były także zjawiskiem makroekonomicznym, a nie jedynie konsekwencjami zakupów maszyn i urządzeń.

Rolnictwo

Dochodzi do tego błędna polityka rolna. W rękach indywidualnych rolników znajduje się 80% ziemi uprawnej, ale tylko jedna czwarta ogólnych nakładów inwestycyjnych i kredytów na produkcję rolną przypadła w udziale indywidualnym gospodarstwom. Co więcej, wobec indywidualnych rolników stosowano politykę restrykcji przy dostawach nawozów sztucznych oraz innych dóbr inwestycyjnych. Rolnictwo jest zacofane, nie doinwestowane, a przy tym struktura cen

produktów rolnych nie je się ani bodźcem do zwiększania produkcji. Młodzież zwykle opuszcza wieś. Wszystko to składa się na szczególną zależność polskiego rolnictwa od kaprysów pogody i pomaga w zrozumieniu stałej konieczności importu zboża. W roku 1980 importowano około 140 milionów ton (ponad połowę krajowej produkcji) za cenę znacznie przewyższającą miliard dolarów.

Czynniki ustrojowe

Wielu obserwatorów podkreśla znaczenie ustrojowych problemów gosp. darki, która jest zbyt centralistycznie zarządzana i pozbawiona zarówno rynków, organizujących wymianę towarów jak i cen, w oparciu o które można by podejmować decyzje. Nic dziwnego więc, że decyzje inwestycyjne oraz dotyczące importu i eksportu były błędne, a problemy z brakiem materiałów, transportem i zaopatrzeniem rynku zwielokrotniły się w sytuacji wielkich napięć, gdy przedsiębiorstwa eksportowe nie były w stanie elastycznie reagować na zmiany na rynkach zachodnich. W takim układzie konsumpcja nie może oddziaływać stymulująco na wydajność pracy. Całkowicie wypaczona struktura cen dóbr konsumpcyjnych, w połączeniu z brakiem elastyczności po stronie podaży tych dóbr, powoduje powstawanie produkcji nieefektywnej oraz kształtowanie się nieracjonalnej struktury spożycia (łącznie ze względnie wysokim spożyciem mięsa, które władze starały się ograniczyć). Niezdecydowane próby wprowadzenia większej elastyczności w kształtowaniu cen i płac prowadziły jedynie do inflacji i utraty kontroli nad ilością pieniądza w obiegu. Jednakże argumentem przemawiającym przeciwko powyższemu rozumowaniu jest to, że inne kraje, jak Czechosłowacja i NRD, o niemal identycznym systemie, a słabszej bazie surowcowej, nie stoją (jeszcze) w obliczu kryzysu. Innym takim argumentem jest fakt, że eksport polskich towarów do krajów o gospodarce wolnorynkowej rozwijał się szybciej niż eksport do każdego z państw RWPG Europy Wschodniej z wyjątkiem Rumunii.

Kadry kierownicze gospodarki

Niekompetentne kierownictwo gospodarcze prawdopodobnie odgrywało też swoją negatywną rolę, niezależną od błędnej polityki gospodarczej i czynników ustrojowych. W czasie rządów Gierka rażą-

co obniżyły się kryteria selekcji i awansu kadr kierowniczych, co prowadziło do powszechnie spotykanej nieudolności i korupcji. Szczegóły obecnie wychodzą na jaw.

Zachód

W ostatecznym rozrachunku sam Zachód nie był jedynie biernym obserwatorem, ale aktywnie zachęcał Polskę do zaciągania kredytów i importowania zachodnich maszyn i technologii. Główne banki handlowe występowały na tym polu z inicjatywą, a wśród rządów państw zachodnich władze francuskie prowadziły szczególnie agresywną politykę udzielania kredytów towarowych. Kredyty napływające do Polski nie spowodowały uregulowania problemów handlu zagranicznego, ale stały się źródłem trudności. Zachodni eksport maszyn i urządzeń stwarzał na Zachodzie miejsca pracy, ale dużo z zakupionych przez Polskę maszyn stoi teraz bezczynnie.

Implikacje

Błędne decyzje inwestycyjne na ogół są nieodwracalne i niektóre podjęte przez Polskę budowy prawdopodobnie będą musiały być zarzucone. Utrata kontroli politycznej także może, przy najmniej częściowo, okazać się nieodwracalna, choć istnieje możliwość wyłonienia się władzy politycznej cieszącej się większym społecznym poparciem i autorytetem niż poprzednio. Ale to może nie wystarczyć, by znalazło się silne, skutecznie działające kierownictwo ekonomiczne. Pogoda, popyt w krajach zachodnich i stopa dyskontowa mogą poprawić się, choć prawdopodobnie na krótką metę poprawa nastąpić może wyłącznie pod względem pogody. Zarządzanie gospodarką i sam system gospodarczy powinny i mogą być zreformowane. Ogólne kierunki takiej reformy są w większości ewidentne. Ważne są jednak także szczegóły, i te powinny być starannie opracowane. Polski konsument i zachodni wierzyciele będą musieli wykazać powściągliwość i zgodzić się na wyrzeczenia. A wszystko to dokonać się musi w połączeniu z jeszcze jedną zmianą, która jest możliwa do przeprowadzenia, mianowicie dopasowaniem wielkości i terminów płatności tytułu zaciągniętych przez Polskę kredytów, do zdolności Polski w tym zakresie w najbliższych latach.

Problemy płatnicze prawdopodobnie były i są najważniejsze, a to w tym sensie, że gdyby komasacja terminów płatności przypadła w roku 1985, a nie teraz, to polska gospodarka prawdopodobnie dałaby sobie z nimi radę. Następne miejsce pod względem znaczenia ma sprawa polityki makroekonomicznej, a bezpośrednio za nią polityki rolnej. Tak się składa, że zmiany na tych trzech płaszczyznach są możliwe. Gdyby przeprowadzono je właściwie, to mogłaby przynieść istotne korzyści w krótkiej i średniej perspektywie czasowej. Jednak po natychmiastowym usunięciu największych dysproporcji, jedynie w dalszej perspektywie można oczekiwać rzeczywiście pozytywnych rezultatów dzięki reformom gospodarczym. Decentralizacja i elastyczna struktura cen nie miałyby żadnej szansy powodzenia, jeżeli zostałyby wprowadzone przed uzyskaniem stanu względnej równowagi w skali makroekonomicznej.

PERSPEKTYWY GOSPODARCZE

Zmiany w funkcjonowaniu gospodarki wprowadzone 1 stycznia 1981 r. są pożyteczne, choć mają drugorzędne znaczenie. Przedsiębiorstwa otrzymały mniejszą liczbę wskaźników planowych oraz większą swobodę wyboru struktury asortymentowej produkcji na podstawie otrzymanych zamówień (choć przy braku rozsądnej struktury cen nawet tu powstają niebezpieczeństwa, a zamiar przyznania przedsiębiorstwom większej swobody w określaniu wysokości funduszu płac będzie musiał być realizowany z wielką ostrożnością), zaś banki mają większe uprawnienia kontrolne nad wydatkami inwestycyjnymi. Dużo bardziej obiecujące są takie zmiany, jak propozycja przedstawienia potencjału wytwórczego na potrzeby rolnictwa, zamierzane zwiększenie dostaw nawozów sztucznych i nowe pozytywne nastawienie wobec rolnictwa indywidualnego. Ale musi się to jeszcze doczekać przetłumaczenia na zespół konkretnych działań. Podwyższe cen skupu artykułów rolnych, ogłoszonej w listopadzie 1980 roku, towarzyszyło podniesienie cen nawozów. Nie jest więc jasne, w jakim stopniu te zmiany odegrają rolę bodźców.

Nadzwyczajny IX Zjazd PZPR zaplanowano na koniec marca lub początek kwietnia. Na jego pracach omawiany ma być trzyletni plan przy-

wrócenia stanu równowagi i debatowane założenia fundamentalnych reform systemu gospodarczego. Plan dotychczas nie został opublikowany. natomiast przedstawiono założenia reformy.¹² Są one jednak ogólnikowe, że trudno o nich powiedzieć coś konkretnego. ponadto że — zgodnie z popularną opinią — przedstawiają one system łączący, w zamierzeniu, elementy jugosłowiańskiego samorządu robotniczego z węgierskim regulowanym socjalizmem rynkowym.

Propozycje reform

Propozycje reform wyraźnie opowiadają się za zniesieniem odgórnie ustalanych, obowiązkowych wskaźników planu dla przedsiębiorstw, a co za tym idzie, za zniesieniem wszelkiego rodzaju bodźców bazujących na wykonaniu tychże planów. Proponowane jest dalej stopniowe zniesienie rozdzielnictwa i reforma cen hurtowych. Uprawnienia robotniczych rad samorządowych nie są skonkretyzowane i rady albo mogą otrzymać znaczny zakres wpływów, bądź ich istnienie może być sprowadzone do czysto formalnej roli. Przedstawiane są też znacznie różniące się między sobą warianty systemu samofinansowania (i opodatkowania) przedsiębiorstw. Proponuje się trzyfazową realizację reformy:

- 1) do połowy roku 1981 weliminowanie organów administracyjnych średniego szczebla, uproszczenie sposobów zarządzania przedsiębiorstwem przez ograniczenie interwencji administracyjnej oraz opracowanie reformy cen i innych szczegółowych propozycji reform;
- 2) do końca 1981 — opracowanie ustawodawstwa prawnego w zakresie działalności przedsiębiorstw i roli planu centralnego oraz przygotowanie nowego systemu ekonomicznych (parametrycznych) narzędzi;
- 3) rok 1982 — zmiany instytucjonalne. Przedstawiony dokument założeń reformy przedkłada także różne propozycje zrównoważenia popytu i podaży dóbr konsumpcyjnych, przyznając, że zachwianie równowagi tak na płaszczyźnie makro- jak i mikroekonomicznej może unicestwić wszelkie próby reform. Jednym z wariantów, jaki ma być poddany pod rozważenie, jest daleko idąca zmiana poziomu i struktury cen dóbr konsumpcyjnych.

Gospodarka w najbliższej przyszłości

Z wyjątkiem reformy struktury cen, tego typu propozycje w niewielkim tylko stopniu przez najbliższe lata mogą wpłynąć na zdolność aparatu wytwórczego do zaktywizowania eksportu i zastąpienia dóbr importowanych produkcją krajową. Z drugiej jednak strony pamiętać należy o tym, że stan gospodarki w najbliższej przyszłości będzie czynnikiem decydującym o tym, w jakim klimacie przebiegać będzie dyskusja o reformie. Obraz obecnego stanu rzeczy nie napawa otuchą, chociaż wobec braku zapowiedzianego trzyletniego planu (a nawet szesnastomiesięcznego planu na rok 1981) trudno umieścić posiadane wyrywkowe informacje w szerszym kontekście. W roku 1980 dochód narodowy spadł o 4%, globalna produkcja rolna spadła w tym okresie o 10%, a produkcja przemysłowa o 3%. A przecież w pierwszej połowie 1980 roku wartość produkcji przemysłowej była o 7% wyższa od wartości produkcji w tym samym okresie roku 1979. Można stać wnioskować, że w drugiej połowie 1980 roku nastąpił co najmniej 10-procentowy spadek produkcji w porównaniu z drugą połową 1979 r. W październiku 1980 roku przeciętne płace nominalne kształtowały się na poziomie o 17% wyższym niż płace w październiku 1979 roku, co po części można przypisać efektom porozumień kończących strajki. Dochody pieniężne na przestrzeni całego roku 1980 były wyższe o 10% od dochodów w roku 1979, a oczekuje się, że wzrosną o dalsze 17% w roku 1981, w porównaniu z poziomem w roku 1980. Dodać tu należy, że porozumienia gdańskie przewidują utrzymanie cen na podstawowe artykuły konsumpcyjne na stałym poziomie. Po trudnym okresie, w czasie którego braki w handlu detalicznym były szczególnie silnie odczuwalne, co było następstwem gromadzenia zapasów, wydaje się że w zaopatrzeniu nastąpiła pewna poprawa. Braki ograniczają się obecnie przede wszystkim do artykułów spożywczych, na produkcję których bezpośredni bądź pośredni wpływ miały zle zbiory. Chociaż plan na rok 1981 przewiduje wzrost produkcji rolnej o 14% (to znaczy do poziomu z roku 1979), przewiduje się jednocześnie konsumpcję niższą o 4% w porównaniu z rokiem 1980. Przy niezmiennym poziomie cen podstawowych dóbr konsumpcyjnych oznaczałoby to, że wystąpi olbrzymia dodatkowa nadyżyzna popytu. Racjonalizacja niektórych tylko produktów żywnościowych nie wystarczy do kontroli szkodliwych objawów nadyżyzki siły nabywczej.

Zakłócenia produkcji i braki materiałowe spowodowały, że gospodarka w wielu dziedzinach pracowała poniżej mocy aparatu wytwórczego. Najpoważniejszym problemem jest tu spadek produkcji węgla kamiennego. Według obliczeń produkcja węgla w roku 1980 wynosiła 13 milionów ton poniżej planowanego poziomu 206 milionów ton. W rezultacie eksport węgla był niższy o 12 milionów ton niż przewidywały plany (43 miliony ton), co stanowi równowartość 600 milionów dolarów, czyli 3% wartości całego eksportu. Spadły także dostawy węgla do zakładów chemicznych, metalurgicznych i cementowni. Ocenia się, że jedna trzecia strat jest rezultatem strajków. Resztę przypisuje się reorganizacji czasu pracy i układu zmian roboczych. Przewiduje się, że w wyniku tych strat produkcja węgla w roku 1980 nie osiągnie nawet poziomu 190 milionów ton.¹⁸ Ucierpia także eksport miedzi, jednego z innych podstawowych surowców eksportowych. Produkcja żelaza, stali i miedzi spadła, w każdej dziedzinie o 5% w porównaniu z rokiem poprzednim. Według planistów eksport węgla do roku 1982 podniesie się do poziomu z roku 1979, a eksport miedzi przekroczy nawet poprzedni poziom. Nie jest jednak jasne, na jakich założeniach mogą się opierać takie prognozy w obecnej sytuacji. Według planów zasadniczym posunięciem w celu przywrócenia równowagi gospodarczej będzie zmniejszenie inwestycji o 15%. Oznacza to wstrzymanie realizacji co najmniej sześćdziesięciu większych projektów inwestycyjnych. Planisci utrzymują wszakże, iż nie będzie to miało większego wpływu na eksport.

Tak przedstawia się sytuacja w najbliższej przyszłości. Wydaje się ona nadzwyczaj trudna. Pomimo oczekiwanej poprawy produkcji rolnej, dochód narodowy — według najbardziej optymistycznych ocen utrzyma się w roku 1981 na tym samym poziomie co w roku 1980, czyli będzie niższy o ponad 5% od roku 1978. Ale zgodnie z tradycją optymistycznego patrzenia w przyszłość, planiści przewidują, że wartość całego importu spadnie o 3%, natomiast wartość eksportu będzie o 5% wyższa.

Węgiel
Żelazo

PERSPEKTYWY NA ŚREDNIĄ METĘ

A jakie są możliwości polskiej gospodarki na średnią i dłuższą metę? Czy Polska będzie w stanie wywiązać się ze zobowiązań zagranicz-

nych i jednocześnie zaspokoić wewnętrzne potrzeby? Jak silna jest baza gospodarcza Polski? Czy wystarczy zapewnić odpowiednie warunki rolnictwu, skierować produkcję surowców z powrotem na właściwe tory, wprowadzić rozwiązania pozwalające na oszczędności materiałów i energii, zapewnić stałe dostawy półfabrykatów, tak by wykorzystać w pełni moc wytwórczą? A może konieczne jest również bardzo poważne zwiększenie eksportu produktów końcowych na Zachód? W odniesieniu do tej ostatniej kwestii sędzę, iż nie byłoby to niezbędne; co też uznać można za szczęśliwy układ, gdyż moim zdaniem, zwiększenie tego rodzaju eksportu jest praktycznie niemożliwe. W czerwcu bieżącego roku Bank Handlowy w piśmie do zachodnich finansistów podkreślał „możliwość rozszerzenia produkcji eksportowej... wyrobów walcowanych, narzędzi maszynowych, traktorów, tkanin, produktów chemicznych, maszyn budowlanych, maszyn do produkcji, dźwigów, włókien sztucznych, mebli oraz przetworów żywnościowych i żywności”. Z niewieloma tylko wyjątkami lista ta obejmuje towary, których podaż na Zachodzie przewyższa popyt lub też towary, na punkcie importu których Zachód jest szczególnie czuły.

Surowce znajdują jednak nabywców. Bilans w handlu produktami rolnymi można odwrócić całkowicie na korzyść Polski, a pełne wykorzystanie mocy wytwórczych zaktywizowałoby zarówno eksport jak i produkcję importowo-oszczędną. Ale wydobycie węgla jest tu słabym punktem, nawet gdyby udało się przywrócić w górnictwie model pracy zbliżony do poprzedniego. Na podstawie wysokiej liczby wypadków w kopalniach można sądzić, że produkcja była ustawiona na zbyt wysokim poziomie. Ponadto wiele zależy od tego, czy w trakcie obecnych negocjacji (patrz niżej) ustalą się możliwe do przyjęcia, z politycznego punktu widzenia, wzorce w zakresie stopy życiowej i warunków zatrudnienia. Niemniej, oceniając widoki w średnim i perspektywnym zakresie czasowym, Polska dysponuje liczącym się potencjałem gospodarczym. W grudniu 1980 r. strona polska zaprezentowała przedstawicielom zachodnich kół finansowych prognozy gospodarcze, według których wielkość eksportu dewizowego w cenach stałych wzrastać będzie o 6% rocznie na przestrzeni lat 1982–1984 i o 8% rocznie w okresie 1985–1987, przy jednoczesnym stałym poziomie wolumenu importu w tym pierwszym okresie i wzroście o 2% rocznie w następnym. Opierając się na założeniu, że ceny światowe wzrastać będą w tempie 8% rocznie, prognozy przewidują, że Polska będzie miała dodatni bilans płatniczy (a więc malejące zadłużenie) od roku 1986.

Wobec braku szczegółowych informacji, nawet informacji o założonej wysokości stopy dyskontowej na Zachodzie, trudno nie zająć sceptycznej postawy wobec takich przepowiedni. O ile jednak plany dotyczące wolumenu importu wydają się narzucać gospodarce nierealne ograniczenia (a przez to są wręcz szkodliwe), plany eksportowe są być może rozsądne.

SYTUACJA FINANSOWA

Sytuacja dewizowa Polski w najbliższym okresie przedstawia się krytycznie i nie wygląda o wiele lepiej w planie średnio-okresowym. Przyjmując, że pod koniec roku 1979 ogólne zadłużenie Polski wynosiło 21,1 miliarda dolarów i dodając do tej sumy deficyt w bilansie płatniczym w roku 1980, około 3,5 miliarda dolarów,¹⁹ otrzymujemy kwotę 24,6 miliarda dolarów jako ogólny stan zadłużenia Polski pod koniec roku 1980. Te obliczenia są powszechnie uznawane za poprawne; większość źródeł przyjmuje, że długi Polski wynoszą 24–25 miliardów dolarów, przy czym Polska posiada tylko skromne rezerwy dewizowe. Według informacji Banku Handlowego z lata 1980 roku, długi przypadające do zwrotu w roku 1981 wynosiły 5,16 miliarda dolarów (Tablica 13). Co najmniej 1 miliard należy dodać z tytułu nowych pożyczek zaciągniętych w roku 1980, celem spłacenia rat przypadających w roku 1981. Daje to 6,2–6,5 miliarda dolarów w samych spłatach kapitału w roku 1981. Przyjmując, że deficyt w bilansie handlowym wyniesie 1 miliard, i że oprocentowanie całego zadłużenia netto czyli 24 miliardów wynosi 12%, i zakładając, że Polska będzie miała dodatnie saldo w obrocie usług oraz wpływy z tytułu innych świadczeń w wysokości 400–500 milionów dolarów, otrzymujemy deficyt w bilansie płatniczym na sumę 3,4–3,5 miliarda dolarów. Ogólne więc potrzeby dewizowe Polski w roku 1981 kształtują się na poziomie 10 miliardów dolarów, z czego 3,5 miliarda stanowią „nowe pieniądze”. Te dwie ostatnie liczby prawdopodobnie można uznać za ostrożne oszacowania.²⁰ Właściwe obliczenie ilości „nowych pieniędzy” musiałoby bowiem obejmować, jako kolejną pozycję, tę część kapitału, której spłaty mogą nie zostać spłacone z tego powodu, iż niektóre rządy i banki mogą starać się zmniejszyć ryzyko strat wynikające z ulokowania pieniędzy w Polsce.

Problem braku dewiz w tym roku spotęgowany jest dodatkowo nie tylko trudnościami, na jakie Polska obecnie napotyka w otrzymywaniu dwuletnich kredytów towarowych, dotychczas wykorzystywanych w praktyce dla spłaty zaciągniętych przedtem pożyczek, ale także trudnościami w otrzymaniu zwykłych półrocznych (180 dni) kredytów na zakup żywności i materiałów. Średni okres nie zapowiada, aby sytuacja zmieniła się na lepsze, ponieważ mało prawdopodobne jest, by poprawa w bilansie płatniczym następowała w szybkim tempie.²¹ Niewielkie jest też prawdopodobieństwo (bez daleko idących porozumień z wierzycielami), aby miała nastąpić konwersja zadłużenia, obejmująca przesunięcie terminów płatności. Można przewidywać, że w okresie 1981-1985 ogólne potrzeby Polski wyniosą 12-15 miliardów dolarów w formie nowej pomocy finansowej, koniecznej, aby uniknąć spadku produkcji i eksportu, spowodowanego wąskimi gardłami. Pomoc ta potrzebna jest również dla osiągnięcia jakiejś takiej równowagi gospodarczej, tak na rynku wewnętrznym jak i zagranicznym. Należy oczekiwać, że do czasu rozwiązania problemu terminów płatności brak dewiz będzie występował w formie ciągłego i niezwykle ostrego kryzysu.

Przyjmując, że w krótkim okresie czasu sytuacją dewizowa Polski będzie krytyczna, uznając, że w średnim okresie Polska będzie stale potrzebowała pomocy finansowej z zewnątrz, ale zakładając też, że w odleglejszej perspektywie Polska może polegać na swym potencjale gospodarczym, oczywistym rozwiązaniem ekonomicznym jest ogólna konwersja zadłużenia i odroczenie spłat pożyczek. Dałoby to Polsce jednocześnie możliwość dostępu do nowych źródeł finansowych na rynku. Niezależnie od tego, czy całą operację nazwać konwersją czy też nie, praktycznie oznacza ona wielostronną zgodę na odroczenie terminów spłat. Częstokroć używane ostatnio w polskiej prasie określenie „moratorium” albo taką właśnie kryje treść, albo jest absurdem. Jednostronna decyzja o nie wywiązaniu się ze spłat czy to kapitału, czy kapitału i procentów, czy też samych procentów, nawet jeżeli zawieszalaby płatności na określony okres czasu, równa się po prostu ogłoszeniu niewypłacalności. Pociąga to za sobą natychmiastowe i nieuniknione konsekwencje prawne: odcięcie dostępu do źródeł finansowych, a co za tym idzie, importu dewizowego, przejęcie polskich statków wraz z ładunkiem itd. Taka sytuacja mogłaby powstać przypadkowo, w tym znaczeniu, iż nagle Polska mogłaby stwierdzić, że nie jest w stanie dokonać w terminie określonej spłaty należnej

wierzycielowi, który nie wykazałby chęci do sprolongowania płatności czy też do konwersji pożyczki. Możliwość takiego obrotu rzeczy jest zaiste główną przyczyną, dla której konwersja powinna być podjęta. Moratorium wprowadzone wobec wybranych wierzycieli miałoby konsekwencje odwrotne od zamierzonych, gdyż wykluczyłoby możliwość jakiegokolwiek wielostronnego porozumienia w sprawie pomocy Polsce i byłoby bezcelowe ze względu na klauzule dotyczące ogłoszenia niewypłacalności, jakie wiążą wzajemne porozumienia w sprawie pożyczek.

KONTEKST POLITYCZNY

Do Polski pasują więc typowe kryteria, w oparciu o które dokonano w przeszłości konwersji zadłużenia innych krajów, zwłaszcza w obliczu możliwości, iż ogłoszą one „natychmiastową niewypłacalność”. Nie oznacza to jednak, że Polska spełnia inne wymogi, to znaczy, że konwersja długów jest receptą na sukces w tym sensie, że umożliwia dłużnikowi wywiązanie się ze zrewidowanych zobowiązań. Aby takie warunki zaistniały, konieczny jest realistyczny program uzdrowienia gospodarki, zwykle określany „programem stabilizacji”, oraz potrzebna jest władza polityczna zdolna do wprowadzenia go w życie. W przypadku Polski taki program musiałby obejmować zmiany w polityce gospodarczej oraz reformy systemu gospodarczego, zarówno w odniesieniu do przemysłu jak i rolnictwa, a także wymagałby wyzrzeń ze strony społeczeństwa przez dłuższy okres czasu.

Władza a społeczeństwo

Nie jest jasne, czy obecne kierownictwo jest zdolne do skonsolidowania swej władzy na tyle, aby przeprowadzić program stabilizacji, lub czy nawet jest na tyle zjednoczone i ma poczucie celu, aby przygotować taki program. Dotychczas partia i rząd zdają się raczej reagować na wydarzenia niż je kształtować, po części dlatego, że partia jest podzielona. Występuje tu co najmniej dwójaki podział. W pierwszym przypadku linia podziału przebiega między kierownictwem centralnym i kadrami terenowymi: kierownictwo centralne gotowe jest na

pewien kompromis, ale nieustannie ma na uwadze ogólny autorytet partii i sposób, w jaki sytuacja odbierana jest przez Związek Radziecki; aparat terenowy zainteresowany jest przede wszystkim w zachowaniu własnej władzy. W drugim przypadku po jednej stronie znajduje się kierownictwo jako całość, po drugiej szeregowi członkowie partii. Kierownictwo jako całość skłonne jest sądzić, że zmiany personalne zastępują sformułowanie konkretnego programu, podczas gdy szeregowi członkowie domagają się i potrzebują programu, który wyznaczyłby kierunek działania i dał im przekonanie, że partia może ocalić swą pozycję. Podobnie jak na jesieni ubiegłego roku, w przypadku zarejestrowania „Solidarności”, tak i ostatnio w kwestii wolnych sobót władze ociągały się z wypełnieniem zobowiązań przyjętych w Gdańsku, wywołując tylko opór i radykalne nastroje. Ogólnikowość i nieprecyzyjność projektu podstawowych założeń reformy gospodarczej, jak również brak zapowiedzianego raportu o stanie gospodarki i brak trzyletniego planu także świadczą o niezdecydowaniu centralnej władzy.

Kierownictwo może paraliżować perspektywa obiecanego zjazdu partii, na którym wybrani w drodze wolnych wyborów delegaci mogliby zmienić charakter i kształt Komitetu Centralnego i popchnąć partię w kierunku socjaldemokratycznym i syndykalistycznym. Taki scenariusz przypomina wypadki w Czechosłowacji w 1968 roku, przy czym niemal na pewno rezultaty takiego obrotu rzeczy miałyby podobne, a nawet bardziej poważne konsekwencje. Zasadnicza różnica między Polską i Czechosłowacją wypływa z faktu, że ruch odnowy w Polsce łączy robotników i intelektualistów, podczas gdy w Czechosłowacji opierał się na burżuazyjnej tradycji liberalnej, która pchnęła Praską Wiosnę w kierunku ideologii zrewidowania zasad politycznych oraz ku głębokim reformom politycznym.²²

Solidarność

Nastroje w „Solidarności” również ulegają fluktuacjom, co także jest częściowo rezultatem trudnych stosunków między kierownictwem a szeregowymi członkami związku, skomplikowanych w dodatku brakiem wyraźnych hierarchicznych powiązań wewnątrz organizacji związkowej w jej obecnej formie. W pewnym zakresie ta zagmatwana sytuacja jest wyrazem braku wyraźnego programu rządowego.

go, który mógłby stać się przedmiotem dyskusji. „Solidarność” dotychczas poważnie traktuje swój statut związku zawodowego, skupiając uwagę na kwestiach związanych z warunkami bytowymi i organizacją pracy, a nie na zagadnieniach politycznych. „Solidarność” zajmując zrozumiałe, lecz nierealistyczne stanowisko uznając, iż nie ponosi żadnej odpowiedzialności za przeszłe błędy władz, przede wszystkim za politykę gospodarczą, która doprowadziła do obecnej sytuacji. Te kwestie należą do władz, wydaje się mówić „Solidarność”, naszym problemem jest stopa życiowa, a nie zadłużenie czy nawet produkcja, gdzie dezorganizacja jest wynikiem braku kompetencji kierownictwa.

Żądanie natychmiastowego wprowadzenia pięciodniowego tygodnia pracy odzwierciedla powszechne przekonanie, że przy lepszej organizacji co najmniej tyleż samo może być wyprodukowane w ciągu pięciu dni co w ciągu sześciu, zwłaszcza że braki materiałowe i energetyczne (łącznie z brakami energii elektrycznej) częstokroć powodowały, że linie produkcyjne stały bez ruchu. Dominującą rolę odgrywa także opinia, że ociąganie się władz z podjęciem rokowań w tej sprawie — rokowań, które dotyczą wyłącznie tego, co obiecano w Gdańsku — odzwierciedla podstępny charakter władz i stanowi próbę uchylecia się od wypełnienia przynajmniej ducha, jeżeli nie litery, porozumień. Związki zawodowe z pewnością zdają sobie sprawę z tego, że domaganie się, aby żądania spełniono w całej rozciągłości, jest nierealistyczne, lecz związki nie są jeszcze gotowe, by uznać ten fakt z obawy przed niebezpieczeństwem podważenia jakiegokolwiek aspektu porozumień gdańskich.

Poważne rokowania między rządem i „Solidarnością” w tej i innych sprawach są nadal możliwe, jak stwierdził Lech Wałęsa przed spotkaniem z premierem, bezpośrednio po powrocie z Rzymu.²³ Nie wiadomo, czy „Solidarność” — czy też społeczeństwo jako całość — mogłyby w ostatecznym rozrachunku pójść na ustępstwa gospodarcze w zamian za korektę polityczną, gdyż taka transakcja nieuchronnie podkopywałaby kierowniczą rolę partii. Niektórzy z ekonomistów doradców „Solidarności” na pewno dostrzegają pilną potrzebę podwyższenia poziomu konsumpcyjnych, ale kierownictwo związku może obawiać się utraty poparcia ze strony członków związku, jeżeli sprawnie będzie wiadome, iż kolaboruje z rządem na jakikolwiek polu, a tym bardziej w tak drażliwej sprawie. Konieczne będzie wytu-

maczenie, że inne możliwości są bardziej przykre, chociażby z tego względu, że w konsekwencji stworzą olbrzymią nadwyżkę popytu i powszechne braki oraz kolejki.

Na tym polu mógłby pomóc Kościół. Dotychczas Kościół odgrywał stabilizującą rolę, nawet jeżeli wiązało się to z pewnym ryzykiem utraty popularności. Umiarkowane wystąpienia kardynała Wyszyńskiego w sierpniu spotkały się z pewną krytyką, zaś ich motywem przewodnim była odpowiedzialność jednostki i poświęcenie się pracy jako postawa idąca w parze z nowo pozyskanymi prawami. Motyw ten jeszcze bardziej jest słuszny w obecnym kontekście.

Konwersja długów niesie ze sobą rzeczywistą obietnicę sukcesu tylko wówczas, jeżeli partia i „Solidarność” przy udziale Kościoła, mogą osiągnąć wyraźne porozumienie co do poważnego programu stabilizacji polityczno-gospodarczej. Jeżeli konwersja przeprowadzona byłaby z delikatnością i zrozumieniem, warunki, jakie przynajmniej pośrednio byłyby z nią związane, mogłyby stworzyć ramy i nadać bieg takiemu porozumieniu. Przy jednoczesnym uwzględnieniu niebezpieczeństw wypływających z nieodwracalnego pogorszenia się sytuacji gospodarczej i politycznej. Jeżeli względnie szybko nie zostanie znalezione rozwiązanie kryzysu, można sądzić, że „furtka” do owocnej konwersji, obecnie otwarta, wkrótce może się zamknąć.

CELE POLITYKI ZACHODU

Konwersja polskich długów wiązałaby się jednak z bezpośrednimi kosztami jakie musieliby ponieść wierzyciele, a rozwój wypadków w Polsce będzie miał różnoraki wpływ na wszystkie zainteresowane strony. Następne części tej pracy dotyczą interesów zachodnich, kierunków zachodniej polityki i ewentualnych reakcji krajów Zachodu i ich banków, a także reakcji Polski, Związku Radzieckiego i pozostałych państw Układu Warszawskiego.

Cele polityki Zachodu wobec kryzysu w Polsce układają się na trzech płaszczyznach i obejmują: 1. fundamentalne interesy bezpieczeństwa, 2. interesy gospodarcze, 3. zainteresowanie tym, aby

wewnętrzna ewolucja Polski przebiegała w kierunku liberalizacji życia, a zarazem zapewniała długotrwałą stabilność polityczną.²⁴ Jeżeli w działaniach dla urzeczywistnienia tych celów kierować by się miało kierownictwem, powinny one pod wieloma względami współgrać z interesami radzieckimi. Stare ramy odprężenia nie byłyby jednak w tym przypadku właściwe dla podejmowania analizy czy ustalania przez Zachód form działania. Dużo skromniejszym, ale jednocześnie bardziej użytecznym i mającym większe szanse powodzenia, założeniem jest dopomóc Polakom w rozwiązywaniu ich problemów na własny sposób, unikając przy tym zagrożenia dla bezpieczeństwa europejskiego. Bez wątpienia bezpieczeństwo żadnej ze stron nie poprawiłoby się, gdyby Związek Radziecki poczuł się zmuszony do inwazji na Polskę. Bezpośrednie zagrożenie zachodnich państw przewyższa ewentualne pośrednie korzyści wynikające z przeciągającego się zaangażowania Związku Radzieckiego w tę raczej nieprzyjemną operację.

Nie wiadomo jednak, czy takie argumenty miałyby zastosowanie (dla obu stron) w przypadku bardziej powściągliwej i ograniczonej radzieckiej interwencji, przeprowadzonej w celu zapewnienia „porządku” w Polsce, przy pomocy polskich sił zbrojnych. Ponadto, chociaż Zachód nie chciałby, aby Polska całkowicie była uzależniona gospodarczo od Związku Radzieckiego, niewiele zyskałby na jakiegokolwiek polskiej inicjatywie zmierzającej do członkostwa Polski w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. W tym wypadku amerykański punkt widzenia może się różnić od zachodnioeuropejskiego, gdyż Ameryka kładzie większy nacisk na zachęcanie do otwartego wyzwolenia się spod radzieckich wpływów. Trudno jednak dostrzec korzyści, łatwo natomiast niebezpieczeństwa, wypływające z manifestacji polskiego nacjonalizmu na rumuński sposób (powiedzmy, z generałem Moczarem w roli Ceaucescu). Jeśli doszłoby do jakichkolwiek transakcji, w których artykułem przetargowym byłaby albo zewnętrzna albo wewnętrzna autonomia Polski, Zachód winien wybrać tę drugą. Niemniej Zachód nie chciałby wszakże, żeby Polska cierpiała zbyt wiele z rąk swych bardziej ortodoksyjnych sąsiadów, wypominając jej przy tym „a nie mówiliśmy”, dlatego że gospodarcze otwarcie drzwi na Zachód w latach siedemdziesiątych zakończyło się fiaskiem. Stanowiłoby to czynnik zniechęcający inne kraje przed podjęciem prób realizacji podobnych rozwiązań (być może sensowniej wprowadzanych w życie).

Bezpieczeństwo Zachodu a autonomia Polski

Najtrudniejszym zagadnieniem na tej płaszczyźnie jest odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Zachód powinien zareagować w przypadku ewentualnej „transakcji” obejmującej z jednej strony bezpieczeństwo Zachodu, a z drugiej wewnętrzną autonomię Polski. Inaczej to ujmując, Związek Radziecki powstrzymałby się od interwencji tylko gdyby starano się zawrócić bieg wypadków i podejmując kroki w kierunku „stabilizacji” w represyjnym rozumieniu tego pojęcia. Czy Zachód chciałby, aby zachodnia pomoc gospodarcza pomogła w osiągnięciu takiego celu? Odpowiedź będzie zdecydowanie negatywna, jeżeli uzna się, że rezultat na dłuższą metę byłby równie groźny dla bezpieczeństwa Zachodu. Represja stanowiłaby bowiem tylko gwarancję, że następny wybuch w Polsce miałby jeszcze bardziej populistyczny, nacjonalistyczny, ekstremalny i gwałtowny charakter.

Pełna waga tego pytania ujawnia się, gdy postawi się je w odwróconym formacie: jak ściśle pomoc, w formie konwersji długów, mogłaby i powinna być związana z rozwojem wewnętrznej autonomii, wprowadzanej w drodze reform gospodarczych i politycznych? Stopień, w jakim jest to możliwe, zależy będzie od reakcji władz polskich oraz reakcji Związku Radzieckiego. Stopień, w jakim jest to pożądane, zależy od oceny Zachodu, jak ważne są reformy dla przyszłego sukcesu gospodarczego, który zapewne miałyby konwersja. Jeżeli nie rysują się żadne wyraźne zapowiedzi reform, a reformy uważa się za absolutnie nieodzowne, można by po prostu stwierdzić, iż najlepszą w takim wypadku polityką byłoby poniesienie pomocy i złożenie tym samym maksymalnego ciężaru kryzysu polskiej gospodarki na kark Związkowi Radzieckiemu (choć nie należy oczekiwać, iż zmusiłoby to Związek Radziecki do zredukowania własnych nakładów na cele wojskowe).

Z trudem może przyszłoby opowiedzieć się za konwersją długów, jeżeli miałyby ona jedynie posłużyć do wydobycia z trudności banków, Związku Radzieckiego i kierownictwa polskiej partii, przeciwdziałając wewnętrznej autonomii i wprowadzeniu reform. Byłoby to w ostatecznym rozrachunku lokowanie w Polsce „dobrych” pieniędzy z powodu wyrzuconych starych. Ale Zachód nie może ignorować czysto handlowej strony interesów, czyli musi mieć na uwadze zabezpieczenie już zainwestowanych sum. Zachód musi starać się uniknąć obciążenia niewypłacalności i musi pamiętać o zagrożeniu systemu

bankowego i handlu Wschód-Zachód oraz o eksporcie do Polski. Niezależnie od tego, jakie korzyści przyniósł Zachódowi eksport do Polski w latach siedemdziesiątych, Zachód nie może pragnąć nałożenia na własne barki zbytniego ciężaru z tytułu ratowania polskiej gospodarki. W latach siedemdziesiątych Polska znajdowała się w lepszej sytuacji niż wiele niedoświadczonych krajów rozwijających się, aby nie pójść na lep zakupów na Zachodzie. Stąd też poczucie obowiązku do sprolongowania długów jest tu odpowiednio słabsze.

Banki zachodnie

Interesy banków zachodnich dają się określić względnie prosto. Banki przestały wreszcie uważać, że każdy interes to dobry interes, nawet jeżeli się dobrze zapowiada. Banki przede wszystkim są teraz zainteresowane zabezpieczeniem własnych pieniędzy. Gdyby ktoś im zwrócił udzielone Polsce pożyczki, banki z radością wycofałyby się z całego interesu, obojętnie z jakiego źródła te sumy by pochodziły. Niektóre z banków widzą możliwość dyskretnego i stopniowego zmniejszenia ryzyka strat, co też jest bardziej prawdopodobne przy większym zaangażowaniu się w sprawę zadłużenia Polski rządów zachodnich, radzieckich i wschodnio-europejskich. Lecz wycofanie się z interesów z Polską byłoby możliwe tylko w wypadku banków, które ulokowały w Polsce względnie niewielkie sumy. Większość banków, które udzieliły Polsce wysokich pożyczek, wołałaby, żeby takie kombinacje nie miały miejsca, i by wszystkie banki wzięły udział w ogólnej konwersji.

Podobno wiele banków stało na jakimś własnym stanowisku podczas kwietniowego spotkania w 1980 roku, opowiadając się za konwersją. Pozostałe banki sprzeciwiły się jednak temu (a wśród nich ponoć dwa duże banki brytyjskie). Wówczas tylko zdecydowany front mógłby nakłonić Polskę, aby rozważyła chociaż ewentualność konwersji. Na niektóre banki oczywiście, klienci we własnych krajach wywierali i nadal wywierają presję, żeby finansowały eksport do Polski. Wydaje się, że tak właśnie przedstawiają się sprawy w Niemczech Zachodnich (gdzie też banki szczególnie wystawione są na naciski rządu). Inaczej przedstawia się sytuacja w krajach, gdzie rządy są gotowe udzielać bankom gwarancji na pożyczki zagraniczne (a tutaj praktyka jest najbardziej powszechna we Francji).

Przy ocenie postawy, jaką dotychczas zajęły zachodnie rządy i banki, użyteczne byłoby na pierwszym miejscu zapoznanie się z wysokością kwot pożyczonych przez głównych wierzycieli. Na nieszczęście tu wkraczamy na teren pełen białych plam, co tylko częściowo wynika z faktu, że te dane, które istnieją, traktowane są jako absolutnie poufne. Tablice 11 i 12 dają pewne pojęcie, kim są wierzyciele, którzy ostatnio udzielili Polsce pożyczek. Według bardzo niekompletnych danych Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju z końca 1977 r. lista głównych oficjalnych wierzycieli przedstawia się następująco (porządek określa wysokość udzielonych kredytów): Francja, Wielka Brytania, Austria, Niemcy, Zachodnie, Japonia, Stany Zjednoczone, Włochy, Szwecja, Belgia, Szwajcaria, Kanada, Stany Zjednoczone zajmują obecnie wyższą pozycję z powodu znacznych pożyczek objętych gwarancjami rządu, udzielonych ostatnio na zakup zboża.

Jednym z problemów, jaki powstaje w trakcie obecnych dyskusji między Polską a rządami państw wierzycieli, a także w dyskusjach rządów państw-wierzycieli między sobą, jest brak kompletnych danych o stanie zadłużenia. Dane ustalane są na podstawie różnych źródeł i w oparciu o różne definicje i trudno je ze sobą pogodzić. Trudno jest ustalić, jaka część kredytów udzielonych przez banki ma gwarancje rządowe. Trudno ustalić udział międzynarodowych banków i podległych im organizacji finansowych w poszczególnych krajach, co ma znaczenie przy nakreślaniu kierunku polityki. Trudno wreszcie porównać różne definicje pożyczek udzielonych przy poparciu rządowym (które, dla przykładu, mogą obejmować lub nie, niepiśmiane zobowiązania lub też wliczać do kapitału bieżącego, to jest zdyskontowaną na chwilę obecną, wartość przyszłych spłat z tytułu oprocentowania).

Inną konsekwencją tego zamieszania jest olbrzymia trudność w ustaleniu jednej konkretnej liczby, która ma zasadnicze znaczenie dla wyboru przyszłej polityki finansowej. Chodzi tu o to, jaka część całego zadłużenia Polski ma takie czy inne gwarancje rządowe. Zasadniczą informacją wydaje się określenie, co mogą osiągnąć dyskusje między rządami w sprawie konwersji, i co następnie pozostaje bankom do zrobienia. Dane szacunkowe, podawane przez poważne źródła, wahają się od 24% pod koniec roku 1976 (patrz tablica 6) do nieco poniżej 50% pod koniec 1980 roku, którą to liczbę podał ostatnio Bank Handlowy zachodnim rządóm. Osobiście skłaniałbym

się ku 35—40%, uznając tę niższą za bardziej prawdopodobną, zgodnie z sugestiami z szeregu źródeł.

OBECNE KIERUNKI POLITYKI ZACHODU

Rządy zachodnie

Dotychczas kierunki działania rządów zachodnich nie są dokładnie określone, nawet za kulisami. Uznaje się, że problem jest złożony, ma szerokie powiązania i potencjalnie poważne konsekwencje; innymi słowy, jest trudny i delikatny. Każdy odnosi się do potrzeb Polski z większym lub mniejszym współczuciem, ale nikt nie wykazał gotowości do przyjęcia długofalowych zobowiązań. Po części jest tak dlatego, że Stany Zjednoczone nie były wyraźnie zdolne do podjęcia tak poważnej kwestii w okresie przejściowym między zmianą rządu. Na jesieni 1980 roku Polska zwróciła się do rządów zachodnich z prośbami o wysokie pożyczki: 3 miliardy dolarów od Stanów Zjednoczonych, 5 miliardów od innych państw. Władze polskie z niechęcią jednak musiały przyjąć do wiadomości, iż nikt nie będzie rozmawiał z nimi na temat kredytów długoterminowych przed połową lutego, kiedy, jak oczekiwano, Ameryka będzie w stanie określić swoje stanowisko. Władze polskie utrzymują ze swej strony, że trudno im skonkretyzować program średniookresowy, którego wszyscy się domagają, nie wiedząc, jaka będzie pozycja gotówkowa Polski za dwa miesiące i nie mając informacji, jaka byłaby wielkość importu dewizowego, za który Polska byłaby w stanie zapłacić.

Polska w odpowiedzi na swe prośby otrzymała pewne krótkoterminowe pożyczki. W przeciwnym wypadku cały problem już do tej pory mógł znaleźć nieszczęśliwe rozwiązanie. We wrześniu Stany Zjednoczone zgodziły się na sfinansowanie zakupów zboża na sumę 670 miliardów dolarów, w oparciu o gwarancję udzieloną przez Commodity Credit Corporation (CCC) amerykańskim bankom handlowym. Francja, w ślad po zrefinansowaniu polskich długów w grudniu 1979, zaoferowała w grudniu 1980 r. nowe kredyty wartości 900 milionów franków (o specjalnie niskim oprocentowaniu) na eksport półproduktów do Polski. Wspólny Rynek zgodził się w grudniu n-

sprzedaż Polsce 400 tysięcy ton żywności o wartości 320 milionów dolarów, po cenach niższych o 10–15% od cen rynkowych. Finansowanie tej sprzedaży pozostawiono w rękach poszczególnych krajów-eksporterów. Komisja Wspólnego Rynku prawdopodobnie nie jest zbyt chętna do odgrywania czynnej roli na polu finansowym.

Polska zwracała się do swych wierzycieli w ramach stosunków dwustronnych. Niemniej z inicjatywy Francji w październiku zwołano w Paryżu konferencję przedstawicieli rządów głównych zachodnich państw-wierzycieli. Miały następnie miejsce dalsze spotkania, na których państwa wierzycielskie występowały w różnym składzie. W połowie stycznia na spotkaniu państw-wierzycieli ze Wspólnego Rynku uzgodniono formy, jakie powinna przyjąć pomoc krótkoterminowa dla Polski.²⁵ Stanowisko wobec pomocy długoterminowej ma być przedmiotem rozmów głównych wierzycieli podczas szeregu spotkań w lutym i na początku marca. W chwili pisania tej pracy wydaje się, że kraje europejskie gotowe są do udziału w umowach wielostronnych i uzgodnionych między sobą porozumieniach dwustronnych z Polską, starając się tymczasowo zapobiec ogłoszeniu przez Polskę niewypłacalności.

Jak dotychczas, pomoc udzieloną w ramach kontaktów dwustronnych jak i kontaktów wielostronnych nie wiązała się z żadnymi warunkami odnośnie polityki gospodarczej. Nie można zakładać, iż podobnie przedstawiałaby się sprawa w przypadku ewentualnej pomocy długoterminowej oraz przy umowach dotyczących konwersji długów. Rozróżnienie między krótkim i długim okresem ma sens tylko wtedy, gdy jasne jest, kiedy kończy się krótki termin, i co jest podstawą przyjęcia konkretnej daty. Dwie daty mają tutaj zasadnicze znaczenie — połowa lutego, kiedy Stany Zjednoczone powinny być gotowe do działania i początek kwietnia, kiedy — zgodnie z oczekiwaniami — ma się odbyć zjazd partii.

(a) Stany Zjednoczone

Może okazać się, że rząd Stanów Zjednoczonych i banki amerykańskie wolą, żeby inicjatywa spoczywała w rękach europejskich. Przypuszczalnie pożyczki amerykańskie mające gwarancje rządowe nie są większe niż sumy pożyczone Polsce przez Francję, Niemcy, Zachódnie, Wielką Brytanię i Austrię. Kredyty udzielone Polsce

przez banki amerykańskie bez gwarancji rządowych utrzymują się natomiast na stałym poziomie od trzech lat i stanowią obecnie mniej niż 10% ogólnej kwoty, cytowanej przez Biuro Międzynarodowych Rozliczeń (BIS), pożyczonej Polsce przez banki prywatne. Z drugiej strony, banki w Stanach Zjednoczonych odgrywały szczególnie aktywną rolę w udzielaniu kredytów finansowych (pożyczek udzielanych przez syndykaty banków operujących w Europie), to znaczy przede wszystkim dostarczały pożyczek na pokrycie potrzeb bilansu płatniczego, nie ograniczając się wyłącznie do finansowania działalności eksportowej przedsiębiorstw amerykańskich.

Oczekiwać można, że Stany Zjednoczone wykazywać będą życzliwość i zrozumienie dla potrzeb Polski jako kraju, ale tak rząd jak i banki amerykańskie mogą obwarować dalszą pomoc szczególnie ostrymi warunkami. Zgodnie z tradycją amerykańską, w Stanach Zjednoczonych istnieje „polskie lobby” — duża liczbie społeczność polskiego pochodzenia, mająca pewne wpływy polityczne.²⁶ Polska, w ciągu ostatniej historii, bywała traktowana jako specjalny przypadek. Można tu przypomnieć pożyczki wysokości 520 milionów dolarów udzielone na zakup żywności już w latach 1957–1964 (Ustawa Publiczna 480), szybkie przyznanie Polsce dostępu do funduszu Eximbanku, itd. Ponadto rząd Stanów Zjednoczonych położył bez wątpienia większy nacisk niż rządy zachodnioeuropejskie na wykorzystanie pomocy gospodarczej w celu umożliwienia i zachęcenia Polski do wyzwolenia się spod wpływów radzieckich. Chociaż taka postawa zrozumiała jest w kategoriach amerykańskiej polityki, podejście nowej administracji w Waszyngtonie i ogólna tendencja amerykańska do traktowania wymiany handlowej między Wschodem i Zachodem jako narzędzia politycznego — mogą być odczytywane przez Związek Radziecki jako prowokacja.

Stany Zjednoczone zdają się być głęboko przekonane, iż Związek Radziecki byłby uszczęśliwiony, gdyby Zachód uratował polską gospodarkę. Dlatego też Stany Zjednoczone sądzą, że Związek Radziecki gotów jest chętnie zgodzić się na przyjęcie przez Polskę względnie daleko idących zobowiązań w ramach wielostronnej umowy z zachodnimi rządami i bankami. A wreszcie, w opinii USA, Związek Radziecki nie potrzebuje wytłumaczenia dla interwencji, jeżeli ma zamiar jej dokonać z jakichkolwiek powodów. Stany Zjednoczone przyznają, że z trzech typowych warunków, jakie zwykle wiąza się z

konwersja jeden jest już spełniony, to znaczy Polska stoi przed koniecznością ogłoszenia już wkrótce niewypłacalności. USA zainteresowane są jednak ustaleniem sposobu, w jaki będą wprowadzone w życie dwa pozostałe warunki: właściwy udział wszystkich zainteresowanych stron w operacji konwersji oraz, szczególnie, warunki, na jakich konwersja będzie Polsce przyznana.

Opinia publiczna na pewno zaważy w przypadku tej ostatniej kwestii. Dla przykładu, gazeta *Washington Post* w artykule redakcyjnym pod koniec listopada ubiegłego roku występowała z żądaniem, aby „dalsze kredyty czy też ulgi w spłacaniu pożyczek, czy jakakolwiek inna forma pomocy — pochodzące, przypomnijmy, z pieniędzy amerykańskiego podatnika — powiązane były z warunkiem wprowadzenia reform. W przeciwnym wypadku niech płaci Moskwa (...) Żeby Polsce warto było udzielać kredytów (...) konieczne jest wprowadzenie reform (...) Dlaczego Stany Zjednoczone, czy też ktokolwiek inny na Zachodzie, miałyby płacić za przywilej przywracania Polski z powrotem na łonę państwowego socjalizmu w radzieckim wydaniu?”²⁷ Inny komentator amerykański zauważył, że „Polska dała zachodnim wierzycielom możliwość zmuszenia reżymu, aby reagował na (...) postulaty własnego społeczeństwa. Byłoby niewybaczalne, gdyby Zachód zaniedbał taką okazję (...) nadal płacąc za rozwiązywanie problemów polskich komunistów; podczas gdy nie są oni przygotowani do wypełnienia porozumień ze swej strony”.²⁸

Z praktycznego punktu widzenia, Stany Zjednoczone mogłyby podwyższyć kredyty Commodity Credit Corporation lub też udzielić nowych pożyczek poprzez Eximbank (w przypadku każdej transakcji powyżej 100 milionów dolarów, Kongres musi mieć 30 dni na jej rozważenie i może skorzystać z prawa weta). Stany Zjednoczone mogłyby także dokonać konwersji pożyczek z obu powyższych źródeł (spłaty z tytułu tych pożyczek, przypadające w 1981 r., wynoszą 700 milionów dolarów, wliczając oprocentowanie). Ustawowa autoryzacja byłaby konieczna, aby umożliwić rządowi amerykańskiemu udzielenie gwarancji na pożyczki banków prywatnych, z wyjątkiem pożyczek objętych programem CCC; mało jest prawdopodobne, by rząd ubiegał się o taką autoryzację.

(b) Francja

Francja od dawna ma silne więzi kulturalne z Polską, a w ostatnich latach pogłębiły się szczególnie stosunki polityczne i gospodarcze. Wynika to z wyraźnej sympatii, z jaką Francja odnosi się do polskiej Polski, czemu dała wyraz występując z inicjatywą pomocy. Podobnie jak Niemcy Zachodnie, w oparciu o istniejące ustawodawstwo rząd francuski może gwarantować pożyczki udzielane przez banki handlowe. Francja uważa również, że Związek Radziecki aktywnie nakłania Polskę, żeby starała się zdobyć maksimum środków finansowych z Zachodu. W wywiadzie telewizyjnym 27 stycznia 1981 roku prezydent Giscard d'Estaing w najbardziej jednoznaczny i szczegółowy sposób oświadczeniu, jakie padło dotychczas z ust przywódców zachodnich, stwierdził, że „Polska musi mieć zapewnioną możliwość korzystania z pomocy z zewnątrz, aby móc nią podeprzeć własne wysiłki, wysiłki, które muszą zmierzać do ogólnonarodowej odbudowy. Postawę wobec Polski podsumowałbym w trzech słowach: życzliwość, nieingerencja, pomoc (...) Jakiegokolwiek posunięcia, w których nie bierze się pod uwagę faktów geograficznych i strategicznych, nie mają szansy na uzyskanie akceptacji Związku Radzieckiego (...) Nie do nas należy dyskusja nad różnicami stanowisk w Polsce (...) Z drugiej jednak strony, wszelkie reformy gospodarcze, jakie można sobie wyobrazić w odniesieniu do Polski, muszą (...) być możliwe do przyjęcia przez Związek Radziecki, gdyż bez akceptacji reform przez tę stronę nastąpić może jedynie powrót do sytuacji, w której Polska nie będzie w stanie zagwarantować własnego rozwoju gospodarczego i środków egzystencji własnemu społeczeństwu”²⁹

(c) Niemcy Zachodnie

Postawa i rola Niemiec Zachodnich jest tyleż ważna, co złożona. Rząd zachodnio-niemiecki wykazał życzliwość już w lipcu 1980 roku, wywierając presję na banki, a nawet wcześniej, pod koniec 1979 r., gdy pożyczki mające rządowe gwarancje obłożył niezwykle łagodnymi warunkami. Z punktu widzenia Niemiec Zachodnich pierwszoplanowe znaczenie mają wszelkie stosunki z Niemiecką Republiką Demokratyczną, która w zaledwie trzy miesiące po lipcowej pożyczce dokonała bardzo nieprzyjawnego posunięcia wobec RFN.³⁰ Być może nie należy doszukiwać się tu związku, ale Niemcy Wschodnie są bez

wątpienia bardzo zaniepokojone wydarzeniami w Polsce. Zachodnia pomoc dla Polski na pewno złagodziłaby presję wywieraną na gospodarkę wschodnio-niemiecką. Z drugiej jednak strony, proces liberalizacji życia w Polsce, lansowany przez Niemcy Zachodnie, niósłby ze sobą zagrożenie. Republika Federalna Niemiec bez wątpienia żąda sobie z tego sprawę. Polska z pewnością wołałaby, żeby Niemcy Zachodnie były równie dyskretne co szczodre, czyli, żeby udzieliły Polsce znacznego poparcia finansowego, ale jednocześnie zachowały o tym milczenie, kryjąc się w cieniu Francji i Wielkiej Brytanii, szczególnie w sprawie jakichkolwiek zasad wiążących się z warunkami pożyczek.

(d) Wielka Brytania

Wielka Brytania również odnosi się do Polski z życzliwością, lecz nie udzieli Polsce żadnej długoterminowej pomocy, bez udziału w jakimś przedsięwzięciu wszystkich głównych wierzycieli. Kwoty pożyczone Polsce i wiążące się z tym ryzyko są wysokie, a Anglia będzie z pewnością bronić swych interesów. Brytyjczycy są również zaniepokojeni możliwością katastrofy gospodarczej, która zawróciłaby kierunek ewolucji politycznej w Polsce. Ewolucja ta, w opinii brytyjskiej, zmniejszy napięcia i dopomoże w zbliżeniu politycznym, o ile w Polsce zachowany będzie porządek i uda się uniknąć radzieckiej interwencji. Do niedawna Wielka Brytania wołała jednak nie przejmować inicjatywy na polu finansowym i pozostawić ją Francji. Podobnie jak Niemcy Zachodnie i Francja, nie może ona udzielić pomocy finansowej bez odpowiedniego ustawodawstwa. Wielka Brytania może dokonać odroczenia spłat z tytułu kredytów eksportowych jedynie wtedy, jeżeli leży to wyraźnie w brytyjskim interesie, tzn. jeśli rządowy Departament Gwarancji na Kredyty Eksportów (ECGD) nie będzie narażony na straty. Na takiej zasadzie w styczniu nakreślono zasady udzielania Polsce kredytów. Nie wiadomo jednak, czy w oparciu o istniejące ustawodawstwo możliwa byłaby długoterminowa konwersja (na przykład, Departament Gwarancji na Kredyty Eksportowe przestał udzielać gwarancji na nowe kredyty dla Turcji). Rozróżnienie między refinansowaniem a odroczeniem terminów płatności ma znaczenie w przypadku Wielkiej Brytanii. Tylko w wypadku odroczenia terminów spłat wchodzi w grę gwarancje udzielone przez ECGD, ponieważ druga strona nie wywiązuje się wtedy z

pierwotnie ustalonych warunków płatności. Kwoty pożyczone Polsce przez Wielką Brytanię są tak duże, że po dodaniu do innych ostatnich strat zmiana terminów płatności mogłaby szybko wyczerpać rezerwy Departamentu Gwarancji.

Banki zachodnie

Banki zachodnie oczekują obecnie na posunięcia rządów, zanim podejmą decyzję w sprawie polityki na kilka następnych lat. Już na początku 1977 roku stopa zysku wymagana przez rynek finansowy w przypadku pożyczek dla Polski wzrosła w porównaniu z warunkami, na jakich udzielano pożyczek innym krajom RWPG. Polska nadal jednak zaciągała w bankach zachodnich wysokie pożyczki bez większych trudności. Jedynie w ciągu dwóch lat — 1978—1979 — ogólne zadłużenie Polski wzrosło o 7 miliardów dolarów (50%); 1,3 miliarda pochodzi z pożyczek udzielonych przez grupy banków europejskich (tablica 6). W niektórych przypadkach okazywało się konieczne opracowanie nowych porozumień w pewnych kwestiach, instytucjonalnych lub prawnych: jak zapewnienie udziału w zyskach z przyszłego eksportu miedzi lub też powołanie do życia nowej osobowości prawnej strony pożyczającej, odmiennej od rządu (reprezentowanej przez Bank Handlowy). Ale banki pokładały pełne zaufanie w „teorii parasola”, którą wiele z nich nadal wyznaje. Według tej teorii Związek Radziecki lub RWPG, czy też instytucje finansowe RWPG, jako całości, są ostatecznymi gwarantami zadłużenia któregośkolwiek z krajów RWPG.

Na wysoce konkurencyjnym międzynarodowym rynku finansowym ograniczone są naciski, jakie może wywierać dany bank na pożyczającego, jeżeli rynek jako całość gotowy jest do udzielania kredytów. Wraz ze wzrostem sum, jakie banki, jako całość, pożyczały Polsce, zmniejszały się ich grupowe wpływy. Konieczne bowiem stało się udzielanie dalszych pożyczek dla ochrony już przyznanych kredytów. Ale gotowość banków do dalszego pożyczania, czyli coraz większego angażowania się w interesy z Polską, raptownie spadła od wiosny 1980 r. Nawet wielostronne porozumienie między Polską a rządami-wierzycielami może nie wystarczyć, żeby wydobyć nowe fundusze z zachodniego systemu banków prywatnych.

Bankom udało się w końcu otrzymać od Polski użyteczne informacje gospodarcze i finansowe. Miało to głównie miejsce w trakcie negocjacji prowadzących do rozpisania pożyczki międzynarodowej latem 1980 r. (patrz tablice 10, 11, 12). Banki nie mogły jednak kwestionować żadnych z przedstawionych im informacji, a niektórych danych nie ujawniono (na przykład stanu rezerw, długów krótkoterminowych). Obecnie banki nie będą już skłonne do przyjmowania planów i przewidywań gospodarczych na dobrą wiarę. Umowa w sprawie pożyczki przewidywała utworzenie „komisji kontaktowej”, składającej się z sześciu przedstawicieli banków udzielających kredytów. Komisja miała co kwartał otrzymywać informacje o postępach polskiej gospodarki i odbywać regularne spotkania z przedstawicielami Banku Handlowego, Ministerstwa Finansów i Komisji Planowania. Pierwsze z tych spotkań miało odbyć się w Warszawie w marcu lub kwietniu 1981 r. Niemniej Polska już wystąpiła o nowe pieniądze do przedstawicieli głównych banków na spotkaniu w Wiedniu pod koniec stycznia.

Zdawano sobie sprawę od początku, iż utworzenie komisji kontaktowej będzie jednym z warunków pożyczki. Rozważano możliwość rozłożenia pożyczki przyznanej w 1980 roku na transze kredytowe i uzależnienie kolejnej transzy od spełnienia konkretnych warunków związanych z poprzednimi. Odrzucono jednak takie rozwiązanie, ustalając ostatecznie, iż komisja będzie śledzić rozwój polskiej gospodarki na podstawie przedstawianych okresowo prognoz gospodarczych. Miało to poprzedzać negocjacje w sprawie nowej pożyczki w 1981 roku, której Polska, co było oczywiste, będzie potrzebowała. Obecnie prognozy gospodarcze z czerwca 1980 nie są warte dyskusji — przewidywane na rok 1980 (zrewidowane) dodatnie saldo w wymianie handlowej ze strefą dewizową w wysokości 370 milionów dolarów w rzeczywistości okazało się deficytem na około miliard dolarów. Plany zakładające, że Polska będzie miała dodatni bilans płatniczy, przekreślono już oficjalnie z roku 1983 na 1986. Odpowiednie przy tym ucięcia miały być konieczne, by podjąć próbę rozpisania nowej pożyczki, jeżeli nie będzie miała miejsca pewna stabilizacja sytuacji politycznej, jeśli nie będzie przedstawiony poważny program gospodarczy, a rządy państw zachodnich nie zaangażują się we wspólnie przeprowadzanie konwersji długów z gwarancjami rządowymi. Banki nie mogłyby wystąpić z inicjatywą ogólnej

konwersji zadłużenia nie posiadając podobnych gwarancji. Taka inicjatywa musi wyjść od Polski. Niemniej banki mogą postawić sprawę jasno, iż nowe pożyczki mogłyby zostać udzielone tylko w tak nakreślonych okolicznościach.

Z PERSPEKTYWY POLSKIEJ I Z PERSPEKTYWY RADZIECKIEJ

Od czasu wydarzeń w Gdańsku polska prasa szeroko dyskutuje nad kryzysem gospodarczym, a szczególnie nad ciężarem zadłużenia dewizowego, spoczywającego na polskiej gospodarce. Władze tymczasem poszukują pomocy na Wschodzie i na Zachodzie, aby sfinansować import i wywiązać się z przyjętych zobowiązań płatniczych. Inicjowane przez Polskę kontakty z rządami zachodnimi utrzymywano w wielkiej tajemnicy. Chociaż sumy, o jakie początkowo występowała Polska, szybko stały się znane, kolejne spotkania przedstawicieli polskich z wierzycielami, a także spotkania samych wierzycieli odbywały się na prośbę Polski bez rozgłosu, na ile było to możliwe. Intencją władz polskich nie mogło być ukrywanie faktów, iż takie rozmowy miały miejsce, lub też zatajenie ich treści przez Związek Radziecki. Byłoby to przecież niemożliwe. Miały miejsce zresztą naturalną koleją rzeczy... przecieki do prasy zachodniej, lecz informacje okazywały się na tyle błędne, że dowodziły jedynie, iż tajemność rozmów jest przestrzegana.³¹ Można stąd wnioskować, iż władze polskie mają nadzieję ograniczyć liczbę komentarzy na temat tych kontaktów, z których w prasie polskiej jak i wschodnio-europejskiej

Podejście Polski do sprawy zadłużenia

Dotychczas Polska ubiegała się o konwersję długów na płaszczyźnie dwustronnej,³² występując jednocześnie o gwarantowanie przez rządy nowe kredyty na import towarów, których Polska nie może nabyć na rynku RWPG, oraz na zakup żywności we Wspólnym Ryнку. Władze polskie przekonane są, iż w ten sposób mogą zebrać na zachodnim rynku finansowym do 1 miliarda dolarów w formie nowych pożyczek na rok 1981, jak również zapewnić sobie prolong,

tę spłat z tytułu już zaciągniętych kredytów, nie mających gwarancji. Władze polskie mają nadzieję, że w przypadku uzyskania tych pieniędzy i dzięki kwocie w wysokości do 2 miliardów dolarów od Związku Radzieckiego i pozostałych krajów RWPG, zdołaby przebrnąć przez rok 1981. Jest to podejście błędne i nieuzasadnione. Dwustronne kontakty już doprowadziły do wielostronnych konsultacji. Polska musi przyjąć do wiadomości fakt, że zachodnie rządy-wierzy-ciele chcą wspólnie przeanalizować polityczne i gospodarcze tło pol-skich wniosków o pożyczki. Polska musi także pogodzić się z faktem, że adekwatna pomoc ze strony tychże wierzycieli może być udzielona tylko w ramach konwersji zadłużenia, przedyskutowanej i podjętej wspólnie przez wszystkie zainteresowane strony (konwersja wielo-stronna). Ponadto sposób refinansowania długów, o jaki ubiega się Polska, okazałby się prawdopodobnie bardziej kosztowny (pod względem oprocentowania) niż odroczenie terminów spłat. Wskazuje na to porozumienie zawarte z Francją w grudniu 1979 roku. Co ważniejsze, długofalowe porozumienie o dokładnie zdefiniowanych warunkach, choć zapewne także uzależnione od osiągnięcia przez gospodarkę polską określonych, oczekiwanych wyników w średnim okresie, można będzie wypracować tylko przy wielostronnej konwer-sji, a nie dzięki mnożeniu dwustronnych umów. Mało jest też praw-dopodobne, by Polska mogła liczyć na duże sumy z prywatnego sektora bankowego zajmując względem długów stanowisko, jakie obecnie wydaje się proponować.

Motywy, jakimi kierują się władze polskie przy unikaniu jakichkoł-wiek rozmów na temat konwersji, nie są jasne. Konwersja była prze-cież proponowana w prasie polskiej i w trakcie debaty gospodarczej. Użyte zarówno tego terminu jak i słowa „moratorium” (lecz w tym wypadku rozumiano przez to także jednostronne, choć czasowe wstrzymanie płatności). Niektóre osoby, pracujące w polskich insty-tucjach bankowych i finansowych, mogą mieć poczucie, że konwersja byłaby wyjściem niehonorowym. Cytuje się Mariana Krzaka, który miał powiedzieć, że Polska będzie „pluć krwią”, jeżeli okaże się to konieczne, ale płacić będzie w terminie. Padają także argumenty, że reputacja finansowa Polski i pozycja Polski w przypadku ubiegania się o nowe pożyczki będą skompromitowane. Są to argumenty, w których nie uznaje się faktu, że i tak już to nastąpiło. „Nie ma wszakże żadnych dowodów na to (...) że reputacja krajów, które zaciągały pożyczki na międzynarodowym rynku finansowym, a którym następ-

nie przyznano pewne ulgi w spłatach zadłużenia, stała się przez to na tyle zła, że przesunięto je na gorszą pozycję jako potencjalnego dłużnika".³³ Na pewno są w Polsce ludzie sprzeciwiający się nawet wzmiankom na temat warunków, jakie — według ich przypuszczeń — towarzyszyłyby konwersji.³⁴ Inni wreszcie mogą na próżno usiłować zapobiec spekulacjom, to znaczy w tym wypadku próbom ze strony mniejszych wierzycieli zredukowania interesów z Polską, zanim i ich obejmie konwersja.

Reakcja radziecka

Inną ważną przyczyną, dla której władze polskie, uznając być może konieczność konwersji, starają się sprawić wrażenie, że nie uciekają się o nią, jest unikanie jrytowania Związku Radzieckiego i innych państw wschodnio-europejskich. Pozostałe państwa RWPG mogą uważać, iż pozycja całej siódemki jako strony pożyczającej jest niepodzielna, i gdyby upaść miała „teoria parasola”, uciurpialiby ich własne kredyty. (Węgry, według doniesień, szczególnie są tym zaniepokojone.) Te obawy zapewne są słuszne, lecz tylko o tyle, o ile konwersja polskiego zadłużenia może spowodować podwyższenie stopy procentowej na pożyczki udzielane krajom RWPG. Mało jest prawdopodobne, by zmalały sumy im pożyczane.

Związek Radziecki i niektórzy jego sojusznicy mogą być jednak również zaniepokojeni możliwością, iż Zachód narzuciłby Polsce, przynajmniej pośrednio, pewne warunki w zakresie polityki gospodarczej, i Polska musiałaby je spełnić, aby zagwarantować sobie dopływ pieniędzy. Szczególnie źle widziane byłyby warunki o wyraźnie politycznej treści, dotyczące, na przykład, zakresu praw niezależnych związków zawodowych. Związek Radziecki i pozostałe państwa mogą uważać także za bardzo niebezpieczne jakiegokolwiek warunki, będące wynikiem wielostronnych umów, w których widoczny byłby udział RFN.³⁵ Instytucjonalne włączenie Polski do zachodniego, międzynarodowego systemu gospodarczego, w formie przystąpienia Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, także byłoby dla ZSRR nie do przyjęcia.

Co zrobi Związek Radziecki i pozostałe państwa RWPG, aby powstrzymać Polskę od konwersji długów? Wydaje się, że jak dotych-

czas nie starano się położyć kresu podróżom polskich przedstawicieli na Zachód w celu ubiegania się o pomoc finansową. Związek Radziecki i kraje RWPG bez wątpienia chcą, aby w Polsce panował gospodarczy i polityczny porządek. Kraje takie jak Niemcy Wschodnie i Czechosłowacja poniosły straty z tego powodu, że od sierpnia Polska nie jest w stanie wywiązać się z przewidzianych umowami dostaw węgla i innych produktów. Z drugiej strony, rozpięcie „parasola” jest kosztowną operacją, ale jeszcze kosztowniejsze jest rozpinanie go wtedy, gdy przez Polskę przechodzi huragan. Moskwa jest niewątpliwie bardzo niezadowolona z wydawania swych dewiz na spłacanie polskich długów, które są rezultatem importowania przez Polskę w przeszłości zachodnich towarów.

Dotychczas jednak Związek Radziecki wydaje dewizy właśnie na to. W październiku 1980 r. podano wiadomość o udzieleniu Polsce przez ZSRR kredytów i o radzieckich dostawach towarowych dla Polski, na ogólną sumę 690 milionów dolarów.³⁶ Polska podała następnie, iż Bułgaria, Czechosłowacja, Węgry i Rumunia przesyłają do Polski dodatkowe dostawy żywności, a NRD zwiększa eksport do Polski o 10% powyżej planu na rok 1980 (wartość dodatkowego eksportu równa się 300 milionom marek wschodnio-niemieckich), a także przyznaje Polsce kredyt dewizowy o wartości 250 milionów marek wschodnio-niemieckich. Na początku grudnia poinformowano o dalszym radzieckim kredycie dewizowym dla Polski w wysokości 1,1 miliarda dolarów.³⁷ Na dłuższą metę tę pomoc krajów RWPG trudno będzie utrzymać na tak wysokim poziomie. Cyfra „2 miliardy dolarów”, na rok 1981 wspomniana wyżej, daje wyraz optymistycznym przewidywaniom, ale mieści się w granicach możliwości. Dużo większe sumy, czy też zobowiązanie się do przekazywania Polsce tak wysokiej kwoty co roku przez następne pięć lat, wydaje się mało prawdopodobne, chyba że odhywałoby się to w ramach mniej lub bardziej wyraźnego porozumienia, obejmującego sumy podobnej wielkości z Zachodu.

Przyjmując przeciwny punkt widzenia wydaje się, że przynajmniej pośrednie zapewnienie o znacznym wkładzie finansowym ze Wschodu może okazać się konieczne, by wydobyć konieczne fundusze z Zachodu. Duża, stała i widoczna pomoc ze Wschodu dopomogłaby w zachowaniu chociażby pozorów istnienia „wschodniego parasola”. Byłby to czynnik uspakajający obie strony, nawet gdyby zasła ko-

nieczność dodania do tego parasola zachodniego płaszcza przeciwdeszczowego.

Wspólne interesy stwarzają podstawy do współpracy między Wschodem i Zachodem przy realizacji planu ratowania polskiej gospodarki. Obie strony powinny się zgodzić, że wspólnym interesom bezpieczeństwa i stabilizacji sytuacji we Wschodniej Europie nie przysłużą się ani chaos w Polsce, ani interwencja z zewnątrz, a nie też przyznanie Polsce dużo większej autonomii w RWPG i Układzie Warszawskim. Zyski, jakie Zachód może dostrzegać w złożeniu całego ciężaru polskiej gospodarki na barki wschodnio-europejskie, zrównoważone są przez gospodarcze zainteresowanie Zachodu zdrowiem tejże gospodarki. Co więcej, jeżeli podtrzymywanie polskiej gospodarki będzie dużym ciężarem dla obu stron, a nie będzie widoków na poprawę bez daleko idących reform wewnętrznych, takie reformy również leżą w interesach tak Wschodu jak i Zachodu. Wschód może jednak odnosić się podejrzliwie do wszelkich liberalizujących tendencji, podczas gdy dla Zachodu miałyby wartość samą w sobie.

Węgry udowadniają, że reformy decentralizacyjne nie muszą prowadzić do burżuazyjno-liberalnej demokracji ani nawet do zachwiania kierowniczej roli partii, lub też jej wewnętrznej jedności. Na takie konsekwencje Związek Radziecki nigdy by się nie zgodził. Należy przyznać, że w Polsce wpływ sił niezależnych od partii jest już dużo większy niż na Węgrzech, a PZPR jest wewnętrznie chora. Ale zreformowana i zregenerowana partia mogłaby osiągnąć ze społeczeństwem porozumienie, zezwalające na pewien stopień pluralizmu w dokładnie określonych sferach życia społecznego, bez narażania na zbytne niebezpieczeństwo samej siebie. Partia mogłaby, na przykład, przyznać niezależnym organizacjom robotniczym istotną rolę na polu gospodarczym i społecznym, lecz nie w politycznym życiu kraju – nie deklarując tego (przynajmniej otwarcie). Porozumienie takie byłoby podobne do tego, jakie osiągnięto już z Kościołem. Pod tym względem dla partii byłoby lepiej, gdyby prowadziła rozmowy z „Solidarnością”, a nie z radami robotniczymi posiadającymi znaczny zakres uprawnień w przedsiębiorstwach. Jeden ogólnokrajowy związek zawodowy, który wcześniej czy później musi wytworzyć pewną biurokratyczną strukturę, w o wiele mniejszym stopniu zagraża kierowniczej roli partii niż dezintegrujące sily syndykalizmu i samorządu ro-

botniczego, które w obecnych okolicznościach są niebezpieczne, również z ekonomicznego punktu widzenia.

Kraj wydaje się czekać, by partia przyjęła swą kierowniczą rolę. PZPR może ją spełniać w sposób zgodny z interesami Zachodu, Wschodu i Polski, nie dążąc do konfrontacji z „Solidarnością” w drugorzędnych sprawach, lecz przedstawiając gospodarczy i polityczny program, który znajdzie poparcie w kraju i za granicą.

KONWERSJA FRAGMENTARYCZNA

A KONWERSJA OGÓLNA

Polska nie jest w stanie spłacać długów w przewidzianych terminach ani w tym roku, ani przez następne kilka lat. Głupotą jest udawać, że jest inaczej. Deficytów w kolejnych bilansach płatniczych, nie da się uniknąć i zadłużenie będzie wzrastać przez — powiedzmy — dalsze pięć lat. Ale można całkiem racjonalnie zakładać, że po tym okresie, jeżeli spełnione będą pewne warunki, gospodarka osiągnie stan równowagi. Nie są natomiast rozsądne, lecz wręcz szkodliwe, uwagi o „pluciu krwi”, wygłaszane w sytuacji, gdy redukcja importu półproduktów z Zachodu i skierowanie dostaw materiałowych na eksport spowodowały znaczny spadek produkcji. Nadzieje związane z takim podejściem są iluzoryczne: gdy Polska może wypełnić zobowiązania płatnicze jedynie przy pomocy z zewnątrz. Tej zaś pomocy finansowej w wystarczającym stopniu Polska nie mogłaby otrzymać zaciągając pożyczki zwykłymi sposobami.

Nikt przecież nie da się zwieść iluzji. Już teraz, a na dobrą sprawę od co najmniej roku, stoimy w obliczu konwersji, czy to pod postacią refinansowania długów, czy też w formie odroczenia terminów płatności. Istotne jest pytanie, jaką formę przyjmie konwersja, i czy będzie ostateczna. Biorąc pod uwagę wszelkie argumenty, należy stwierdzić, że pilna i absolutnie konieczna jest wielostronna, ogólna konwersja zarówno długów, które Polska zaciągnęła w oparciu o gwarancje rządowe, jak i długów zaciągniętych w bankach bez takich gwarancji.

Przed wszystkim, jakkolwiek forma refinansowania zaciągniętych w oparciu o gwarancje rządowe długów, które stanowią, jak się wydaje, najwyżej 40% ogólnego zadłużenia, prawdopodobnie okazałaby się nie wystarczająca bez poparcia prywatnego sektora bankowego. Tego poparcia z kolei nie będzie, jeżeli cała dziesiątka (lub podobna liczba) głównych rządów-wierzycieli nie zaangażuje się w sposób widoczny dla całego rynku finansowego w sprawę ustabilizowania polskiej gospodarki i podtrzymania zdolności Polski do spłacenia długów. Zapewne rządy i tak przyjmą wielostronną formę działania, ale wzajemne zobowiązania między poszczególnymi rządami w odniesieniu do konwersji przeprowadzonej w ramach Klubu Paryskiego³⁸ odegrałyby rolę istotnego czynnika w przekonaniu prywatnego sektora, aby przyłączył się do tej operacji. Ogólne zadłużenie Polski, sięgające 25 miliardów dolarów, znacznie przewyższa długi innych, niedawnych kandydatów do konwersji (np. Turcji). Dlatego też utrzymanie w mocy jakiegokolwiek porozumienia będzie odpowiednio trudniejsze. Wysokość zadłużenia redukowałaby także rolę finansową Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ta okoliczność tym bardziej wysuwa na plan pierwszy przyczyny polityczne, dla których nie należy szukać współpracy Funduszu w tym wypadku.

Największym niebezpieczeństwem wiążącym się z fragmentaryczną konwersją jest możliwość wylamania się z porozumień pewnych rządów-wierzycieli i banków, które zdecydowałyby się na działanie „na własną rękę”. Porozumienie, które nie byłoby wszechstronne i nie miałooby mocy oficjalnej, łatwo można złamać, gdyby pomniejsi wierzyciele zaczęli korzystać z okazji, by się z niego wyliczyć. W obecnej chwili Polska dysponuje tak nikłą ilością dewiz, a gospodarka jest tak głęboko zwichnięta, że fragmentaryczna konwersja byłaby zbyt niebezpiecznym manewrem. Mogłoby to zwiększyć tylko ryzyko, że Polska finagle (być może milimównie) znajdzie się w sytuacji niewypłacalności. Takie podejście spotęguje jeszcze atmosferę kryzysu, utrudniając racjonalnie, długofalowe planowanie. Nawet gdyby przeprowadzono w Klubie Paryskim konwersję długów z gwarancjami rządowymi, za dużo banków jest tu zaangażowanych, aby w przeciągu kilku lat można było uniknąć zbytełnego odpływu finansów pochodzących z sektora prywatnego, jeżeli wszystkie banki nie będą związane wszechstronnym porozumieniem w sprawie konwersji zadłużenia z prywatnych źródeł. Co więcej, przy wszechstronnej konwersji banki mogłyby okazać się gotowe przyczynić Polsce długie respl

ro, czego w rzeczywistości wymaga sytuacja gospodarcza i finansowa.

Tylko przy wielostronnym podejściu jest możliwe powiązanie konwersji z odpowiednimi warunkami i śledzenie postępów stabilizacji gospodarczej w oparciu o uzgodnione kryteria. Takie warunki byłyby konieczne dla utrzymania stałego poziomu pomocy ze strony rządów i banków zachodnich. Musiano by je wprowadzać w życie, z delikatnością i dyplomatyczną zręcznością. Władze polskie nie powinny się jednak łudzić, że zdołają ich uniknąć. Można argumentować, że jawny charakter tych warunków, czego nie dałoby się uniknąć przy wielostronnej konwersji, miałby prowokacyjny charakter wobec Związku Radzieckiego. Jeżeli wszakże jedyną możliwą alternatywą miałby być całkowity brak efektywnych wymogów stawianych Polsce, to należy sprawę postawić jasno. Długofalowa pomoc Zachodu nie jest pożądana i niemal z pewnością z przyczyn politycznych jest niemożliwa bez jakiegokolwiek skutecznego narzuconych Polsce warunków.

Eventualnym mankamentem wielostronnej ogólnej konwersji byłoby to, że Polska mogłaby zyskać zbyt wiele luzu, wykorzystując popuszczenie cugli nie tylko przez jeden rok dłużej ale również, powiedzmy, aż do roku 1984—1985. Umożliwienie władzom polskim uchylecia się od przeprowadzenia koniecznej korekty gospodarki byłoby poważnym błędem. Inaczej to ujmując, że stałoby się, gdyby cugle okazały się zbyt słabo napięte, żeby poprowadzić Polskę ku odłudowie gospodarczej unikając jednoczesnych kompromisów na płaszczyźnie politycznej.

PROPOZYCJE

Nie ma użytecznego precedensu konwersji zadłużenia kraju należącego do RWPG czy nawet kraju, który nie jest członkiem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Z drugiej strony, ani historia konwersji przeprowadzonych w ramach Międzynarodowego Funduszu Walutowego w oparciu o programy stabilizacji gospodarki, nie przedstawia się tak dobrze, ani istniejące konwencje nie są tak doskonałe, żeby rzeczywiście pożądane były próby wpasowania Polski w sztywne ramy, nakreślone przez uprzedni precedens.

Koordinacja w czasie

Udział Ameryki jest nieodzowny. Przedstawiciel rządu francuskiego, który przewodniczył paryskim spotkaniom wierzycieli, miał złożyć wizytę w Waszyngtonie na początku lutego. Jeżeli Stany Zjednoczone wyrażą zgodę, wówczas w marcu mogłyby się zacząć rozmowy o konwersji pożyczek zaciągniętych przez Polskę w oparciu o gwarancje rządów zachodnich. Rozmowy te prowadzone byłyby w ramach czy na wzór dyskusji Klubu Paryskiego. Konieczne będzie dokładne określenie roli każdego wierzyciela, w oparciu o zasadę podziału ciężaru konwersji proporcjonalnie do obecnego stopnia zaangażowania się w transakcje finansowe z Polską. Oczekuje się jednocześnie, że „komisja kontaktowa” banków uda się do Warszawy pod koniec marca lub na początku kwietnia, a więc w czasie zjazdu PZPR.

Warunki finansowe

Rządy powinny być szczodre i wielkoduszne w odniesieniu do terminów spłaty długów i przyznania respiro. Nie ma większego sensu w ustaleniu terminu spłat kapitału, zanim dłużnik nie będzie miał szans uzyskania dodatniego bilansu płatniczego. Jeżeli zaś nie będzie przyznane także respiro na spłaty z tytułu oprocentowania, nie będzie można oczekiwać dodatniego bilansu płatniczego przed rokiem 1986. Z drugiej strony, nie ma żadnych oczywistych powodów, żeby jakąkolwiek część zadłużenia refinansować w oparciu o ulgową (subwencjonowaną) stopę procentową. Tego typu subwencje są formą pomocy, która powinna być przyznana jawnie, a nie w sposób ukryty, jeżeli w ogóle pożądaną jest udzielanie takiej pomocy. Właśnie w takim przypadku jak Polska, gdzie zagadnienia polityczne mają centralne znaczenie, ważne jest, aby społeczeństwa zachodnie wiedziały dokładnie, co jest oferowane w ich imieniu i z ich pieniędzy.

Wysokość kwot

Ilość pieniędzy nie może być dokładnie określona bez uzyskania bardziej szczegółowych informacji od władz polskich. Przypuszczalnie sumy, jakich potrzebuje Polska w formie nowych pożyczek, wynoszą około 4 miliardów w roku 1981 i podobne, lecz stopniowo malejące kwoty w kolejnych latach do roku 1986 (przyznanie respiro na

splaty z tytułu oprocentowania oczywiście zredukuje wysokość tych sum). Cała operacja nie miałaby sensu bez umożliwienia Polsce sprawnego importu koniecznego, aby aparat wytwórczy osiągnął pełną moc produkcyjną. Zbyt bowiem sztywne ograniczenia narzucone na bilans płatniczy mogłyby spowodować, iż jakiś drugorzędny błąd przekształci się w kryzys gotówkowy. Trudno jest powiedzieć, jak nowe pożyczki powinny być rozłożone między rządy zachodnie, banki i wschodnią Europę.

Bank

Zgodnie z normalnie obowiązującą zasadą porozumień Klubu Paryskiego, dłużnik powinien zwrócić się do banków o konwersję zadłużenia w oparciu „o warunki podobne” do tych, jakie przyznały mu rządy-wierzyciele. Konwersja długów zaciągniętych przez Polskę w bankach nie powinna odbiegać od zasad, na jakich przeprowadzano podobne operacje w przypadku innych krajów. Przy założeniu, że wszelkie związane z konwersją warunki dotyczące zobowiązań Polski, będą postawione przez Klub Paryski. Należy tu zaznaczyć, że w przypadku solidnego porozumienia między Polską a rządami zachodnimi nie ma powodów, dla których banki w ramach wszechstronnej konwersji istniejącego zadłużenia nie miałyby dostarczyć nowych pożyczek bez gwarancji rządowych. Nie jest natomiast pożądane i nie byłoby konieczne stwarzanie precedensu w postaci ofert ze strony rządów w sprawie udzielenia gwarancji na nie spłacone i nie gwarantowane uprzednio długi bankowe.

Zobowiązania

Zobowiązania, jakie Polska musiałaby przyjąć, są względnie proste. Pierwszym wymogiem jest przygotowanie realistycznego planu na okres do roku 1986. Plan ten stwarzałby warunki osiągnięcia dodatniego bilansu płatniczego do tego czasu. Byłby to plan docelowy, możliwy do przyjęcia przez Zachód przy założeniu, że poparty byłby nie tylko przewidywaniami odnośnie ogólnej produkcji i bilansu płatniczego, lecz również szczegółowo uzasadnionymi wskaźnikami produkcji eksportowej i importu-oszczędnej. Taki plan musiałby również

być poparty programem obejmującym racjonalizację struktury cen, szczególnie w zakresie handlu zagranicznego, reorientację inwestycji, modernizację prywatnego sektora w rolnictwie, reformy systemu gospodarczego. Plan musiałby również zakładać długi okres wyrzeczeń ze strony społeczeństwa, podczas którego podwyżka cen artykułów konsumpcyjnych i brak wzrostu stopy życiowej byłby nieodzownym warunkiem lepszemu zrównoważeniu popytu i podaży na dobra konsumpcyjne, przesunięciem nakładów inwestycyjnych na budownictwo mieszkaniowe, itd.

Taki program w zasadzie pokrywa się z sugestiami, które już wysłane były władze polskie, lecz szczegóły są tu ważne i musiałby zostać dokładnie przestudiowane. Podstawową kwestią jest to, że Zachód śledziłby wprowadzanie takiego programu w życie, a realizacja jego założeń stanowiłaby warunek wstępny udostępnienia dodatkowych funduszy. Konwersja daje dłużnikowi dużo większe pole manewru, niż odroczenie spłat na, powiedzmy, rok. Taki jest właśnie cel całej operacji. Zabezpieczeniem dla wierzyciela jest zaś stała potrzeba nowych funduszy ze strony dłużnika. Nie ma wielkiego sensu nadmierne zastraszanie warunków półroczna czy nawet roczna ocena sytuacji powinna wystarczać, zwłaszcza w przypadku kraju przyzwyczajonego do szczegółowych planów operacyjnych i średnio-okresowych oraz posiadającego doskonałą informację statystyczną.

Negocjacje

Nie idąc na żadne ustępstwa, jeżeli chodzi o samą zasadę powołania konwersji z określonymi warunkami, które Polska musiałaby spełnić, rządy zachodnie mogłyby wysunąć różne możliwości, co do sposobu prowadzenia negocjacji i wprowadzenia ustalonych warunków w życie. We wstępnych rokowaniach mogłyby brać udział przedstawiciele władz polskich; z wielu powodów byłoby jednak lepiej, aby tak się nie stało, a kontakt z Polską był wówczas utrzymywany przez pośrednika bądź też jednego wierzyciela, reprezentującego całą grupę. Porozumiewanie się poprzez pośrednika byłoby o tyle korzystne, że władze nie brałyby w widoczny sposób udziału w formułowaniu warunków, które następnie musiałaby spełnić. Dzięki takiemu rozwiązaniu stosunki między obu stronami miałyby wyraźnie inny charakter: rozmowa dłużnika z wierzycielem, a nie wstąpienie w rolę arbitra.

suwerennych rządów (czy też jeden rząd tę grupę reprezentujący) dyktuje warunki innemu rządowi. Ten pierwszy aspekt ma znaczenie przy zapewnieniu władzom najlepszej pozycji: z której mogłyby się domagać poparcia w kraju dla przedstawionego przez siebie programu. Program przedłożony byłby wierzycielom, więc nie byłby podyktowany z zewnątrz, ale jednocześnie miałby oparcie w postaci sankcji warunkujących dopływ dalszych finansów w zależności od postępów w realizacji jego założeń. Rolę pośrednika mogłaby spełniać organizacja międzynarodowa lub też pojedyncza osoba czy grupa osób, ewentualnie występujących pod auspicjami takiej organizacji i mających oparcie w jej instytucjonalnym zapleczu. Atrakcyjnym rozwiązaniem byłaby niezależna komisja „mędrców”-rzeczoznawców, wybranych za obopólną zgodą. Mogliby oni także śledzić postępy na polu gospodarki i ewentualnie służyć radą przy formułowaniu i urzeczywistnianiu programu stabilizacji, jeżeli Polska tego by pragnęła. Bezpośrednie zaangażowanie się Zachodu w samą realizację programu mogłoby stanowić zbyt dużą ingerencję w sprawy polskie, choć każdy tego typu projekt musi nieuchronnie wiązać się z pewną dozą ingerencji. Wychodząc z założenia, iż udział Międzynarodowego Funduszu Walutowego w takim przedsięwzięciu może okazać się sprawą drażliwą, należałoby go unikać. W przypadku poszukiwania odpowiedniej organizacji można rozważyć kandydatury Banku Rozliczeń Międzynarodowych* (choć może klub głównych bankierów nie byłby tu na miejscu), Komisji Gospodarczej do spraw Europy (gdzie Związek Radziecki miałby prawo weta) lub Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju** (której skład nie różni się znacznie od Klubu Paryskiego).

Rola Związku Radzieckiego

Sposób działania powinien być taki, by w jak najmniejszym stopniu wzbudzał obiektywnie Związek Radziecki, a jednocześnie wciągnął zarówno ZSRR jak i inne kraje wschodnio-europejskie do współpra-

Endumacja:

Bank for International Settlements

Economic Commission for Europe—wchodzi w skład Rady Gospodarczo-Społecznej ONZ

Organization for Economic Cooperation and Development—OECD.

cy jako wierzycieli. W rzeczywistości już są one wierzycielami i jako takie w zasadzie powinny brać udział w przeprowadzaniu konwersji. Niemniej łączenie tych krajów z jakimikolwiek aspektami warunków dotyczących zobowiązań Polski, towarzyszących konwersji byłoby dla nich niewygodne. Zachodni wierzyciele mają prawo wiedzieć, jakie sumy Polska jest dłużna wierzycielom wschodnio-europejskim. Nie byłoby też bezpodstawne wystąpić o to, by wierzyciele wschodnio-europejscy dokonali konwersji polskich długów na takich samych zasadach finansowych co Zachód. Związek Radziecki brał już udział w konwersji zadłużenia Indonezji jako jeden z wierzycieli.

Możliwe są różne sposoby porozumienia się ze Związkiem Radzieckim. Przypuszczalnie najlepiej byłoby zacząć do momentu powzięcia decyzji w ramach Klubu Paryskiego, lecz przed rozpoczęciem bilateralnego (gdyż w tej formie musiałoby się to odbywać) wcielania ich w życie. Wówczas jeden z rządów, prawdopodobnie Francja lub Austria, powinien dyskretnie dać Związkowi Radzieckiemu, do zrozumienia, że zachodni wierzyciele uzgodnili właściwe formy konwersji zadłużenia i pomocy dla Polski, ale — jako że będzie to kosztowna operacja — Zachód chciałby zmniejszyć dalsze ryzyko. Może Związek Radziecki lub instytucje bankowe RWPG byłyby przygotowane do udzielenia wyraźnych gwarancji dla nowych pożyczek z Zachodu? Jeżeli otrzymano by odmowną odpowiedź, Zachód nadal byłby skłonny realizować swe zamierzenia, o ile Polska zgodziłaby się przyjąć pewne zobowiązania, których wierzyciele wymagają jako normalnej formy zabezpieczenia, i o ile Związek Radziecki zasignalizowałby zamiar RWPG dalszego udzielania pomocy Polsce na podobną skalę. Związek Radziecki będzie musiał zrozumieć, iż Zachód nie może zgodzić się na to, by finansowe zobowiązania radzieckie miały w miarę wzrostu finansowego angażowania się Zachodu w Polskę.

Banki nie podejmą żadnych kroków, dopóki nie będą jasne intencje rządów zachodnich. Wspólny komunikat o gotowości do prowadzenia w ramach Klubu Paryskiego negocjacji na temat konwersji, która obejmowałaby wszystkich głównych zachodnich wierzycieli, natychmiast zmniejszyłby pragnienie poszczególnych banków do wycofania się z transakcji finansowych z Polską. Ale też świadomość, że po konwersji długów, zaciągniętych w oparciu o gwarancje rządów zachodnich, zapewne nastąpiłaby też i konwersja kredytów zaciągniętych przez Polskę w bankach prywatnych, mogłoby skłonić niektó-

re z nich do podjęcia próby wycofania kapitałów, zanim i one zostałyby konwersją objęte. Z chwilą uzgodnienia treści porozumienia Klubu Paryskiego banki mogłyby traktować zawarty w nim program gospodarczy i stawiane Polsce warunki (łącznie z procedurą śledzenia postępów gospodarczych) za odpowiednik porozumień Międzynarodowego Funduszu Walutowego w sprawie stabilizacji gospodarczej.

Problem jest pilny, a czasu mało. Nerozsądnie byłoby wchodzić w długoterminowe umowy z obecnym kierownictwem Polski przed zbliżającym się zjazdem partii, który może drastycznie zmienić sytuację polityczną. Należałoby jednak być przygotowanym na szybkie działania zaraz po zjeździe; a pamiętać trzeba, że dużo czasu muszą zabrać negocjacje w Klubie Paryskim nad porozumieniem w sprawie tak poważnego dłużnika, jak również sfinalizowanie dyskusji ze Związkiem Radzieckim i omówienie konwersji kredytów zaciągniętych w bankach. Tymczasem zachodnio- i wschodnio-europejscy wierzyciele będą musieli dalej finansować polski import i obsługę długów w oparciu o całkiem niezapewniające, przyjęte ad hoc, operatywne zasady, przy całym ryzyku, jakie się z tym wiąże.

CZY TO WSZYSTKO JEST WARTO ZACHODU

Wzrost od największych mędrców nie będzie można wymagać, żeby ocenili, czy ewolucja polityczna w Polsce dokonuje się po myśli przywódców zachodnich. Próba takiej oceny skompromitowałaby każdą grupę ekspertów. Niemożliwe byłoby poza tym wyłączenie tego typu warunków do porozumienia w sprawie konwersji. Niemniej należy postawić sprawę jasno: są pewne granice i to bynajmniej nie tak drastyczne jak zbrojna interwencja radziecka, których przekroczenie uniemożliwi każdą umowę. Niektóre kraje zachodnio-europejskie mogą tak nie uważać, inne wszak staną na takim właśnie stanowisku, a na pewno tak sprawę postawią Stany Zjednoczone. Dlatego też ten wywód ma między innymi na celu wykazanie, że dla sukcesu całej operacji potrzebne jest porozumienie między wszystkimi zainteresowanymi wierzycielami.

Jeżeli władze polskie będą próbowały osiągnąć taktykę ewakuacji i

„przykucie z powrotem śrubę”, to albo spowodują wypuch, który doprowadzi do interwencji, albo też odniosą sukces, ale wtedy spowodują zachodnicę wierzyteli do odmowy współpracy. To samo odnosi się *a fortiori* do Związku Radzieckiego, w wypadku gdyby starał się wymusić powrót do *status quo ante* przy pomocy mniej jawnych środków niż otwarta interwencja. W przypadku każdej z tych dwóch możliwości mało jest prawdopodobne, aby gospodarka była w stanie pracować na długą metę wystarczająco dobrze, żeby umożliwić spłatę długów. Wówczas konwersja nie warta byłaby zachodu. Stawka jest wysoka i przywódcy radzieccy i polscy powinni zdać sobie z tego sprawę.

Z drugiej strony, to właśnie niebezpieczeństwo interwencji w następstwie ogłoszenia niewypłacalności lub groźba ogólnej katastrofy gospodarczej przemawia najsilniej za podjęciem wysiłków, żeby pomóc polskiej gospodarce. Bez interwencji ogłoszenie niewypłacalności jest mało prawdopodobne, chyba że byłby to przypadek niejako proceduralny — Polska mimowolnie zaczęłaby zalegać z płatnościami i w konsekwencji zostałaby zmuszona do konwersji. Ten obrót rzeczy byłby o wiele mniej zadowalający niż konwersja zaplanowana z góry i niosłby ze sobą większe niebezpieczeństwo zaburzeń w gospodarce. W takim wypadku zmniejszyłyby się również szanse na przyciągnięcie nowych finansów. W konsekwencji zwiększyłaby się presja na gospodarkę w średnim okresie. Wzrosłaby również — z obu wymienionych tu powodów — możliwość zmanifestowania otwartego niezadowolenia społecznego i, co za tym idzie, groźba zdławienia go siłą. Próby zmierzające do uniknięcia niewypłacalności przez ograniczanie importu i zwiększanie eksportu miałyby taki sam efekt. Nie są też uzasadnione przypuszczenia, że Związek Radziecki poradziłby sobie z pełnym ciężarem polskiego zadłużenia w sytuacji, gdyby Zachód uznał za stosowne pozostawienie Polski całkowicie na łasce ZSRR.

W przypadku otwartej interwencji Związku Radzieckiego prawdopodobieństwo niewypłacalności byłoby duże. Zachodnie agencje eksportowo-kredytowe oraz banki nie byłyby już skłonne do prolongowania lub konwersji długów, których terminy płatności przypadałyby szybko. Związek Radziecki miałby wówczas olbrzymie trudności z pokryciem polskich zobowiązań płatniczych. Nie należy też przypuszczać, aby zachodnia opinia publiczna zezwoliła na uzgodnione w ramach negocjacji przejęcie przez Związek Radziecki polskiego zadłużenia na zasadzie „zwykłych interesów”. Dałoby się odczuć wtedy

prawne konsekwencje niewypłacalności w postaci zajmowania ładunków, statków, samych statków i zagranicznych wierzytelności. Zakładając, że Związek Radziecki nie chce umyć rąk od polskiego zadłużenia, gdyż miałoby to katastrofalne, długotrwałe skutki dla całokształtu, stosunków gospodarczych Wschód-Zachód, wypracowano by ostatecznie jakieś porozumienia prawne, które mogłyby uratować przynajmniej część zachodnich pożyczek. Ale w krótkim i średnim okresie wymiana handlowa między Wschodem i Zachodem byłaby poważnie zakłócona. Powstałaby też presja publiczna przeciwko dalszemu udzielaniu pożyczek któremukolwiek z krajów wschodnioeuropejskich, a „teoria parasola” przestałaby odgrywać rolę czynnika uspokajającego. Mimo jednak przeniesienia wschodnioeuropejskich dłużników do niższej kategorii pod względem ich zdolności do spłacania długów, te kraje, które nie byłyby bezpośrednio zaangażowane w interwencję, przypuszczalnie nadal mogłyby zaciągać kredyty.

Przedstawione tu wyłącznie gospodarcze konsekwencje interwencji już same w sobie stanowią wystarczający powód, by podjąć zdecydowane wysiłki, aby jej przeciwdziałać, nawet gdyby pociągałoby to znaczne koszty po stronie Zachodu. Konsekwencje dla bezpieczeństwa Europy byłyby jeszcze bardziej niepokojące. Gospodarcze oddziaływanie na sytuację w Polsce jest jedynym narzędziem, jakiego Zachód może użyć dla zapobieżenia, takiemu rozwojowi wypadków, dla zabezpieczenia własnych interesów ekonomicznych związanych z polskim kryzysem i dla zapewnienia dalszej wewnętrznej ewolucji w Polsce w pożądanym kierunku. Można tylko wyrazić nadzieję, że te cele będą poświęcały Zachodowi w wyborze sposobu działań gospodarczych.

Przypisy:

1. Niektóre z poruszanych niżej kwestii szerzej są omawiane w artykułach R. Portesa: „East Europe's Debt to the West” w *Foreign Affairs*, lipiec 1977, oraz „Effects of the World Economic Crisis on the East European Economies” w *The World Economy*, czerwiec 1980. Patrz także „L'endettement des pays de l'Est et l'avenir des échanges Est-Ouest”, CEPIL, listopad 1980, art. powielony.
2. Poffet, „East Europe's Debt...”, strona 769.
3. Rozwój gospodarczy Polski w latach 70-ych omawiany jest szczegółowo i z poparciem dużej ilości danych w pracach Z. Follenbuchta: „The Polish Economy in the 1970s” w *East European Economies Post-Helsinki*, US Congress Joint Economic Committee, Washington, DC, 1977, oraz „The Polish Economy at the Beginning of

the 1980s" w *East-European Economic Assessment, US Congress Joint Economic Committee*, Washington, DC, 1981. Osobiście przypisywałym nie jest wagę niż Z. Fallenhuchl czynnikom systemowym, większą zaś poważnym błędem w strategii inwestycyjnej i błędnemu kierowaniu gospodarką w skali makroekonomicznej (szczególnie w odniesieniu do pierwszej z wymienionych prac). Owe prace zawierają niemniej nieocenioną informację.

4. Portes, "East Europe's Debt...", strona 767.
5. Dane te dotyczą wymiany towarowej. Polska zawsze miała nadwyżkę w wymianie usług transportowych ze Związkiem Radzieckim, tak więc nawet w 1977 r. bilans płatniczy był prawdopodobnie mniej więcej zrównoważony.
6. A. Tillier w *International Herald Tribune*, "Euromarkets Supplement", sierpień 1979.
7. "Poland has Begun to Reschedule", *Euromoney*, grudzień 1979; "The Agreement that the French Keep under Lock and Key", *Euromoney*, marzec 1980.
8. W dalszym tekście terminy „refinansowanie”, „odroczenie terminów płatności” i „ulgi w spłaceniu kredytów” używane są wymiennie; z kontekstu wynika wyraźnie, jeżeli termin użyty jest w konkretnym znaczeniu proceduralnym.
(W tłumaczeniu polskim terminy te objęte są słowem konwersja - tłum.)
9. Patrz J. Pearce, *Subsidized Export Credit*, Chatham House Paper No. 8, London: Royal Institute of International Affairs, lipiec 1980.
10. *Euromoney*, marzec 1980.
11. *Euromoney*, grudzień 1979.
12. Przy założeniu planistów, że poziom cen w obu przypadkach podniesie się o 11%, wolumen importu dewizowego miał zmniejszyć się o 14%.
13. *Tygodnik Powszechny*, 30 listopada 1980.
14. *International Herald Tribune*, 23 sierpnia 1980.
15. Raport o stanie wykonania planu, *Trybuna Ludu*, 7 sierpnia 1980.
16. Podkreśla to W. Rydygier w *Życiu Gospodarczym*, 12 października 1980.
17. *Trybuna Ludu*, 10 stycznia 1980.
18. Przy założeniu, że obowiązuje sześciodniowy tydzień pracy. Co więcej, obliczono, że zgodnie z długoterminowymi umowami, 21 milionów ton już jest zakontraktowane, a minimum wewnętrznych potrzeb gospodarki wynosi 167 milionów ton. (*Trybuna Ludu*, 16 stycznia 1981).
19. Porównaj przewidywania w tabelicy 10. Rzeczywiste spłaty z tytułu oprocentowania były od przewidywanych przypuszczalnie wyższe o 400-600 milionów dolarów, a deficyt handlowy o 1 miliard lub więcej. (Należy odnotować, że te prognozy opracowano przy założeniu podwyższenia planu eksportowego na rok 1980 o 560 milionów dolarów).
20. Należy zaznaczyć, że dane podane przez Polskę nie obejmują długów krótkoterminowych, tzn. pożyczek, których termin płatności jest krótszy niż jeden rok (z wyjątkiem odroczeń oprocentowania). Wychodzi się tu z założenia, że są one albo umiarkowanie oprocentowane, albo zastępowane podobnymi kredytami. Suma 10 miliardów dolarów pokrywa się z odroczeniami niektórych kół w Polsce pod koniec roku 1980. (*Życie Warszawy*, 31 grudnia 1980).
21. W oparciu o obliczenia szacunkowe opracowane przed wybuchem strajków Amerykański Department Handlu przewidywał, że przy wzroście wartości importu dewizowego o 0,8% jeszcze (średnio w latach 1975-1979), wartość eksportu musiałaby wzrosnąć o 13-14% rocznie (założył to od tego, czy przeciętne oprocentowanie zadłużenia wzrasta do 10% czy 12%), aby doprowadzić do stabilizacji zadłużenia do końca 1983 r. Jeśli osiągnąć nadwyżkę w bilansie płatniczym do 1980 r. („Preparing M-A Hard Currency Debt Level”, lipiec 1980).

Opozycyjni intelektualista, w tym członkowie KORu, pomagali w przekazywaniu i koordynowaniu przepływu informacji w sierpniu i odegrali ważną rolę w sformułowaniu programu w Gdańsku. Robotnicy występują w ich obronie. Nie wydaje się jednak, by obecnie KOR działał organizacyjnie jako siła polityczna.

Faktycznie, *Financial Times* z 20 stycznia 1981, doniósł o dyskusjach na temat możliwego renegotjowania ekonomicznej części porozumień gdańskich na tej podstawie, że w obecnej formie nie istnieją możliwości ich zrealizowania.

Bardziej ogólne omówienie tego zagadnienia czytelnik znajdzie w pracy Philipa Windsor, „Change in Eastern Europe”, Chatham House Paper no. 9, 1980 (Nie mogę jednak przyjąć pewnych poglądów autora na temat gospodarek krajów wschodnio-europejskich).

25. Na przykład 35-milionowy kredyt przyznany przez Wielką Brytanię 21 stycznia 1981 (*Financial Times*, 22 stycznia 1980; tam również pełna lista kredytów przyznanych Polsce w roku 1980 przez banki przy gwarancjach brytyjskiego rządowego Departamentu Gwarancji na Kredyty Eksportowe, ECGD).

26. W nowym składzie Kongresu polskie lobby jest dobrze reprezentowane: w Izbie Reprezentantów poseł Rostenkowski jest obecnie Przewodniczącym Komisji Budżetowej, poseł Zablocki jest przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych, a senator Percy (choć nie polskiego pochodzenia, ale deputowany ze stanu Illinois, gdzie mieszka największa w Ameryce społeczność polska) jest przewodniczącym Senackiej Komisji Stosunków Zagranicznych.

27. *International Herald Tribune*, 3 listopada 1980. Odmienny, europejski punkt widzenia przedstawia *Financial Times*, 5 grudnia 1980.

28. *International Herald Tribune*, 19 listopada 1981.

29. *Le Monde*, 29 stycznia 1981.

30. Władze wschodnio-niemieckie 11 października 1980 podwoiły dzienną kwotę, która musi być wymieniana przez obywateli państw zachodnich przy wjeździe do NRD (*Financial Times*, 11 października 1980).

31. Np. Reuter pierwotnie podał, że spotkanie między przedstawicielami Polski i zachodnimi wierzytelcami będzie miało miejsce w Paryżu 16 stycznia 1981; następnie podał, że spotkanie odwołano, ponieważ Stany Zjednoczone nie były przygotowane; w rzeczywistości było to spotkanie w gronie Wspólnego Rynku, bez przedstawicieli polskich lub amerykańskich.

32. Ubiegając się (różniadnie) o długie respiro, np. 8-letnia pożyczka z 4-letnim respiro.

33. C. Davis, *Financing Third World Debt*, Chatham House Paper No. 4 (London, Royal Institute of International Affairs, październik 1979).

34. Patrz B. Kosiński, rzeczoznawca w Ministerstwie Finansów, *Życie i Nowoczesność*, 1 stycznia 1981.

35. Są powody, aby przypuszczać, iż władze polskie bardzo czule są na tym punkcie, ze względu na delikatne stosunki Polski z Niemiecką Republiką Demokratyczną, która zleńcowała się czasami w zaskakujący sposób od chwili, gdy rozpoczął się kryzys.

36. 280 milionów dolarów w ramach konwersji polskiego zadłużenia względem Związku Radzieckiego (który, jak się przypuszcza, pożyczył Polsce miliard rubli w 1971 r. i dałszy miliard rubli w 1976 r.); 2611 milionów dolarów przyznano w ramach niskoprocentowego nowego kredytu dziesięcioletniego; 150 milionów dolarów w dostawach towarowych.

37. Wydaje się, że nowe pożyczki stanowią proporcjonalnie niewielką część ogólnej sumy, ale mogły być także zawarte inne porozumienia.

38. Klub Paryski składa się z rządów-wierzytelców, zbierających się, aby omówić problemy płatnicze danego kraju. Skład klubu zmienia się w zależności od tego, jakie państwo-

dlużnik jest przedmiotem obrad. Zwykle w skład klubu wchodzi tzw. Grupa Dziesięciu (krajów) oraz przedstawiciele jeszcze jednego lub dwóch rządów. Jako, że operacje konwersji długów przeprowadzane w ramach Klubu Paryskiego odnosiły się do krajów rozwijających się, Polska sprzeciwiała się, aby grupę jej wierzycieli określano tym mianem. Z braku jednak lepszej nazwy ta właśnie nazwa używana jest w tej pracy.

39. Mało jest prawdopodobne, aby taka propozycja była możliwa do przyjęcia, ale dlaczego instytucje bankowe RWPG nie miałyby pożyczać na Zachódzie, czyniąc to jawnie w imieniu Polski? Uważano by, iż taka działalność ma radzieckie gwarancje.

TABLICA I: ZSRR i Europa Wschodnia: zadłużenie brutto w latach 1971-1979 i zadłużenie netto w 1979
(w milionach dolarów; stan na koniec roku).

<i>Dług brutto</i>	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979	<i>Dług netto 1979</i>
Ogółem	8,357	11,047	14,965	22,317	36,401	47,661	56,577	68,947	77,130	64,660
Bulgaria	743	1,009	1,020	1,703	2,640	3,198	3,707	4,263	4,500	3,730
Czechosłowacja	485	630	757	1,048	1,332	1,862	2,616	3,206	4,020	3,070
NRD	1,408	1,554	2,136	3,136	5,188	5,856	7,145	8,894	10,140	8,440
Węgry	1,071	1,392	1,442	2,129	3,135	4,049	5,655	7,473	8,020	7,320
Polska	1,138	1,564	2,796	4,643	8,014	11,482	13,967	17,844	21,100	20,000
Rumunia	1,227	1,249	1,611	2,693	2,924	2,903	3,605	5,221	6,950	6,700
Sześć krajów, ogółem	6,072	7,398	9,762	18,352	28,033	29,351	36,695	46,901	54,730	49,260
ZSRR	1,807	2,409	3,749	5,176	10,578	14,853	15,728	17,227	17,200	10,200
banki RSWPG*	478	1,240	1,454	1,789	2,790	3,457	4,154	4,819	5,200	5,200

Źródło: US National Foreign Assessment Center.

Zadłużenie brutto obejmuje należności wobec zachodnich rządów, banków handlowych i inne. Zadłużenie netto równie jest zadłużeniu brutto zmniejszonemu o depozyty ulokowane w zachodnich bankach. ZSRR i kraje Europy Wschodniej udzielały również kredytów eksportowych nabywcom ze sfery dolarowej, ale ze względu na brak danych wielkości te nie są uwzględnione w szacowaniu zadłużenia netto.

* Międzynarodowy Bank Inwestycyjny i Międzynarodowy Bank Współpracy Gospodarczej.

TABLICA II: ZSRR i Europa Wschodnia: miary zadłużenia

	Udział obsługi długu w eksporcie (w %)		Udział długu brutto w eksporcie (w %)		Procent długu netto w dochodzie narodowym brutto w 1979
	1972	1979	1972	1979	
Bulgaria	36	38	198	195	14,0
Czechosłowacja	10	22	46	112	4,0
NRD	18	54	95	223	9,5
Węgry	14	37	140	239	20,5
Polska	15	92	87	333	16,8
Rumunia	27	29	99	130	8,5
ZSRR	14	18	63	64	0,7

Źródło: US National Foreign Assessment Center.

Dla sześciu krajów Europy Wschodniej eksport obejmuje dochody pochodzące z eksportu towarowego do krajów kapitalistycznych; dla ZSRR — dochody pochodzące z eksportu towarowego, ze sprzedaży złota, dostaw broni, z transportu i turystyki. Obsługa długu obejmuje oprocentowanie długu oraz spłaty długów udzielonych przez rządy zachodnie oraz długów średnio- i długookresowych udzielonych przez banki prywatne.

TABLICA III: Dochód narodowy netto i jego składniki w 1966-80

	1966-70	1971-75	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979	1980	1976-80
Doch. nar. wytwó. zony.													
Plan	6.0	7.0	—	—	—	9.5	9.8	8.3	5.7	5.4	2.8	1.6	7.2
Wykonanie	5.7	9.8	8.1	10.6	10.8	10.4	9.0	6.8	5.0	3.0	-2.3	-4.0	1.8
Doch. nar. podzielony	5.8	12.0	9.8	12.7	14.3	12.0	10.9	7.0	2.7	0.7	-3.4	—	4.8
Podzielony													
Konsumpcja	5.6	8.7	7.7	9.1	8.1	7.4	11.1	8.8	6.8	1.7	3.3	—	—
Akumulacja	6.3	19.0	15.3	21.5	27.5	20.7	10.6	3.7	-5.3	-1.4	18.0	—	—
Nakłady inwestycyjne netto na środki trwałe (w %)	—	—	19.5	22.2	24.6	27.0	28.4	26.7	27.2	26.1	25.0	—	—
Doch. nar. brutto, szacunki zachodnie	3.8	6.6	7.1	7.3	7.4	5.9	4.7	4.1	2.8	3.9	0.1	—	—

Źródło: Roczniki statystyczne; United Nations Economic Commission for Europe, United Nations, New York; Z. Fajferbuchl, „The Polish Economy at the Beginning of the 1980s”; LW International Financial Research (dla zachodnich szacunków). Wszystkie cyfry wyrażają procentowe zmiany w stosunku do roku poprzedniego.
— oznacza brak danych.

TABLICA IV: Rezultaty makroekonomiczne 1971-80 (zmiany procentowe w stosunku do roku poprzedniego)

	1971-75	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979	1976-80 Plan	1980
Produkcja przemysłowa	10.5	8.3	10.7	11.3	12.5	10.9	9.3	6.9	4.9	2.1	8.3	-3.0
Produkcja rolna	3.7	3.6	8.4	7.3	1.6	-2.1	-1.1	1.4	4.2	-1.4	3.2	-10
Nakłady inwestycyjne	18.4	7.7	23.7	25.0	22.5	14.2	2.2	4.3	1.6	-7.4	7.4	—
Dochód realny	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
na 1 mieszkańca	9.6	9.6	12.9	10.2	5.0	8.9	7.2	6.1	-0.6	2.0	—	—
Dochody nominalne	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
na 1 ludności	13.2	10.6	12.7	13.5	13.1	13.5	12.1	12.2	9.0	9.5	—	10.0
Fundusz płac	13.5	8.8	11.1	15.6	17.6	14.4	10.5	8.4	6.5	8.5	—	13.0
Wskaźnik cen dóbr konsumpcyjnych	2.5	0.2	0.0	2.6	6.7	3.0	4.4	4.9	8.7	6.7	—	—
Bilans handlowy*	(-659)	—	—	—	-2,168	-2,256	-2,853	-2,353	-1,928	-1,333	—	—

Źródło: Patrz tablica III.

Stopy wzrostu produkcji przemysłowej i rolniej wyliczone są ze wskaźników produkcji brutto.

Nakłady inwestycyjne mierzone są w cenach stałych.

Dochód realny obejmuje dochód w naturze, konsumpcję zbiorową, etc.

— oznacza brak danych.

Wszystkie dane pochodzą ze statystyk oficjalnych.

* Bilans handlowy wyrażony jest w milionach dolarów, jest bilansem towarowym ze wszystkimi krajami.

Cyfra w nawiasie dla 1971-75 jest średnią dla 1971-7.

TABLICA V: Handel Zagraniczny, 1971-79

	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979
Wzrost handlowy z krajami sekwencyjnym gospodarczo (w milionach dolarów, ceny bieżące)	-53	-313	-1,316	-2,269	-2,746	-3,237	-2,496	-2,052	-1,6
Eksport							3,838	4,311	5,046
Import							6,334	6,363	6,651
Import									
Stopa wzrostu, ogółem (ceny stałe)	13.8	22.1	22.6	14.2	5.0	10.3	0.4	1.5	2.5
Stopa wzrostu, kraje nie-socjalistyczne (ceny stałe)	20.7	44.8	37.8	19.5	12.1	11.4	-10.6	—	—
Stopa wzrostu, kraje nie-socjalistyczne (ceny bieżące)	16.1	44.4	65.8	53.4	16.6	8.5	-4.6	0.0	5.7
Eksport									
Stopa wzrostu, ogółem (ceny stałe)	6.5	15.2	11.0	12.8	8.3	5.4	8.8	5.7	6.7
Stopa wzrostu, kraje nie-socjalistyczne (ceny stałe)	11.5	14.8	10.9	5.9	5.8	13.1	-0.2	—	—
Stopa wzrostu, kraje nie-socjalistyczne (ceny bieżące)	11.5	15.5	27.0	45.7	11.9	7.7	9.8	7.3	12.9

Źródło: United Nations, New York; Falkenbuchi, „The Polish Economy at the Beginning of the 1980s”.

TABLICA VI: Zadużenie w milionach dolarów, 1971-79 (stan na koniec roku)

	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979
Dług handlowy	420	856	1,951	3,580	6,547	9,159	10,393	13,430	16,000
w tym:									
zobowiązania wobec banków									
zachodnich	305	641	1,536	2,895	5,230	7,698	8,894	11,963	15,100
Dług rządowy	718	708	845	1,057	1,467	2,324	3,574	4,414	5,100
Gwarantowane kredyty eksportowe	370	384	543	783	1,091	1,849	2,921	3,700	4,400
Inne	348	324	302	274	376	475	653	714	700
Aktywa handlowe	374	414	583	523	633	803	435	872	1,100
Dług brutto	1,138	1,564	2,796	4,643	8,014	11,483	13,967	17,844	21,100
Dług netto	762	1,150	2,213	4,120	7,381	10,680	13,532	16,972	20,000
Udział obsługi długu w eksporcie	—	15	19	23	30	42	59	79	92
Udział długu brutto w eksporcie	—	87	111	120	194	259	286	324	333

Źródło: US National Foreign Assessment Center; *World Financial Markets*.

TABLICA VIII: Struktura handlu zagranicznego, 1978 i 1979 (w %)

	Wyroby przemysłu										
	Ogółem	Paliwa i energia	metalurgicznego	elektromaszynowego	chemicznego	mineralnego	drzewno-papierniczego	lekkiego	spożywczego	Produkty rolnicze	Pozostałe
Struktura importu											
1978											
Ogółem	100.0	12.9	12.2	40.9	11.6	1.6	2.0	4.1	5.0	8.1	1.6
Kraje socjalistyczne	100.0	18.6	11.6	48.2	7.7	1.6	2.3	4.3	2.6	1.7	1.4
Kraje rozwinięte											
gospodarczo	100.0	3.8	13.8	36.4	16.9	1.6	1.8	3.0	7.0	14.7	2.0
w tym EWG	100.0	4.3	14.4	40.3	21.9	1.8	0.9	3.4	3.0	8.1	1.9
Kraje rozwijające się											
gospodarczo	100.0	22.7	6.3	0.6	11.9	1.6	—	10.3	21.3	22.5	2.8
1979											
Ogółem	100.0	16.1	12.3	35.7	12.8	1.6	2.3	4.3	5.6	7.7	1.6
Kraje socjalistyczne	100.0	22.0	11.3	46.5	7.4	1.5	2.3	3.5	2.3	1.9	1.3
Kraje rozwinięte											
gospodarczo	100.0	4.1	15.0	27.0	21.7	1.7	2.8	4.3	6.1	15.1	2.2
w tym EWG	100.0	2.6	15.5	32.8	28.6	2.2	1.2	4.4	2.8	7.6	2.3
Kraje rozwijające się											
gospodarczo	100.0	33.0	5.3	0.3	7.6	1.3	—	10.7	26.2	13.4	2.2

Struktura eksportu

1978

Ogółem	100.0	15.5	6.2	47.0	8.0	1.0	2.4	9.6	6.7	2.3	1.0
Kraje socjalistyczne	100.0	11.1	4.7	59.0	8.6	0.4	1.2	10.8	2.4	1.3	0.7
Kraje rozwinięte											
gospodarczo	100.0	25.6	10.7	21.5	6.7	2.0	4.8	7.9	14.3	4.8	1.7
w tym EWG	100.0	25.1	12.7	21.5	7.0	1.6	6.0	5.9	12.1	6.4	1.7
Kraje rozwijające się											
gospodarczo	100.0	9.3	2.5	56.0	10.1	1.3	1.5	7.3	9.9	1.3	0.3

1979

Ogółem	100.0	15.5	7.0	48.3	7.6	1.0	2.4	3.5	6.0	2.6	1.1
Kraje socjalistyczne	100.0	10.2	4.2	62.9	7.7	0.3	1.2	9.1	2.0	1.5	0.9
Kraje rozwinięte											
gospodarczo	100.0	27.1	12.4	17.8	7.1	2.1	5.0	8.1	13.6	5.2	1.6
w tym EWG	100.0	26.9	14.9	19.2	7.1	1.5	6.1	6.5	9.8	6.5	1.5
Kraje rozwijające się											
gospodarczo	100.0	9.0	6.9	57.8	8.4	1.7	1.7	5.5	7.1	1.1	0.4

Źródło: Payments Memorandum for Eurocurrency Loan, lato 1980 (dane dostarczone przez Bank Handlowy).

TABLICA VII: Zbiory podstawowych produktów rolnych (w milionach ton)

	1966-70	1971-75	1978	ogółem	1979	sektor socja- listyczny	sektor nieso- cjalistyczny	1980
Zboże	17.0	20.9	21.5	17.3	—	—	—	19.2
pszenica	4.3	5.6	6.0	4.2	0.9	3.3	—	—
żyto	7.5	7.7	7.4	5.2	0.9	4.3	—	—
jęczmień	1.7	3.2	3.6	3.7	1.3	2.4	—	—
owies	2.9	3.2	2.5	2.2	0.4	1.8	—	—
Ziemniaki	47.9	47.1	46.6	49.6	4.5	45.0	—	37.0
Buraki cukrowe	13.6	13.8	15.7	14.2	3.1	11.1	—	—
Siano	16.9	19.9	19.3	18.6	—	—	—	—

Zródło: Placement Memorandum for Eurocurrency Loan, lato 1980 (dane dostarczone przez Bank Handlowy).

TABLICA IX: Handel z krajami rozwiniętymi gospodarczo, 1979 (w milionach dolarów, w %)

	Import		Eksport	
	(\$)	(%)	(\$)	(%)
Ogółem	5.671.5	100.0	4.537.0	100.0
Austria	434.4	7.7	201.7	4.4
Belgia/Luksemburg	174.8	3.1	157.1	3.5
Kanada	228.4	4.0	70.7	1.6
Dania	102.8	1.8	249.4	5.5
RFN	1.348.8	23.8	1.206.0	26.6
Francja	604.8	10.7	550.8	12.1
Włochy	385.2	6.8	492.0	10.8
Japonia	219.6	3.9	73.2	1.6
Holandia	224.8	4.0	154.3	3.4
Norwegia	88.9	1.6	143.4	3.2
Szwecja	326.8	5.8	243.1	5.4
Szwajcaria	192.7	3.4	82.8	1.8
Wielka Brytania	553.2	9.8	486.0	10.7
Stany Zjednoczone	786.3	13.9	426.5	9.4

Źródło: US Department of Commerce, „US-Polish Trade Trends”, wrzesień 1980.

Tabela X: Bilans płatniczy w milionach dolarów*

	1976	1977	1978	1979	1980	1981	1982	1983	1984	1985
	Prognoza									
Towary										
Eksport (fob)	4,518	5,120	5,711	6,700	7,970	9,000	10,070	11,080	12,180	13,400
Import (fob)	7,470	7,169	7,594	8,410	8,160	8,500	8,870	9,220	9,590	9,980
Bilans handlowy	-2,952	-2,049	-1,883	-1,710	-1,190	+500	+1,200	+1,860	+2,590	+3,420
Usługi i płatności										
Przychody	994	1,265	1,351	1,585	1,875	1,985	2,100	2,500	2,520	2,760
Rozchody	1,265	1,566	1,929	2,700	3,570	3,680	3,900	4,110	4,240	4,290
w tym procenty	—	983	1,120	1,570	2,200	—	—	—	—	—
Bilans usług i płatności	-271	-301	-578	-1,115	-1,695	-1,695	-1,800	-1,810	-1,720	-1,530
Bilans na rachunku bieżącym	-3,223	-2,350	-2,461	-2,825	-1,885	-1,195	-600	+50	+870	+1,890
Ruch kapitałów										
Kredyty udzielone	-211	-332	-107	-190	-230	-250	-230	-260	-290	-320
Kredyty otrzymane	+3,313	+2,290	+2,369	+3,330	+2,330	+1,640	+1,100	+210	-580	-1,570
Rozchody	1,205	1,897	3,119	4,530	5,830	6,410	5,670	6,470	6,620	6,650
Przychody	4,518	4,187	5,488	7,860	8,160	8,050	6,770	6,680	6,040	5,080
Przyrost rezerw i operacje finansowe	+121	+392	+190	-315	-215	-195	-270	0	0	0
Bilans ruchu kapitałów	+3,223	+2,350	+2,461	+2,825	+1,885	+1,195	+600	-50	-870	-1,890

* Według następujących przeliczników: 1976, 1977 \$1 = 3,32 zł dew; 1978 \$1 = 3,16 zł dew; 1979 \$1 = 3,089 zł dew

Źródło: Placement Memorandum for Eurocurrency Loan, lato 1980 (dane dostarczone przez Bank Handlowy).

TABLICA XI: Pożyczki długo- i średnioterminowe, 1978 i 1979 (w mln zł)

Kraj	Kredyty handlowe			
	1978	1978	1979	1979
	długo- terminowe (5-10 lat)	średnio- terminowe (2-5 lat)	długo- terminowe (5-10 lat)	średnio- terminowe (2-5 lat)
Belgia	5	95	1	111
Francja	117	466	124	553
Holandia	—	123	22	117
RFN	22	538	131	372
Wielka Brytania	191	306	140	310
Włochy	65	190	21	270
Austria	121	228	57	36
Szwajcaria	22	185	35	210
Szwecja	10	142	13	187
Kanada	44	4	30	398
Stany Zjednoczone	69	596	20	732
Japonia	—	69	213	154
Inne kraje	196	632	24	87
Ogółem	863	3579	831	3599

1978		Kredyty finansowe		1979	
<i>Długoterminowe</i>					
Konsorcjum francuskie	30	Konsorcjum zach.-niem. (wanaf)	28		
Konsorcjum szwajcarskie (miedź)	29	Konsorcjum duńskie	60		
Konsorcjum międzynarod. (miedź)	250	Konsorcjum międzynarodowe	553		
Konsorcjum bryt. (fabryka Ursus)	70	Konsorcjum zach.-niem. (miedź)	120		
Francja (przem. maszynowy)	11	Konsorcjum zachodnio-niemieckie	160		
RFN (przem. hutniczy)	11	Konsorcjum austriackie (podwozie)	50		
Japonia (przem. maszynowy)	11	Konsorcjum włoskie (sanitariaty)	100		
Inne kraje	146	Konsorcj. jap. (wyroby papieru)	10		
<i>Ogółem</i>	558	Konsorcj. francuskie (porty)	60		
		Konsorcjum francusko-szwedzkie (produkty mleczne)	30		
<i>Średnioterminowe</i>					
Kraje socjalistyczne	284	Konsorcjum szwajcarskie	24		
Belgia	60	Konsorcjum francuskie	30		
Bahama (miedź)	20	Kraje arabskie	150		
Francja	22	Kraje socjalistyczne	20		
W. Brytania (przem. samochodowy)	25	Inne kraje	2		
Japonia (węgiel)	36	<i>Ogółem</i>	250		
Francja (przem. chemiczny)	40				
<i>Ogółem</i>	488				

Źródło Bank Handlowy. Wg tego samego źródła wszystkie kredyty długoterminowe są gwarantowanymi przez rządy; również około 1/3 kredytów średnioterminowych jest gwarantowana przez rządy. Podział na kraje dokonany został według dawcy lub przedstawiciela konsorcjum.

TABLICA XII: Źródła kredytów zszgraniczonych (średnio- i długoterminowych) na 1980; projekt z lata 1980 (w milionach dolarów)

Kredyty gwarantowane przez rządy, w tym:	4,825
Kredyty handlowe	3,800
Maszyny i inwestycje otrzymane w ramach istniejących umów kredytowych	1,500
Ziarno i pasza	600
Półprodukty (chemiczne, hutnicze, itp.)	1,200
Kredyty dostawcze negocjowane razem z kontraktami	500
Kredyty finansowe	1,025
Francja	300
Austria	200
Austria—dostawy węgla	300*
RFN	225
Kredyty niegwarantowane, w tym:	2,835
Handlowe kredyty bankowe	1,200†
Kredyty finansowe	1,635
Kraje socjalistyczne	200
Kredyty na infrastrukturę związaną z projektami inwestycyjnymi	
Francja	30
Japonia	100*
RFN (projekt gazociągu)	120
RFN (miedź)	120
Argentyna (umowa węglowa)	30
Kraje arabskie	200*
Konsorcjum zachodnio-niemieckie	450
Konsorcjum międzynarodowe	325
Różne kraje (umowy miedziowe)	60

Źródło: Bank Handlowy.

* Negocjowane w lecie 1980.

† Obejmuje 800 milionów dolarów już przyznanych i 400 milionów dolarów będących przedmiotem negocjacji w lecie 1980.

TABLICA XIII: Struktura długu na koniec 1979 (w milionach dolarów)

	<i>Splata w 1980</i>	<i>Splata w 1981</i>	<i>Splata po 1981</i>	<i>Pozostaje</i>	<i>Ogółem</i>
Szacunki rządu USA (czerwiec 1980):					
Dług handlowy	6,760	3,055	6,185	—	15,000
Dług rządowy	1,349	1,219	2,532	—	5,100
Ogółem	8,109 (38,4%)	4,274 (20,3%)	8,717 (41,3%)	—	21,100
Bank Handlowy (lato 1980) (bez długu krótkookresowego)	5,242 (27,0%)	5,161 (26,6%)	8,997 (46,4%)	—	19,400
Zobowiązania wobec banków handlowych (BIS)	6,186 (39,0%)	2,276 (14,4%)	5,015 (31,6%)	2,369 (15,0%)	15,846
Zobowiązania wobec banków w Wielkiej Brytanii	634 (29,3%)	389 (18,0%)	1,104 (51,0%)	—	2,165

Źródło: US National Foreign Assessment Center.
 Placement Memorandum for Syndicated Eurocurrency Loan.
 BIS Press Release.
 Bank of England Quarterly Bulletin, grudzień 1980.

POLSKI KRYZYS — CZERWIEC 1981

Poważne zmiany nastąpiły w Polsce od chwili opublikowania Rapertu (luty 1981), niemniej jednak jedno nie uległo zmianie: gospodarka i społeczeństwo polskie objęte są nadal głębokim kryzysem. Ani mianowanie premierem gen. Jaruzelskiego, ani też śmierć kardynała Wyszyńskiego nie wpłynęły na zmianę najbardziej podstawowych elementów kryzysu. Podczas sześciu tygodni, jakie nas dzielią od zjazdu partii komunistycznej, który przesądzony został w czasie o wiele miesięcy (na koniec lipca), może jeszcze dojść do usunięcia niektórych z podstawowych elementów niepewności, które blokowały podjęcie praktycznych rozwiązań. Dane i oceny przedstawione w moim Raplocie również muszą ulec pewnym poprawkom (za wyjątkiem niektórych przewidywań przedstawionych przez polskie władze!)

Nowa ekipa kierująca gospodarką, która wyniesiona została do władzy po leśnych strąkach 1980 roku, straciła w minionych dziewięciu miesiącach tak cenny czas, pieniądze i produkcję. Co prawda, rząd przedstawił Sejmowi w połowie maja, zapowiadany jeszcze na koniec ubiegłego roku, raport o sytuacji gospodarczej, to jest analizę przyczyn kryzysu połączoną z dwuletnim planem stabilizacji gospodarki, lecz raport ten został natychmiast przez posłów odrzucony jako nie spełniający oczekiwań. Władze zwróciły się obecnie do grona niezależnych ekonomistów, by przygotowali nową wersję, zarówno analizy jak i planu.

Odnoszę wrażenie, że w Polsce istnieje obecnie znacznie głębsze niż przed kilkoma miesiącami porozumienie co do niezbędnych elementów programu ożywienia gospodarki. Za przykład może posłużyć fakt zaproponowania przez „Solidarność” daleko idącej i obejmującej szeroki wachlarz produktów podwyżki cen. Nie zmienia to jednak przekonania, że to polityczne kierownictwo partii wraz z rządem musi zaproponować wszechstronny program działania, który po przNEGOCJONOWANIU go z przedstawicielami najważniejszych grup społecznych, uzyskałaby akceptację, a przeto, wystarczającą szeroką bazę społeczną i zdecydowane poparcie, będące warunkiem skutecznej jego realizacji.

Gdy jednak mijają miesiące bez osiągnięcia porozumienia w tej podstawowej sprawie w kraju i bez umowy z zagranicą w kwestii sfinansowania spłaty długów oraz utrzymującego się deficytu w bi-

lansie planicznym, to nieustannie spada produkcja przemysłowa. Zdezorganizowany został system dystrybucji, zarówno towarów konsumpcyjnych jak i potrzebnych dla przemysłu wskutek powszechnego braku i konieczności jak najdalej idących oszczędności.

System zarządzania uległ też dezorganizacji, czego dobitnym dowodem jest porażka w skutecznym ograniczaniu inwestycji.

Robotnicy muszą opuszczać teren zakładów pracy, by godzinami wystawać w kolejkach. Tak często ich obecność w pracy jest zbędna ze względu na ograniczenia energetyczne, braki w dostawach surowców, półproduktów, dostaw kooperacyjnych i części zamiennych. Niemala część z brakujących produktów pochodzi z importu. Katastrofalny wręcz spadek wydobycia węgla (jak dotychczas w roku 1981 zaznaczył się spadek o 16% w porównaniu z poziomem 1980) uniemożliwia eksport nadwyżek. Na wyniki eksportu wpłynął też oczywiście spadek produkcji przemysłowej. W tej sytuacji banki zachodnie powstrzymują się od udzielenia krótkoterminowych kredytów, niezbędnych dla utrzymania normalnej wymiany handlowej i popytu, dopóki nie osiągnie się wszechstronnego porozumienia z Polską w dziedzinie zmiany terminów i warunków płatności dla towarów zaniewziętych w minionych latach.

Pragnę tutaj zwrócić uwagę na to, że niechęć do przyznania się przez władze polskie do niemożności sprostania międzynarodowym zobowiązaniom finansowym okazała się kosztowna na dwóch planach. Po pierwsze, Polska nadal spłacała, zgodnie z uprzednio wyznaczonymi terminami, pożyczki średnio- i długoterminowe, mimo że od dawna dla wszystkich było jasne, że przesunięcie w czasie spłat będzie niezbędne. Tak więc, w pierwszym kwartale 1981 roku, tj. do 26 marca, kiedy rząd polski poinformował zachodnie banki, iż wstrzymuje spłacanie zaciągniętych pożyczek, Polska wypłaciła bankom ponad 800 milionów dolarów (niezależnie od sum, jakie być może zostały wypłacone wierzycielom, których pożyczki posiadały gwarancje rządowe). Z drugiej strony poszczególne banki, działając niezależnie, zwiększyły naciski przez wycofanie możliwości zaciągania przez Polskę pożyczek krótkoterminowych, co dało się zauważyć od początku bieżącego roku. Rezultatem tego było ukazanie się dna w zasobach dwizowych PRL.

Być może Polska, podobnie jak zachodnie banki, zbyt długo wierzyła w teorię „radzieckiego parasola”, choć od dawna stało się oczywiste — i otwarcie głoszone przez ZSRR — że Związek Radziecki

ki nie będzie bezterminowo pokrywać długów zaciągniętych przez PRL. W konsekwencji, po przekazaniu do dyspozycji władz polskich miliarda dolarów lub więcej w walucie wymienialnej, a przy tym bez osiągnięcia namacalnych rezultatów, z wyjątkiem może uszczęśliwienia niektórych banków zachodnich, Moskwa bez wątpienia powstrzymała się przed dalszą tego rodzaju pomocą. Ale Związek Radziecki i inne państwa członkowskie RWPG nadal dostarczały zamówionych przez PRL surowców i towarów, choć Polska nie była w stanie wywiązać się ze swoich zobowiązań eksportowych.

Co prawda rządy zachodnie zawarły z Polską pod koniec kwietnia umowę dotyczącą odroczenia spłat przypadających na rok 1981, zgodnie z sugestiami zaprezentowanymi w moim Raporcie, niemniej bardzo niebezpieczne jest opóźnienie w zawarciu podobnego porozumienia z prywatnymi bankami. Niektóre z banków wykazały się ogromną krótkowzrocznością, wbrew interesom wszystkich zaangażowanych stron. Każdy stracony tydzień się liczy, albowiem niemożliwym będzie przywrócenie możliwości zaciągania krótkoterminowych pożyczek, niezbędnych dla finansowania bieżącej wymiany handlowej, zanim nie osiągnię się porozumienia dotyczącego uprzednio zaciągniętych długoterminowych kredytów — a produkcja nie będzie w stanie się podźwignąć z upadku, jeśli nie zwiększy się szybko importu.

W krótkiej perspektywie czasowej sytuacja gospodarcza jest więc obecnie znacznie bardziej rozpaczliwa niż przed kilkoma miesiącami; podobnie rzecz się ma z możliwymi politycznymi konsekwencjami tego stanu rzeczy.

Jeśli możliwym byłoby rozwiązanie powyżej przedstawionych problemów finansowych, oraz jeśli w Polsce uzgodniony zostanie sensowny program gospodarczy, to w perspektywie długofalowej sytuacji nadal nie można uznać za beznadziejną.

Być może najbardziej pocieszającym jest stan stosunków między władzami PRL a niezależnymi związkami zawodowymi: po niemal zupełnym i groźącym katastrofą załamaniu się stosunków w końcu marca, „Solidarność” i rząd prowadzą obecnie intensywne rokowania na temat szerokiego bardzo zakresu spraw. Nie pozostaje nam nic innego jak wyrażać nadzieję, że te rozmowy w Polsce, rokowania z zachodnimi bankami oraz obrady na zjeździe PZPR zakończą się pozytywnie i przyniosą pozytywne wyniki.

Richard Portes

Dziękujemy Królewskiemu Instytutowi Spraw Międzynarodowych w Londynie za wyrażenie zgody na publikację niniejszego Raportu, a prof. Richardowi Portesowi za jego przychylną dla naszej inicjatywy opublikowania Raportu w całości po polsku (w Polityce ukazała się mocno okrojona jego wersja) oraz za uzupełnienie go uwagami z ostatniej chwili na kilka dni przed wydrukowaniem niniejszego numeru Aneksu.

NAKŁADEM ANEKSU

CZARNA KSIĘGA CENZURY PRL

Kilkusetstronicowy zbiór tajnych dokumentów
Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk
w Warszawie

...Z lektury całości zbioru, wyłania się obraz przerażający
(...) Nie wahamy się powiedzieć, że mamy do czynienia z jedną z największych demaskacji całego okresu powojennego, z aktem, który porównać można jedynie z odległymi już w czasie rewelacjami Światły (...) Dziśalność cenzury w PRL musi zostać jak najszerzej ujawniona (...)

Z Oświadczenia
Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”

Tom 1 — str. 248

US\$8.50, FF/Sfr. 35.00, £3.50

Tom 2 — str. 470

US\$17.00, FF/Sfr. 75.00, £7.00

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysłać na adres:

ANEKS, 61 Dorset Road, London W5 4HX, England

Stanisław Gomułka

ZACHÓD ZWLEKA Z DECYZJĄ

Analiza czynników, które zdaniem Richarda Portesa doprowadziły do obecnego kryzysu gospodarczego w Polsce, nie będzie zapewne specjalnie nowa dla czytelników *Aneksu*. Większą dyskusję mogą wszak wywołać same propozycje Portesa oraz jego luźno zarysowana, ale dość wyraźna ocena możliwości gospodarki polskiej w najbliższych latach. Propozycje te, wysunięte przez niezależnego i cenionego profesora uniwersytetu londyńskiego, występującego tym razem niejako w roli doradcy zachodnich interesów, adresowane są głównie do rządów i banków zachodnich, ale także do władz Polski i ZSRR, oraz, w pewnym stopniu, do przywódców „Solidarności” i, ogólniej, społeczeństwa polskiego. Jest znamienne, że interesy wszystkich tych adresatów do pewnego stopnia się pokrywają. Jednym z głównych celów analizy Portesa było zidentyfikowanie i podkreślenie tej wspólnoty interesów. Sama analiza i propozycje Portesa spotkały się, jak wnosić można z doniesień prasowych, z dobrym (na ogół) przyjęciem i na Zachodzie, i w Polsce.

Tym niemniej nie jest, i prawdopodobnie nie będzie, łatwo o porozumienie w sprawie pomocy finansowej Zachodu, a przyczyny wyraźnego i dla Polski bardzo upokarzającego zwlekania z decyzją rządów i banków zachodnich są w moim przekonaniu następujące:

1. Zachód miał nadzieję, że zapowiadany na marzec-kwiecień, a teraz odłożony na lipiec, nadzwyczajny zjazd PZPR wyjaśni sytuację w partii. W tej chwili kierownictwo polityczne wydaje się wewnętrznie skłócone i niezdolne do wprowadzenia kraju z kryzysu. Można było

przypuszczając, że jeśli zapoczątkowany Porozumieniem Gdańskim proces demokratyzacji znajdzie w końcu swój wyraz w uchwałach politycznych i organizacyjnych zjazdu, i jeśli w odpowiedzi na takie uchwały nie wjadą do Polski czołgi, byłby to istotny postęp w tworzeniu w kraju politycznego klimatu, w którym współpraca między rządem a „Solidarnością” byłaby możliwa.

2. Współpraca taka wydaje się niezbędna, ponieważ Polska ma niewielkie szanse wyjścia z obecnego kryzysu gospodarczego, jeśli rząd nie podejmie, a naród nie zaakceptuje szeregu niepopularnych decyzji płacowo-cenowych.

Celem tych decyzji byłoby nie tyle obniżenie ilości dóbr spożycia — obecny poziom spożycia jest już i tak dość niski, i może dałoby się go utrzymać — ile obniżenie ilości pieniądza w dyspozycji ludności, szczególnie ludności pozarolniczej. W tym celu staje się coraz bardziej niezbędne podwyższenie ceny niektórych ważnych artykułów żywnościowych (bez kompensaty) oraz zamrożenie płac i innych dochodów pieniężnych. Oznaczałoby to renegocjację niektórych porozumień zawartych z robotnikami. W moim przekonaniu, bez znacznego (rzędu 20%) obniżenia siły nabywczej ludności grozi krajowi permanentna pustka w sklepach, narastające w społeczeństwie zmęczenie i w końcu możliwość wybuchu nowej fali protestu. W dodatku byłby to wybuch, nad którym przywódcy „Solidarności” nie mogliby już prawdopodobnie panować.

3. Zwlekanie przez Zachód z przesunięciem spłaty polskich długów wiąże się też z niepewnością co do dalszych posunięć ZSRR wobec Polski. Tutaj moja ocena jest nieco inna niż Portesa. Według mnie ZSRR w przypadku decyzji interwencji jest w stanie *de facto* przejąć i wypłacić polskie długi (byłaby to oczywiście pożyczka udzielona nowemu rządowi w Warszawie). Same zasoby złota w dyspozycji ZSRR szacowane są na około stu miliardów dolarów. Ponadto Związek Radziecki uzyskuje ostatnio spore nadwyżki dewiz w handlu na rynku dolarowym.

4. Zanim zaczną wyjaśniać się sprawy na płaszczyźnie Polska — ZSRR, „Solidarność” — rząd, oraz masy partyjne — aparat i kierownictwo partii, Zachód wydaje się zachęcać ZSRR do przejmowania części długów już teraz. Czyni to znów przez zwlekanie z udzieleniem Polsce nowych dużych pożyczek. Dotychczas nacisk ten wydaje się dość skuteczny, chociaż nie wiadomo, na jak długo. Z punktu widzenia interesów Polski byłoby może lepiej, gdyby zadłużenie w stosunku do Zachodu zmniejszyło się kosztem wzrostu zadłużenia

wobec ZSRR. Wynika to z niższego oprocentowania pożyczek radzieckich oraz większej chłonności radzieckiego rynku na towary polskie, szczególnie na dobra przemysłowe o wysokim stopniu przetworzenia trudno zbywalne na rynkach dolarowych.

5. Stosowana przez Zachód polityka udzielania Polsce pożyczek stosunkowo małych, takich tylko, aby rząd w Warszawie nie został zmuszony do jednostronnego ogłoszenia niewypłacalności już teraz, jest również dyktowana ostrożnością, aby przedwczesne przesunięcie spłaty kredytów na lata najbliższe nie okazało się w rzeczy samej pomocą gospodarczą dla ZSRR, gdyby ten zdecydował się na interwencję wojskową i okupację Polski. Z drugiej strony zbyt mała pomoc Zachodu może zmusić Polskę do ogłoszenia bankructwa, połączonego z niezmiernie drastycznymi cięciami w imporcie, a w konsekwencji również prowadzić do anarchii gospodarczo-politycznej i interwencji wojskowej ZSRR. Rządy i banki zachodnie robią obecnie wrażenie, jakby szukały „złotego środka”.

Polska jest unikalnym przykładem kraju, w którym posunięcia gospodarcze i polityczne są niezwykle ściśle ze sobą splecione. W tym kontekście interesująca jest sugestia Portesa, aby rząd polski proponował „Solidarność” swojego rodzaju umowę społeczną, taką, która byłaby do przyjęcia zarówno przez społeczeństwo jak i przywódców radzieckich. Zawarcie takiej umowy, zawierającej program wyprowadzenia Polski z obecnego kryzysu gospodarczego, byłoby nad wyraz cenne, ale wymagałoby nadzwyczajnej dalekowzroczności wszystkich partnerów umowy, przede wszystkim Moskwy. Przywódcy radzieccy i kierownictwo PZPR zdają sobie z pewnością sprawę z tego, że PZPR jest partią mniejszości, a reprezentacja polityczna obecnego Sejmu nie odzwierciedla postaw politycznych społeczeństwa. Na obecnym etapie kryzysu władze zachowują się jeszcze tak, jakby nie chciały uznać tego faktu otwarcie. Uznanie własnej niereprezentatywności i jednocześnie obstawanie przy prawie do sprawowania władzy obnażyłoby bowiem w sposób demonstracyjny istotną treść „demokracji socjalistycznej”. Naród polski domaga się jednak nie tylko chleba, ale, a może przede wszystkim — jak tego dowodzą wydarzenia — prawa do godności, którą widzi w konsekwentnej i zdecydowanej odmowie uznawania w życiu publicznym kłamstwa za prawdę.

Prawdy domagają się także szeregowi członkowie PZPR, w rezultacie żądając od władz gotowości do współpracy z „Solidarnością”.

Jeśli ten nurt polityczny zwycięży na najbliższym zjeździe PZPR, to nowe kierownictwo partii będzie się składało z ludzi rzeczywiście gotowych do takiej współpracy. W praktyce oznaczałoby to zawarcie niekoniecznie pisanej umowy, w myśl której „Solidarność” uznałaby prawo kierownictwa PZPR do powoływania rządu, przynajmniej w okresie dzielącym Polskę od najbliższych wyborów do Sejmu, a z kolei rząd nie tylko unikałby konfrontacji, ale byłby także skłonny do uzgadniania swojego programu działania z „Solidarnością” i innymi ośrodkami niezależnej opinii publicznej (stronnictwami politycznymi, „Solidarnością Wiejską”, Kościołem). Akcja wyborcza do Sejmu i same wybory stanowiłyby dalszy, oddzielny etap polskiej kontrolowanej rewolucji.

W tej chwili proces radykalizacji społeczeństwa posunął się tak daleko, że chyba tylko interwencja z zewnątrz mogłaby zatrzymać naturalny bieg wydarzeń: socjaldemokratyzację PZPR, demokratyzację polityczną kraju i decentralizację (urynkowanie) gospodarki, z zachowaniem własności państwowej jako formy dominującej. Nic więc dziwnego, że niemal wszyscy komentatorzy zachodni uważają interwencję wojskową ZSRR za prawdopodobną, chociaż oczywiście nie za nieuniknioną. Bodaj największym atutem gospodarczym Zachodu jest groźba przerwania dopływu nowych pożyczek do krajów Europy Wschodniej, szczególnie NRD i Czechosłowacji. Zmusiłoby to te kraje do bardzo poważnego zmniejszenia importu sprzętu i materiałów z Zachodu. W rezultacie chaosu w zaopatrzeniu i spadku produkcji — niemal cała Europa Wschodnia zostałaby objęta głębokim kryzysem gospodarczym, z możliwością wybuchu tu i ówdzie kryzysu politycznego. ZSRR mógłby próbować przeciwdziałać potencjalnie grożącemu umiędzynarodowieniu się polskiego kryzysu udzielając Europie Wschodniej dużej pomocy gospodarczej. Pomoc ta, aby była w pełni skuteczna, musiałaby równać się, jak sądzę, 10 miliardom dolarów rocznie przez kilka lat. Pomoc takiej wielkości leży teoretycznie w możliwościach ZSRR, ale naruszyłaby ona tak bardzo rezerwy dewizowe tego kraju, że prawdopodobnie nie wchodzi w grę jako praktyczna opcja. Możliwa jest natomiast częściowa kompensata strat Europy Wschodniej, połączona z odpowiednim do skali strat ryzykiem politycznym. Nic więc dziwnego, że Breżniew w swoich dwóch wystąpieniach w Pradze wysunął na pierwszy plan gotowość ZSRR do współpracy z Zachodem i potrzebę zwiększenia prężności gospodarczej państw Europy Wschodniej. Polsce poświę-

cając zaledwie parę zdawkowych uwag, obliczonych na uspokojenie opinii światowej.

Wydaje się więc, że Polska ma szansę. Czy nie można jej jednak zaprzepaścić? Byłoby z pewnością niedobrze, gdyby sygnały, jakie kierownictwo radzieckie otrzymuje, sugerowały, że proces demokratyzacji politycznej może oddać władzę w Polsce w ręce ludzi prozachodnich i antyradzieckich. Mam jednak wrażenie, że społeczeństwo w Polsce zdaje sobie sprawę, iż strategiczne interesy ZSRR muszą być respektowane, jeśli ma nie dojść do katastrofy. Z drugiej strony Zachód może i powinien nie tylko straszyć ZSRR podjęciem różnych nieprzyjemnych decyzji w odpowiedzi na ewentualną inwazję Polski, ale także sugerować chęć rozważenia kroków, o które ZSRR zabiega, takich np. jak zmniejszenie nuklearnego dozbrojenia Zachodniej Europy w zamian za częściową choćby rezygnację z doktryny Breżniewa w Europie Wschodniej.

Stanisław Gomułka

FRANCJA, ROSJA I POLSKA

Od upadku Warszawy, od czasu gdy fatalne doświadczenie zmusiło nas do uznania, że nasza interwencja na rzecz nieszczęśliwych Polaków bardziej jeszcze drażniła uczucia nieubłagnego zwycięcy, sądziliśmy, że człowieczy obowiązek nakazuje nam chwilowe milczenie, niewątpliwie bardzo przykre. Zachowaliśmy je w dalszym ciągu, jeżeli by rząd petersburski nie wpadł niedawno temę na niefortunny pomysł zamieszczenia w swojej gazecie oficjalnej artykułu, którego celem było przedstawienie kwestii istnienia Polski pozostającej na zewnątrz ogólnej polityki i poddanej wyłącznie woli Rosji. Nie zwalczać takiego twierdzenia oznaczałoby uznać je za nasze własne. Zmuszeni byliśmy podkreślić to w jednej z naszych półoficjalnych publikacji, które nie dając się podważyć argumenty może Pan z korzyścią rozwinać, jeżeli, co jest mało prawdopodobne, zostanie na ten temat podjęta dyskusja".

Instrukcja ks. de Broglie, ministra Spraw Zagranicznych króla Ludwika-Filipa, dla marszałka w Petersburgu (28.10.1833)

Zdenek Mlýnař

MRÓZ IDZIE OD KREMLA* (fragment)

(...) W rzeczywistości byliśmy szantażowani przez gangsterów i fakt, że zachowaliśmy się jak politycy pertraktujący z politykami, a nie jak mężczyźni — z wyjątkiem Kriegela — okazał się szalenstwem. Franciszek Kriegel oświadczył, że nie weźmie udziału w żadnych negocjacjach z radzieckim Biurem Politycznym, i pozwolił się wyprowadzić z sali. (...)

Spotkanie rozpoczęło się późnym popołudniem.

Breżniew zabrał głos pierwszy. Bezwstydnie jowialnym tonem wypowiedział standartowe formułki na temat braterskich stosunków między partiami oraz na temat wspólnych interesów, które nas łączą i które stanowią podstawę naszego porozumienia. Mówił o krokach, jakie należy przedsięwziąć w tej skomplikowanej i trudnej sytuacji. Stwierdził, że radzieckie Biuro Polityczne z wielkim bólem podjęło decyzję o interwencji, ale była ona nieodzowna, gdyż interesy socjalizmu są ponad wszystko. Chwalił godną męża stanu mądrość Ludwika Swobody, wiernego przyjaciela Związku Radzieckiego i bohatera drugiej wojny światowej.

Wyglądało na to, że Breżniew szczerze wzruszał się własnymi słowami.

Zgodnie z planem strona czeska powinna była odpowiedzieć w co najmniej życzliwym tonie i zaproponować przejście do porządku

* Tytuł oryginału: „Mráz přichází z Kremle” (*Night Frost in Prague* by Zdenek Mlýnař, C. Hurst & Co., London 1980).

obrad — przedyskutowanie porozumienia punkt po punkcie.

Ponieważ Dubczek był ciągle w tym stanie i lekarze musieli mu dać parę zastrzyków, by mógł wziąć udział w spotkaniu, jako pierwszy ze strony czeskiej wystąpił Czernik. Mówił konkretnie, unikając pustych frazesów o bahaterskich stosunkach i wieczystej przyjaźni. Szalenie delikatnie bronił Programu i Akcji i, między wierszami, dawał do zrozumienia, że nie jest pewien, czy militarna interwencja leżała w interesie socjalizmu.

Ktoś z radzieckiej strony ostro zareagował na przemówienie Czernika. Breżniew natychmiast przerwał, mówiąc: że nie zgadza się z jednym z fragmentów. Na chwilę zapadła pełna napięcia cisza, po czym Czernik dokończył i Dubczek poprosił o głos albo sam zaczął mówić, ignorując formalności.

Z początku, jakal się, polykał słowa, ale po paru zdaniach stopniowo odzyskał pewność siebie i przemówił płynnie, po rosyjsku. Była to pełna połotu i emocji obrona „procesu odnowy” w Czechosłowacji. Poszedł nawet dalej — polemizował z tezami radzieckimi i potępił interwencję. Przemówienie było improwizowane. Dubczek powiedział po prostu, to, co myślał, dlatego jego wypowiedź wywarła wielkie wrażenie, zarówno przez swoją formę jak i treść.

Breżniew od razu przypuścił kontrofensywę — również za improwizowaną — przeciwko Dubczekowi. Było to najprawdopodobniej jedyne, naprawdę interesujące wystąpienie ze strony radzieckiej w czasie wszystkich rozmów, ponieważ Breżniew też powiedział, co naprawdę myśli.

Przed wszystkim dał zwięzłe i jasne odpowiedzi na trzy podstawowe pytania: co najbardziej doskwierało Moskwie w Praskiej Wiosnie, jak Moskwa odnosi się do sprawy niezawisłości państwowej we własnym bloku i co uważa za istotne w polityce międzynarodowej.

Breżniew nie tracił więcej czasu na długie mowy o „kontrowersyjnych siłach” czy „interesach socjalizmu”; z miejsca oskarżył Dubczka o prowadzenie polityki wewnętrznej bez jego, Breżniewa, zgody, a nawet czasami o dosłowną odmowę wysłuchania jego rad i sugestii. Na samym początku chciałom ci pomóc przeciwko Nowotnemu — zwrócił się Breżniew do Dubczka — i już w styczniu spytałem cie, czy jego ludzie ci zagrażają? Czy chcesz ich wymienić? Czy chcesz zmienić ministra spraw wewnętrznych? I może ministra obrony narodowej? Czy chcesz wymienić jeszcze kogoś? Ale ty odpowiedziałeś — nie, to są dobrzy towarzysze. I nagłe słyszysz, że mianował nowego ministra spraw wewnętrznych, nowego ministra ob-

rony, innych ministrów, i że zmienileś sekretarzy KC.

— W lutym powiedziałem ci, co myślę o twoim przemówieniu — kontynuował Breżniew — i wytknąłem ci parę błędnych sformułowań. I mimo to nie zmienileś niczego! Czy tak się załatwia sprawy? Tutaj, nawet ja sam rozdaję swoje przemówienia członkom Biura, by mogli skomentować je przed wygłoszeniem. Prawda, towarzysze? — Breżniew odwrócił się, by popatrzeć jak całe Biuro Polityczne, siedzące w rządzie za nim, potakiwało głośnie; pomruk zgody potwierdził prawdziwość słów szefa. — Widzisz: mamy tu kolektywne kierownictwo, a to znaczy, że i ty musisz uzgadniać swoje poglądy z innymi.

Breżniew wydawał się osobiscie i szczerze dotknięty, że Dubecek nadużył jego zaufania przez brak konsultacji z Kremlm. „Wierzyłem w ciebie, broniłem cię przed innymi — mówił z wyrzutem. — Nasz Sasza jest dobrym towarzyszem, mówiłem. A ty rozczarowałeś nas wszystkich tak strasznie.” W tym momencie głos mu zadrdzał, wydawał się bliski płaczu.

Sprywat wrazenie głęboko skrzywdzonego patriarchy, który wierzył, że jest ciałkiem naturalne, iż jako głowie rodu przysługuje mu prawo wymagania bezwzględnej poddaństwa i posłuszeństwa od wszystkich członków rodziny, i że jego wola jest ostatecznym autorytetem, gdyż dobro rodu jest jego jedynym i nadrzędnym celem. Myśl, że ktoś mógłby się wymusić z tej żelaznej zasady i okazać nieposłuszeństwo, była mu zupełnie obca i naturalną kolej rzeczy w każdym objawie samodzielności widział wrogosć i zdradę.

Według Breżniewa wszystkie grzechy stawały konsekwencją pogwałcenia tego jednego prawa. Praga nie szukała aprobaty Kremla we wszystkim, co robiła. Rozplenily się „antysocjalistyczne tendencje”, gazety pisały, co chciały, powstawały „kontrrewolucyjne organizacje”, partyjne kierownictwo znajdowało się pod stałą presją i weliż ustępowało.

Gdyby Dubecek działał zgodnie z radami Breżniewa, gdyby usunął te fragmenty przemówienia, które nie podobaly się Breżniewowi, i gdyby mianował ministrów i sekretarzy, na których Breżniew by się zgodził — wszystko byłoby w porządku i nie wydarzyłaby się żadna z tych okropności. Tak, w skrócie, przedstawiał się pogląd Breżniewa na Praską Wiosnę.

Następnie Breżniew wyjaśnił, iż w końcu Moskwa zrozumiała, że na przywództwie Dubezeka nie można polegać. Nawet on sam, mimo, że długo bronił „naszego Saszy”, musiał przyznać rację innym, po-

ponieważ w grę zaczęły wchodzić sprawy o największym znaczeniu — rezultaty drugiej wojny światowej.

Po czym Breżniew rozwlekle mówił o ofiarach poniesionych przez Związek Radziecki w ostatniej wojnie, o żołnierzach zabitych na polach bitew, pomordowanych cywilach, olbrzymich stratach materialnych, ciężkim życiu obywateli ZSRR. Takim, oto, nieludzkim kosztem Związek Radziecki, wywalczył sobie bezpieczeństwo, a gwarancją tego bezpieczeństwa był wojenny podział Europy; szczególnie zaś fakt, że Czechosłowacja związała się z ZSRR „na zawsze.”

Według Breżniewa jest to logiczna i sprawiedliwa konsekwencja ofiary życia poniesionej — między innymi w obronie wolności Czechosłowacji — przez tysiące żołnierzy radzieckich. I dlatego Czesi i Słowacy powinni czcić groby żołnierzy radzieckich; a nie pługawić je.

Nasze zachodnie granice nie są po prostu naszymi granicami, ale stanowią granicę „obozu socjalistycznego”. Dlatego radzieckie Biuro Polityczne nie ma prawa godzić się na to, by wyniki ostatniej wojny zostały zagrożone, i nie ma prawa zaprzepaszczać poświęcenia ludzi radzieckich.

Breżniew przyznał, że teraz, po interwencji, sytuacja w Czechosłowacji może być trudna, gdyż ludzie reagują uczuciowo. Również dubczekowskie kierownictwo nie może jeszcze w pełni docenić zalet takiego rozwiązania. „Dzisiaj wydaje się wam to niemożliwe do zaakceptowania — mówił Breżniew — ale spójrzcie na Gomułkę. W 1956 on też był przeciwny radzieckiej pomocy wojskowej tak samo jak wy, ale gdybym mu powiedział dzisiaj, że mam zamiar wycofać z Polski oddziały armii radzieckiej, od razu wskoczyłby do specjalnego samolotu i błagałby mnie, bym tego nie robił.”

Ani razu Breżniew nie wspominał o „zachodnich imperialistach”, którzy stanowią prawdziwe zagrożenie dla socjalizmu w Czechosłowacji, nie posługiwał się też żadnym z oficjalnych kłamstw, których była pełna prasa radziecka: ani o „zachodnich rewanzystach” przygotowujących inwazję, ani o amerykańskich oficerach zmieszanych z tłumem turystów w Pradze itp.

Rozumowanie Breżniewa było proste: my, tu na Kremlu, doszliśmy do wniosku, że nie możemy na was dłużej polegać. Robicie w waszym kraju, co wam się podoba, a my się na to nie zgadzamy. Wasz kraj leży na ziemi, po której kroczył w czasie ostatniej wojny żołnierz radziecki. Kosztem olbrzymiego poświęcenia opłaciliśmy ten obszar i nigdy go nie opuścimy. Ponieważ nie słuchaliście nas, poculiśmy się zagrożeni. W imię zabitych, którzy oddali swe życie za waszą wolność,

czujemy się w prawie, by teraz posłać naszych żołnierzy do waszego kraju, i w ten sposób zapewnić sobie prawdziwe bezpieczeństwo wewnątrz naszych wspólnych granic. Nie ma znaczenia, czy ktoś rzeczywiście nam zagraża, czy nie. To jest sprawa pryncypiów, niezależna od warunków zewnętrznych. Od czasu drugiej wojny światowej tak ma być i tak będzie „na wieki”.

Breżniew udawał, że jest zaskoczony: to takie proste, jak można tego nie rozumieć? Słowa w rodzaju „suwerenność”, „niepodległość” nie padły ani razu w jego przemówieniu, tak samo nie użył w nim innych standartowych sloganów „o wspólnych interesach krajów socjalistycznych”. Kierowała nim jedna prosta myśl: podczas ostatniej wojny żołnierze radzieccy doszli do Elby i to jest prawdziwa granica ZSRR z Zachodem.

„Dla nas — ciągnął Breżniew — wyniki drugiej wojny światowej są nieodwracalne i będziemy ich bronić, nawet gdyby to miało grozić nową wojną.” Wojska radzieckie weszłyby do Czechosłowacji — oświadczył — nawet i wtedy, gdyby groziło to konfliktem zbrojnym, ale — dodał — takiego niebezpieczeństwa nie było.

„Spytałem prezydenta Johnsona, czy rząd amerykański nadal honoruje w pełni postanowienia konferencji jaltańskiej i poczdamskiej. 18 sierpnia dostałem odpowiedź: jeśli chodzi o Czechosłowację i Rumunię, to w pełni; natomiast w przypadku Jugosławii — sprawa jest dyskusyjna.”

Myślicie, że ktoś się za wami tłumie? Nikt. Nie będzie wojny. Wypowiedzą swoje kwestie towarzysze Tito i Ceausescu: powie coś tam również towarzysz Berlinguer. I co, co z tego? Liczyć na komunistów z Europy zachodniej, ale oni niewiele będą znaczyli jeszcze przez 50 lat.”

I znowu słowa Breżniewa były niezwykle trafne. Udzielał nam, zreformowanym komunistom, nieocenionej lekcji: myśmy, myśleli o modelu socjalizmu dla całej Europy, a on — realista — wiedział, że przez następne 50 lat nie będzie to miało żadnego znaczenia. Dlaczego? Dlatego, że granica Związku Radzieckiego opiera się o Elbę. Nawet amerykański prezydent z tym się całkowicie zgodził. Jakie znaczenie ma Berlinguer? Żadne, nie ma czołgów, nie może zmienić wyniku drugiej wojny światowej.

Breżniew oczywiście spodziewał się, że po tak jasnym i logicznym wywodzie nawet Duhczek zrozumie sytuację i porozumienie zostanie odczytane i podpisane. Ale nie takiego się nie stało. Duhczek zaczął protestować. Nie może sobie przypomnieć dokładnie jego słów, w

każdym razie Breżniew stracił panowanie nad sobą i czerwony na twarzy wybuchnął: „Wszystkie te dyskusje są bez sensu. Jest to po prostu powtórzenie Czernej i Tisznej. Niepotrzebnie tracimy czas, to gadanie nigdzie nas nie doprowadzi. Przerywamy rozmowę.” I wyszedł, a za nim gęsiego całe „kolektywne kierownictwo”.

Do dzisiaj nie wiem, czy ta scena była rzeczywiście spontaniczna. Wtedy zrobiła na mnie wrażenie dobrze wyreżyserowanego chwytu.

Ze swą reakcją i wyjściem z sali Breżniew na pewno przesadził. Ponieważ nie mogę sobie przypomnieć słów Dubczeka, na pewno nie powiedział on nic takiego, o czym przedtem nie byłoby mowy. Zresztą to, co nastąpiło później, wydaje się potwierdzać moje wrażenie, że opuszczenie sali zostało ukartowane wcześniej po to, by czescy reformiści mieli się na baczności i ograniczyli wszystkie niewłaściwe uwagi do minimum.

Cokolwiek było powodem tej sceny, wyjście Rosjan wywołało na sali panikę.

Dubczek prawie się załamał. Trząśł się, bełkotał coś ledwo zrozumiałe. Zjawili się lekarze, gotowi do zrobienia jakichś zastrzyków, ale Dubczek odrzącał ich, mówiąc, że nic nie chce. Nagle, ku przerażeniu wszystkich, oświadczył: „Nic nie podpiszę! Niech robią, co chcą, nie pośpiesz!” Niektórzy z nas, w tym Czernik. Swoboda i Smrkowski, pospieszyli do niego i zaczęli namawiać, by podpisał, gdyż nie pozostało nam nic innego. Ja sam myślałem, że nie można zawrócić już z drogi negocjacji i, co więcej, że nagle decyzja Dubczeka jest chwilowa.

Każdy z nas po kolei próbował go namówić, by zmienił zdanie, co umożliwiłoby kontynuowanie rozmów. Dubczek słuchał, nie oponował, ale nie mówił też, że podpisze. Na wszystkie moje argumenty odpowiadał: „Patrz na nich, nie mają pojęcia, co zrobili. Nie podpiszę.”

Była to najtrzęsiewiejsza chwila Dubczeka. Gdyby był obecny przy rozmowach ostatniej nocy, gdyby już wtedy mówił, że się nie zgadza, może i mogłoby to mieć zasadnicze znaczenie dla obrotu sprawy. Teraz, było już oczywiście za późno. Dubczek w końcu pozwolił na zrobienie sobie zastrzyku uspokajającego i, w wyniku drugiej rundy namów, uległ.

(...) Cały incydent trwał około godziny. Kiedy znowu rozpoczęto rozmowy, był późny wieczór. Dalszy przebieg spotkania nie obfitował w dramatyczne zajścia. Tekst protokołu przedyskutowano punkt po punkcie; ogólnie mówiąc, po zejściu z Dubczekiem strona radziecka okazała się bardziej ustępliwa.

Nie pamiętam wszystkich zmian w końcowej wersji, ale dwa ważne sformułowania uzyskaliśmy zgodnie z naszymi sugestiami. Pierwsze — o wycofaniu się wojsk po „tymczasowym” pobycie pod warunkiem postępów „normalizacji”; drugie — radzieckie poparcie dla linii partii wyrażonej na styczniowym i majowym plenum KC KPCZ. Podobnie jak w Bratysławie Breżniew odrzucał wszelkie propozycje połączenia „stycznia” i „maja” łącznikiem, upierając się przy słowku „i”, co motywował względami stylistycznymi. Wreszcie jednak wyjaśnił, że wstawienie łącznika między styczniem a majem implikuje włączenie plenum kwietniowego, na którym przyjęto Program Akcji. Tymczasem radzieckie Biuro Polityczne uważa za błędne wiele sformułowań w tym programie, dlatego nie podpisze niczego, co mogłoby sugerować zgodę na ten Program. Breżniew podkreślił dalej, że również my musimy uznać za konieczne wprowadzenie do Programu Akcji pewnych zmian. Z drugiej strony, radzieckie Biuro Polityczne zdecydowanie popiera uchwałę majowego plenum KC KPCZ, mimo że uznano na nim Program Akcji jako podstawę działania partii, gdyż na tym samym posiedzeniu jednoznacznie nazwano i potępiono siły wrogie wobec socjalizmu. Rosjanie wygrali ten punkt i tekst porozumienia moskiewskiego nie zawiera poparcia dla Programu Akcji.

Gdzieś koło północy, kiedy wszystko było gotowe i nadszedł moment składania podpisów, otworzyły się nagle wielkie drzwi i do sali wpadło z dziesięciu fotoreporterów i operatorów kamer telewizyjnych. Jak na komendę całe radzieckie Biuro Polityczne wstało i każdy z jego członków przechylił się przez stół w stronę Czechów. Rosjanie rozwarli szeroko ramiona gotowi wziąć nas w objęcia. Była to absurdalna scena — w świetle fleszów dziesiątki ramion należących do członków radzieckiego Biura Politycznego rozpostarło się i falowało nad stołem konferencyjnym. Miałem wrażenie, że widzę jakąś fantastyczną mięsożerną roślinę, która chce nas pochwyć w swoje lepkie łapki. (...)

Zdenek Mlýnar

WYWIAD ANEKSU

Rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem

BARBARA TORUNCZYK: *Dawchcraz znaliśmy Pana przede wszystkim z Pańskich powieści. Ostatnio dał się Pan również poznać jako teoretyk. Już Pańska poprzednia książka „Nous et l'Occident” (L'Age d'Homme, Montreux, 1981), zdradza ambicje teoretyczne; w ostatniej, która właśnie się ukazała, „Le communisme comme realite” (Juliard, L'Age d'Homme, Paris, 1981) prezentuje Pan całokształt teorii systemu komunistycznego. Światu Pan łączy w zasadniczej odmienności systemów komunistycznego i zachodniego, opowiada się Pan przy tym za procedurą analityczną, dzięki której przez to, że pomija się to, co „szczegółowe” (a więc m.in. tradycję, przeszłość, obyczaje, kulturę polityczną społeczeństwa, jego nawyki i przyzwyczajenia) otrzymuje się niejako wydestylowany „czysty system” komunistyczny (gdzie szczegół jest dla Pana niejako dodatkami pozwalającym lepiej uchwycić ogólne reguły, sam natomiast nie jest „istotowo” ważny). Metodzie tej zawdzięcza Pan możliwość przedstawienia i systemowego opisania „czystego modelu” komunizmu w jego: jak Pan mówi, „klawiszowej” postaci. Historycznym wcieleniem tego modelu jest, Pana zdaniem, ZSRR, tak jak dla kapitalizmu była Anglia. Nie wiem jednak, jak w tę teorię wkomponować przykład Polski. Nawet doświadczenia nie mieszczą się oczywiście w tym modelu „czystego komunizmu”, jak je wobec tego Pan interpretuje?*

ALEKSANDER ZINOWIEW: *Pani zna sytuację w Polsce lepiej niż ja.*

BT: Tym niemniej chciałabym, abyśmy zatrzymali się w naszej rozmowie przy przykładzie Polski. Wydaje mi się, że polskie doświadczenie jest istotne dla komunizmu i jego przyszłości, również z punktu widzenia Pańskiej teorii. Czy na przykład nie obawia się Pan zarzutu, że Pańskie podejście narzuca pewne ograniczenia Pańskiej analizie? Biorąc pod uwagę przykład Polski, wydaje się, że to właśnie nawyki i obyczaje społeczne, kultura polityczna i narodowa, tradycja, przywiązania i mentalność ludzka, a także — nie obawiajmy się tego słowa — ich urzeczona godność, składają się na siły, które są w stanie osłabić i przytłamić te, jak Pan je określa, hegemonistyczne i imperialne dążenia komunizmu. Pan natomiast, pomijając całą tę sferę społecznej rzeczywistości, formułuje tezę o nieuchronnym zwycięstwie „hegemonistycznej tendencji” komunizmu i twierdzi Pan, że komunizm musi wobec tego zawiązać światem. Czy Polska nie jest kłopotliwym przykładem z punktu widzenia tej teorii i tej metody?

AZ: Powtarzam: sytuację w Polsce zna Pani lepiej ode mnie. Ja o wydarzeniach w Polsce mogę powiedzieć rzecz następującą: po pierwsze, teoretyczna moja interpretacja polskich wydarzeń; najpierw trzeba wyważyć niezależność narodową, a dopiero potem, już na tej bazie, myśleć o przemianach społecznych. Bez niezależności narodowej ruch społeczny w Polsce jest skazany na przegraną. A teraz, moim osobistym stosunek do sytuacji w Polsce. Wyrażę go krótko. Jeśli w Polsce zacznie się wojna domowa, na przykład taka jak kiedyś w Hiszpanii, to postaram się wziąć w niej udział jako uchodźnik.

BT: Świetnie rozumiem, co Pan ma na myśli: mój ojciec był niegdyś uczestnikiem wojny domowej w Hiszpanii, pojął się do niej. Pańską deklarację i uważam, że ma ona dla nas wszystkich ogromne znaczenie. Słusznie jednak, że póki polska sprawa nie jest przegrana, należy traktować nasze doświadczenie — choćby tylko dla pożytku czysto teoretycznego — z dużym zainteresowaniem.

Książki Pańskie mają dla nas ogromne znaczenie i cieszą się w Polsce dużym zainteresowaniem, również i dlatego, że jest istota systemu, w którym żyjemy nie jest dla nas objęta. Z tego samego powodu są one ważne dla człowieka zachodniego, który pragnie zrozumieć doświadczenie, jakim jest dla świata komunizm. My, w Polsce, szukamy nowego ujęcia politycznego ówczesnego komunizmu; metodę taką znalazłismy w tym, od czego Pan zdaje się całkowicie abstrahować, uważając, że są to mało istotne szczegóły z punktu widzenia modelu komunizmu i

jego natury politycznej. Co więcej: dostrzegliśmy nadzieję na zmianę tego systemu, na szansę ewolucji; możliwość zatem ograniczenia, przynajmniej częściowego, „hegemonistycznych dążeń komunizmu typu radzieckiego”. Czy nasze usiłowania mieszczą się w Pańskiej teorii? Jakie możliwości walki z tym, co nazywa Pan systemem komunistycznym, dostrzega Pan na dziś?

AZ: Są dwa sposoby walki z komunizmem. Pierwsza droga to obalenie komunizmu jako ustroju w danym kraju i zamiana go na inny ustrój społeczny. Na przykład przywrócenie kapitalizmu. Jest i druga droga: walka w ramach ustroju komunistycznego. Pierwsza metoda nie jest interesująca z punktu widzenia teoretycznego i historycznego. Toteż zajmuje mnie wyłącznie druga metoda. W tym wypadku walka oznacza nowy cykl historii. Praktycznie oznacza to, społeczeństwo będzie żyło normalnie i problem, który chcielibyśmy dziś rozwiązać, jest nie do rozwiązania w ramach jednego pokolenia.

BT: I w Polsce?

AZ: Nigdzie.

BT: Zgoda, ale przecież w Polsce chcemy rozwiązać ten problem drogą zmian cząstkowych, stopniowych.

AZ: W życiu dużego społeczeństwa zdarzają się rozmaite rzeczy: okresowe polepszenia i okresowe pogorszenia, okresy liberalizacji i okresy przykręcenia śruby. Takie polepszenia miały miejsce także w ZSRR.

BT: Czy tego samego typu co w Polsce?

AZ: No, to innego, nieważne. Potem następowało pogorszenie. To co się dzieje w Polsce, to w jakimś sensie przypadek historii. Szczęśliwy przypadek. Rozumie Pani, w społeczeństwie nigdy nie nastąpi taki moment, kiedy ludzie będą mogli powiedzieć: skończone, rozwiązaliśmy wszystkie problemy. Należy się cieszyć tym, że problemy istnieją, i że możemy się z nimi zmagać.

BT: Czy nie obawia się Pan, że Pana widzenie tych rzeczy sprzyja diabolizacji komunizmu, przedstawianiu tak tego systemu, jakby tkwiła w nim jakas fatalna siła, nad którą nie można zapanować? Tymczasem my w Polsce staraliśmy się dokonywać drobne zmiany które, na drodze stopniowej ewolucji i nieustannej presji społeczeństwa na rząd, doprowadziły w rezultacie do zmian wypracowanych, wręcz niewybaczalnych.

Dzisiejsza Polska — to już jest inny kraj, w każdym razie kraj, którego nie ma na mapie Pańskiego atlasu światowego systemu komunistycznego przyszłości.

AZ: Natura ludzka jest wszędzie taka sama. Jeśli mi Pani powie: że w Polsce ta oto szklanka nie upadnie jeśli spod niej wyciągniemy stół, to Pani nie uwierzę. Zarówno człowiek, jak i wielkie masy ludzkie organizują się według tych samych praw. Jeśli w Polsce przetrwają podstawy ustroju komunistycznego, tzn. jeżeli nie zostanie przywrócona własność prywatna środków produkcji, to tak czy siak za kilka miesięcy odrodzi się to, co istniało kilka miesięcy temu.

BT: W Polsce wszyscy są zgodni co do potrzeby zachowania zasad panującego ustroju politycznego. Tym niemniej uważamy, że w ramach tego ustroju społeczeństwo może żyć w skrajnie różny sposób. Mój przyjaciel powiada, że ten nowy polski system polityczny można widzieć na podobieństwo odwróconej wsi potiomkinowskiej: fasady są te same, ale nas interesuje życie społeczne, które toczy się poza nią. A poza tym, jeśli już jesteśmy skazani na czerpanie porównań z rosyjskich doświadczeń politycznych: dlaczego nie założyć, że, parafrazując słowa Lenina, Polska jest „najslabszym ogniwem” w obozie socjalistycznym, i że z czasem właśnie te zmiany, które zaczęły się u nas, okażą się, być może, „modelowe”? Pan zdaje się jednak przypominać założenie dokładnie odwrotne: „modelowy” jest ZSRR i jego hegemonistyczne, jakoby nieczym nie wyhamowywane tendencje.

AZ: Nie można wyciągać poważnych wniosków z doświadczenia, które z historycznego punktu widzenia jest znikome. Założmy na chwilę, że radzieckie wojska nie wchodziły do Polski, a Polakom mówi się: robcie co chcecie. Ludzie musieliby wrócić do pracy. W jaki sposób mają dzielić produkt pracy? Organizować tę pracę? Robić karierę zawodową? Są prawa nieodwracalne, obowiązujące i Polaków, i Niemców — wszystkich. Przecież wtedy zaczęły działać te społeczne prawa, z którymi nie poradzi sobie żaden Kościół, żadna „Solidarność”, nikt. To są normalne sprawy, zapewniali Panią, i gotów jestem się założyć: dajcie Polakom pełną samodzielność i wrócie za 10 lat. Będzie się działo mniej więcej to, co w Jugosławii. Myślę nawet, że gorzej. Przez jakiś czas będzie się chciało (na rachunek Zachodu) dowodzić, że istnieje inna droga. Ale Zachód nie może przecież karmić kraju, a kraj nie może wiecznie żyć na rachunek dzięki zagranicznym inwestycjom. Istnieje prawa absolutne i nie da się ich zmienić. Istnieje też konflikt między naszymi duchowymi

pragnieniami a obiektywnymi możliwościami ich realizacji. Jak można go przezwyciężyć? Trzeba się uprzeć. Jeden z moich bohaterów mawia w takich wypadkach: „nastąpi demokratyzacja, nastąpi — przyjdzie za czterysta lat”.

Bo my chcemy zazwyczaj rozwiązywać historyczne problemy już dziś, od razu. Nie widzę w tym nic złego. Jesteśmy ludźmi, rozumiem Pani: ludźmi. Ludzie powinni mieć odwagę podejmowania prób. Dlatego: niech żyje odwaga! Ale w sukces nie wierzę. Gdybym był w Polsce, to znalazłbym się wśród tych, którzy starają się dokonać niemożliwego. To jest najbardziej ludzka reakcja. Na szczęście, na szczęście ludzie nie znają obiektywnych praw społecznych. I nie kierują się prawami nauki — postępują odwrotnie. I właśnie dlatego to wszystko się toczy. Moje hasło jest bardzo proste: jesteśmy zgubieni, sytuacja jest beznadziejna, opór bezcelowy. Ale właśnie dlatego niech żyje walka, niech żyje opór.

BT: Z punktu widzenia naszych polskich doświadczeń budzi także protest Pańska koncepcja „człowieka komunizmu” i jego „prawdziwej natury”. W Polsce, przeciwnie niż w Pana teorii, ludzie chcą pracować, podejmować polityczne ryzyko, uczestniczyć w życiu publicznym. Dla Pana „człowiek komunizmu” ma tendencję do lenistwa, unikania wysiłku i ryzyka, cechuje go niechęć do życia aktywnego i podejmowania odpowiedzialności. Uważa Pan, że na tych cechach natury ludzkiej zbudowany jest komunizm, a także, że są to pokusy drzemące również w ludziach Zachodu i to tak silnie, że już dziś można zaobserwować w społeczeństwach zachodnich swoiste „enklawy komunizmu”, gdzie ludzie żyją właśnie w taki sposób. Co więcej, uważa Pan, że te tendencje i potrzeby są tak silne, że doprowadzą w przyszłości do całkowitego zwycięstwa komunizmu i zaplanowania tego systemu na całym świecie. W Polsce nie znajduje Pan przykładów dla potwierdzenia tej teorii?

AZ: Rozumiem tę sytuację. To jest psychiczny zryw, który nie może trwać długo. Jest to przypadek, stan chorobliwy. Naród nie może długo wytrwać w tym stanie. To jest święto, ekstaza, chorobliwy stan, nienormalny. To długo trwać nie może.

BT: Komunizm w Polsce trwa zaledwie 35 lat i być może nie zniechęci nik istotnie świadomości ludzi. Ludzie w Polsce chcą pracować, chcą, żeby ich praca odzyskała sens, to system ten w tym przeszkadza. Sądzę m.in. ruch zwolnicowy. Nie budujemy się przeciw pracy, lecz chcemy

pracować sensownie, chcemy, żeby praca dawała satysfakcję — to jest jeden z istotnych motywów ostatnich wydarzeń.

AZ: Nie mogę uwierzyć, że wszyscy Polacy to wariaci. Jestem przekonany, że to są normalni ludzie i że za jakiś czas będą pracować równie źle, jak każdy człowiek w komunizmie.

BT: *Jak Pana zdaniem rozwinie się sytuacja w Polsce?*

AZ: To trudno przewidzieć, ale najbardziej prawdopodobnie będzie tak: ZSRR nie wypuści Polski ze swoich szponów i polskie powstanie zostanie zdławione. Najróżniejszymi sposobami. Przez zwaśnienie, wyłonienie kolaborantów, represje itd.

BT: *Myśli Pan o czymś takim jak „normalizacja” w Czechosłowacji?*

AZ: Myślę, że będzie jeszcze gorzej. To co się dzieje w Polsce, to jest ogromne zagrożenie dla ustroju sowieckiego. Ogromne. I strategiczne i pod innym względem, również ideologicznym. Jeśli polski eksperyment się uda, to może gruntownie osłabić komunizm. To będzie wstrząs, jakiego nie było przez cały czas istnienia ZSRR. Nie mówiąc już o tym, że Polska jest oprócz tego bardzo ważnym punktem dla Zachodu. Zachód rzucił na Polskę wszystkie swoje siły, rzucił miliardy dolarów. Żeby tylko oderwać Polskę. Na usunięcie skutków tego wstrząsu trzeba będzie czekać co najmniej 20 lat. Kierownictwo radzieckie nie ma tyle czasu. Rozumie Pani, sytuacja w Polsce rozwija się w taki sposób, że albo nie będzie żadnych rezultatów, albo trzeba przystąpić do walki o niepodległość. Innej możliwości nie ma.

BT: *Czy, patrząc na kraje Wschodu w szerszym kontekście, w kontekście polityki międzynarodowej, uważa Pan, że międzynarodowa koniunktura polityczna, na przykład polityka détente lub siedemdziesiątych, może sprzyjać procesowi demokratyzacji tych krajów, choćby w najprostszy sposób?*

AZ: Oczywiście, jakas demokratyzacja im zachodzi i będzie zachodzić, weźmy na przykład Chiny Wschodnie. Ale tylko do pewnych granic. Tylko do tego punktu, na jakim stoi „Starszy Brat”. Ale moim zdaniem ZSRR wszedł w taki, że nie pomoże żadna détente. Nadchodzi paskudny okres. Okres niemal jawnych przygotowań do następnej wojny. Jest taka rosyjska piosenka „jesienią zdarza się słoneczny dzień”. Wtedy się wydaje, że nadeszła wiosna. Ale to się tylko tak zdaje. Teraz też się czasami wydaje, że nadeszła wiosna. Ale to się tylko tak zdaje. Teraz też się czasami wydaje, że

widać przebłyłski demokracji. Tymczasem jesień. Idzie ku zimie. Wiosna minęła. I lato minęło. Mamy jesień. A przed nami surowa zima. Taki to już jest cykl, cykl życia społecznego. Oczywiście, będą się zdarzały jaśniejsze dni. Ale przed nami surowa zima i przez tę surową zimę społeczną wszystkim nam przyjdzie przejść, i na to nie ma rady.

BT: *Czy nie myśli Pan, że Zachód może temu w jakiś sposób przeciwdziałać?*

AZ: To niemożliwe. Zachód sam robi wszystko, żeby ta zima nadeszła.

BT: *To znaczy?*

AZ: O, to dużo by mówić. Na przykład: Zachód jak by nie było umacnia swe wojska, konsoliduje się, jednoczy, tworzy nowe rodzaje broni, zwiększa nakłady na zbrojenia. Na Zachodzie ludzie zaczynają rozumieć, że sowieckie zagrożenie jest ogromne i realne i starają się mu jakoś przeciwstawić. Stopniowo zaczynają przezwyciężać inercję, a kiedy ruszy się taka ogromna masa, pielatwo ją zatrzymać. Rozumie Pani, kiedy zachodzą takie wielkie procesy, ich przebieg w bardzo małym stopniu zależy od woli pojedynczych ludzi. W bardzo małym. Dlatego kiedy mowa o wojnach, mówię zazwyczaj: wojen nikt nie zaczyna, wojny się zaczynają.

BT: *Czy nie widzi Pan na tym świecie żadnego, nawet najdrobniejszego procesu, zjawiska, siły, które byłyby przeciwne tej tendencji? Żadnej nadziei?*

AZ: Ależ ja nie tylko że mam małą nadzieję, mam wręcz ogromną nadzieję! Rozumie Pani, mnie nie słuchają. Zawsze mówię, że należy rozróżniać między ogólnymi, teoretycznymi wywodami a stanowiskiem ludzi. W historii nie ma fatalizmu. Wszystko zależy od nas. Od tego, co będziemy robić i jak będziemy postępować. Wciąż podkreślam, że z samej natury rzeczy wynika, że nie można pokładać nadziei w niczym i w nikim. Bo w naturze rzeczy nie ma niczego, co by mogło stworzyć świat takim jakim byśmy chcieli go widzieć. Wiec jeśli chcecie, żeby świat był taki a taki, to walczcie o to. Wszystko zależy od ludzi. Wszystko.

BT: *Ale wydaje mi się, że w Polsce ludzie zaczęli już tak postępować.*

AZ: To doskonale, doskonale. To budzi pewne nadzieje. Bieg wydarzeń zależy od tego jak ludzie będą postępować. Im więcej ludzi

będzie stawiać opór, tym większa jest nadzieja, że życie stanie się lepsze.

BT: *Proszę mi nie mącić w głowie. Dla Pana tendencja dominująca to przecież jest hegemonizm komunistyczny. Pytam, czy nie widzi Pan tendencji przeciwnych, osłabiających ekspansję komunizmu typu radzieckiego. Czy teraz chce mi Pan powiedzieć, że ta hegemonistyczna tendencja jest nieuchronna przy dzisiejszym układzie sił światowych i zarysowanych już kierunków rozwoju, lecz że pojawienie się nowych procesów i zjawisk może ten hegemonizm osłabić? Że zatem nie jest on aż tak nieuchronny i fatalistyczny jak Pan to przedstawia w modelu teoretycznym?*

AZ: Oczywiście. Wydarzenia w Polsce to może być największa przeszkoda na drodze sowieckiego imperializmu. W każdym razie największa przeszkoda od czasów wojny. Tylko, że nie trzeba tracić z oczu praw ogólnych, one obowiązują zawsze i bez wyjątku, podlegają im także to, co się dzieje i będzie się działo w Polsce.

BT: *Czy widzi Pan jakieś inne zjawiska tego typu, inne siły, na przykład w pozostałych krajach wschodniego bloku, które mogłyby pobudzić dynamikę polityczną czy społeczną w tych krajach? Na przykład ruchy narodowe, demokratyczne, religijne?*

AZ: W tej chwili nie ma o czym mówić. Czechosłowacja jest spacyfikowana, NRD i Bułgaria w ogóle nie istnieją z tego punktu widzenia, na Rumunię nie ma co liczyć — tam panuje terror polityczny, na Węgrzech zaś jest zbyt duży dostatek, żeby ruchy demokratyczne mogły liczyć na powodzenie. Ruch dysydencki w ZSRR nie jest poważny, a zresztą uległ rozbiciu.

BT: *A ruchy narodowe, religijne? Czy Pana zdaniem nie stanowią one jakiejś nadziei?*

AZ: Nie. To wszystko należy włożyć między bajki. Nie ma takich ruchów, wymyslały je dysydenci i Zachód. Bardzo się wyolbrzymia te zjawiska. Nic z tego nie będzie, w każdym razie w najbliższym czasie.

BT: *A osłabnie ruchy narodowe w krajach bałtyckich, np. w Estonii?*

AZ: To wszystko jest wysane z palca. Ludzie chcą się uczepić byle czego, chcą mieć nadzieję więc te zjawiska bardzo się wyolbrzymia. Moim zdaniem to nie są ruchy poważne (w sensie historycznym) i nic z tego nie będzie. To samo dotyczy ruchów demokratycznych czy

opozycyjnych w krajach Wschodu, tych z którymi realnie mamy dziś do czynienia. One są zresztą, moim zdaniem, w fazie schyłkowej: rozbite i odizolowane od społeczeństwa, jak radzieckie, jak Karta 77 w Czechosłowacji. Zresztą, jeśli one istnieją, to niekiedy dlatego, że są pewne rozbieżności w kierownictwie.

BT: Czy to oznacza, iż Pan sądzi, że rewizjonizm ma w ZSRR większe szanse niż na przykład ruchy narodowe, że to byłaby pewna nadzieja na ewolucję systemu?

AZ: Absolutnie nie, to nieporozumienie. Rewizjonizm to wymysł, on nie ma żadnych szans, różnice w stanowiskach politycznych występują, ale to sprawy o minimalnym znaczeniu, natura systemu jest taka, że z tego nic nie może wynikać: ona zawsze zwycięży i będzie górą. Nie, nie, ja nie wybieram pomiędzy rewizjonizmem i ruchami narodowymi, uważam, że obie te możliwości polityczne są w tej chwili bez znaczenia, nic z tego nie może wyjść.

BT: A jak ocenia Pan rolę dysydentów radzieckich przeżywających na Zachodzie? Czy ich działalność nie sprzyja podtrzymaniu ciągłości ruchów opozycyjnych w ZSRR, nadaniu im rozgłosu, pobudzaniu do istnienia i działań, czy choćby tylko do wykryślenia, przez społeczeństwa Wschodu (zwłaszcza radzieckie) myśli politycznej czy formuły duchowego oporu?

AZ: Nigdy nie tailem mojego krytycznego stosunku do dysydentów radzieckich na Zachodzie. Moim zdaniem, ich rola jest skończona, to są obecnie rentierzy polityczni, którzy załatwiają własne prywatne interesy. Tam nie ma żadnej myśli, zwłaszcza politycznej. Im chodzi już tylko o własne korzyści, nauczyli się, jak trzeba żyć na Zachodzie i uprawiają te wielkie kampanie propagandowe, ale wyłącznie w imię egoistycznych interesów — szukają rozgłosu itp.

BT: W Polsce znamy oczywiście Pańskie zdanie na temat radzieckich dysydentów, dotarły do nas różne Pańskie sformułowania, na przykład, że woli Pan Breżniewa od Sołżenicyna. Niezależnie od tego, jak się ocenia obecne stanowiska, oceny i propozycje polityczne dysydentów radzieckich, nie ulega dla nas wątpliwości, że odegrali oni ogromną rolę w budzeniu zachodniej opinii publicznej, że to dzięki nim Zachód i świat pojęli, czym jest strój radziecki. Mieli też niewątpliwie zasługi jeśli chodzi o kampanie w obronie praw człowieka, to oni w gruncie rzeczy je rozpoczęli, to oni dostrzegli wagę tej problematyki i

przede wszystkim jej rolę polityczną w walce z komunizmem typu radzieckiego. Dlatego Pańskie opinie bardzo nas w Polsce bulwersują. Uważamy, że jeżeli dziś ktoś na Zachodzie coś dla nas robi, to w dużej mierze dzięki dysydentom radzieckim; Pańskie oceny tego nie uwzględniają.

AZ: Tym niemniej podtrzymuję je. Naturalnie, dysydenci radzieccy odegrali jakąś pozytywną rolę na początku, ale także i z tym nie należy przesadzać: ruch obrony praw człowieka znalazł rozgłos również dlatego, i przede wszystkim dlatego, że poparł go Carter. Poza tym ruch ten rozwinął się w USA ze względu na ich wewnętrzne sprawy. To jest zatem znacznie szersze zjawisko i sprawa szerszej koniunktury, że ruch ten znalazł rozgłos i powodzenie. Rola radzieckich dysydentów jest wyolbrzymiana i zresztą szybko się skończyła!

BT: A czy nie sądzi Pan, że tu, na Zachodzie, może powstać jakaś nowa myśl czy propozycja polityczna dla społeczeństw Wschodu, że dysydenci mogą odegrać jeszcze jakąś rolę, na przykład sformułować taką myśl? Przecież, wydawałoby się, warunki są sprzyjające: na Zachodzie jest w tej chwili mnóstwo dysydentów, i to ze wszystkich krajów Wschodu, nieźle znają krajowe realia, Zachód, łatwo im o wzajemną łączność, wspólne działania, nieraz są to, przy tym osoby wybitne, szeroko znane, które przez samą choćby swoją działalność zawodową, twórczą, wydawniczą, organizacyjną przyczyniają się do rozwoju duchowych i intelektualnych horyzontów społeczeństw Wschodu. Czy to nie może mieć pozytywnych skutków dla myśli politycznej Wschodu?

AZ: Myśl polityczna? O czym Pani mówi? To przecież w ogóle nie istnieje. Powtarzam, dysydenci wyczerpali już swoje polityczne możliwości, ich rola jest skończona. Najważniejsze dla mnie jest to, że oni nie zmieniają swojego sposobu myślenia, nie poszerzają repertuaru działań, chociaż sytuacja się zmienia. Nie, oni są już niemal niezdolni do podjęcia jakichś nowych kroków, pomysłów, wciąż klepią to samo.

BT: Czy podobnie ocenia Pan możliwości dysydenckich ruchów w ZSRR?

AZ: Dotychczasowe formy wyczerpały się i do niczego nie doprowadziły. Sądzę, że powinny powstać nowe formy działania, odmienne od dotychczasowych. To jest jednak kwestia czasu. Tymi procesami rządzą pewne prawidłowości, jak wszystkim w życiu społecznym. Wpierw musi się wyczerpać pewna forma działania i to jest właśnie

...etap rozwoju radzieckich ruchów dysydenckich, schyłek, rozpad, dekadencja. Dopiero ...niają się nowe formy. Ale to dużo wody musi upłynąć. Tych nowych metod nikt zresztą nie może z góry przewidzieć, ja oczywiście także nic o tym nie mogę powiedzieć bliższego. W każdym razie będzie to coś zupełnie innego niż teraz.

BT: *Czy podtrzyma się Pan tu, na Zachodzie, jakieś osobiste związki z radzieckimi dysydentami?*

AZ: Nie, z nikim.

BT: *Czy mógłby Pan powiedzieć, jaka tradycja polityczna, rosyjska lub zachodnia, jest Panu bliska?*

AZ: Nie identyfikuję się z żadną tradycją i sądzę, że żadna nie wywiera specjalnego wpływu na moje poglądy.

BT: *Żadna, nigdy? Nawet te bardzo odległe, historyczne? Ani zachodnie, ani wschodnie? W tradycji rosyjskiej znane jest np. rozróżnienie na słowlanofili i zapadników, w jakimś sensie jest ono wciąż aktualne, który z tych nurtów jest Panu bliższy?*

AZ: Żaden, ja w ogóle nie określam się w ten sposób i te rozróżnienia nie miały najmniejszego wpływu na moje formowanie się.

BT: *No, dobrze, a w historii bardziej zamierzchłej, tej, która już jest „martwa” — np. kadeci, liberalna myśl rosyjska a może jakieś jej zachodnie wydanie?*

AZ: Nie, nie, żadnych nazwisk ani etykietek nie mogę wymienić, jeśli mam mówić o sobie szczerze.

BT: *A współcześnie? Może Sacharow, co Pan o nim myśli?*

AZ: To nie dla mnie. Cały ten ruch, to jest (niekiedy) bunt ludzi wybitnych, niekiedy bardzo nawet wybitnych; ale niepoważnych w sensie politycznym. To nie jest poważne. Nie można oczekiwać, że ktoś stworzy sensowną myśl czy propozycję polityczną tylko dlatego, że był prześladowany czy się przesiedział w lagrach czy na Łubiance. A tymczasem tak się w Rosji mają rzeczy. To bunt ludzi heroicznych, odważnych, niekiedy wybitnych w swoich dziedzinach, ale z tego nie wynika myśl polityczna. I nie może wynikać. Żeby stworzyć taką propozycję, trzeba mieć ogromną wiedzę, całymi latami studiować nauki społeczne, znać prawa rządzące historią. To praca na pokolenia. Dlatego po obecnym ruchu nie oczekuję niczego pod względem politycznym.

BT: *Proszę Pana, każdy w życiu miał jakąś osobę, to mógł być pisarz, myśliciel, poeta, ktoś z kim się nie miało nawet bezpośredniego styku, ale kogo uważa się jednak za swojego duchowego ojca, o kim się myśli, że odegrał dużą lub decydującą rolę w naszym kształtowaniu się. Czy Pan miał takiego „duchowego mistrza”, kto nim był?*

AZ: Nie, nigdy, nikogo. Nikt na mnie nie wywarł wpływu, nie było osoby, o której mógłbym powiedzieć, że ukształtowała moje widzenie świata, lub na nie wpłynęła.

BT: *Nawet jak miał Pan 16 lat?*

AZ: No, wtedy może tak. Lermontow. Ale to krótko trwało, ot, taka chłopięca fascynacja.

BT: *A w polityce, myśleniu społecznym?*

AZ: No, nikt, naprawdę. Chociaż jeśli miałbym powiedzieć kogo naprawdę cenię, to wtedy wymienilibym Orłowa i Marczenko. Oba siedzą obecnie w więzieniu. To ludzie twardzi, silne indywidualności, umysłowo bardzo niezależni, zwłaszcza Marczenko. To są cechy, które najbardziej w ludziach cenię. Tak, dla nich mam bardzo dużo szacunku, ogromny szacunek.

BT: *A jeśli chodzi o Pana kształtowanie się jako naukowca, czy miał Pan „mistrzów”?*

AZ: Wielką rolę odegrała polska szkoła logiczna. W ogóle polska logika to zadziwiające zjawisko w historii filozofii. Człowiekiem, który odegrał ogromną rolę w formowaniu mojej naukowej osobowości był Jan Łukasiewicz, następnie Ajdukiewicz. Polską logikę znałem bardzo dobrze. Dohyć znałem też polską socjologię. Polska socjologia odegrała w moim rozwoju socjologicznym rolę decydującą. Zwłaszcza teoria małych grup społecznych, która powstała w Polsce.

BT: *Czyja teoria? Tytuł, nazwisko, adres, rysopis...*

AZ: Teraz jest mi trudno odpowiedzieć. Głową mam teraz w takim stanie, że gdyby mnie spytano o nazwisko mojego ojca, to też bym nie umiał powiedzieć. Naprawdę, oficerze śledczy. Przysięgam. Zresztą, moje stosunki z Polską są szczególne. W Polsce zacząłem publikować moje prace logiczne, dopiero potem drukowałem w ZSRR. Z Polakami miałem wspaniałe stosunki, bardzo mi pomagali. Polska sztuka, zwłaszcza film — to miało ogromne znaczenie w moim rozwoju. Rosyjscy dysydenci i opozycjoniści ukrywają tę rolę Polski i

udają, że Polska nic nie ma do tego. Tymczasem Polska odegrała ogromną rolę w powstaniu radzieckiego ruchu dysydenckiego.

BT: Uderza, że jak Pan mówi o Polsce, to jakby pojawiał się nowy, inny Zinowiew. Mnie się już zresztą zupełnie pokręciło w głowie od tych Zinowiewów. Mam wrażenie, że do tej rozmowy wtrąciło się ich paru. Mówił Zinowiew—teoretyk, twórca całościowej, uwzględniającej trendy rozwoju historycznego teorii „czystego komunizmu”, fatalistycznej, przytłaczającej, wręcz, powiedziałabym, diabelskiej. To był zarazem Zinowiew—historiozoficzny pesymista. Ale pojawił się także Zinowiew—orędownik ludzkiej nadziei. Mówił Zinowiew—duch przekorny, surowy krytyk dysydentów i Zinowiew—sympatyk Polski i naszego ruchu demokratycznego. Najbardziej dopuszczaliśmy do głosu Zinowiewa—analityka natury ludzkiej, których też jest zresztą co najmniej dwóch: ten z książek literackich i ten z esejów teoretycznych, dużo silniej niż w powieściach redukujący człowieka do jego złych cech (któryś z Zinowiewów powiedziałby „szczurzych” cech). Tych, z których teoretyk (nie pisarz) czyni jedynych bohaterów naszej mało świetlanej przyszłości, zaludniających cały nasz glob — ziemię stałczyńskich „społeczeństw termitów”, społeczeństwa pejsaży starożytnego Egiptu w komunistycznym wydaniu i z gądzetami nowoczesnej cywilizacji. To korci, żeby odkryć jeszcze jednego, nowego Zinowiewa. Ale, mówiąc poważnie: jeśli chce Pan powiedzieć coś od siebie uczestnikom polskiego ruchu demokratycznego, to proszę...

AZ: Mogę powiedzieć jedno: o wielu z nich słyszałem, z niektórymi zetknąłem się osobiście. Spotykałem się z Kołakowskim i czuję do niego ogromną sympatię. O Michniku oczywiście wiem, ale osobiście się z nim nie zetknąłem. Spotykałem młodych ludzi, uczestników ruchu demokratycznego i naturalnie także z nimi sympatyzuję. Chcę im wszystkim przekazać, że sercem i myślą jestem z Polską. Bardzo pragnę zwycięstwa Polaków. Przy czym pragnę tego jako Rosjanin. Rozumie Pani, ja dobrze wiem, jaka jest sowiecka tradycja. Dla Rosji w najwyższym stopniu, właśnie dla Rosji byłoby ważne, żeby Polacy zwyciężyli. Trudno przewidzieć, jak kolosalne skutki miałyby zwycięstwo Polaków dla rosyjskiego ruchu opozycyjnego, dla rosyjskiego ruchu oporu.

Paryż, 25 marca 1981

Rozmawiała: **Barbara Toruńczyk**

Leszek Kołakowski

LUDOBÓJSTWO I IDEOLOGIA*

Zagładę Żydów można rozważać z różnych punktów widzenia: jako najkrwawszy rozdział niewiarygodnych dziejów ludu Izraela lub jako przejaw XX-wiecznego nacjonalizmu i totalitaryzmu. Tego ostatniego dotyczą moje uwagi. Nie mam nic ciekawego do powiedzenia na temat historii masakry Żydów, nie mam też zamiaru rozważać jej znaczenia dla obecnego stanu tzw. „kwestii żydowskiej”, a w szczególności dla sytuacji państwa Izrael. Nie kwestionuję, rzecz jasna, sensu tego rodzaju refleksji, przeciwnie; wydaje mi się, że nadszedł już bodaj ostatni moment, kiedy dyskusja nad tymi sprawami może się toczyć jeszcze w oparciu o pamięć ludzi żyjących. Za dziesięć lub piętnaście lat światem będą rządzić ludzie, dla których druga wojna światowa będzie zamkniętym rozdziałem przeszłości. Związek między tamtymi wydarzeniami a istnieniem państwa Izrael zostanie zapomniany, a polityczne decyzje nie będą już w gestii ludzi, którzy byli świadkami lub ofiarami okrucieństwa tamtych czasów.

Przy temacie, o którym trudno mówić w sposób całkiem beznamietny, nie jest niestosowna krótka samo-prezentacja. Nie jestem Żydem, nie jestem też żydowskiego pochodzenia. Kiedy wybuchła wojna, miałem dwanaście lat i okres okupacji hitlerowskiej spędziłem w Polsce. Mieszkalem w wielu miejscowościach, między innymi w

* Jest to tekst przemówienia wygłoszonego na spotkaniu zorganizowanym w listopadzie 1978 roku przez Institute for the Study of Contemporary Social Problems, Seattle, Wash., w czterdziestą rocznicę Kristallnacht.

Warszawie. Pamiętam likwidację warszawskiego getta – mieszkalem wśród Polaków, którzy aktywnie pomagali Żydom i codziennie ryzykowali życiem, próbując ratować z piekła tych nielicznych, których można było uratować. Większość tego okresu mieszkalem z Żydami, ukrywającymi się przed katami. Jak wiadomo, około sześciu milionów obywateli polskich padło ofiarą ludobójstwa: około połowa z nich to polscy Żydzi lub Polacy żydowskiego pochodzenia. Zarówno ludzie, których wówczas znałem, jak i ja sam, mieliśmy wyraźne poczucie wspólnoty z ofiarami i przyznaję, że nasze wspomnienia muszą zabarwiać wszelkie ewentualne analizy tamtych wydarzeń.



Zastanawiamy się czasem, co było przerażającą nowością w masakrze europejskich Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Ludobójstwo nie jest pomysłem ani XX wieku, ani hitlerowców, wyjawszysy usprawnienie techniki zabijania i transportowania ludzi na rzeź. Nie jest też nowością **l u d o b ó j s t w o i d e o l o g i c z n e**, czyli masowa eksterminacja, uzasadniana nie tylko głoszoną przez zabójców potrzebą przetrzeleni życiowej czy bogactwa, lecz rozbudowaną „filozofią”, z której wynika, że ofiary z a s ł u g u j ą na unicestwienie z racji metafizycznych, historycznych lub moralnych. O ile wiem, masowa rzeź anatolijskich Ormian w czasie pierwszej wojny światowej nie była wsparta żadnymi względami ideologicznymi; to samo można powiedzieć o masakrze Indian w Północnej Ameryce. W historii europejskich podbojów Ameryki Południowej w wieku szesnastym i siedemnastym można czasami znaleźć swego rodzaju „filozoficzne” uzasadnienie: tłumiono mianowicie, że Indianin nie jest w gruncie rzeczy istotą ludzką, obdarzoną duszą. Na tę teorię wszelako powoływano się w niewielu przypadkach (rychło odrzucił ją Kościół), a jeśli nawet czyniono z niej użytek, nie dawała ona podstaw do zabijania ludzi na skalę masową – najwyżej prowadziła do wniosku, że w kategoriach moralnych zabicie Indianina jest sprawą obojętną. W sumie wydaje się, że masakry Indian nie miały charakteru ideologicznego i że zabójcy nie zaprzęтали sobie głowy konstruowaniem uzasadnień swoich wyczynów. Kierowała nimi żądza bogactwa i władzy, znali swoje pobudki i w najlepszym wypadku całkowitą inność kulturalną i religijną ofiar pomagała zdobywcom w przełamaniu zahamowań, jeżeli w ogóle je mieli. To samo można powiedzieć o większości okrucieństw popełnianych we wczesnych stadiach kolonizacji, niezależnie

od tego, czy zasługują na miano „ludobójstwa” (słowa tego oczywiście nie da się zdefiniować z doskonałą precyzją).¹

Ale i hitlerowcy nie mogą rościć pretensji do tytułu wynalazców ideologicznego ludobójstwa. Ta kategoria obejmuje masową eksterminację w wojnach religijnych przeszłości, bez względu na powody uboczne, bardziej przyziemne, niż błędne poglądy na temat łaski czy Trójcy Świętej. Masakra Katarów w południowej Francji na początku XIII wieku zasługuje być może na miano ideologicznego ludobójstwa. Ale heretycy, przynajmniej teoretycznie, mieli możliwość wyboru: mogli nawrócić się na prawowierną doktrynę, mogli wyprzeć się swoich błędów i okazać skrucie. Żydzi nie mieli takiej możliwości. Ponieważ w doktrynie hitlerowskiej żydowskość była cechą dziedziczną, nie można się było jej pozbyć; Żydzi byli nieuleczalnie zepsuci, a zatem nieodwołalnie potępieni.

Z dwóch składników hitlerowskiej ideologii, istotnych dla naszych rozważań – wrodzona wyższość Niemców oraz immanentne nieuleczalne zło żydowskości – żaden oczywiście nie był nowy. Znamy rozmaite próby wyprowadzenia tej ideologii z niemieckiego romantyzmu czy okresów jeszcze dawniejszych; w tym kontekście możemy powołać się na Tomasza Manna i Lukácsa, a w Ameryce na Petera Vierecka. Jeszcze więcej wysiłków poszło na analizy historycznego zaplecza hitleryzmu w gospodarczych, społecznych i emocjonalnych warunkach Niemiec po pierwszej wojnie światowej. Niektórzy autorzy, w większości byli marksiści, szli dalej w historiozoficznych wyjaśnieniach i skłonni byli uważać, że hitleryzm nie był bynajmniej potwornym przypadkiem, lecz typowym objawem ogólnej tendencji totalitarnej, której ustroj sowiecki był innym uderzającym przykładem, i że oba te ustroje zapowiadają nową formację polityczną, która, choć okrutna i niehumanitarna, jest naturalnym produktem ogromnych zmian wynikających z rozwoju techniki. Taką złowrogą diagnozę można znaleźć w pismach Bruno Rizzi, Friedricha Pollocka i Jamesa Burnhama. W tej perspektywie swoście hitlerowska ideologia miała niewielkie znaczenie; ponieważ w ogólnych zarysach gospodarcze i polityczne elementy nowego porządku były niejako wyznaczone rozwojem techniki nowoczesnej, ideologiczny kształt ustroju w danym kraju – komunizm w Rosji czy hitleryzm w Niemczech – był sprawą przypadku, bądź lokalnych tradycji; ideologia nie ma innych funkcji poza instrumentalną w mobilizacji środków do zadań, które, jakkolwiek ciężkie, zostały narzucone przez historię.

Tę sprawę możemy pominąć i poprzestać na ogólnym przypuszcze-

niu, że nie ma na szczęście żadnych zniewalających racji, na mocy których musielibyśmy przyjąć te ponure proroctwa i wierzyć, że nieodparta siła historyczne nieubłagane prowadzą świat do porządku totalitarnego. Wolno nam uznać, że wprowadzie niektóre cechy przemian technologicznych zdają się sprzyjać takiemu rozwojowi wypadków (przesunięcie coraz większej ilości ważnych decyzji do centralnych ośrodków władzy), lecz inne temu przeciwdziałają (technologiczna i gospodarcza nieudolność totalitaryzmu), a twierdzić, że wiemy, jaki będzie na skalę globalną wynik konfliktu między tymi dwiema przeciwstawnymi tendencjami, nie ma racji.

Jakkolwiek jednak przekonujące byłyby wyjaśnienia hitleryzmu w kategoriach historii gospodarczej czy kulturalnej, trudno się oprzeć wrażeniu, że w ideologii tej było coś demonicznie nowego i że jej czasowy sukces był w znacznym stopniu osobistym wkładem samego Hitlera (i oczywiście Roseriberga). Nie należy nie doceniać jego twórczości czy sprowadzać jej do zwykłego wyrazu gotowych już tendencji, które doprowadziły do wyłonienia się wódza jako swego koniecznego narzędzia. Nie wykluczone, że militaryzacja niemieckiej gospodarki była możliwym rozwiązaniem problemów kraju i że oficjalna pseudo-religia, z kultem państwa i marzeniami imperialnymi, wyróżniła się jako mechanizm pomocniczy. Swoistości ideologii hitlerowskiej nie są jednak należycie wyjaśnione w tym schemacie. Być może naturalna skłonność naszego umysłu sprawia, iż niechętnie przyznajemy, że wydarzenia historyczne, które całkowicie zmieniły bieg świata, są dziełem przypadku oraz zupełnie nieprzewidywalnych zbiegów okoliczności, nie zaś dostępnej rozumieniu sekwencji konieczności dziejowych.

Jeżeli nawet jest prawdą, że wyniki pierwszej wojny światowej uczyniły drugą wojnę nader prawdopodobną czy wręcz nieuniknioną, nie było żadnej fatalnej konieczności w powstaniu i zwycięstwie hitleryzmu, ani zresztą w tym, że Trzecia Rzesza ostatecznie przegrała wojnę. Hitleryzm był tworem ludzkiego umysłu, nie zaś bezosobowych sił historycznych i jego doktryna nie była przypadkowym i biernym instrumentem służącym do osiągnięcia celów, które skądinąd były gotowe niezależnie od niej. Jakkolwiek licha intelektualnie i odrażająca moralnie, ideologia ta była rzeczywista nie tylko w tym sensie, że ludzie ją istotnie wyznawali, lecz również w tym, że wpływała faktycznie na postępowanie przywódców jako niezależna zmienna. Szczególnie tyczy się to sprawy antysemityzmu. Historycy niejednokrotnie podkreślali, że eksterminacja Żydów w ostatniej fazie wojny

była w istocie rzeczy szkodliwa dla wojennych wysiłków Niemiec, ponieważ *Endlösung* wymagało ogromnej ilości środków transportu i blokowało linie kolejowe bardzo potrzebne do celów militarnych, a niewolnicza praca Żydów mogłaby zostać lepiej spożytkowana. Mimo to akcja eksterminacyjna postępowała dalej, ze względów ideologicznych. Hitlerowski antysemityzm opierał się nie tylko na szczegółowych oskarżeniach wysuwanych pod adresem Żydów, takich jak te, które znajdujemy w tradycji chrześcijańskiej. Wina Żydów polegała przede wszystkim na tym, że byli Żydami i dlatego skazani byli na zagładę. Byli ucieleśnieniem zła, a zarazem jego abstrakcyjnym symbolem; nie tylko to, co było dotknięte żydowskością, było złem lecz i odwrotnie: wszelkie zło wydawało się żydowskiego pochodzenia; żydowska była plutokracja, żydowski komunizm, liberalizm, paacyfizm, sztuka awangardowa i teoria względności. Zagłada Żydów była nie tylko środkiem do osiągnięcia celów wyznaczonych niezależnie od kwestii żydowskiej, była celem samym w sobie, wielkim aktem historycznej sprawiedliwości i ostatecznym zwycięstwem nad złem.*

W tym sensie mamy tu bodaj do czynienia z ideologicznym tudobójstwem nowego typu. Nic nie wynika ze stwierdzenia, że ta ideologia była wytworem szaleństwa czy paranoi; nie ma parańskich państw czy ruchów masowych i doktryna hitlerowska, być może wyjątkowa w nieskrywany barbarzyństwie, nie była wcale wyjątkowa ze względu na stopień, w jakim była uragowiskiem dla zdrowego rozsądku.

Chciałbym rozważyć następującą kwestię: na czym polega dziedzictwo ideologii hitlerowskiej w dzisiejszym świecie i jaki wpływ na współczesne konflikty ideowe wolno przypisać losom narodowego socjalizmu? Szukając odpowiedzi na to pytanie pomijam marginalne zjawisko współczesnego hitleryzmu w sensie dosłownym; niewielkie grupki fanatyków, które tu i ówdzie posługują się symbolami i frazeologią Niemiec hitlerowskich, nie zasługują na szczególną uwagę. Jakkolwiek byłyby odrażające, ugrupowania takie nie mają przyszłości i żadnej roli do odegrania, choć prasa poświęca im niewspółmiernie dużo uwagi. Sam fakt, że trzymają się hitlerowskich symboli, dowodzi ich beznadziejnej sytuacji. Sądzę zaś że dziedzictwa hitlerowskiego

* W tym kontekście chciałbym zwrócić uwagę na „Rozmowy z kałem” Kazimierza Moczarskiego (1978). Jest to wyjątkowy dokument, najlepszy portret autentycznego hitlerowca, który do samego końca trwał przy swoim makabrycznym *credo*; był przekonany, że powodem przegranej wojny przez hitlerowców był fakt iż byli oni z *z y g i* d o b r z y i nie dość zdecydowani w wykorzenianiu szkodliwych tendencji w Niemczech.

należy szukać nie w bezpośrednich lub nawet pośrednich kontynuacjach tej ideologii, lecz w procesie przemian, jaki na skutek upadku hitleryzmu nastąpił po wojnie we wszelkiego typu dyskusjach i walkach światopoglądowych.

Uderzającą cechą hitleryzmu była jego otwartość. Ideologia ta tylko w niewielkim stopniu używała kłamliwej fasady. Hitleryzm krzykliwie obwieszczał światu swoje cele: wzniesienie niemieckiego super-państwa, zniszczenie Żydów i przekształcenie Polaków i innych Słowian w niewolników, po uprzedniej eksterminacji ich warstw wykształconych i uniecznieniu w ten sposób ich kultury. Program ten był realizowany, a jego wykonawcy w wojsku, SS, policji i partii nie potrzebowali bynajmniej tego, co nazywamy „fałszywą świadomością”: czynili to, co nakazywała ideologia, bez względu na to, jak absurdalne mogło być jej uzasadnianie w teorii rasowej.

Chociaż „Mein Kampf” czy inne reprezentatywne dokumenty ideologiczne nie domagały się explicite fizycznej eksterminacji Żydów, konsekwencje, jak wiemy, były aż nadto oczywiste. W „Mein Kampf” Hitler „po prostu” stwierdza, że Żydzi to diabły, wampiry, niebezpieczne zarazki, pasożyty, niepoprawni wrogowie gatunku ludzkiego, że nienawidzą oni wszelkiej kultury, usiłują zniszczyć wszystko, co wzniosłe i piękne, i że „żydowski instynkt dominacji nad światem zniknie tylko razem z Żydami”². W przemówieniu w Reichstagu na kilka miesięcy przed wojną (30 stycznia 1939) Hitler powiedział, że jeżeli Żydom uda się sprowokować wojnę, jej wynik przyniesie zagładę narodu żydowskiego.³ Takie wypowiedzi były zupełnie jednoznaczne, ale ludzie dopiero w dłuższy czas potem zaczęli sobie zadawać pytania, dlaczego tych obietnic nie brano poważnie wówczas, czy nawet później, kiedy masakra była już w toku a doniesieniom napływającym z polskiego podziemia Zachód po prostu nie wierzył. Skutek był taki, że w krajach zachodnich, pomimo dostępnych informacji, przed zakończeniem wojny mało kto miał pojęcie, co w gruncie rzeczy działo się pod okupacją hitlerowską.

Znaczenie tej strony hitleryzmu wychodzi wyraźnie na jaw, kiedy porównujemy go, jak to nieraz czyniono, z inną ideologią totalitarnego państwa, a mianowicie z komunizmem okresu stalinowskiego. Chociaż analogie takie są często przekonujące, różnice nie są ani drugorzędne, ani nieistotne: w przeciwieństwie do narodowego socjalizmu stalinizm był jedną wielką fasadą. Posługiwał się – z niemałym powodzeniem – wszelkimi ideologicznymi narzędziami należącymi do socjalistycznej, humanistycznej, internacjonalistycznej i uni-

wersalistycznej tradycji. Stalinizm nie głosił nigdy podboju, lecz tylko wyzwolenie z ucisku; nigdy nie gloryfikował państwa jako wartości samej w sobie, podkreślał jedynie konieczność wzmocnienia państwa jako narzędzia nieodzownego w zniszczeniu wrogów wolności i obiecywał, zgodnie z doktryną marksistowską, zniesienie państwa w doskonałym świecie komunizmu. Głosił równość, demokrację, samostanowienie dla wszystkich narodów, braterstwo i pokój.

W obu przypadkach – stalinizmu i hitleryzmu – obecność bądź brak potężnej fasady ideologicznej przyczyniły się zapewne zarówno do słabości, jak i do siły obu tych systemów. Fakt, że stalinizm podawał się za prawowitego spadkobiercę socjalistycznych marzeń i wartości, za wcielenie dawnego rewolucyjnego humanizmu, był z pewnością jego siłą. Dzięki zręcznej manipulacji słowami potrafił – nawet u szczytu ucisku i terroru – przyciągać znaczną ilość intelektualistów i zwiększać w ten sposób swój wpływ na całym świecie. Fakt, że tysiące wybitnych umysłów na dłuższy lub krótszy czas padło ofiarą stalinowskich urojeń i przystąpiło w dobrej wierze do sprawy komunizmu, nie może być po prostu pominięty melancholijną uwagą na temat ludzkiej naiwności; zasługuje on na uwagę jako najbardziej uderzający przykład siły ideologii w naszym stuleciu. Ta sama siła jednakże rodziła niebezpieczeństwa, które dawały o sobie znać we właściwym czasie: Ci, którzy brali na serio fasadę stalinowską – a było ich wielu – i przyswoili sobie umiejętność widzenia przez okulary ideologii wszystkich wydarzeń i faktów, choćby najbardziej sprzecznych z werbalnymi roszczeniami systemu, firmując w ten sposób okropności stalinizmu, wcześniej czy później poddawali się samodzielnej sile własnych przekonań, by wreszcie podjąć konfrontację doktryny z rzeczywistością. Raz po raz fasada odrywała się w umysłach ludzkich od rzeczywistości, nabierała jakby samodzielnego życia i zwracała się przeciwko rzeczywistości. Raz po raz komuniści sięgali po komunistyczną frazeologię w atakach na ustrój komunistyczny. Dlatego można powiedzieć, że ideologia, chociaż zakłamana, niesła zarodki autodestrukcji czy że komunizm, dzięki swoim wewnętrznym sprzecznościom, był zdolny do wytwarzania własnych krytyków.

Inaczej w przypadku hitleryzmu. Duży stopień zbieżności pomiędzy rzeczywistością a wyznawanymi celami przyczyniał się do jego siły z jednej strony, a do słabości z drugiej; tak przynajmniej wydaje się z dzisiejszego punktu widzenia. Otwarcie ludobójcza ideologia nie pozwoliła mu stać się poważniejszym ruchem intelektualnym lub stworzyć cokolwiek wartościowego w kulturze. Wprawdzie opór intelek-

tualistów wobec hitleryzmu był w Niemczech zdumiewająco nikły, a ich aktywny udział w budowie nowej kultury był również niewielki. W przeciwieństwie do komunizmu, który przez pewien czas okazał płodność w różnych dziedzinach kultury, narodowy socjalizm był zupełnie jałowy; był czystym wandalizmem kulturalnym; do literatury, sztuki i filozofii wnosił jedynie spustoszenie, nie pozostawiając nic oprócz świadectwa dekadencji ludzkiego umysłu. Narodowemu socjalizmowi udało się przyciągnąć tylko niewielu wybitnych intelektualistów, a najbardziej znany spośród nich, Martin Heidegger, był wyznawcą tej ideologii przez zaledwie niecały rok; trudno to porównywać z ideologiczną prężnością komunizmu. Kryteria charakterologiczne, według których hitleryzm dobierał sobie ludzi, były inne niż te, którymi posługiwał się komunizm w okresie, gdy był żywą wiarą. Jedyne cnoty, które zdolny był wykształcić narodowy socjalizm i które przyciągał, miały charakter wojskowy: *Blut und Ehre*. Z drugiej strony to duchowe ubóstwo i względny brak fałszywej fasady nie pozbawione były pewnych korzyści. Zapobiegło to, z wyjątkiem paru epizodów w początkowej fazie, ideologicznym rozłamom w łonie narodowego socjalizmu; ideologia ta prawie zupełnie nie miała herezyków i nie była zdolna do podsywania zarodków własnego ideologicznego rozpadu.

Upadek hitleryzmu i niemal powszechne potępienie go na całym świecie przyczyniły się, jak się wydaje, do istotnych zmian w ideologicznych formach powojennych walk politycznych. W pewnej mierze nadal doświadczamy skutków tamtych wydarzeń, które między innymi odmieniły sposób stawiania „problemu żydowskiego” i artykułowania antysemityzmu. Sądzę, że ta uwaga jest zdroworozsądkowa, chociaż przyznaję, że trudno byłoby ją udowodnić, podobnie jak w tych wszystkich przypadkach, kiedy usiłujemy uchwycić znaczenie i przyczyny zjawisk społecznych znacznej skali.

Wolno twierdzić, że nienawiść rasowa i narodowa jest dzisiaj we wszystkich częściach świata i silniejsza i groźniejsza, niż przed drugą wojną światową i że antysemityzmowi bynajmniej nie grozi zanik. To samo można powiedzieć o kulcie i potrzebie „silnego państwa”. Dzieje się tak zapewne nie z powodu trwałych wpływów ideologii hitlerowskiej; przeciwnie, ideologia ta, a raczej fakt jej bankructwa, zmienił sposób wyrażania tych nienawiści i aspiracji. Na ogólny wzrost nacjonalizmu i na szczególną formę państwową nacjonalizmu składa się zapewne wiele przyczyn; z jednej strony mamy do czynienia z ogromnym wzrostem gospodarczej roli państwa w różnych ustro-

jach politycznych, a z drugiej z powstaniem licznych nowych państw pozbawionych tradycji oraz narodowościowo i kulturalnie bardzo niejednorodnych. Obok nacjonalizmów wyraźnych grup etnicznych, utwierdzających swoje prawo do budowania własnych państw, widzimy zjawisko nacjonalizmu bez narodu, bądź nacjonalizmu skoncentrowanego na państwie wielonarodowym. Warto jednak zauważyć, że ruchy narodowe oraz organizmy polityczne, również te, które przyznają się do miana „nacjonalistycznych”: z reguły nie formułują swoich żądań i roszczeń w kategoriach prawa narodu do dominacji nad innymi, naturalnej wyższości, przestrzeni życiowej, itp. Nie tylko wszystkie aspiracje narodowe wyrażane są w kategoriach bezspornego prawa do samostanowienia, bądź prawa do ponownego objęcia w posiadanie niegdyś utraconych terytoriów, lecz również unika się starannie samej idei walki przeciwko innemu narodowi. Mussolini i Hitler nie cofali się przed ujawnianiem swoich imperialnych celów: gotowi byli przyznać, że prowadzą politykę podbojów, do czego byli upoważnieni i powołani na mocy już to naturalnej wyższości własnych narodów, już to praw historii. Dzisiaj jest to rzadkością. Nacjonalistyczne ideologie, które wyraźnie potępiają koncepcję praw człowieka, gloryfikują wojnę jako szkołę najwyższych wartości ludzkich, głoszą nierówność ludzi, odwołują się do instynktów przeciwko Rozumowi i szydzą z idei sprawiedliwości, są marginalnymi zjawiskami życia politycznego (Mao Tse-tung był wyjątkiem w jednoznacznym odrzuceniu doktryny praw człowieka). Nienawiść rasowa i narodowa, aspiracje imperialne, totalitarne reżymy i ruchy kwitną pod maską humanitarnych, pacyfistycznych i internacjonalistycznych haseł. Idee suwerenności narodowej, postępu i sprawiedliwości okazały się wystarczające dla uzasadniania wszelkiego rodzaju represji wewnętrznych, jak również ekspansjonistycznej polityki, a odnosi się to do przypadków powojennej historii, które zasadniczo można nazwać ludobójstwem (na przykład masakra komunistów w Indonezji, czy niedawna masowa rzeź w Kambodży).

Odnosi się to również do antysemityzmu. Formy wyrazu antysemityzmu zmieniły się znacznie po okropnościach hitleryzmu. Niedwuznacznie antyżydowskie ruchy-prawicowe, chociaż istnieją, są słabe i żyją na marginesie życia politycznego; pojęcie antysyjonizmu wystarcza całkowicie do wchłonięcia większości tradycyjnego antysemityzmu. Powiedzenie, że wszyscy, którzy przeciwstawiają się syjonizmowi, są antysemitami, byłoby oczywiście niesprawiedliwością; zwalczają go także niektórzy Żydzi ze względów politycznych lub religijnych. Są

wśród nich socjaliści dawniejszej generacji, którzy z zasady odrzucają wszelkie polityczne idee i ruchy oparte na uczuciach narodowych, oraz ci pobożni Żydzi, którzy wierzą, że Judaizm jest zasadniczo ideą religijną, a nie polityczną. O ile więc nieprawdą jest, że wszyscy antysyjniści są antysemitami, prawdą jest z drugiej strony, że niemal wszyscy antysemita nazywają siebie antysyjonistami, a ci, którzy określają się jako wrogowie Żydów jako takich, lub otwarcie głoszą zagładę Żydów, pojawiają się niezmiennie rzadko.

Opisane tu zjawisko przyczyniło się do erozji, spowodowanej skądinąd rozmaitymi czynnikami, odziedziczonych sprzed wojny politycznych układów i podziałów. Przed wojną w Europie syjonizm zwalczała najostrzej część żydowskiego ruchu socjalistycznego, a w wielu krajach antysemita raczej popierali emigrację Żydów, których chcieli się pozbyć. Dzisiaj antysemityzm znalazł wygodne ujście w formie antysyjonizmu, który został przyjęty na Zachodzie zarówno przez komunistów, jak i rozmaite sekty lewicowe. Tym samym znaczna część antysemitkiej tradycji znalazła się po stronie ruchów przyjmujących nazwę lewicy (nie oznacza to, iż wszyscy lewicowi antysyjniści są antysemitami, ale wydaje się że być dzisiaj antysemitą i nazywać się antysyjonistą daje dużą szansę na znalezienie się po stronie postępu, wolności, równości i powszechnego szczęścia ludzkości). Antysemityzm inspirowany przez rządy – nazywany oczywiście antysyjonizmem, lecz bardzo niezdarnie zamaskowany – pojawiał się lokalnie w powojennym okresie w europejskich krajach komunistycznych: w Związku Sowieckim, Polsce, Czechosłowacji i Rumunii. W Związku Sowieckim był on szczególnie złośliwy, co doprowadziło do osobiwej sytuacji, gdzie bycie Żydem jest obowiązkowe i zakazane zarazem. Obowiązkowe w tym sensie, że jeżeli ktoś miał żydowskich przodków, nie ma prawa określać się jako Rosjanin czy Ukraińiec, a władze policyjne w rubryce „narodowość” w paszporcie wewnętrznym wpisują „żydowska”, bez względu na to, czy dany człowiek życzy sobie tego, czy też nie; zakazane zaś dlatego, że Żydzi nie mają prawa do kultywowania swej odrębnej tradycji kulturalnej nawet w tych lichych formach, w jakich zezwala się na to innym narodowościom. W Polsce oficjalny sowiecki antysemityzm ostatniego okresu rządów Stalina (kampania przeciwko tzw. „kosmopolitom”) nie przybrał znacznych rozmiarów. Dopiero w burzliwych latach 1956-57 niektóre frakcje rządzącej partii były wykorzystywać antysemitckie hasła dla własnych celów; ale wielka antysemitcka kampania została zapoczątkowana przez władze w roku 1967, po wojnie sześciodnio-

wej na Bliskim Wschodzie, i tak jak poprzednio związana była z konfliktem klik partyjnych walczących o władzę. Biorąc pod uwagę intensywność i wszechobecność długotrwałej propagandy antysemitycznej rezultaty musiały rozczarować organizatorów, chociaż oczywiście trucizna nie była nieszkodliwa.

W sumie można powiedzieć, że ideologiczne efekty zagłady Żydów w czasie drugiej wojny światowej nie były takie same w krajach komunistycznych Wschodniej Europy, jak na Zachodzie. W Polsce, gdzie w czasie wojny odbyła się znaczna część masakry, o zagładzie Żydów mówi się w taki sposób, by umniejszyć lub całkowicie pominąć szczególnie charakter tego, co ich spotkało. Nie było tak w pierwszych latach po wojnie: wówczas zagłada Żydów omawiana była i opisywana w wielu pamiętnikach, powieściach, książkach i filmach. Ostatnimi laty jednakże oficjalna propaganda, która nie szczędzi wysiłków, by utrzymać pamięć okrucieństw hitlerowskich, podkreśla powszechny charakter ludobójstwa i — z wyjątkiem pewnych przypadków podyktowanych względami politycznymi — unika przypominania o masakrze Żydów jako odrębnym i wyjątkowym rozdziale historii. Tę samą zasadę stosuje się znacznie konsekwentniej w Związku Sowieckim, gdzie o okropnościach wojny mówi się pomijając zupełnie szczególny los Żydów. Ogólna tendencja propagandy polega na tym, by ludzie zapomnieli o wyjątkowym miejscu Żydów w hitlerowskiej polityce ludobójstwa. Choć prawdą jest, oczywiście, że miliony Polaków i Rosjan padły ofiarą ludobójstwa, prawdą jest również, że przypadek Żydów był szczególnie. Celowe pomijanie ich losu jest jednym z wielu przykładów fałszowania historii ostatniej wojny w oficjalnej wersji komunistycznej.

Tymczasem popularny antysemityzm w Związku Radzieckim, bezustannie inspirowany i umacniany przez państwową propagandę, ujawnia cechy, które odnajdujemy w tradycyjnych przesądach antysemitycznych, poczynawszy od zburzenia drugiej świątyni. Społeczeństwo odpląca się czasami przywódcom partyjnym za ich antysemityzm, oskarżając ich o to, że sami są Żydami i twierdząc, że władza komunistyczna jest w gruncie rzeczy uciskiem narodu rosyjskiego przez Żydów. Tendencja ta występuje w pewnym stopniu w niektórych dysydenckich ugrupowaniach nacjonalistycznych w Związku Sowieckim; a dochodzi do głosu w twierdzeniu, że rewolucja bolszewicka była właściwie dziełem cudzoziemców — Polaków, Gruzinów, Łotyszów, a przede wszystkim Żydów. Tak to w niechęci społeczeństwa wobec ustroju komunistycznego powracają dawne wzorce, znane z historii

antysemityzmu socjalistycznego (Żydzi utożsamiani z bankierami, lichwiarzami i kapitalistami; idee socjalistyczne przemieszane z antyżydowskimi stereotypami); tym-razem z żydowskością utożsamia się władzę komunistyczną. To charakterystycznie niekoherentne poszukiwanie niewinności narodowej powraca raz po raz. W Polsce w czasie antysemitkiej kampanii w roku 1968 Żydów oskarżano o podkopywanie przyjaźni polsko-sowieckiej i jednocześnie zrzucano na nich odpowiedzialność za okrucieństwa stalinizmu.

Możemy zapytać, jak należy oceniać tę celowo produkowaną konfuzję, ten imponujący rozwój języka orwellowskiego i wspomniane zmiany układów w walkach ideologicznych? Czy rasistowskie i szowinistyczne tendencje są bardziej czy mniej groźne w opakowaniu uniwersalistycznej, humanitarnej i pacyfistycznej frazeologii? Czy hasła polityczne, świadomie pomyślane tak, by podsycać nienawiść rasową i narodową, w szczególności antysemityzm, są bardziej czy mniej niebezpieczne, kiedy się tak przemieniały? Nasze pytanie można również sformułować w ogólny sposób: Czy w sumie jest gorzej, czy lepiej, kiedy nienawiść nazywa się miłością, niewolę wolnością, ucisk równością, itd.?

Odpowiedź nie jest oczywista. Z jednej strony wydawać się może, że rasizm i antysemityzm, gdy występują w pełnym świetle, jak w ruchu hitlerowskim, mają mniejszą odporność niż w przypadkach, gdy ich formy wyrazu są trudne do uchwycenia i przybranie humanistycznymi ozdobnikami. Można jednak na sprawę spojrzeć z innej strony. Większy ładunek zakłamania w formułach ideologicznych ujawnia na ogół większy szacunek dla tych uniwersalistycznych wartości i świadczy w ten sposób o rosnącym dla nich uznaniu. Jeżeli ruchy mniej lub bardziej podobne do narodowego socjalizmu nie posługują się prawie tą samą ideologią, świadczy to, że hitleryzm upadł nie tylko w sensie militarnym.

Dlatego też nie jest wcale jasne, jakie praktyczne i przydatne morały można by wyciągnąć z przerażających doświadczeń hitleryzmu w 40 lat później i jaki jest dzisiaj sens hasła „nigdy więcej”, które rozbrzmiewało w całej Europie po upadku Trzeciej Rzeszy. Mając na uwadze bujny rozkwit politycznej mitologii i pamiętając o trywialnej prawdzie, że historia nigdy się nie powtarza, sprawa rozpoznawania politycznych i ideologicznych zjawisk, kryjących niebezpieczeństwa podobne do hitleryzmu, musi być sporna. Słowo „faszyzm” stało się porzabawioną treścią inwektywy; ktoś nie bywa nazywany „faszystą” przez politycznych przeciwników! Tak więc natłoki płynące z zgliszczy

Żydów nie są bynajmniej łatwe do sformułowania, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest odwrotnie. Czy mamy się mieć na baczności przed ludźmi, którzy noszą swastyki i uprawiają kult Hitlera? Są to żalosne szczątki przeszłości. Czy mamy być czujni na antysemityzm? Ale antysemityzm w czystej formie jest zjawiskiem marginalnym, w znacznej większości wypadków antysyjonizm daje mu maskę, przyzwoitości, a przesadą byłoby uważać Ku Klux Klan za wielkie zagrożenie ludzkości. Czy może mamy zwracać uwagę na niebezpieczeństwa nacjonalizmu? Wszyscy jednakże – zależnie od naszych politycznych filiacji – mamy sympatię dla pewnych ruchów narodowych i pogardzamy innymi. Na całym świecie ideologie i partie, które określają siebie jako „lewicowe”, popierają wszystkie ruchy nacjonalistyczne, przydając im miano „postępowych”, włącznie z najbardziej skrajnymi, jeżeli w międzynarodowym układzie sił działają one przypadkiem na szkodę Stanów Zjednoczonych, zachodniej Europy czy Izraela. Z historii hitleryzmu nie możemy tedy wynieść wielu jasnych i praktycznych nauk, z wyjątkiem ogólnego uznania dla wartości demokratycznych i praw człowieka; ale do tego celu oprócz hitleryzmu mamy pod ręką aż nadto negatywnych przykładów z najnowszej historii.

Trzecia Rzesza była wybornym przykładem państwa ideologicznego, tzn. państwa rządzonego w założeniu jednym światopoglądem: jego prawdziwość zagwarantowana była wyższą mądrością tych, którzy znajdowali się w uprzywilejowanej sytuacji poznawczej. Z punktu widzenia własnej doktryny nazistowscy filozofowie mieli rację, koncentrując ataki na Kartezjuszu i tradycji sceptycznej.⁴ Chcieli bowiem zniszczyć wiarę w powszechne normy poznania i powszechny charakter prawdy. Hitleryzm miał własną, chociaż prymitywną „epistemologię”. Opierała się ona właśnie na zniesieniu powszechnych kryteriów prawdy i na przekonaniu, że niektóre warstwy ludzkości – a mianowicie najwyższa rasa i jej przywódcy – miały głębszy wgląd w rzeczywistość, którego żadne argumenty oparte na stosowanych zazwyczaj kryteriach logicznych nie były w stanie podważyć. Jest oczywiste, że roszczenia do absolutnej wiedzy, przechowywanej w lepszej części ludzkości, wiedzy odpornej na próbe powszechnych kryteriów racjonalności, stanowią receptę na despotyzm i mogą posłużyć do uzasadnienia wszystkiego, bez względu na to, czy ta uprzywilejowana część ludzkości określana jest w kategoriach rasowych, politycznych, religijnych czy klasowych. A wstrząs, jaki hitleryzm wywołał w zachodnim świecie, spowodowany był nie tyle wysunięciem

takich roszczeń – nie były one przecież niczym niezwykłym – ile tym, że zostały one z taką konsekwencją wcielone w życie w samym sercu Europy, w kraju, który ze względu na swoje techniczne, naukowe i kulturalne osiągnięcia należał do czołówki cywilizacji.

Przez całe lata historycy i pisarze zadawali sobie pytanie: jak to się stało, że ludzie tacy jak Himmler czy Eichmann wzrosli w tej samej kulturalnej atmosferze, co Tomasz Mann i Einstein? Innymi słowy, wstrząs był nie tylko wynikiem okrucieństw hitlerowskich, lecz w szczególności tym, że działy się one w tej samej cywilizacji, do której wszyscy należymy, co mogło wskazywać na jakieś zasadnicze schorzenie w samych jej podstawach. Marksisci twierdzili, że hiteryzm był naturalnym i nieuniknionym wytworem kapitalizmu, jednak argumenty ich były słabe zarówno w obliczu wyzwolenieczej siły stalinizmu jak i faktu, że demokratyczne instytucje są tak mocno i wyraźnie związane z gospodarką rynkową. Katolicy z kolei odpowiedzialnością obarczali przede wszystkim ateizm filozofii narodowego socjalizmu i utrzymywali, że zapomnienie o Bogu nie mogło inaczej się skończyć. Nie był to także mocny argument, zważywszy że pozytywna korelacja między zapalem religijnym danego społeczeństwa a panującym w nim szacunkiem dla wartości demokratycznych nie jest bynajmniej dobrze dowiedzionym faktem socjologicznym, ostrożnie mówiąc: gdyby tak było, niektóre dawne teokracje, czy współczesne tradycyjnie muzułmańskie państwa byłyby wzorami demokracji. Katolicy krytycy mieli jednak rację podkreślając, że kult narodu, państwa, czy państwa narodowego jako najwyższej i absolutnej wartości zawiera znaczny potencjał totalitarny i, jeśli konsekwentnie podtrzymywany, dostarcza uzasadnienia dla wszelkich możliwych form gwałcenia praw człowieka, z ludobójstwem włącznie jeśli trzeba.

Wielu wybitnym Niemcom – Heglowi, Fichtemu czy Lutrowi – przypisywano czasami duchowe ojcostwo NSDAP. Lucács zdawał się mniemać (w „Die Zerstörung der Vernunft”), że cała niemiecka filozofia, poczynwszy od Schellinga i z jedynym wyjątkiem marksizmu, była niejako teleologicznie kierowana impulsem torowania drogi Hitlerowi.

W rekonstrukcji takich rodowodów jest jednak coś sztucznego. Żadna podaj ideologia, a już na pewno żadna ideologia z pretensjami uniwersalnymi, nie jest obwarowana przeciw możliwości, iż będzie wykorzystana jako narzędzie ucisku i niewoli. Dotyczy to wszystkich systemów religijnych, ideałów socjalistycznych i anarchistycznych, doktryn narodowych i wszelkiego rodzaju szlachetnych utopii. Z

pewnością niektóre ideologie lepiej nadają się do tego celu, a inne gorzej: hitleryzm był pod tym względem najwyraźniej wyjątkowy; ale jeżeli sądzić rozmaite poglądy na świat jedynie wedle ich formalnej zawartości, to wydać się może, że mało które tak złe, jak chrześcijaństwo nadaje się na uzasadnienie ucisku, niemniej wykorzystywano je do tego, gdy zaszła potrzeba. Zło może opanować każdą ideologię; nawet najlepiej pomyślaną, i obrócić ją w swoje narzędzie. Z wyjątkiem cnoty, tolerancji nie istnieją właściwie wartości, które na mocy samej swej treści oprzeć się mogą użytkowi na służbie zła, a sama cnota tolerancji niejednokrotnie była przedmiotem ataku z tej racji, iż chroni zło i kłamstwo przed zniszczeniem, a więc udaremnia własne intencje. Jest to, jak wiemy, sprawa nieustającego sporu: czy tolerancja powinna rozciągać się na ludzi głoszących i praktykujących nietolerancję, w szczególności na ruchy rasistowskie i totalitarne? O strategii mającej na celu obronę wartości demokratycznych możemy myśleć tylko tak, by uczynić ją optymalną, jako że absolutna strategia, to jest taka, które nie pociąga za sobą żadnych kosztów, nie istnieje w tym przypadku, ani zresztą w żadnym innym. Tłumienie i zakazywanie nietolerancyjnych idei i ruchów w imię tolerancji mija się z celem, tak jak mija się z celem powstrzymywanie się od takich zakazów, co po prostu oznacza, że dopóki istnieją ruchy zwalczające tolerancję, dopóty samo ich istnienie uniemożliwia stan doskonałej tolerancji, co jest bodaj prawdą tautologiczną. Ustrój demokratyczny, który cieszy się znacznym poparciem i funkcjonuje na ogół skutecznie, może przetrwać, mimo iż daje swobodę wyrazu ruchom opartym na nietolerancji, choćby wybitnie odrażającym; natomiast myśl, iż należy zdusić wolność słowa, po to by zachować ją w stanie nienaruszonym, łatwo może się przerodzić w bardziej ogólną teorię, wedle której musimy ustanowić tyranie po to, by nie dopuścić do jej ustanowienia. Powiedzenie „wolności zaznamy znowu dopiero wtedy, gdy zniszczymy wrogów wolności” jest autorstwa Adolfa Hitlera.⁵

Ale tolerowanie ruchów totalitarnych w społeczeństwie demokratycznym nie oznacza nic więcej jak tylko tolerowanie ich; nie zakłada, a przynajmniej zakładać nie powinno, że instytucje państwowe mają traktować owe ruchy tak samo jak ruchy i idee pozostające w granicach zasad demokratycznych. Innymi słowy konstytucja, które ma bronić wartości demokratycznych, nie może zarządzić – bez samozaprzeczenia – zachować wobec nich obojętność, to znaczy, nie może traktować ideologii i działań nastawionych na zniszczenie wartości demokratycznych na równi z wszystkimi innymi. Łatwiej ożwiolsze

sformułować taką ogólną zasadę, niż ją w praktyce zastosować bez niebezpieczeństwa nadużyć. Niemniej jednak demokracja rezygnuje po prostu z samoobrony, kiedy jej wrogowie cieszą się takim samym szacunkiem, jak jej obrońcy. Jeśli jednak rasistowskie czy totalitarne ruchy są na tyle silne, że są w stanie zniszczyć legalną strukturę społeczeństwa demokratycznego, nie oznacza to, iż zasady demokratyczne utraciły wartość lub zabrakło im konsekwencji. Dowodzi to natomiast, że bądź demokracja okazała się niezdolna do mobilizacji środków potrzebnych do jej obrony, bądź też znaczne masy ludzi wołały w pewnych okolicznościach zrezygnować z demokratycznych zasad na rzecz innych wartości, bez względu na to, jak złudne mogły być ich oczekiwania.

Jak można zdefiniować tego rodzaju okoliczności, czyli jakie warunki stwarzają prawdopodobieństwo przejścia do totalitarnych i tyrańskich ustrojów — oto kluczowe w tym kontekście pytanie, a zarazem jeden z istotnych problemów naszego świata. Warunki te dają się łatwo opisać na podstawie istniejących doświadczeń, ale nie można ich prawdopodobnie wyrazić w ogólnej teorii mającej wartość prognostyczną, zważywszy rolę przypadku i rozmaitego niewyraźnionych ilościowo sił, które wchodzą w grę. Dlaczego już ustanowiony ład demokratyczny wali się, tego nie wyjaśnimy wciąż odwołując się do jednej z gospodarczej, kulturalnej czy politycznej przyczyny. Nie jest to sprawa samej techniki propagandowej, wbrew temu, co sądził Aldous Huxley, którego zdaniem sukcesy hitlerowców dowodzą, że przy pomocy zręcznej indoktrynacji wszystkich ludzi możemy skłonić do wiary w cokolwiek, choćby w największe absurdy. Ta ponura opinia wydaje mi się mało wiarygodna i znacznie przesadzona. Geniusz propagandowy Hitlera niewiele by zdziałał, gdyby nie wykorzystał on sytuacji, którą znaczne odłamy społeczeństwa niemieckiego odczuwały jako nieczystą, gdyby nie odwołał się do upowszechnionego poczucia krzywdy. To prawda, że dużo łatwiej przechodzi mobilizować nienawiść niż tolerancję, a mistrzostwo indoktrynacji politycznej polega na dobrym wykrzyciu jednego i łatwo rozpoznawalnego przedmiotu nienawiści, tak jak to było z Żydami w Niemczech.

Totalitaryzm jest możliwym rozwiązaniem dla społeczeństwa w stanie głębokiego kryzysu, społeczeństwa pogrążonego w rozpacz. Żadna teoria o wartościach prognostycznych nie jest w stanie ustalić, w jakim momencie dane społeczeństwo wybiera akurat takie rozwiązanie. Jest to rozwiązanie najgorsze z możliwych, nie tylko z uwagi na okropności i cierpienia, jakie niesie ze sobą, lecz również dlatego, że

w drastyczny sposób zmniejsza zakres dalszych możliwych rozwiązań i redukuje do minimum zdolność przystosowania się społeczeństwa do nowych warunków.

Szowinizm jest niejako „naturalną” choć nie absolutnie konieczną formą ideologiczną totalitaryzmu, przynajmniej dzisiaj. Najłatwiejszy sposób uzasadnienia systemu, który ludzkie jednostki przekształca we własność państwa, polega na odwołaniu się do wartości narodowych; kiedyś można było czynić mniej więcej to samo, odwołując się do chwały Bożej, ale dzisiaj ta metoda jest mniej skuteczna; uprawnienie zaś systemu totalitarnego w oparciu o ideę postępu ludzkości okazało się znacznie mniej udane. Nieustający i nieubłagany proces przekształcania się komunizmu w mnogość komunizmów narodowych, których jest tyle, co państw przez komunistów rządzonych, ukazuje związek, o którym mowa. Jest to związek dwustronny, co oznacza, że konsekwentny nacjonalizm i szowinizm mają ogromny potencjał totalitarny. Z chwilą, gdy wartości narodowe ogłasza się za najwyższe, nie można już bronić praw jednostki jeżeli kolidują one – lub gdy tylko powstaje wrażenie, że choć trochę kolidują – z ideałem silnego narodu, a kłamstwo i represje nie mają w tym ideale żadnych granic. Hitleryzm był imponującym konsekwentnym przykładem podniesienia wartości narodowych do rangi źródła i miary wszystkich innych.

Taki wniosek może się wydać trywialny, choć może jest mniej trywialny, jeżeli potraktujemy go poważnie. Nie dowiadujemy się zeń, po czyjej stronie mamy stanąć w dzisiejszych konfliktach, ale dowiadujemy się przynajmniej, jakie idee, choćby nie widzieć jak przyozdobione humanistyczną frazeologią, powinniśmy traktować z największą podejrzliwością. Historia zagłady Żydów jest równie ważna po obu stronach: cierpienia ofiar i deprawacji katów. Intensywność zła miała zapewne paralele w historii, czy w naszym stuleciu; wyjątkowy jednak był sposób jego ideologicznego uzasadniania. Ludzie, którzy odrzucają zawartość tej ideologii, nie mogą uniknąć pytania wykraczającego poza doktrynę hitlerowską: do jakiego stopnia gotowi są usprawiedliwiać zło ze względu na jakiegokolwiek wartości ideologiczne? Ci, co sądzą, że granic takich nie da się wyznaczyć, lub którzy po prostu nie godzą się na ich określenie, są – we właściwym sensie tego słowa – duchowymi spadkobiercami Hitlera.

Leszek Kołakowski

Przypisy:

- ¹ Na temat definicji por. V.N. Dadrian, „A Typology of Genocide”, *International Review of Modern Sociology*, Nr 2, 1975.
- ² „Mein Kampf”, tłum. ang., London 1939, s. 539.
- ³ „The Speeches of Adolf Hitler”, ed. N.M. Beynes, vol. I, London 1942, s. 741.
- ⁴ Por. St. Tyrowicz, „Światło wiedzy zdeprawowanej: Idee niemieckiej socjologii i filozofii 1933-1945”, Poznań 1970.
- ⁵ „The Speeches of Adolf Hitler”, vol. I, s. 48.

RES PUBLICA

KWARTALNIK WYDAWANY POZA CENZURĄ W POLSCE

PODWÓJNY NUMER 314

W nr. 3: **WIDZIANE Z WARSZAWY**: Wolność i wiara: O krakowskim papieżu — S. Kisielewski; Odnowić oblicze ziemi: Sennik apokaliptyczny; Tradycje historyczne a naśladownictwo — A. Micewski; Prawo człowieka jako „realpolitik” — J. T. Gross; **ZYGZAKIEM PRZEZ PRASĘ**; **TEMATY**: Liberalizm, komunizm a geniusz chrześcijaństwa; Brecht; artysta i polityk; **NOTY O KSIĄŻKACH**.

W nr. 4: **WIDZIANE Z WARSZAWY**: Wyrwane z dzienników — J. Czapski; Poeeci i moralność; Księżyzna jako duchowa forma życia; Z doświadczeń w przyszłość; Micewski przeciw amnezji — J. Woźniakowski; **STANOWISKA**; **PAT. ZYGZAKIEM PRZEZ PRASĘ**; **TEMATY**: **NOTY O KSIĄŻKACH**.

Cena podwójnego numeru — £3.50, \$7.50, FF/Sfr. 35.00

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:
ANEKS, 61 Dorset Road, London W5 4HX, U.K.
załączając czek lub przekazy pieniężne wystawione na Anek.

Jan Kott

GÓRA I DÓŁ albo O WIELOZNACZNOŚCIACH PROMETEUSZA

Bogowie są na górze, ludzie są w dole. Prometeusz został ukrzyżowany w górach Kaukazu, na samotnym i pustym szczycie, na jednym z dachów ziemi. Przykuty został do skały, potem strącony na dno Tartaru. Tartar grecki jak wszystkie piekła jest pod ziemią. Upadek Prometeusza był fizyczny i spektakularny, w huku grzmotów i ogniu błyskawic. Ziemia się zatrzęsła, choć teatralnym znakiem rozpętanym żywiołów było być może w teatrze greckim tylko padnięcie chórzystów plackiem na ziemię i perkusja muzyczna.

W tragedii Prometeusza u Ajschylosa uczestniczy cały kosmos:

* Jan Kott, ur. w Warszawie w 1914 r. W Warszawie skończył gimnazjum i prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Wykładał romanistykę i polonistykę najprzód na Uniwersytecie Wrocławskim (1949-1952), a potem na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1966 wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie wykładał na uniwersytetach Yale, Berkeley, a od roku 1969 Stony Brook w Nowym Yorku.

Debiutował przed wojną dwoma tomikami poezji. Po wojnie był współpracownikiem łódzkiej *Kuźnicy*, jednym z założycieli Instytutu Badań Literackich. Dwie jego ostatnie książki, które ukazały się w Polsce przez wyjazd do USA, to *Szekspir współczesny*, który doczekał się potem dwudziestu jeden przekładów i *Aloes*. Na emigracji większość swoich esejów ogłaszał w *Wiadomościach*. Tom esejów o tragedii greckiej *Jedzenie bogów*, z którego drukujemy niniejszy szkic o Prometeuszu, ukazał się w 1973 r. w wydaniu angielskim i amerykańskim pod tytułem *The Eating of the Gods*, przełożony został na francuski, niemiecki, włoski, serbo-chorwacki, grecki, hiszpański. Wydanie japońskie ukaze się w tym roku.

bogowie, ludzie i siły elementarne. Ten kosmos ma swoją strukturę wertykalną: górę, siedlisko bogów i władzy, dół — miejsce wygnania i kary. W środku jest płaski okrąg ziemi i płaski talerz orkiestry, na którym toczy się akcja. Pionowa struktura świata z górą i dołem o określonej symbolice i przeznaczeniu jest jednym z najtrwalszych i najstarszych *arche* wyobraźni i porządkowania świata.

Od podziału na dół i górę zaczyna się Genesis: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była pusta i próżna, i ciemności były nad głębokością, a Duch Boży unosił się nad wodami.” Bóg Starego Testamentu z wysokości przemawia do proroków i najchętniej wzywa ich na szczyt góry — jak afrykańskich szamanów na wierzchołek drzewa — kiedy rząda od nich ofiary albo ma im obwieścić swoją wolę. „A oto Anioł Pański z nieba zawołał mówiąc: «Abrahamie, Abrahamie!» A on odpowiedział: «Oto jestem»” (Gen.22.22). Dziesięć przykazań ogłasza Bóg Mojżeszowi Bóg na szczycie góry: „I zstąpił Pan na górę Synaj, na sam wierzch góry, i wezwał Mojżesza na wierzch jej” (Exodus, 19.20)

Tę kolumnę kosmosu, *axis mundi*, oś świata, najwyraźniej widać w widzeniu Jakuba: „I ujrzał we śnie drabinę stojącą na ziemi, a wierzch jej dosięgający nieba, i aniołów Bożych wstępujących i zstępujących po niej, a Pana wspierającego się na drabinie i mówiącego mu: «Jam jest Pan...»” (Gen.28, 12-13).

Kolejne rozdziały dramatu kosmicznego i finalnej estachologii rozgrywają się w tradycji judeo-chrześcijańskiej na tej samej pionowej osi świata — od stworzenia człowieka i strącenia w dół zbuntowanych aniołów do męki Chrystusa („...ukrzyżowan, umarł i pogrzebion. zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmarchwystał, wstąpił na niebiosa. stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych...”). Ostatni rozdział — zmarchwystanie umarłych i Sąd Ostateczny — odbędzie się także na tej samej *axis mundi*.

W kosmogoniach greckich pierwszym początkiem jest również rozdarcie pierwotnego Chaosu na górę i dół. W micie pelagijskim Wielka Matka wszystkiego rozdzieliła niebo od wód i naga unosiła się nad wodami jak Duch Boży w Genesis. W *Teogonii* Hezjoda pierwsza wyloniła się z Chaosu Matka Ziemia i zrodziła we śnie Niebo, które ją pokryło w pierwszej z kosmicznych kopulacji.

Genesis — grecka i biblijna — ma ten sam charakter strukturalnych operacji. Stworzenie świata było uporządkowaniem nierozdzielonego na podstawowe opozycje binarne: jasność i ciemność, gorące i zimne, mokre i suche, płynne i stałe. Ale najbardziej podstawową z

tych opozycji binarnych i początkiem symbolicznego systemu znaków jest przeciwstawienie góry i dołu: „I uczynił Bóg sklepienie, i prze-
dzielił wody, które były pod sklepieniem, od tych, które były nad
sklepieniem. I stało się tak. I nazwał Bóg sklepienie Niebem”
(Gen. 1, 7-8).

Os wertykalna jest topo-kośmosem, symboliczną strukturą przes-
trzeni. Wyznacza miejsce kary i nagrody. I na tej osi odbywa się
mediacja między górą i dołem. I walka dołu z górą. Przeciwnieństwa
góry i dołu przeszły z kosmologii i metafizyki do języka socjologii i
polityki („wyższe sfery” i „warstwy niższe”, góry partyjne” i „pod-
ziemie” gospodarcze albo polityczne), do estetyki, psychologii i
psychoanalizy („nad-ja” i podświadomość). Upadek ma dwa znacze-
nia, dosłowne i symboliczne, oba występują zarówno w upadku pysz-
nych aniołów jak i w *Upadku* Camusa. Sprawiedliwość społeczna
przybiera często obraz spacji, z r ó w n a n i a i nie przypadkiem
wysłańceni na Biblii purytanie za czasów Cromwella, którzy rów-
ność ludzi chcieli wprowadzić szybko i gruntownie, nazwali się „ni-
welatorami”.

Prometeusz zostaje ukrzyżowany przez wysłanników bogów przy-
chodzących z góry za nadmierną miłość do ludzi, którzy są w dole.
Zeus jest niewidoczny, ale do niego skierowane są skargi i groźby
Prometeusza. Do niego i do ludzi, którzy są widzami tragedii o
Prometeuszu. Bóg i ludzie są stronami dramatycznego przewodu.
Prometeusz jest w dramacie oskarżonym, ale oskarżony zmienia się w
oskarżyciela, odwrotnie niż w *Edypie* Sofoklesa, gdzie oskarżyciel
staje się oskarżonym. Na górze rozgrywa się dramat polityczny i
zmieniają się tyrani. Na dole ludzie wyszli ze swej pierwotnej zwie-
rzęcej kondycji. Zmieniają się ludzie i bogowie; cały kosmos porusza
się w czasie, ale dalej zachowuje swoją pionową strukturę z Olimpem,
Tartarem i płaskim okręgiem ziemi jak teatralna orkiestra po środku.
Topo-kosmos porusza się w czasie, ale ten biegnie z różną szybkością,
jest jak gdyby innym csem dla bogów i dla ludzi. Bogowie są
nieśmiertelni, ludzie są śmiertelni, *brotol*, ci którzy umierają tylko raz.
Wysłańnicy bogów nazywają ich „efemerydami”. Dla efemerydy,
łatki jednodniowej, doba jest c a ł y m czasem.

2

Przedstawienie zaczyna się o świcie i widzowie dobrze jeszcze musieli
drzeć z zimna na kamiennych lawach, kiedy Hefajstos w pierwszy

epizodzie zapowiadał Prometeuszowi, że każdej nocy przez dziesięć tysięcy lat będzie czekał, aż ranne słońce stopi szron na jego ciele. Odegranie tragedii o *Prometeuszu skutym*, od jego ukrzyżowania na skałach Kaukazu do strącenia w przepaść, trwało zapewne niewiele dłużej od godziny. Te dwa czasy terazniejsze: dziesięć tysięcy lat męki Prometeusza i godzina czasu widząc są dla Prometeusza i dla widzów — zawarte między przeszłością i przyszłością. W planie boskim przeszłość zaczyna się od rozdarcia kosmosu na górę i dół. W planie ludzkim — przeszłość jest antropologią i historią.

Widziałem jak skończyli dwaj tyranie. Rządzi teraz trzeci.

Chcę dożyć jego upadku...

Czas terazniejszy w *Prometeuszu skutym* jest początkiem panowania Zeusa. Dwaj poprzedni tyranie to Uranos i Kronos. Kronos skastrował i wtrącił do Tartaru swego boskiego ojca, potem sam został strącony do Tartaru przez swego syna. Teogonie Hezjoda i Ajschylosa podobne są do elzbietańskiej tragedii królewskiej. Northrop Frye nazywa ją tragedią upadku władcy albo tragedią ładu. Ma ona trzech aktorów: Króla Ojca. Uzurpatora, który go zabija i osiada na tronie, i Mściciela, który wypelnia funkcję Nemezis i przywraca ład utracony.

Analogie są jednak pozorne. W teogonii Ajschylosa nie istnieje pojęcie pierwotnego ładu i niezmiennego porządku natury, której obrazem w średniowieczu i jeszcze długo potem w renesansie był nieruchomy firmament niebieski i jego uosobienie na ziemi — król-pomazaniec. U Ajschylosa tygiel zmienia się jednocześnie z tym, co się w nim gotuje. Teogonia jest kosmogonią. Kosmos nie jest jeszcze zastępy, nie jest gotowy: elementy i siły natury są potomstwem pierwszych bogów i biorą udział w ich zmaganiach.

W hōskiej genealogii Prometeusz jest synem Gei i jednym z tytanów. Od Matki-Ziemi, która była na początku i wie wszystko, otrzymał dar przewidywania przyszłości. W walce Zeusa o panowanie stanął początkowo po stronie dawnych władców. Ale matka powiedziała mu, że minął czas, w którym zwyciężała fizyczna siła, przyszłość należy do tych, którzy nauczą się podstępów i chytrłości. Teogonia Ajschylosa jest gorzką i realistyczną historiozofią. Kosmos się doskonali poprzez zmiany władców, i coraz doskonalsza jest tyrania. Kronos jest za głupi, żeby pojąć rady Prometeusza. Zeus zrozumiał „historyczną konieczność” i Prometeusz „dopomógł mu w ustanowieniu tyranii” (305). Nowa tyrania była doskonalsza niż poprzednie. Zaczyna się od uwłócenia tych, którzy dopomogli do jej ustanowienia. Władza i Przemoc, wysłannicy Olimpu, ironicznie i skłonny do

dygresji filozoficznych oficer boskiego Bezpieczeństwa i milczący oprawca, pilnują fachowca, mistrza kowalskiego. Hefajstosa, żeby dobrze wykonał swoją robotę — przykucia Prometeusza do dwóch skalnych bloków.

Jeżeli nie pasuje tutaj model tragedii „utraconego i przywróconego ładu”, być może da się zastosować jego przeciwieństwo, które Frye nazywa „tragedią rozkładu albo społeczności chorej”. Obsada ról głównych jest ta sama, ale występują w innych funkcjach. Król-Ojciec jest Ojcem-tyranem. W Prometeuszu dwa najczęstsze określenia Zcusa to „Ojciec” i „tyran”. Nie ma w tym modelu tragedii ani jednej postaci — pisze Frye w swoim znakomitym studium o szekspirowskiej tragedii, *Fools of Time* (1967) — która by reprezentowała „ład i porządek moralny: władca jest równie podły jak wszyscy naokoło, i jedynym działaniem, jakie wzbudza w nas sympatię, jest zemsta. W społeczeństwie, które jest złe, okrutne, chore i tlamszące, bohater zostanie zdruzgotany, głównie dlatego, że jest bohaterem. W tragedii ładu akcja koncentruje się wokół buntownika, któremu przypadł zbyt wysoki los na jego miarę. W tragediach chorego społeczeństwa bohater pada ofiarą systemu i wydaje się, że zasługiwał na lepszy los.” Buntownik jest jednocześnie ofiarą, ginie, żeby ustąpić miejsca mścicielowi, który jest wykonawcą przeznaczenia. Ale przeznaczenia jest szydercze: „Nemezis rozkładu” — jak je nazywa Frye.

„Czysta” struktura tragedii ładu i rozkładu jest w istocie ta sama, zastosowanie jednego lub drugiego schematu, nawet do Szekspirowskich dramatów królewskich, wydaje się zależeć jedynie od interpretacji. Albo od własnych doświadczeń interpretatora. Żeby zostać królem, trzeba zabić króla albo przynajmniej innych pretendentów do tronu. Ale zabić władcę albo pretendentów do sukcesji, znaczy z kolei — w porządku Wielkiego Mechanizmu — zostać zabitym przez ich synów i nowych pretendentów do absolutnej władzy. Renesansowe koło fortuny obraca wojny domowa. Współcześnie — organy bezpieczeństwa i gwardia pałacowa. Jeżeli tę karuzelę władców porusza natura, to jest tylko natura władzy i przemocy.

Czasem zastosowanie modelu tragedii „ładu” albo „rozkładu” zależy od wyboru początku i „historii”. *Hamlet* jest tragedią ładu, jeżeli za początek dramatu przyjąć otrucie króla Hamleta przez jego brata Klaudiusza. Stary Hamlet będzie wtedy figurą Króla-Ojca, Klaudiusz — uzurpatorem, książę Hamlet („bicz niebios”) — narzędziem przeznaczenia. Ale jeżeli pierwszym ogniwem w łańcuchu wydarzeń jest zabójstwo w pojedynku starego Fortynbrasa przez

starego Hamleta. pierwotny ład nigdy nie istniał. Hamlet jest buntownikiem i ofiarą, młody Fortynbras figurą przeznaczenia. Dla Ofelii i Laertes Hamlet jest zabójcą ojca, dla Fortynbrasa — synem zabójcy Ojca. Fortynbras-Nemezis przychodzi po trupach (pięć trupów poprzedza scenę śmiertelnej szermierki, jeden — Poloniusz — pada bezpośrednio z ręki Hamleta, za trzy inne — Ofelia i dwaj głupi szpicle — Rosenkrantz i Guildenstern — Hamlet jest odpowiedzialny; i jeszcze są trzy trupy na scenie, kiedy wchodzi w epilogu Fortynbras). O Fortynbrasie, poza to, że miał „mocną rękę” i że lubił wojaczkę, nic właściwie nie wiemy. Nemezis jest dwuznaczna i szydercza.

U Ajschylosa Zeus jest Ojcem i Tyranem, Prometeusz — buntownikiem i ofiarą; figurą przeznaczenia — nie narodzony dotąd Syn. Przyszłość jest zapowiedziana, ale zapowiedzi są dwie i ze sobą sprzeczne. Mowa jest o dwóch, a nie o jednym z nie narodzonych dotąd synów Zeusa. „Ten, który wyzwoli cię z męki, dotąd się nie narodził” — mówi Hefajstos przykuwając Prometeusza do skały na początku tragedii. Syn-wybawca odnowi zerwane przymierze między Prometeuszem i Zeusem. Tyran stanie się znowu Ojcem: „przyjaźń nas złączy i przymierze, spieszyć będzie ku zgodzie z równą mojej niecierpliwością”. Przyjście syna-wybawcy zakończy epokę terroru.

Pierwsza przepowiednia zapowiada rozwiązanie konfliktu, druga — o synu mścicielu — powtórzenie cyklu, który zaczął się od strącenia Uranosa przez jego syna Kronosa. Zeusowi z nowego związku narodzi się z kolei „syn silniejszy od ojca”. Koło władzy raz jeszcze się obróci. Zeus zostanie strącony do Tartaru przez własnego syna jak jego ojciec i-ojciec ojca. Tyran pozna różnicę między samowolą i niewolą:

Koryfeusz

Chcesz zniszczenia Boga i podajesz to jako proroctwo.

Prometeusz

Mówię, co będzie i czego pragnę.

Koryfeusz

Mamy się więc spodziewać, że Zeus będzie miał nad sobą pana?

Prometeusz

Tak. I męka jego będzie jeszcze cięższa od mojej. (928-31)

Przyszłość kosmosu jest ciągle nie rozstrzygnięta. Upadek jest jed-

nym z dwóch rozwiązań, jedną z dwóch możliwości. Akcją dramatyczną jest odmowa przez Prometeusza wydania Zeusowi tajemnicy przyszłości przez wymienienie imienia kobiety, która urodzi Syna-mściciela. Kosmogonia Ajschylosa jest dramatyczna teatralnie i filozoficznie. Zeus jest wszechwładny, Prometeusz zna przyszłość. Od storturowanego więźnia zależy przyszłość tyrana. Ta opozycja wprawia kosmos w ruch. Przemoc ograniczona jest przez niewiedzę, wiedza o przyszłości — przez bezsilę. Kosmogonia Ajschylosa jest historiozofią. Ale kto jest wolny? Wolny jest tylko ten, kto nie ma nad sobą pana — mówi Władza, oficer policji o wysokiej randze, który asystuje przy torturze Prometeusza: „Nie ma kariery w aparacie, poza pozycją króla bogów, bo tylko on jest wolny”. (49 i nast.) Ale Zeus nie ma wadzy nad przyszłością. Konieczność jest silniejsza od najsilniejszego. Wie o tym Prometeusz: „Próżno walczyć z tym co konieczne. Konieczności nie nie pokona” (103). Konieczność jest silniejsza od tego, co hunt poskramia i od tego, kto się huntuje. „*Technè* jest słabsza od konieczności” (513). *Technè* jest sztuką i techniką, inteligencją i praktyką, odciskiem umysłu na materii, a więc zmienianiem świata, który opiera się zmianom; od zmieniającego i materii zmieniającej. Czym jest więc ta Ajschylosa „konieczność”?

Koryfeusz

A więc kto steruje koniecznością?

Prometeusz

Trzy Mojry i Erynie, które nie wybaczą nigdy.

Koryfeusz

Czyż Zeus jest od nich słabszy?

Prometeusz

Tak. On także nie może ująć swemu przeznaczeniu.

(515-18)

Trzy Mojry i Furie-Erynie wydają się tutaj czymś więcej niż tradycyjną figurą mitologii. W rozdartym na dół i górę Ajschylo wskazywał kosmosie, który jest w nieustannym ruchu, nawet przeznaczenie jest antytetyczne. Mojry snują nic czasu, Furie są pamięcią nieubłaganą i bez litości. W topo-kosmosie archaicznym Mojry umieszczane były na samym szczycie budowli niebieskiej, Furie były bóstwami podziemia. Zrodziły się — jak podaje Hezjod w *Teogonii* — z krwi albo spermy Uranosa, kiedy Kronos skastrował swego ojca i zrzucił w dół jego genitalia. Zapłodniły one Ziemię. Była to pierwsza pośmiertna inseminacja.

Mojry i Furie-Erynie wydają się uosabiać dwie różne „konieczności”. Furie były bóstwami zemsty za przelaną krew matki i każdego z jej rodu. Za krew odpłatą była krew. Wędetta nie miała końca. Za mścicielem szły Furie po śladach krwi, do nowej odpłaty. Ale Mojry nie były skrepowane ani pamięcią, ani obowiązkiem zemsty. Były koniecznością wolną od powtarzania przeszłości. „Czas starzejąc się — mówi Prometeusz — uczy wszystkiego” (981). Wydaje się jakby Mojry i Furie wyobrażały dwa różne pojęcia czasu: historycznego, który biegnie naprzód jakby po linii prostej, i czasu mitycznego, który zatacza krąg i powraca. W *Prometeuszu* Ajschylosa, w którym kosmogonia staje się historią, mamy oba czasy.

W tej kosmogonii/historii przeznaczenie jest jak gdyby wmontowane w mechanizm, ruch wynika z rozdarcia kosmosu na górę i dół. Konieczność nie jest p o n a d Zeusem i Prometeuszem, ale jakby mógł powiedzieć Hegel — jest w ich przeciwieństwie. Paradoksem tej „konieczności” jest to, że jej agentem jest świadomość. Świadomość konieczności zmienia „konieczność”. Wybór „konieczności” zależy od Prometeusza. Ale ten wybór jest wyborem tragicznym.

Czas ziemski i czas boski są innym czasem i biegną z inną szybkością. Ale kiedy bóg łączy się u uścisku z kobietą i poczyną z nią syna, oba czasy podjeżdżają na siebie jak dwa płany, które zlewają się na ekranie telewizora. Syn-wybawca narodzi się z nowego związku Zeusa z kobietą z potomstwa Iō w trzynastym pokoleniu. Trzyście pokoleń odmierzonych jest w czasie ludzkim. Ale zanim narodzi się ten syn — czas boski i czas ludzki raz jeszcze się ze sobą skrzyżują.

Prometeusz opowiada Oceanowi o okrutnej zamście Zeusa nad pokonanymi Tytanami. Olbrzym Tyfon o stu twarzach, z których wyrzucił ogień ikamienie, przwalony został zwalami Etny. Niepokromiony Tyfon raz jeszcze się zbuntuje i z wściekłości na Zeusa wymiotuje potokami lawy. Komentatorzy opowieść o Tyfonie osądzali na ogół jako niepotrzebny popis wirtuozerii poetyckiej i wtęret mitologiczny. Wydaje się jednak, że Ajschylos rozmyślnie chciał zmieszać czas bogów i ludzi. Słynny wybuch Etny nastąpił w roku 479, w rok po bitwie pod Salaminą i na niewiele więcej niż dwadzieścia lat przed najbardziej prawdopodobnym datą wystawienia *Prometei*. Czas mityczny przybliżył Ajschylosa do czasu teraźniejszego widzów.

Trylogia o Prometeuszu kończyła się zapewne jak *Oresteia* u progu historii Aten. W *Eumenidach* wszystkie sprzeczności zostały rozwiązane, między bóstwami nieba i podziemia, więzią rodową i polis. *Oresteia* kończy się powołaniem Arcopagu, który sędzi winnych i

morderstwo. Ale w *Emenidach*, jej części ostatniej niewiele zostaje z dramatu charakterów, dyskutują ze sobą ukostiumowane idee. Dlatego tak zachwycała ona Hegla. Trylogia o Prometeuszu kończyła się zapewne również „historycznym kompromisem”, pojednaniem antagonistów i ustanowieniem w Atenach kultu Prometeusza i Heraklesa. Z drugiej i ostatniej części zostały tylko szczątki. Ajschylos przekazywał mity i je tworzył. Ale historia mitów nie jest mityczna. W tradycji literackiej i świadomości kulturalnej Prometeusz pozostał skutą: storturowany buntownik do końca nie został złamany. Czas teraźniejszy kaźni Prometeusza jest ciągle naszym czasem, czasem widzów. Przyszłość jest dalej dwurożna jak księżyc turecki. Na górze trwa dalekoczas nieograniczonego terroru, na dole „umiejętności są słabsze od konieczności”.

3

Na żadnym z pięter Ajschyłowskiego topo-kosmosu i w żadnym z jego czasów nie istnieje Raj Utracony. Prometeusz powodowany był przede wszystkim litością nad mizериą gatunku ludzkiego, który porównuje do robaków pełzających w rozpadlinach ziemi. Zeus, kiedy objął władzę, nic nie zrobił dla ludzi i zamyslał nawet ich wygubić albo zastąpić nowym rodzajem. Wtedy właśnie Prometeusz wykradł bogom ogień i przeniósł go w wydrażonej lodydze kopru. Inaczej by sobie poparzył ręce. Na wyspach greckich jeszcze do niedawna przenoszono żarzący się popiół w wielkich lodygach kopru.

W tej surowej antropologii postępu wyjście ze stanu natury zaczyna się od racjonalnego myślenia.

Byli dziećmi

zanim

Dałem im dar inteligencji

I nauczyłem panować nad myślami.

Nie mówię tego

przeciw rodzajowi ludzkiemu.

Chcę tylko pokazać

jak cudowne były moje dary.

Mężczyźni i kobiety patrzyli,

nie widzieli.

Słuchali.

nie słyszeli.

Jak w majakach snu
Wszystko w ich krótkim życiu
Było pomieszane. (447 i nast.)

Początkiem jest odróżnienie „ja” od „nie-ja”, „we mnie” i „poza
mną”, odkrycie kodu słuchowego i wzrokowego. Tym pierwszym
kodem są gwiazdy; topo-kosmos w ruchu cyklicznym, księżyc i słońce
— czas powracający.

Znaku pewnego nie mieli
dla zimy, wiosny w kwiatach
I lata, kiedy dojrzewają plony.
Praca ich była bez myśli.
Aż nauczyłem ich obserwować
gwiazdy.

Jak wschodzą i zachodzą.

Ale najbardziej zdumiewający jest dopiero następny stopień edu-
kacji człowieka. Prometeusz nauczył ludzi znaku dla głoski i liczby.
Tekst przy całej swej zwyczajności nie budzi wątpliwości. Ajschylofski
Prometeusz jest odkrywcą nie liczenia i pisania, ale systemu nume-
rowego i alfabetu symbolicznego:

Co więcej odkryłem im LICZBĘ:

Wymyślił nad wszystkie wymysły.

I układanie cierpliwe LITER.

jedna za drugą.

Aby były pamięcią.

matką Muzy

I służebną. (459 i nast.)

Zadziwiającą jest tu świadomość instrumentalnej, operatywnej
funkcji cyfr i liter. *Sophismata* — „wymysły” — to sposoby i narzę-
dzia, *grammaton de syntheseis* jest kombinatoryką, układaniem słów z
liter, alfabetem fonetycznym, systemem znaków. Prometeusz wymy-
ślił znak symboliczny, a więc umiał odróżnić znaczące od znaczonego.
System numerowy i alfabet fonetyczny są *mnemen hapanton*, „pa-
mięcią wszystkich rzeczy”, a więc pozwalają powtórzyć i uporząd-
kować intelektualnie świat.

Wykład Prometeusza o początkach cywilizacji wydaje się wpro-
szyć poprzedzić ogłoszony o przeszło dwadzieścia dwa stulecia później
dyskurs Jara Jakuba Rousseau *O początkach i podstawach nierów-
ności między ludźmi* (1754), który Lévi-Strauss nazwał „pierwszym
serio antropologicznym traktatem w literaturze francuskiej”. Dla
Ajschylosa jak dla Rousseau przejściem od natury do kultury, od

stanu pełzających mrówek do ludzkiej kondycji, są narodziny intelektu. „Stan rozumowania” — to myślenie nie metaforami, ale relacjami. „Relacje — pisze Rousseau — które wyrażamy słowami: wielki i mały, silny i słaby, szybki i powolny, odważny i tchórzliwy, i podobne im idee, które porównujemy, kiedy nadarzy się potrzeba i niemal nie zdając sobie sprawy, wyprodukowały u człowieka rodzaj refleksji, albo raczej automatyczną ostrożność konieczną dla jego bezpieczeństwa.” Język poprzedza *praxis*, albo raczej praktyka rodzi się z operowania symbolicznym znakiem i klasyfikacją przez opozycje.

W tej „antropologii strukturalnej” Ajschylosa wynalezienie systemu liczb naturalnych i alfabetu wyprzedza hodowlę i tresurę zwierząt jucznych. Wóz poprzedzony musiał być wynalazkiem koła, żegluga była niemożliwa bez analizy ruchu i relacji pomiędzy pozycją gwiazd i czasem. Elementy astronomii i geometrii musiały być znane zanim wynaleziono wóz i łódź.

W następnym rozdziale historii cywilizacji medycyna połączona jest ze sztuką wróżenia. Prometeusz nauczył ludzi przyrządzania leków, które uśmierzają choroby, przez mieszanie ze sobą wywarów z ziół i „przewidywania” przyszłości z wnętrzości zabijanych zwierząt albo lotu ptaków. „Pokazałem im sens lotu ptaków o zakrzywionych dziobach; kiedy są znakiem pomyślnym, a kiedy złowrocznym; jakie są ich obyczaje, każdego z ich gatunku, co lubią, czego się boją i z kim się stowarzyszają na tej samej gałęzi...” Wróżby związane są z ofiarami bogom i z podziałem na czyste i nieczyste; są wiedzą praktyczną opartą na doświadczeniu i są jednocześnie pierwszą systematyką. Są przyrodoznawstwem. Prometeusz, którego imię znaczy „patrzący wprzód”, uczył ludzi przewidywania. Znachorstwo i wróżbiarstwo były sztuką trafnej prognozy, dokładnie w sensie prognozy meteorologicznej.

Historię materialnego postępu kończy odkrycie technologii metali, obróbki miedzi, żelaza, srebra i złota. „Wszystkie uniejętności śmiertelnych pochodzą od Prometeusza. Ale początkiem kultury był „wielki nauczyciel” — ogień.

„I usunął go Pan Bóg z raju rozkoszy, żeby uprawiał ziemię, z której został wzięty; i wygnął Adama, a przed rajem rozkoszy postawił cherubów i miecz płomienisty i obrotny w celu strzeżenia drogi do drzewa żywota” (Gen. 3, 23-24). Wygnanie z raju jest odebraniem ognia. Od odebrania ludziom ognia przez Zeusa zaczyna się w *Pracach i dniach* Hezjoda trudy człowieka, który odtąd we własnym pocie musi uprawiać ziemię. Od daru ognia zaczynają się wynalazki i

postęp cywilizacji w *Prometeuszu* Ajschylosa.

Mity — pisał Lévi-Strauss — nawet jeśli sobie pozornie zaprzeczają, tłumaczą się i uzupełniają nawzajem; są tym samym doświadczeniem opowiedzianym na różne sposoby, tą samą operacją intelektualną przekazaną na różnych piętrach świadomości. W Bibili i u Hezjoda Raj jest utracony na zawsze. U Ajschylosa w robaczej prehistorii człowieka nigdy nie było Raju. Oba mity o darze ognia i o jego odebraniu mówią o końcu stanu natury i początku kultury.

Antropologia odróżnia cywilizacje „zimne” i „gorące”. „Zimne” cywilizacje nie mają historii albo, jak pisze Lévi-Strauss, są „historią bez historii”, opierają się przemianom i żyją w czasie cyklicznym, którego miarami i obrazem jest następstwo nocy i dnia, faz księżyca, zimy i lata. Konstelacja Plejad u Hezjoda, podobnie jak w mitach Indian południowo-amerykańskich, zapowiada czas suszy. Cywilizacje „gorące” są antagonistyczne, podzielone na rządzących i rządzonych; wydarzenia w nich są nieodwracalne i niepowtarzalne; czas jest jednokierunkowy, „który akumuluje zdobycze i wynalazki dla stworzenia wielkich cywilizacji”.

Mity operują na wertykalnej osi topo-kosmosu, są cykliczną mediacją między górą i dołem, niebem i ziemią. Topo-kosmos Ajschylosa ma swoją górę i dół, ale góra i dół porusza się już w jednokierunkowym czasie. Pierwotny mit o boskim zwodzicielu, złodzieju i dawcy ognia funkcjonuje dalej na pionowej osi topo-kosmosu, ale jednocześnie spełnia nową funkcję i zanurzony jest w „gorącej” historii. Mit genetyczny Ajschylosa jest historią ludzkości z d o m a rozwiązaniem przetrzucanym w przyszłość: pierwszym jest teofania i pogodzenie góry i dołu; drugim — rozdarcie nieodwracalne i ostateczne. *Prometeusz skuty* Ajschylosa jest jeszcze mitem, ale już jest tragedią.

„Funkcją bogów w greckiej tragedii — pisze Northrop Frye — jest pilnowanie, aby nie zostało naruszone to, co moglibyśmy nazwać pierwotną umową między człowiekiem i naturą. Bogowie wobec ludzkiej społeczności są tym, czym w ludzkiej społeczności jest arystokracja wojowników do pracujących.” Na górze są bogowie, w dole są ludzie. Ale jednocześnie w topo-kosmosie Ajschylosa góra jest porządkiem władzy, dół — porządkiem cywilizacji. Na górze Synowie stracają z tronu Ojców i kolejno zmieniają się coraz nowi tyrani. W dole wynalazki następują po wynalazkach i postępy *techné* i sztuk są ciągłe i nie do powstrzymania. Jest to spojrzenie trzeźwe i realistyczne; rozwój ludzkich umiejętności jest kumulatywny, wielokierun-

kowy i ewolucyjny; natura władzy wydaje się niezmienna i każda władza zawiera w sobie niebezpieczeństwo tyrani. Postęp istnieje na dole. Postęp na górze jest i może być tylko erozją władzy; góry bronią się przed erozją.

W historii cywilizacji opowiedzianej przez Prometeusza specjalny nacisk pada na „obrotność umysłu”: którą uznawano powszechnie za własność Ateńczyków. Inteligencja, zdolność rozróżniania i przewidywania, uważana była przez filozofów greckich za cechę odróżniającą ludzi od zwierząt. Być może Arystoteles miał w pamięci Prometeusza, kiedy proponował jako definicję człowieka — „istotę, która umie liczyć”. Prometeusz Ajschylosa ma zjadliwość i przewrotność intelektualną nowego pokolenia filozofów i nic dziwnego, że pod koniec sztuki Hermes wymyśla mu od „sofistów”: „Ty, chytry mędrku, zmijno kłusząc, porwałś się na nieśmiertelnych” (944-6).

Pamięć o przeszłych tyraniach musiała być jeszcze świeższa niż za czasów Eurypidesa i lęk przed nawrotem tyranii nigdy nie opuszczał Aten. Sam Ajschylos znał zresztą tyranię z własnego doświadczenia: na dworze sycylijskiego tyrana, w Syrakuzach, spędził piętnaście lat. „Każdy władca jest twardy — mówi Hefajstos, który wiele doświadczył — kiedy się świeżo dorwał do rządzenia” (35). Ajschylos wierzył, że czas stepia twardość tyrana; nasze doświadczenia są bardziej ponure; znaliśmy tyranów, którzy na starość stali się jeszcze bardziej podejrzliwi i krwiożerczy. Ale Zeus jest okrutny i podejrzliwy od pierwszej chwili, kiedy stracił Ojca w otchłań i zagarnął jego tron. Przewidział rady, które Machiavelli udzielił Księżciu w blisko dwadzieścia wieków później. Naprzód wygubił wrogów, potem zabrał się do przyjaciół, którzy pomogli mu w walce o władzę. „Zakorzenione jest głęboko w samej naturze tyranii, że nie może zaufać przyjaźni” (224).

Tyran stoi ponad prawem i ponad uświęconym zwyczajem. Zeus rządzi przy pomocy wydawanych *ad hoc* dekretów. „aby dać poznać dawnym bogom, że w jego pysznym cesarstwie kaprys jest jedyną ustawą” (403). Na dworze tyrana, w „jego podniebnej fortecy”, wszyscy spokrewnieni są ze sobą albo spowinowaceni, związki są na pół rodowe, na pół feudalne: Król-Ojciec, synowie i bękarcy władcy, wicelcy książęta. Ocean jest teściem Prometeusza, Hefajstos — jego kuzynem. „Związki krwi — tłumaczysz przed oficerem olimpijskiej policji ze swojej litości dla Prometeusza — i pobratymstwo nie pozwalają mi go nienawidzić” (39). Ale przykuwa go do skały. Kat i ofiara jak w w piętnastowiecznej historii Anglii i dziewiętnasto-

wiecznej historii Rosji są z tego samego rodu, Prometeusz w tym historycznym odczytaniu jest zbuntowanym przedstawicielem starej arystokracji greckich *polis*, która opierała się tyranom i pierwsza padała ich ofiarą.

Silą Ajkschylosa jest nieporównana konkretność w przedstawieniu tyranii. Na tej opuszczonej i wystawionej na wichry skale Kaukazu atmosfera jest duszna jak w lochu. I nie dziwię się Jonathanowi Millerowi, że kiedy w Szkole Teatralnej w Yale wystawiał *Prometeusza skutego*, w adaptacji Roberta Lowella, umieścił akcję w głębokim jak studnia podwórću renesansowego palacu. Mury zamykały scenę z zawieszonym wysoko portykiem z posągami bogów. W tym królestwie terroru strach paraliżuje wszystkich prócz Prometeusza i Chóru, rozkłada związki krwi i przyjaźni: młodzi książęta jak Hermes są chłopcami na posyłki, starzy — jak Ocean — dawno zrezygnowali z wszelkiego oporu. Wmawiają w siebie, że stracili godność, bo zachowali rozum. W rzeczywistości stracili i rozum, i godność. Jak skompromitowani politycy wierzą w kompromis. Ale kompromis jest tylko jeden: uratowanie głowy za cenę ślepego posłuszeństwa władcy.

Ale władcy nie wystarczy słuchać, władcy trzeba kochać, nawet kiedy cię zgnoil. Oficer ze specjalnego wydziału bezpieczeństwa wyjaśnia to bardzo rzeczowo: Prometeusz musi „skruszeć i wtedy pokocha panowanie Zeusa”. I nie wystarczy karać nieprzyjaciół władcy, trzeba jeszcze nienawidzić tych, których władca nienawidzi. Tym razem jest lekcja dla Hefajstosa: „Czyż nie budzi w tobie obrzydzenia bóg wykłęty przez bogów?” (36). I jeszcze raz po chwili: „Jakże można być głuchym na słowo Ojca” (40). Policjanci najchętniej nazywają tyrana Ojcem.

Na górze kolejno przejmują władzę coraz to nowi tyrani i trwa nieprzerwanie „czas terroru”. Na dole mrówki nauczyły się pracować, pisać i rachować, budują osiedla, puszczają na morze okręty i wytapiają metale. W tej surowej antropologii polityka i *techné*, historia władzy i historia kultury materialnej należą do dwóch różnych porządków. Postęp umiętności jest nieodwracalny, ale prze-noc jest niezmienna. Mit jest mediacją między niebem i ziemią. W *Prometeuszu skutym* mediacja ta nie nastąpi.

U Ajkschylosa dar ognia ludzie zawdzięczają Prometeuszowi. W pierwszym chorze *Antygony* Sofoklesa, który często nazywaliśmy jest

„Hymnem do człowieka”, ludzie sami nauczyli się wszystkiego. „Mowa i myśl szybsza od wiatru, i dar ładu, z którego zrodziło się miasto, wszystko to człowiek sam siebie nauczył” (353 i nast.). Bogowie nie są nawet wspomniani poza Ziemią, matką wszystkich i wszystkiego. „niezniszczalną i niewyczerpaną w zasobach”. Ale tę Ziemię, „najstarszą z bogów, rok po roku, pługiem zaprzężonym w konie człowiek beztłóśnie orze”.

Teogoniom⁴ Hezjoda i Ajschylosa wielokrotnie przeciwstawiają laickość apologii człowieka u Sofoklesa. Człowiek jest tu sam; bogów nie ma i sam sobie wszystko zawdzięcza. „Na najszybsze ptaki zastawia sidła, poluje na dzikie bestie, płony słonego morza zagarnia w uplecione przez siebie sieci, człowiek o hardym umyśle.” Ale nie laickość wydaje się tu najważniejsza. W tej pieśni chóru przed przyprowadzeniem Antygony przez Strażnika, a po rzuceniu przez nią garści ziemi na ciało nagiego brata, pochwała ludzkiej wielkości połączona jest z przerażeniem.

„Wiele jest cudów i grozy na świecie, cudem największym i największą grozą jest człowiek” (332 i nast.) *Deina* — to „cud” i „dziwo”. Człowiek jest *te deinètaton*; najdziwniejszy, inny i obcy we wszechświecie. Najsilniejszy i najprzemysłniejszy ze wszystkich stworzeń obcy jest naturze, którą ujarzmił, obcy potrafi być nawet *poiesis* które zbudował, obcy jest nawet samemu sobie: *hyllipolis* i *apolis* — „pierwszy obywatel” i „wyzuty z obywatelstwa”; ojczyzna jest mu obczyzną. Nie ma granic jego zaborność, potrafi nawet zmieniać przyszłość, „tylko na własną śmierć nie znalazł leku”. Martin Heidegger chyba pierwszy odczytał grozę. *Angst* ludzkiej egzystencji, w tej wypowiedzi chóru i tak ją przełożył: „Zawsze w drodze, niedoświadczony i nie znający rozwiązań, podąża do nicości. Na jedyną nieuniknioną, śmierć, nie znalazł wybiegu, choć na wszystkie inne bolesti znalazł lekarstwo.” (*Wstęp do metafizyki*).

Jakżeż już blisko do monologu Hamleta:

Jakimże dziełem jest człowiek! Jak szlachetnie rozumującym! O jak nieskończonych możliwościach! W kształcie i ruchach jak doskonale zgodny ze swym przeznaczeniem i zachwycający! Jak anielski w postępach swych! Pojmowaniem jak podobny Bogu! Jest on urodą świata i najdoskonalszym wzorcem dla wszystkich zwierząt! A jednak, dla mnie, czym jest ów proch najczystszy? Człowiek nie raduje mnie...

(w przekładzie Macieja Słomczyńskiego: II, II, 307-308)

Jeżeli świadomość jest „dziurą w bycie”, w Sofoklesowskim teatrze okrucieństwa ta „dziura” niszczy byt i samą siebie. W *Antygonie* troje bohaterów nie znajduje innego wyjścia poza samobójstwem, a władca ucieka w panice ze swego zrujnowanego państwa.

Wiele jest strasznych rzeczy, ale nic nie ma
Straszniejszego nad człowieka.

Od egzystencjonalistycznego osądu kondycji ludzkiej w pierwszym chórze *Antygony* wydaje się niezmiernie odległa realistyczna i historyczna antropologia kultury materialnej i stosunków przemocy w *Prometeuszu*. Ale ogień był drugim z kolei z darów *Prometeusza*. Pierwszym z darów jest o wiele bardziej zagadkowy.

Prometeusz:

Uwolniłem ludzi od śmiertelnego lęku.

Koryfeusz:

I jaki lęk znalazłeś na tę boleść?

Prometeusz:

Dałem im ślełą nadzieję.

Koryfeusz:

Zaiste, dałeś ludziom wielki dar. (250 i nast.)

David Grene we wstępie do swojego przekładu *Prometeusza* skutego wiąże owe ślepe nadzieje z mitem, jaki Płaton przytacza w *Gorgiaszu*. Ludzie na początku znali dzień swojej śmierci i stawali jeszcze żywi przed Sędziami w ubraniu i z całym dobytkiem. Było to okrutne i Zeus cofnął sądy w godzinę śmierci za życia. Tylko zwierzęta dalej wiedzą, kiedy nadchodzi czas ich śmierci. *Prometeusz* wyprowadził ludzi ze stanu zwierzęcego; odebrał im instynkt zwierząt i dał „ślełą nadzieję”.

Niepewność śmierci lepsza jest od pewności, że nastąpi w określonym i odmierzonym czasie. Wiedzą to wszyscy, którym powiedziano, że ich chorobą jest rak. Interpretacja Grene jest przejmująca, ale *Prometeusz* Ajschylosa, „patrzący-wprzód”, był tym, który wiedział i chciał wiedzieć. „Czyż od samego początku nie wiedziałem z całą jasnością, co będzie...” (100). Kiedy przybiegła do niego Io, jedyna śmiertelna wśród wszystkich postaci tragedii, wyjawil jej wszystko, co ją czeka, aż do kresu jej wędrówki. A kiedy na chwilę się zawahał, bo wiedza jego wydała mu się zbyt okrutna, wtrącił się Chór: „Mów, powiedz nam wszystko do końca. Bo dla cierpiących wielką pociechą jest wiedzieć z góry, jakie ich jeszcze czekają bolesti” (699 i nast.).

Prometeusz dokończył opowieści o mękach, jakie jeszcze czekają Io. Jest ona drugą po Prometeuszu postacią tragedii. Epizod z nią zajmuje centralne miejsce, i „ślepa nadzieja” wydaje się szczególnie wiązać z jej losem.

Io była córką Inachosa. Inachos był rwącym, kamienistym strumieniem, który po wiosennych deszczach szeroko wzbierał w Argos. Bogowie rzek byli potomkami Oceanu, Io była więc jego wnuczką, o czym Prometeusz nie zapomina powiadomić Chóru. W pierwotnym micie musiało to mieć swoje znaczenie. Woda jest *arche* poczęcia. W innej warstwie mitu Io była księżycem. Księżyc rządzi przyływem i odpływem, miesięcznemu cyklowi poddane są kobiety.

Io została kochanką Zeusa. Kiedy dowiedziała się o tym Hera, zamieniła dziewczynę w krowę i kazała pilnować ją Argusowi, potworowi o stu oczach. Może był to prostu paw. Zeus posłał Hermesa, żeby uspił potwora grą na flecie i kiedy zamkną się jego wszystkie oczy, zabił Io. Była wolna. Ale Hera nastąpiła na nią złośliwego bąka, który ciął ją do krwi i gnał z miejsca na miejsce. Wędrowka jej skończyła się w Egipcie, gdzie Zeus przywrócił jej ludzkie ciało. Tam urodziła mu syna.

Ajschylos dawny mit księżycowy i legendę Argos oczyścił z anegdoty i rodzajowości. Io prześladowana jest przez niepojętą dla niej boską zawziętość, ale to nie Hera zamieniła ją w krowę. Uczynił to sam Zeus. Chciał ją mieć przemienioną w zwierzę. Władzę z tragedii, aż do *Bachantek* Eurypidesa ślepa siła instynktu, która dla Greków była bardziej boska niż ludzka, nie została ukazana tak brutalnie i gwałtownie. Io opowiada jak co nocy w swojej dziewczęcej sypialni śniła o złączeniu się z bogiem.

Bez chwil wytchnienia nocne wizje nie dawały mi spokoju w mojej pańeńskiej komnacie. Nawoływały słodkimi głosami, którym oprzeć się nie mogłam: „O panno błogosławiona, czemu trwasz dalej w dziewictwie, kiedy najpotężniejszego możesz mieć za męża? Zeus cię pożąda, chce dzielić z tobą łożę i dać dary Kyprydy. Idź, dziecko, na łaki Lerny, gdzie rośnie gęsta trawa i pasą się barany i bydło twego ojca, aby gorejące oko Zeusa mogło spocząć na tobie.” Takie sny mnie, niestety, nie szczeszną, plekły noc po nocy... (645 i nast.)

Io poczuła wołę boską. Dotknięta została palcem, albo raczej członkiem boga. Ale nie złączyła się z Zeusem: Święta jałówka, panna z rogami, scigana jest przez niewidocznego gleza, od którego ukaszeń

mąci się jej w głowie. Wbiega na scenę mucząc i zawodząc. Irene Worth w *Prometeuszu* wystawionym w Yale nie miała maski z krowimi rogami. Czasem tylko opędzała się lewą ręką od niewidocznego gieza jak chłaińnięciem ogona. Przesępowała niecierpliwie z nogi na nogę, dwa albo trzy razy kopnęła nią o podłogę. Nie miała stylizowanego kostiumu, była w zwykłej długiej sukni. Miała tylko ogromne nieruchome oczy krowy. Raz jeden widziałem takie oczy.

Było to w Chinach, o jakieś tysiąc mil od granicy Tybetu. W górach złapano młodą dziewczynę; należała do któregoś z pierwotnych szczepów, które podobno nie znały jeszcze ani początków uprawy, ani obróbki metalu. Doprowadzają ją do szkoły. Było to na początku okresu „stu kwiatów”, na parę lat przed „kulturalną rewolucją”. Złapane w dżungli dziewczyny próbowano w tej szkole wykształcić na prymitywne położne. Porwanych młodych chłopców po paru latach odsyłano także do dżungli jako szamanów. Z przygotowaniem politycznym zapewne. Tak przynajmniej nam powiedziano. Nie wiem, ile w tym było „antropologicznej” pedagogii, a ile okrutnego doktrynerstwa.

Nigdy jednak nie zapomnę oczu tej dziewczyny. Nie było w nich przerażenia. Nic w nich nie było. Miała oczy granatowe, wilgotne i zupełnie przezroczyste: Jak dwa jeziora. Miała oczy świętej krowy. Prometeusz jest świadomością i inteligencją, przykuty do skały pozostaje nieruchomy od pierwszej do ostatniej sceny. To jest ciałem, ścigana i kłanana przez niewidocznego gza, ani przez chwilę nie może ustać w miejscu. Już w swojej wędrówce obiegała jedną czwartą część świata.

Zarzucono *Prometeuszowi*, że jest dramatem intelektualnym, bez ruchu i bez akcji. Ale Ajschylos jest zawsze najbardziej spektakularnym tragikiem greckim. „Moje serce jest tańcem przerażenia” — recytuje chór w *Błagalnicach*. I tańczy swój taniec przerażenia. Purpurowy Dywan, po którym Agagemennon kroczy ku swej zgubie, jest znakiem poza-słownym, trwałym *arche* wyobraźnie i rytmu.

Płaski talerz orkiestry wyobraża okrąg ziemi oblanej przez Ocean. Po tym talerzu sceny-ziemi „kroworożna dziewczyna” odbywa swoją wędrówkę. „Kiedy przekroczyś nurt dzielący Europę od Azji, obróć się ku wschodzącemu słońcu, gdzie za spienionym morzem są piaski pustyni...” (791 i nast.). W antropologii tyranii i cywilizacji czas mitologiczny w *Prometeuszu* przeszedł w czas historyczny. Teraz z kolci topo-kosmos staje się mapą świata. To odbywa wędrówkę od morza Egejskiego, które znajdowało się w samym środku wielkiego kola ziemi oblanej przez Homerowski ocean. Wędruje na wschód

przez cieśninę Bosforu do Indii i potem do Etiopii, aż zakończy wędrówkę w delcie Nilu, na południowym końcu wielkiej średnicy dzielącej świat.

Io obiegała zapewne wschodni półokrąg orchestry. W następnej części trylogii znaki teatralne topo-kosmosu pozostawały te same i w tym samym miejscu stał przykuty do skały Prometeusz czekając na swego wybawcę. Herakles, jeśli zaufać rekonstrukcjom zagubionych części, opowiadał Prometeuszowi o swej wędrówce do zachodnich granic świata, kiedy z Afryki wracał do Europy przez słupy Herkulesa — Gibraltar. Płaski talerz orchestry-ziemi obrazował jego dramatyczne wędrówki, tak jak przedtem „ściganej, nieszczęsnej” Io.

Io opuszcza scenę, tak jak na wbiegła, jęcząc i zawodząc. Niewidoczny giez kąsa ją coraz boleśniej, mącą się jej zmysły, jest już tylko cierpiącym zwierzęciem. Nic już nie widzi i nic nie słyszy, jest już tylko ciałem pokąsanym do krwi. „.....plącze mi się język i dziwne wydaje dźwięki, i jak krew uderzają do głowy myśli w nieładzie...” (884 i nast.).

Cierpienia Io są niezawinione. Jest jak Pazyfae z zaginionej tragedii, z której pozostał tylko fragment: „Bóg nawiedził mnie szaleństwem, cierpię, chociaż to nie moja była woła...Co zobaczyłam w byku, żeby się na zawsze okryć hańbą?” Io, „gnana z krwiemi rogami”, w r z u c o n a została, jak by powiedział Camus, w świat, w którym ciało pożąda i jest pożądane. I nie potrafi już odróżnić siebie od pożądania; nie wie, czy to jej krowie ciało pożąda boga, czy też bóg pożąda jej krowiego ciała. Ludzka krowa czuje tylko wstręt, obrzydzenie, Sautrowską *nausée* do samej siebie, do swego ciała i do świata. Bezbronna Io, pokąsana do krwi jałówka, gnana ślepym instynktem przez morza i kontynenty, uosabia Eros: „Skrzydła bez oczu, w pędzie bez pamięci” (*Sen nocy letniej*, I.i). Eros i Tanatos, kopulacja, rodzenie i śmierć — nie są naszym wyborem; są n a d a n e. To jest nasz ziemski los.

Prometeusz przykuty do skały, na samotnym górskim szczycie Kaukazu, trwa nieruchomy, zawieszony między niebem i ziemią. Na osi pionowej świata rozgrywa się historia mityczna. Io biegnie bez wytchnienia po półokręgu i osi poziomej świata. Porusza się ruchem kolistym. *Arche* ognia jest odwróceniem symbolizmu wody. Ogień z nieba niszczy, ogień na ziemi jest błogosławieństwem: woda z niebios jest ożywcza, woda zalewająca ląd jest zagładą. Piorunami i potopem posługują się bogowie, żeby ukarać ludzi. Ajschylos był jedynym z wielkich tragiczków, który potrafił pogodzić ziemski sens mitu z jego

irrationalną kosmiczną nadzieją, okrucieństwo ludzkiej historii z teofanią. U końca swej wędrówki boski deszcz zrośli Io, Zeus z nią się złączy i Io urodzi mu syna.

Mit, który operuje na pionowej osi kosmosu, jest mediacją między niebem i ziemią. Io została wybrana; niewidoczny giec, który nie daje jej ani chwili wytchnienia, jest „biczem bożym”. W realistycznej i surrealistycznej wyobraźni Greków związek z bogiem jest zawsze fizyczny. Żeby bóg mógł przeniknąć ciało, człowiek musi się przemienić w zwierzę. *Abetissez-vous* — pisał Pascal. Wejście w stan *somy* było zawsze jednym z najbardziej powszechnych doświadczeń mistycznych. „Dziewica z rogami krowy” jest „mistyczną oblubienicą” boga. Ze związku Zeusa z Io narodził się w trzynastym pokoleniu kobieta, z którą Zeus znowu się połączy. Ona urodzi mu syna, który będzie figurą pojednania.

Tym Synem nienazwanym z imienia w *Prometeuszu* skutym jest Herakles. W zakończeniu *Prometei* zastrzeli orła, który, kiedy Prometeusz po raz wtóry wystawiony został na mękę, wyjadał każdego ranka jego odrastającą każdej nocy wątrobę. Ale na pojednanie już z góry wyznaczona została cena. Zapowiada ją wysłannik Zeusa, Hermes:

Nie spodziewaj się końca twych tortur.

Zanim bóg ze swej dobrej woli

Zgodzi się cierpieć za ciebie,

Zejdzie, gdzie nie ma słońca,

W czarną ciemność Tartaru.

(1026 i nast.)

Tym bogiem także nienazwanym z imienia jest centaur Chiron, może najbardziej tajemnicza postać w mitologii greckiej. Należał do najstarszej generacji bogów i może był synem samego Kronosa. Był mędrcem, nauczycielem i pierwszym lekarzem. Sztuki tej wyuczył potem Asklepiosa. Wychowywał Achillesa i przyjaźnił się z Herkulesem. Przypadkiem zraniony został w nogę jego zatrutą strzałą. Potrafił wyleczyć wszystkich nawet z najcięższych ran, ale sam siebie nie mógł wyleczyć. Znużony cierpieniem, które nie miało końca, zgodził się umrzeć za Prometeusza.

Synowie bogów schodzą na ziemię, cierpią, umierają, schodzą do piekieł, ale potem zmarchwystają. Chiron jest jedynym bogiem w greckiej mitologii i prawdopodobnie we wszystkich mitologiach, który zszedł do piekieł dobrowolnie i na zawsze. Pojednanie i okup za pojednanie odbywa się na tej samej osi topo-kosmosu. Bóg-tyran

stanie się Bogiem-Ojcem. Zeus mściwy przemieni się w Zeusa sprawiedliwego. Ale zapłatą za nowe przymierze jest śmierć innego boga. „Ślepą nadzieją” jest teofania i finalne pojednanie między „górami” i „dołami”, ale nawet wtedy kosmos pozostanie rozdarty na Olimp i Tartar. I między nimi jest na zawsze ziemia. W boskiej ekonomii suma cierpień świata musi pozostać niezmienna i symbolicznym znakiem cierpienia, które nie ma końca i nigdy nie zostanie nagrodzone, jest nieuleczalna rana Chirona.

S

Marks nazwał Prometeusza „najwznioślejszym świętym i męczennikiem w kalendarzu filozoficznym”. W żadnej z greckich tragedii „góra”, w jej podwójnym sensie i symbolicznie: bogów i przemocy, nie została zaatakowana z tak wściekłą gwałtownością. „Nienawidzę wszystkich bogów, którzy słuszne odpłacają niesłusznym, tak jak to mnie uczynili” (975-6). Io, biedna, sponiewierana jałówka, nienawidzi swojego prześladowcę całym swoim pokąsanym ciałem. Do niej są skierowane o b i e przepowiednie: o Synu-wybawcy i o Synu-mścicielu, ale dla sponiewieranej Io, nadzieją jest tylko ten, który zrzuci tyrana z tronu.

Io

Czy to możliwe, że nadejdzie dzień, kiedy Zeus straci władzę?

Prometeusz

Myślę, że radość twoja byłaby wielka, gdybyś zobaczyła jego upadek.

Io

Tak. Bo Zeus jest moim prześladowcą.

Prometeusz

A więc dowiedz się, co się stanie. (757-60)

Wszyscy nienawidzą Zeusa. Prometeusz, Io i zniewolone siły natury, wszyscy oprócz funkcjonariuszy, kombinatorów politycznego Oceana, i chłopca na posyłki, Hermesa. Chór i Ajschylosa nigdy nie jest tylko świadkiem i bezstronnym komentatorem wydarzeń, ale Prometeusz skłw jest jedyną tragedią, w której Chór ginie razem z bohaterem. Chór Cór Oceanu reprezentujący dwa elementy: wodę i powietrze, zleciał, żeby współczuć Prometeuszowi. Ten Chór, przerażony na początku jawnością buntu, powoli poznaje gorzką prawdę historii świata. Prometeusz, jak przedtem ludzi, tak teraz nauczył odwagi ten chór dziewczycy i ptasi. Nauczył Chór buntu.

Hermes

Zmykajcie, czule panny,
Co płaczecie nad jego cierpieniem,
zanim Zeus okrutnym płomieniem
nie uderzy w wasze ptasie głowy.

Chór

Jakżesz śmiesz nas uczyć tchórzostwa —
zostaniemy z nim aż do końca,
bo nauczył nas nienawidzieć —
zdrady —
większej nie ma od niej podłości.

(1058 i nast.)

W perspektywie kosmicznej wybór jest między dwoma: nie narodzonymi dotąd synami Zeusa: synem Nowego Przymierza i synem „silniejszym od Ojca”. W perspektywie dramatycznej wybór jest między wiernością sobie i zdradą, nieugiętością i buntem i kompromisem. „Oto, co zyskałeś — mówi do Prometeusza Hefajstos na początku tragedii — bawiąc się w dobroczyńcę ludzkości. Będąc sam bogiem wyzwaleś bogów i dałeś śmiertelnym ponad miarę, to, co im się nie należy” (28 i nast.). Ale jaka miara pozwala określić, co „się należy” i „co się nie należy”, i co jest więcej, niż się należy śmiertelnym? Jaką miarą mierzyć, co się należy i co się nie należy więźniowi? Prometeusz, pisał młody Marks, nie chciał być „niewolnikiem tyrana i pacholkiem kata”. I dalej w tej samej dysertacji doktorskiej, datowanej „w marcu 1841”:

Wyzwanie wiary Prometeusza: „Nienawidzę wszystkich bogów”

— Jest wyznaniem wiary filozofii, jej dewizą wymierzoną przeciw wszystkim bogom na niebie i ziemi, którzy samowiedzy człowieka nie uznają za bóstwo najwyższe. Bóstwo to nie ścierpi rywali.

Ten marksowski manifest prometeizmu wydaje się o wiele bliższy romantycznemu Prometeuszom Goethego i Shelleya niż surowej antropologii Ajschylosa. W rzeczywistym świecie rozdarty na górę i dół, mówi nam Ajschylos, wybór jest tylko między „silniejszym od ojca”, bo „każdy władca jest twardy, którego panowanie nowe”, między kompromisem i nowym synem „silniejszym od ojca”, bo „każdy władca jest twardy, którego panowanie nowe”. Ajschylos dobrze wiedział, że niebo nigdy długo nie jest puste i na miejsce każdego straconego boga przychodzi nowy.

„Odciałem się od bogów jak Prometeusz” — pisał Goethe. Prometeusz Shelleya był bratem Szatana. Aniołowie zostali straceni z nieba za grzech pychy. Lucyfer jest Księciem rozumu. Tym ostatnim bóstwem, „które nie ścierpi rywali” i które często wydaje się okrut-

niejsze od wszystkich poprzednich, jest arogancja rozumu. Bóstwo to uznało, że poznało przeznaczenie i że może nim pokierować. Hegłowska realizacja ducha rozumu w historii i marksowska „świadoma konieczność” są także jednym z darów Prometeusza.

„Czymże jest wolność człowieka — mówi torturowany więzień w *Czasach pogardy* Malraux — jeśli nieświadomością i zorganizowaniem jego przeznaczeń?” „Uwolniłem człowieka — mówi Prometeusz na początku tragedii — od oczekiwania w drzeniu na śmierć”. A tuż przed końcem, na chwilę przed strąceniem do Tartaru, rzuca dumnie: „Czegóż może się lękać ten, który nie umiera?” (933). Męczennicy wszystkich wiar głosili, że są nieśmiertelni, rewolucyoniści ginęli powtarzając, że ich jest za grobem zwycięstwo. W XIX-wiecznych interpretacjach Prometeusz był świętym Szatanem, świętym karbonariuszem, świętym proletariuszem. Był wyzwolicielem Ducha albo Ludzkości. Fatum, przeznaczenie i konieczność historyczna, każde na swój sposób, przyznawały upływowi czasu moralność, racjonalność i sensowność. Historia przemieniała się w teodyceę. Historia stawała się zdobyciem nieba, wynagrodzeniem za wszystkie krzywdy i wszystkie cierpienia. Ale jeśli nadzieja to kasańca przez niewidocznego gieza i nadzieja Prometeusza strąconego do Tartaru była także ślepa?

Koryfeusz:

A czymże jest przeznaczenie Zeusa, jeśli nie, żeby wiecznie władać?

Prometeusz:

Nie pytaj mnie o to i nie nęlgaj na odpowiedź.

Koryfeusz:

Musi to być wielka tajemnica, skoro ją tak ukrywasz.

(519-21)

Jeszcze na chwilę przed końcem mówi Prometeusz: „Czas nauczy wszystkiego starzejąc się w swoim biegu”. Podobnie mówi buddyjska *Bundahishn*: „Czas jest potężniejszy od obu stworzeń świata”. Ale czego właściwie uczy czas? Wieloźnacznością Ajschyłowskiego Prometeusza jest współistnienie dwóch czasów: czasu mitycznego i teologicznego, w którym końcem kosmogonii będą Ateny i wielkie pojednanie; i czasu bez-nadziei, w którym Prometeusz przy akompaniamencie niebieskiego fajerwerku grzmotów i błyskawic zostaje strącony raz na zawsze do Tartaru. Dla romantycznych dziewiętnastowiecznych poetów i filozofów Prometeusz był tym, który ostatecznie zwyciężył; cierpienie jest zwykłą ceną postępu, a taryfa za

nawozem historii. Tragedią Prometeusza jest że przyszedł za w c z e ś n i e . Ale doświadczeniomi mego pokolenia bliższa jest gorzka interpretacja Camusa. Wielkością Prometeusza jest bunt i odmowa. Bunt i odmowa bez nadziei. Pisał Camus w *Micie o Syzyfie*:

Wspaniale byłoby zwyciężać. Ale jest tylko jedno zwycięstwo: wieczne. I to nie będzie mi nigdy dane. I dlatego potykam się i jak pijany czepiam płotu. Rewolucja jest zawsze przeciwko bogom, poczynając od Prometeusza, pierwszego z nowożytnych zdobywców. Jest rozrachunkiem człowieka z jego losem, roszczenia ubogich są tylko pretekstem.

I parę wierszy dalej:

Tak, człowiek jest swoim celem. I nie ma innego. Jeśli chce coś osiągnąć, to w tym życiu. Wiem o tym aż za dobrze. Zdobywcy mówią czasami o pokonywaniu i przezwyciężaniu. Ale myślą o „przezwyciężaniu samego siebie”... Są chwile, w których człowiek czuje się równy bogu. Tak przynajmniej się mówi. Ale dzieje się tak, bo jak w ośnieniu poczuł zadziwiającą wielkość ludzkiego umysłu. Zdobywcy to jedynie ci spośród nas, którzy poczułi w sobie dostateczną siłę, żeby mieć pewność, że będą stale żyli na tych wysokościach i w pełnej świadomości tej wielkości... Napotykają tam kaleką istotę, ale również człowieka i jego milczenie, jedyne wartości, które cenia i podziwiają...

Można to chyba jeszcze inaczej powiedzieć. Wielkością Prometeusza jest nadzieja pełna rozpacz albo rozpacz pełna nadziei. Jak w tytule książki Nadieżdy Mandelsztam — *Nadzieja przeciw nadziei*. „Odebranie nadziei — kończy Camus — nie jest jeszcze straceniem nadziei.”

Ogień jest „ślepa nadzieją”. „ślepa nadzieja” jest ogniem. Ogień jest ślepa nadzieją postępu, który nie ma kresu, nieśmiertelności człowieka, ostatecznego upadku wszystkich bogów. Ślepa nadzieja jest ogniem żrącym, gorzką ceną utraty niewinności zwierzęcia, świadomości rozdarta, cierpieniem, na które nie ma lekarstwa.

Gorzka interpretacja Camusa mitu o Prometeuszu nie była pierwsza. Późni mitografowie, neoplatonicy, a zwłaszcza Boccaccio, zawsze przeciwstawiali Wulkana, który, jak pisał Panofsky w swoich *Studiach z ikonologii*, „uosabiał *ignis elementaris*, ogień fizyczny, który pozwala ludziom rozwiązać ich praktyczne problemy. Prometeuszowi, którego pochodnia zapalona została od koła wozu słońca, przenosi „ogień niebiański”. Ten ogień boski jest „światłem świadomości”, która dala została nawet ślepcom, ale światło to jest dalece za

Podobnie i w Związku Radzieckim od lat pięćdziesiątych daje się odnaleźć te trzy piętra oraz oczywiście nieustanne, heroiczne zmagania między konserwatystami i reformistami. W meczu tym lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych to pasmo triumfów reformistów. Ale reformy Chruszczowa były — zdaniem Cohena — przedwcześnie. Następnym tego było przechylenie się nastrojów na wszystkich piętrach społeczeństwa ku konserwatyzmowi. Bazą współczesnego radzieckiego konserwatyzmu jest — cytujemy w dalszym ciągu autora artykułu — z jednej strony ogromne poczucie dumy narodowej w związku z osiągnięciami modernizacji i uzyskaniem statusem wielkiego mocarstwa, z drugiej strony wszechobecny strach przed możliwością ponownego pojawienia się Wielkiego Nieszczęścia, które może zostać wywołane jakąkolwiek zmianą. Dlatego też partia, która „nie jest faszystowską ani komunistyczną ani stalinowską, ale partią *status quo*”, jak powiedział cytowany przez autora znany dysydent Lew Kopajew, najbardziej odpowiada, zdaniem Cohena, współczesnemu społeczeństwu radzieckiemu.

W dyskusji nad tekstem Cohena wzięło udział paru znanych sowietologów zachodnich. Righby poczynił parę rozsądnych uwag: że w takim systemie jak sowiecki podziały wewnątrz władzy przebiegają nie tylko (i nie tyle) według linii konserwatyści-reformiści, ile ujawniają się w walce o zasoby, że względu na instytucjonalne i lokalne afiliacje, ambicje osobiste, związki personalne itp. Istotny problem, przed którym Righby (i zapewne czytelnik) staje bezradny, to jak w warunkach systemu sowieckiego zdefiniować reformistę. Na kapitalistycznym Zachodzie reformizm historycznie wiązał się z dążeniem do większego zakresu wolności, większej równości wobec prawa, z obroną przeciw arbitralności władzy, z walką o bardziej efektywną reprezentację polityczną klas niższych i coraz szersze korzystanie przez nie z owoców postępu materialnego. A w systemie sowieckim? Czy likwidacja wolności, wprowadzenie systemu bezprawia, utrzymywanie niskiego poziomu konsumpcji — czy to wszystko jest przejawem reformizmu czy konserwatyzmu?

F. Barghoom zauważył, że Cohen uprosił nadmiernie analizę identyfikując konserwatyzm zachodni z konserwatyzmem sowieckim. Postuluje on, aby różnice w dostępie do politycznych zasobów, instytucji i możliwości rzeczywistego uczestnictwa politycznego w różnych systemach były brane pod uwagę w badaniach porównawczych. Kwestionuje on również zasadność traktowania ludzi takich jak Sacharow czy Grigorienko jako ekstremistów, gdyż domagali się oni

bohaterka naprzód jest zakopana po pas, potem po szyję w ziemię. Nie ma chóru, jest tylko na wpół sparaliżowany mężczyzna, który nie może do niej podejść. Z całego zewnętrznego świata, ze wszystkich przedmiotów pozostała tylko parasolka i duże czarna torba z przyborami toaletowymi i rewolwerem. Ten rewolwer kobieta całuje i potem odkłada. Potem już jest za późno, zanurzona jest po szyję, ręce ma zasypane piachem. Musi żyć, dopóki nie umrze. Czas odmierza dzwonienie. Dół i góra nadal istnieją, ale ziemia jest tylko piachem, a niebo jest zupełnie puste. Nie ma w nim nawet obłoków. Całą akcją jest zanurzanie się w ziemię. Coraz głębiej.

Zapadanie się w ziemię znaczy tylko zapadanie się w ziemię. Nic więcej. Zeus jest już niepotrzebny. *Radosne dni* Becketta są ostateczną wersją mitu o Prometeuszu.

wrzesień 1969, lipiec 1980

Jan Kott

WYDANIE SPECJALNE

PULS

„GDAŃSK 1980 — PICTURES FROM A STRIKE”

Album fotograficzny, pokazujący przebieg wielkiego strajku sierpniowego stoczni im. Lenina w Gdańsku.

Tekst w języku angielskim: przedmowa piera Leopolda Łabędzia, 21 postulatów, kalendarium wypadków oraz nota o umowie gdańskiej.

Cena z przesyłką:

Wlk. Brytania — £5.50

Europa — £6.50 lub równowartość

Ameryka, Australia etc. — £7.00 lub równowartość

Zamówienia wraz z należnością prosimy kierować do:

PULS PUBLICATIONS

BCM, Box 697, London WC1N 3XX, England

Krzysztof Dorosz

DYLEMATY NEOMANICHEJSKIE czyli spór o gnidy i anioły

Ustrój totalitarny obrządku komunistycznego zrodził wiele osobliwych i paradoksalnych zjawisk, a jednym z bardziej charakterystycznych jest „prawda, która kłamie”. Pisał kiedyś o tym George Orwell w powieści *Rok 1984*; pisał o tym niedawno wybitny czeski poeta Václav Havel w liście otwartym do Gustava Husaka. Mówiąc o sytuacji literatury w Czechosłowacji, Havel powoływał się na utwory, które, imitując wiernie realny świat, w istocie rzeczy świat ten tylko fałszują¹. Podobne zjawiska poruszył w Polsce Piotr Wierzbicki, wykazując w swoim *Traktacie o gnidach*, że przeinaczanie rzeczywistości w ustroju totalitarnym to domena nie tylko wierzących lub cynicznych ideologów, lecz często również ludzi bezpartyjnych, w głębi duszy antykomunistów².

Wierzbicki znakomicie opisuje jedno z najbardziej bolesnych schorzeń ustroju totalitarnego. Jak wynika z jego relacji, gnida to człowiek względnie uczciwy i przyzwoity, a zarazem ktoś, kto swoją uczciwością i sumiennością afirmuje i firmuje układ zbiorowego załgania i niegodziwości. Przy analizach hitleryzmu niejednokrotnie podkreślano, że ten sprawny system współczesnego barbarzyństwa funkcjonował nie tylko z inspiracji swych demonicznych przywódców, lecz również dzięki sumiennemu i uczciwemu wykonywaniu obowiązków przez ludzi stanowiących jego poszczególne tryby i kółka. Słowem, odpowiedzialni jesteśmy wszyscy. Na tej starej prawdzie oparty jest program Solżenicyna „nie kłamać”. Jak również na założeniu, że system sowiecki opiera się, nie tylko na łagrach, policji, władzy partii,

ale i na zbiorowym załganiu, w którym udział mają wszyscy. Gdybyśmy tylko przestali kłamać — powiada Sołżenicyn — system sowiecki runąłby jak domek z kart.

I oto w systemie zbiorowego załgania pojawia się opozycjonista, który niszczy iluzję rzeczywistości utkaną przez strach i bierność. Jedno z zadań opozycji w ustroju totalitarnym polega na wykazywaniu opinii publicznej, że „król jest nagi”. Gnida natomiast trudzi się, ni mniej ni więcej, tylko drobiazgowym opisem szaf królewskich. Tak więc jej działalność jest diametralnie przeciwna działalności opozycjonisty. Gnida pracowicie przyczynia się do zasnucia życia zbiorowego siecią załgania: nobilitując zło, gnida obniża próg społecznej wrażliwości moralnej i niegodziwość przybiera w maskę przyzwoitości.

Wierzbicki nie tylko potępia gnidowatość, ale stwierdza, że „wszyscy lub prawie wszyscy jesteśmy, lub jesteśmy częściowo, lub byliśmy do pewnego stopnia g n i d a m i” (126). To pesymistyczne stwierdzenie skłania do przypuszczeń, że kondycja gnidzia odpowiada kondycji ludzkiej. Stąd łatwo o wniosek, że nie-gnida musi być aniołem, różniącym się zasadniczo od zwykłych śmiertelników. Stąd również podejrzenie, że kto rości sobie pretensje do statusu anioła, kłamie: więcej, że aniołowi, który nie uznaje kompromisów, nieuchronnie grozi upadek.

„Człowiek nie jest ani aniołem, ani bydlęciem; nieszczęście w tym, że kto chce być aniołem, bywa bydlęciem”. To powiedzenie Pascala nasunęło mi się po lekturze polemicznego eseju Adama Michnika pod tytułem *Gnidy i anioły*. Zdaniem Michnika *Traktat o gnidach* zbył bezceremonialnie wyostrza kontury rzeczywistości, przedstawiając w sumie, manichejski obraz świata, gdzie panuje radykalny dualizm dobra i zła. Jest to świat rozdwojony na sferę gnid, idących na kompromisy z władzą, i sferę niezłomnych aniołów, wiodących bezkompromisową walkę z wszelką zwierzchnością i potęgą. Kto zatem nie jest aniołem, ten jest gnidą i odwrotnie: Michnik odrzuca tego rodzaju polaryzację rzeczywistości twierdząc, że opisane przez Wierzbickiego postawy są często wynikiem, nie tyle „moralnej próchnicy”, co kompromisu podejmowanego w imię wspólnych wartości. Kompromis zaś w pewnych warunkach pozwala na realizowanie niezaprzeczalnych dóbr, z których, w mniejszym lub większym stopniu, korzysta całe społeczeństwo.

W sumie można powiedzieć, że o ile *Traktat o gnidach* daje wyraz postawie bezkompromisowej, która chętnie widzi świat w kolorach

czarnym i białym, to tekst Michnika broni wartości kompromisu, ostrzegając zarazem przed niebezpieczeństwem pomijania barw szarych.

Niniejszy szkic stanowi próbę ujęcia dylematu gnid i aniołów w kategoriach pewnych konfliktów moralno-ideowych, rozgrywających się stale w kulturze europejskiej. Na napięcie pomiędzy postawą bezkompromisową, skierowaną ku najwyższym wartościom, a kompromisem, dyktowanym przez codzienne życie, postaramy się spojrzeć przez pryzmat chrześcijaństwa, manicheizmu i „sfery moralnie neutralnej”, rozwiniętej przede wszystkim w krajach Europy zachodniej. W chrześcijaństwie rozpatrzmy konflikt między radykalnym przesłaniem moralnym nauk Chrystusa a wymaganiami codzienności; manicheizm postrzegamy jako klasyczny przykład postawy skrajnie bezkompromisowej; „sfera neutralna” posłuży nam do prześledzenia pewnych konsekwencji etosu opartego wyłącznie na kompromisie.

Potępienie wszelkiej ugody ze złem skłania do zajęcia bezkompromisowej postawy opozycjonisty. A ponieważ postawa taka zakłada negowanie iluzji rzeczywistości stworzonej przez ustrój totalitarny, kompromis będzie w tym ujęciu reprezentować fałsz, bezkompromisowość zaś prawdę. W praktyce jednak niełatwo stanąć po stronie prawdy i niełatwo być opozycjonistą w świecie sparalizowanym przez iluzje i kłamstwo. Trudno żyć, pracować, doświadczać radości i trosk, pamiętając cały czas, że otacza nas gra mizernych pozorów i że każdy krok grozi potknięciem i upadkiem. Opowiedzenie się za prawdą jest na ogół trudniejsze od pogodzenia się z fałszem i wymaga od nas wytrzymania napięć, wynikających z dwoistości życia. Pamiętajmy, że Winston Smith, bohater powieści Orwella *Rok 1984*, pokochał w końcu Wielkiego Brata, ponieważ nie mógł znieść napięcia wywołanego stawianiem mu oporu.

Warto więc uprzytomnić sobie, że z konfliktów wywołanych podaniem w wątpliwość rzeczywistości otaczającego nas świata nie wszyscy bynajmniej wychodzą obronną ręką. Klasycznym przykładem postawy traktującej świat jako grę pozorów jest mistyk i święty. Ale życie w przeświadczeniu, że tylko to, co boskie, jest naprawdę rzeczywiste, jest niezwykle trudne i obfituje w rozmaite pułapki. Jak pouczają liczne przykłady zaczerpnięte tak z Dalekiego Wschodu, jak i europejskiego Zachodu, z próby zwycięsko wychodzi tylko ten, kto, widząc świat jako grę pozorów, dopuszcza jego realność w pewnych określonych granicach. Taka postawa pozwala na podejmowanie

działań na rzecz innych ludzi, chroniąc zarazem od manichejskiej negacji świata jako siedliska radykalnego zła nie podlegającego próbowi zbawienia. Prostszy wszelako rozwiązaniem jest rezygnacja z ideałów wymagających zakwestionowania zastanego porządku rzeczy. Zgoda na istniejącą rzeczywistość pozwala nam uniknąć nie tylko postawy manichejskiej, ale również napięć grożących ruiną osobowości.

Uogólniając problematykę „gnidowości” wypada stwierdzić, że dotyczy ona nie tylko życia w „Przodującym Ustroju”, lecz również całej kondycji ludzkiej. Życie i przeżycie człowieka w każdym ustroju i w każdych warunkach wymaga kompromisów ze złem. Zachowanie całkowicie czystych rąk i konsekwentne odrzucenie wszelkich kompromisów jest bądź niemożliwe, bądź iluzoryczne, bądź prowadzi do męczeńskiej śmierci. Aleksander Wat powiedział kiedyś, że w krajach rządzonych przez Stalina powinnością intelektualisty jest śmierć. Problematyka ta, ujęta w perspektywie kondycji ludzkiej, nurtowała niemieckiego filozofa Karla Jaspersa, który „krążąc” wielokrotnie wokół chrześcijaństwa powracał na ogół do tego samego wniosku: etyka chrześcijaństwa jest wspaniała i niezastąpiona w naszej kulturze, ale jeżeli chcemy podejmować działania w świecie, jeżeli chcemy współuczestniczyć w jego budowie, wiele nauk Chrystusowych musimy po prostu odrzucić.³ Innymi słowy, między moralną bezkompromisowością chrześcijaństwa, sklerowaną ku Królestwu Bożemu, a życiem zakorzenionym w świecie istnieje radykalna sprzeczność. Osobiście nie sądzę, by ujęcie Jaspersa oddawało pełną sprawiedliwość chrześcijaństwu, ale opisywany przezeń dylemat tkwi w naszej kulturze od początków jej istnienia. Ponieważ stanowi on w pewnej mierze kulturowy paradygmat problemu gnid i aniołów, proponuję poświęcić mu nieco uwagi.

Chrześcijaństwo, w przeciwieństwie do judaizmu i islamu, jest religią pozbawioną objawionego prawa. Większość z nas jest skłonna sądzić, że okoliczność ta świadczy o wyższości chrześcijaństwa. Bez względu na to, czy jesteśmy chrześcijanami, czy agnostykami, lubimy pochlebiać sobie, że żyjemy w kulturze akcentującej wolność i miłość, a nie prawo, zakazy i rygory. Nie zawsze jednak pamiętamy, że na nasz stosunek do prawa wpłynęła z jednej strony sama tradycja chrześcijańska, a z drugiej, bardzo na ogół powierzchowna znajomość innych religii. Europejczyk skłonny jest widzieć w islamie i judaizmie

działnego, muzułmanin natomiast w prawie objawionym przez Koran widzi ustanowione przez Boga matrycę ludzkiego działania. Dla muzułmanina nie ma więc wyjątków i zarachowań. Seyyed Hossein Nasr: „Religia to przede wszystkim Boskie Prawo, które zawiera nie tylko uniwersalne zasady moralne, lecz również szczegółowe wskazania, jakiego rodzaju życie moralne człowieka, do swego bliźniego i do Boga. Prawo mówi jak należy jeść, spieć, pić, mieć i rodzic dzieci, jak kupować i sprzedawać na targu, w jaki sposób się modlić i oddawać cześć Bogu. Dlatego, prawie obejmuje wszelkie aspekty ludzkiego życia i zwraca uwagę na zasady postępowania muzułmanina, w jaki sposób umiarować swoje życie tak, by być zgodnym z Wolem Boga. W islamie i judaizmie prawo jest zarówno obywatelskie, jak i moralne, jak również cywiliczne regulującym życie społeczne i wszystkie jego przejawy. Dlatego też muzułmanie czy żydzi ze zdziwieniem często patrzą na chrześcijaństwo, religię, gdzie Boga oddajemy to, co boskie, a cesarzowi to, co cesarskie, gdzie z zasady niepołączymy ludzkiej z boskości, porzućmy się na bezprawną sankcję Boga. Wybitny myśliciel żydowski Leo Baeck nazwał chrześcijaństwo religią romantyczną, zakorzenioną w ułudowości, niechętną wszelkiemu ustnowodowstwu etycznemu. W konsekwencji takiego rozczegawiania judaizm — gdzie Prawo Święte i Prawo narwane jest jednym słowem (Torah) — jawi się jako kwintesencja religijnego klasycyzmu.”

Objawione prawo islamu i judaizmu obejmuje — jak już mówiłem — wszystkie dziedziny życia człowieka. Jest to fakt o bardzo ważkich konsekwencjach, zarówno społecznych, jak i moralnych. Ponieważ życie codzienne przyniknięte jest sankcjami nie cesarskimi, lecz boskimi, wierzący jest w stanie sprostać wymaganiom Boga, nie opuszczając zasadzie sfery codzienności. Inaczej w chrześcijaństwie, gdzie szereg wskazań Ewangelii zdaje się wymagać wysiłków iście nadludzkich. Bo czyż wezwanie do nadstawienia drugiego policzka, do powstrzymania się od śmiechu, do nienawiści do ojca, matki, żony i dzieci (Łk 14-26), do oddania bliźniemu własnego płaszcza, czyż te wszystkie wezwania dadzą się pogodzić z jakimkolwiek porządkiem społecznym, czy mogą regulować współżycie ludzi, którzy przecież nie są świętymi ani aniołami?

Nie jesteśmy aniołami — mówi dzisiaj wielu chrześcijan. Nie skazujcie nas więc na obłudę i pozwólcie na rozwody, na małżeństwa naszych kapłanów, na sztuczną regulację urodzin. Istnieje dość szeroko rozpowszechniony pogląd, według którego głosy te reprezentują

tak zwane tendencje liberalne. Jednakże takie ujęcie sprawy sprowadza w pewnej mierze problem na płaszczyznę walki liberalizmu z konserwatyzmem, czy nowego ze starym. Ginie wówczas z pola widzenia tak bardzo charakterystyczne dla chrześcijaństwa napięcie pomiędzy życiem w świecie a życiem dla Boga, tym, co cesarskie, a tym, co boskie. Wielokrotnie podejmowane próby połączenia obu tych sfer, lub też próby wypracowania formuły kompromisowej pomiędzy wymaganiami świętości a wymogami codziennego życia, stanowią charakterystyczny rys kultury europejskiej. Islam, który — w przeciwieństwie do Europy — nie rozwinął zinstytucjonalizowanego monachizmu, określany jest czasami jako „społeczność żonatych mnichów”. W tradycji europejskiej natomiast życie kontemplacyjne oddzieli od świata mur klasztoru i cela zakonnika. Nie jest to ani przypadek, ani splót okoliczności narzuconych chrześcijaństwu przez bieg wypadków. Oderwawszy się od swego podłoża judaistycznego, religia chrześcijańska weszła w świat bez osłony objawionego prawa. Ani wiara w zmartwychwstanie Boga-Człowieka, ani nawet wezwanie do miłości bliźniego nie wystarczały zrazu do regulacji współżycia zbiorowości ludzkich dotkniętych rozkładem kultury antycznej. Skazane na bytowanie w środowisku nie objętym boskim prawem, chrześcijaństwo kontemplacyjne chroniło się za murami klasztoru. Stąd między innymi płynie konflikt między świętością a codziennością, między naśladowaniem Chrystusa a życiem w świecie, między nadludzkimi — zdawałoby się — wymaganiami moralnymi a koniecznością kompromisów ze złem, jaką narzuca działanie w gromadzie ludzkiej.⁶

Dramatyczna antynomia ideału moralnego i codziennego życia może niejednokrotnie budzić nasz sprzeciw; możemy ją uznać za sytuację, której niepodobna sprostać, za obciążenie kultury napięciem ponad siły znakomitej większości ludzi. Niemniej jednak antynomia ta tkwi bardzo głęboko w samej naturze chrześcijaństwa, które w zestawieniu z islamem czy judaizmem jest religią mistyczną, inicjacją w tajemnice boskie, zarezerwowaną w innych religiach dla stosunkowo wąskiego kręgu ludzi posiadających odpowiednie moralne i duchowe kwalifikacje. Jest to rozróżnienie dużej wagi, ponieważ pozwala nam na uświadomienie sobie i docenienie bardzo wysokich wymagań stawianych przez chrześcijaństwo.⁷

Chrześcijaństwo jest religią, w której wymiar ezoteryczny uległ jakby osobliwemu wyhlęszaniu z perspektywą egzoteryczną. W chwili śmierci Jezusa na krzyżu „zastłona przybytku rozdarła się na

dwójce z góry na dół" (Mt 27, 51). A pamiętajmy, że zasłona oddzielała Miejsce Święte od Najświętszego, gdzie wstęp miał tylko kapłan w trakcie pełnienia swych obowiązków. Fakt, że Miejsce Najświętsze było puste, że kapłan nie mógł doń wstąpić ubrany, posiada bardzo wymowną symbolikę. Z jednej strony zasłony leżała domena egzoteryczna, dostępna ogółowi wiernych, z drugiej zaś sfera tajemnicy: nie poddająca się wysłowieniu rzeczywistość, do której zbliżyć się można jedynie na drodze negacji, czyli wyzbywając się wszelkich śladów świata. Rozdarcie zasłony w chwili śmierci Chrystusa zniósło granicę między sferą ezoteryczną i egzoteryczną, między Tajemnicą a religią: między tym, co czysto boskie, a tym, co tylko ludzkie.⁸ Również Wcielenie, centralny fakt chrześcijaństwa, zniósło — przynajmniej w osobie Jezusa — dystans dzielący człowieka od Boga. W tym leży wielkość chrześcijaństwa: Prawdy, Drogi i Życia dostępnych każdemu człowiekowi; w tym również leżą niebezpieczeństwa płynące z napięć między ideałem świętości a codzienną rzeczywistością. Krótko mówiąc — *noblesse oblige*. Skoro chrześcijaństwo obiecuje człowiekowi Synostwo Boże i znosi zasłonę zakrywającą tajemnice dostępne w innych religiach tylko wąskiemu kręgowi ludzi, jest rzeczą zrozumiałą, że stawia wysokie wymagania.

Co te wszystkie wywody mają wspólnego z problemem gnid i aniołów? Jak już mówiłem, chrześcijaństwo zawiera kulturowy paradygmat sytuacji, w której „wygórowane” normy i wymagania moralne stoją w sprzeczności z normalnym życiem i współżyciem zbiorowości ludzkich. Tak więc chrześcijaństwo nie tylko dostarcza pewnego modelu dla konfliktu gnid i aniołów, lecz również — poprzez głęboko zakorzoną w kulturze obecność norm moralnych, wywodzących się w prostej linii z Nowego Testamentu — w pewnej mierze konflikt ten współtworzy. Trudno tutaj oczywiście o pewność, ale można wysunąć przypuszczenie, że w kulturze niechrześcijańskiej ów problem nie stanąłby aż z taką ostrością: Biorąc jednakże pod uwagę podobieństwa między naszkicowaną powyżej antynomią religii chrześcijańskiej a problemem gnid i aniołów, należy zwrócić uwagę na zasadnicze różnice.

Zacznijmy od paradoksu związanego z Inkarnacją Chrystusa. Była już mowa o tym, że Wcielenie zniósło dystans między Bogiem a człowiekiem, stawiając mu tym samym niecodziennie wysokie wymagania. Wzór etyczny ustanowiony przez Boskie człowieczeństwo Chrystusa, męczennską śmierć na krzyżu, obietnicę Królestwa, które

nie jest z tego świata — wszystko to narzucało chrześcijaninowi radykalną przemianę własnego życia i daleko posuniętą nieufność wobec kompromisów oferowanych przez codzienne życie w świecie. Przecież Chrystus nie pokój przyszedł dać na ziemię, lecz rozłam (Łk 12, 51). Próżno by w jego naukach szukać modeli kompromisów, pozwalających na nie obciążone złą wiarą życie skierowane ku królestwu ziemskiemu. „Kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem” (Łk 14, 33). Trudno chyba o bardziej bezkompromisowe postawienie sprawy.

Z drugiej strony jednak Wcielenie to zasadniczy „kompromis” chrześcijaństwa, punkt, gdzie klasyczna nauka Kościoła bierze całkowity rozbrat z wszelką bezkompromisowością typu manichejskiego: „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek mógł stać się Bogiem” — ta niegdyś tak bardzo rozpowszechniona (choć dziś w dużej mierze zapomniana) formuła patrystyczna była nie do przyjęcia dla manichejczyków, którzy między Bogiem a człowiekiem widzieli przepaść nie do pokonania. Świat, w którym uwięziony był człowiek, świat nieuleczalnie skażony materialnością, był tak na wskroś przeniknięty złem, że nie mógł n a p r a w d ę nosić Chrystusa. W przekonaniu manichejczyków, Bóg nie mógł poniżyć się do wcielenia. Konsekwencją takiego przekonania była świadomość głębokiego dualizmu, radykalnego i nieprzezwyciężalnego podziału rzeczywistości na światło i ciemność, dobro i zło, na zbawionych i potępionych.

Refleksy takiego obrazu świata pojawiały się w wielu religijnych i świeckich nurtach w Europie, a jego wyznawcy czerpali na ogół natchnienie ze swoście pojętej bezkompromisowości moralnych nakazów chrześcijaństwa. A ponieważ potępienie zła często brało górę nad realizacją dobra, w dualistycznej wizji byt ulegał „pęknięciu” na obszar jasności i mroku. *Profanum* stawalo się nieprzenikalne dla *sacrum*: sfera tego, co cesarskie, zamknięta była na działanie tego, co boskie; stworzenie nie podlegało zbawieniu, a społeczeństwo naprawie. „Kompromis” Wcielenia tracił realny sens.

Jednakże bezkompromisowy etos chrześcijaństwa to bynajmniej nie to samo, co rygoryzm moralny, wynikający z quasi-manichejskiego podziału świata na gnidy i anioły. Etyczne wyzwanie Nowego Testamentu rzucane jest człowiekowi nie z wysoka, lecz przez Boga, który przyjął na siebie kondycję ludzką. Różnica polega również na tym, że w wizjach dualistycznych wstręt do niegodziwości i potępienie zła nie jest osłabione tak kluczowym dla nauk Chrystusa elementem przebaczenia. A przecież przesłanie chrześcijańskie bardziej niż Sąd

Ostateczny podkreśla Przebaczenie. Przyjście Chrystusa stanowi daną człowiekowi szansę pojednania z Bogiem, jest wyciągnięciem ręki nie do sprawiedliwych, lecz tych, którzy zbłądzili. Ułomność natury ludzkiej i skłonność człowieka do zła nie podlegają tu wątpliwości. „Jeżeli pamięć o występkach zachowasz — powiada Psalmista — któż się ostoï?”* W tłumaczeniu na język bardziej współczesny oznacza to, że wszyscy jesteśmy gnidami. Ale — śpieszy dodać autor psalmu — „z Tobą jest przebaczenie, abyś w hojażni był czczony”. Słowem, zło popełniane przez nas nie przekreśla nigdy możliwości przebaczenia i szansy na radykalną przemianę wewnętrzną.

Możliwości przemiany człowieka widać również z dystansu historycznego. Przecistawiając się rozdzieleniu świata na gnidy i nie-gnidy, Adam Michnik zauważa, że do radykalnego osądu moralnego żyjących ludzi nie mamy właściwie prawa. Historia poucza, że człowiek, dopóki żyje, znajduje się *in statu nascendi*. Jego dokonania i uczynki nie zastęły jeszcze w na tyle niezmienny układ dobra czy zła, byśmy mogli pokusić się o sprawiedliwy osąd. Niestety jednak na co dzień nie dysponujemy ani dystansem historyka, ani perspektywą metafizyczną, która pozwoliłaby nam na osądzenie człowieka „z tamiej strony śmierci”. Podejmując decyzję, czy to w sferze społeczno-politycznej, czy prywatnej, nie możemy uniknąć wyborów moralnych. Dosłowna realizacja wezwania „nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni” może prowadzić do szlachetnego zakłamania i usprawiedliwiania wszystkiego. A wówczas łatwo nam znaleźć się w dusznej sferze neutralnej, rozciągającej się między dobrem a złem. Dzisiaj sfera neutralna nie grozi społeczeństwom bytującym w warunkach totalitaryzmu, wyrosłego z komunistycznej mitologii. Ale ponieważ stanowi ona wykwit wolnego Zachodu — który tak często wydaje nam się ową lepszą i godną naśladowania częścią cywilizowanego świata — warto przyjrzec się jej nieco bliżej.

Sferę neutralną wykształcili i rozwinęli zamożne mieszczańskie społeczeństwa Zachodu. Sfera ta, udoskonalona w ciągu kilku ostatnich dziesiętnych lat, obejmuje dzisiaj coraz to nowe dziedziny życia, zwalniając nas stopniowo z konieczności wyborów między dobrem a złem. Nie jest ona jednakże wyłącznym tworem XX wieku: początków sfery neutralnej można szukać w procesie kształtowania się mieszczaństwa. „Mieszczanin — pisze angielski historyk Christopher Dawson — był zrazu członkiem niewielkiej i bardzo wyspecjalizowanej klasy ludzi, która powstała wewnątrz okolicy murami średnio-

wiecznej społeczności miejskiej... Podczas gdy chłop pracował a szlachcic walczył, mieszczanin cieszył się swobodą prowadzenia własnego życia, zajmowania się swoimi sprawami i bogaceniem się w ramach dość ograniczonej miejskiej gospodarki¹⁰. Nonsensem oczywiście byłoby twierdzenie, że średniowieczny mieszczanin mniej narażony był na konieczność wyborów między dobrem a złem niż przedstawiciele innych warstw średniowiecznego społeczeństwa. Jednakże mieszczanin, pośrednicząc między producentem a konsumentem jako kupiec czy bankier, stworzył początki opartej na pieniądzu sfery środka, gdzie dynamiczna zasada bogacenia się wypierała świadomość konfliktów moralnych. Jest to, jak pisze Dawson, sfera bardziej podporządkowana czynnikowi ilości niż jakości, sfera podejmowania decyzji ze względu na zysk, a nie ze względu na wartość opartą na jakościach przedmiotów. Jest to sfera akumulacji, wyrachowania, rozsądku, sfera — zdaniem Dawsona — diametralnie przeciwstawna etyce chrześcijańskiej. Etos miłości bowiem, etos oparty na dawaniu, etos, który czerpie soki z zasady ofiarowania siebie innym, musi pozostawać w głębokiej niezgodzie z cnotami mieszczaństwa. Dawson podkreśla, że średniowieczni mistycy, po to, by określić duchowy charakter prawdziwego poszukiwacza Boga, przejmowali ze współczesnej im poezji miłosnej antymieszczańską pojęciowość klasy rycerskiej. Zasada głosząca, iż „nie od nadmiaru czyjego mienia zależne jest jego życie” (Łk 12, 15), pozostawała w jaskrawej sprzeczności z regułami gry obowiązującymi w „sferze środka”.

Przeciwstawiając cnoty mieszczańskie etyce chrześcijańskiej, Dawson wychodzi poza analizy historyczne, poza ekonomię i socjologię. Za niemieckim socjologiem Wernerem Sombartem przyjmuje, że „typ mieszczański” zakorzeniony jest w naturze ludzkiej, że stanowi ucieleśnienie pewnych psychologicznych predyspozycji. Zdaniem Dawsona istnieje coś takiego jak „mieszczańska dusza” i w niej to właśnie, a nie w splocie okoliczności czysto gospodarczych leży początek europejskiej kultury mieszczańskiej.¹¹ Podobne poglądy wysuwał rosyjski filozof Mikołaj Bierdiajew, twierdząc, że mieszczaństwo to nie tylko kategoria społeczna związana z klasową strukturą, ale także charakterystyka duchowo-psychologiczna.¹²

Nie miejsce tu na rozstrzygnięcie sporu o mieszczaństwo. Warto natomiast podkreślić, że analizy Dawsona, Sombarta, Bierdiajewa czy Schelera (*Ressentiment*) pokazują, że mieszczańskość jako kategoria duchowo-psychologiczna nie jest literackim wynysłem dziewiętnastowiecznych artystów, którzy konflikt między sztuką a cywili-

zają przekupniów i dorobkiewiczów odczuwali szczególnie silnie. lecz problemem przewijającym się przez całą kulturę europejską. Prototypem mieszczanina — sugeruje Dawson — jest zadufany w sobie faryzeusz, który zasadę wyrachowania i gromadzenia zysków stosuje nawet w domenie religijnej.

Zdaniem Bierdiajewa, mieszczanin jest całkowicie niewrażliwy na perspektywę eschatologiczną, która, będąc swego rodzaju duchową rewolucją, zagraża jego racji istnienia i rozsądza porządek życia, w którym króluje *mediocritas*. Mieszczanin jest człowiekiem niezdolnym do poświęcenia czegokolwiek z tego świata na rzecz tamtego.¹³ A ponieważ Królestwo Boże, które głosił Chrystus, „jest nie z tego świata”, ponieważ przesłanie chrześcijańskie — pozbawione osłony objawionego prawa, regulującego życie ludzkiej zbiorowości — jest przesłaniem w dużej mierze eschatologicznym, mieszczanin musi pozostawać z nim w konflikcie. Konflikt ten, obecny w kulturze, doszedł między innymi do głosu we wspomnianych już wyżej zmaganiach Karla Jaspersa, który na rzecz budowania w świecie czuje się zmuszony odrzucić szereg nauk Chrystusa. Dochodzi on również do głosu w życiu codziennym, obejmując nas o tyle, o ile żyjemy jako mieszczanie, zabiegając o dobra, które „niszczy mół” (Łk 12, 33).

Każdy konflikt wartości w kulturze wymaga „oswojenia”. Trudno przecież żyć w ciągłej świadomości konfliktu, w stanie stałego napięcia między dwiema hierarchiami wartości. W takich sytuacjach życie podsuwa naturalne rozwiązania kompromisowe, które zmyślność ludzka potem uzasadnia. Inny sposób rozwiązywania tego samego konfliktu polega nie tyle na kompromisie, co na konstruowaniu w świadomości człowieka sfery neutralnej, bezpiecznej i wolnej od niepokoju wywołanych napięciem pomiędzy rywalizującymi ze sobą ośrodkami wartości lub między ideałem a codzienną rzeczywistością. Z religijnego punktu widzenia, a zwłaszcza w perspektywie mistycznej, która mając na celu zjednoczenie z Bogiem podkreśla bardzo silnie największą godność i powołanie człowieka — nie ma w zasadzie czynów moralnie obojętnych. Człowiek rozpatrywany jest nie tylko ze względu na potencjalne uczestnictwo w Królestwie Boga, lecz również ze względu na drogę doń prowadzącą. Wszystkie niemal religie i mitologie uczą, że jest to droga trudna, pełna zdradliwych przejść i pułapek. Jest zatem rzeczą zrozumiałą, że poruszanie się na niej w sposób dowolny grozi nie tylko zagubieniem celu, lecz również upadkiem i katastrofą. Luksus sfery neutralnej wydaje się tu zgoła niemożliwy.

Trzeba jednak podkreślić, że ów swoisty rygoryzm moralny, świątość, że każdy, najmniejszy nawet krok wyznacza kierunek, ku niebu lub piekłu, przysługuje przede wszystkim mistycznej drodze doskonalenia duchowego. Natomiast prawo objawione, które obejmuje potrzeby religijne nie tylko mistyków i świętych, lecz także całej społeczności wiernych, przewiduje na ogół pewien margines moralnej neutralności. I tak na przykład Szaria, czyli objawione prawo islamu, prowadząc człowieka do zrozumienia woli Boga, dzieli uczynki i przedmioty na te, które są z religijnego punktu widzenia obowiązkowe, zalecane, zabronione, naganne i obojętne (podkr. moje). Chrześcijaństwo, choć wyrosło z perspektywy mistycznej, w praktyce szło na kompromisy z aspiracjami większości ludzi i przystawało na sferę etycznie obojętną. W zasadzie jednak do Synostwa Bożego powołany jest każdy chrześcijanin i naśladowanie Chrystusa — przynajmniej w chrześcijaństwie zachodnim — stanowi warunek realizacji tego powołania. Wezwanie: „Bądźcie więc doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski (Mt 5, 48) odnosi się do wszystkich.

Ponadto perspektywa mistyczna odrzucał będzie sferę moralnej neutralności nie tylko ze względu na powołanie człowieka wobec Boga, lecz również ze względu na jego powołanie wobec świata. Dziś, w epokę indywidualizmu datującą się od czasów Renesansu, skoncentrowany na sobie człowiek rzadko jest świadom pełni swoich związków ze światem. Dziś skłonni jesteśmy sądzić, że przysługuje nam sfera nie tylko indywidualnej wolności, lecz również pełnej suwerenności. W sferze tej chcemy być panami siebie i sprawować udzielne rządy. Chętni wierzyć, że granice jej są tak nieprzekraczalne, iż skutki naszych myśli i czynów nie przedostają się na zewnątrz. Wprawdzie nauki przyrodnicze mówią nam, że jesteśmy częścią natury, ale świadomość tych powołani zadać się uzależniać nasze życie od jego zdeteterminowanej podstawy, zmniejszając w ten sposób zasieg ludzkiej odpowiedzialności.

Dawniej natomiast, w chrześcijańskiej Europie, w kulturach zbudowanych na innych podstawach religijnych, wierzenia narodziły, że człowiek jest mikrokosmosem, istotą nieustającą w sobie, ale stworzoną. Wiara ta obdarzała człowieka odpowiedzialnością nie tylko za siebie, ale i za cały świat. Żaden czyn, żadna myśl, żadne dążenie, użycie nie pozostawało bez wpływu na bieg świata. Można właśnie dlatego — jak mówi Koran — niebiańska. Nie miały wprawdzie władzy, a przerażenia, gdy Bóg chciał powierzyć im przebieg światem i płodzenie całego

stworzenia ciężar ten przyjął jedynie człowiek.¹⁵ Może właśnie dlatego żydowscy kabaliści uczyli, że każdy, najmniejszy nawet impuls powstały na ziemi wywołuje odpowiedni impuls w niebiosach; że każdy grzech pobudza działanie zła, każdy zaś dobry uczynek, każda szczerza modlitwa sprowadza błogosławieństwo na ziemię i przybliża dzień powszechnego zbawienia.¹⁶ Może właśnie dlatego mistycy chrześcijańscy wierzyli, że zjednoczenie człowieka z Bogiem odnawia świat, wyzwalając stworzenie z „niewoli zepsucia” (Rz. 8, 12), że kontemplacja zapobiega niszczeniu człowieka i całego kosmosu. Słowem, świadomy powierzonej sobie pieczy nad światem, człowiek podejmował misję kosmicznego mediatora, pilnując, by „promienie absolutu” padały bez przeszkód na powierzchnię ziemi.¹⁷ Świadomość owej misji zatem wykluczała pełną suwerenność człowieka, wykluczała sferę moralnie neutralną, gdzie konsekwencje myśli i czynów ograniczone są na ogół do własnego ja.

Dzisiaj, w zsekularyzowanych społeczeństwach typu europejskiego, myśl o człowieku jako mikrokosmosie odpowiedzialnym za bieg świata praktycznie rzecz biorąc zaginęła. Stąd przekonanie, że sferze myśli i uczuć przysługuje całkowita autonomia i suwerenność, a wpływ na obrót wydarzeń wywierać można jedynie w sferze społeczno-politycznej. Stąd neutralizacja moralna świata osobowego, którego dominancję stanowi na ogół tak czy inaczej pojęty interes własny. Cel życia to już nie zbawienie leżące w wymiarze pozazłemskim, ani też współuczestnictwo w procesie odkupienia świata, lecz zaspokojenie własnych materialnych i emocjonalnych potrzeb, a w najlepszym wypadku tak zwane samourzeczywistnienie.

Ideal samourzeczywistnienia pozostaje jednak w konflikcie z etosem chrześcijańskim, który przecleż uczy, iż „kto znalazł swe życie, straci je” (Mt 10, 39). A ponieważ etos chrześcijański, choć w osłabionej postaci, istnieje nadal w kulturze, orientacja życiowa nastawiona na budowę Królestwa Człowieczego musi dokonywać neutralizacji wskazań moralnych wywodzących się ze Starego i Nowego Testamentu. Nie wymagając od nikogo bezpośredniego odrzucenia zasad, które nadal cieszą się społecznym autorytetem, neutralizacja tworzy wygodną „sferę środka” zawieszoną niejako między dobrem i złem, sferę, gdzie wszelkie nasze ukty uznawane są za nieszkodliwe.

Czasami mówi się, że chrześcijaństwo wspiera się na świadomości zła i grzechu, że chrześcijańskim zostaje ten, kto wie, że dar zbawienia, udokumentowany Zmartwychwstaniem, stwarza świat na

nowo, uwalniając człowieka z zamknięcia spowodowanego grzechem i świadomością grzechu. Dawnej nauki Chrystusa przyjmował ten, kto czuł się grzesznikiem, kto swą postać był konfliktem między własnym życiem a normą zakorzenioną w porządku od ziemskiego hierarchicznie wyższym. Dzisiaj człowiek chętnie uwalnia się od poczucia winy ogłaszając bankructwo religii i śmierć Boga. W tym procesie wyzwolenia dopomaga mu wielu psychologów, socjologów, pedagogów i czasami duchownych, którzy głoszą całkowitą niewinność człowieka. Zapatrzeni w ideały wolnościowe, powstałe w duchowym klimacie Oświecenia, owi „ideologowie niewinności” odrzucają chętnie wszelkie uwarunkowania życia ludzkiego, traktując człowieka jako istotę autonomiczną, zdolną do nadania całkowitego sensu swojemu własnemu istnieniu. Poczucie winy skłonni więc będą traktować jako schorzenie narzucone człowiekowi przez fałszywą i zarazem represyjną ideologię, wadliwy porządek społeczny, bądź urazy psychiczne, wynikłe z nieprawidłowego wychowania. Przestępstwo, na przykład, traktowane jest często nie w kategoriach etycznych, a społecznych. Rzecznicy niewinności zdają się twierdzić, że człowiek, który, dajmy na to, zamordował kogoś, nie jest ściśle rzecz biorąc, winien swego czynu. Winę ponosi społeczeństwo (które wobec tego należy przekształcić w drodze rewolucji lub reform) bądź spłot, okoliczności społeczno-psychologiczne, który u naszego „przestępcy” spowodował ostry stan nieprzystosowania. W takim więc wypadku nie należy nikogo obciążać winą, ani tym bardziej karać, lecz podjąć odpowiednie kroki terapeutyczne, które usuną konflikt między jednostką a społeczeństwem, likwidując stan nieprzystosowania. Będzie to operacja moralnie obojętna, tak jak moralnie obojętne jest usunięcie awarii powodującej przerwanie dopływu prądu elektrycznego.

W pedagogice wyznawcy niewinności powiadają, że człowiek jest z natury dobry i że należy mu pozwolić na swobodny, niehamowany rozwój wszystkich potencjałów. Zło zakorzenione jest w świecie, jego obyczajach, praktykach i wymaganiach. Należy więc w miarę możliwości pomijać zasady i normy narzucone przez świat, rozwijając suwerenność jednostki, która jest źródłem wartości. I wreszcie, ponieważ ideałem takiej pojętej pedagogiki jest samorealizowanie, realizacja potencjałów, *hic et nunc*, wszelkie zasady moralne odwołujące się do transcendencji uważane będą za szkodliwe i represyjne. Zakres ludzkiej odpowiedzialności traci zatem sankcje ostateczne; rozliczanie człowieka z jego czynów jest albo sprawą przypadku wynikłego z konfliktu moralnego albo też

ogranicza się do sfery interesów danej grupy społecznej. Człowiek pozostaje w zasadzie niewinny.

Nie miejsce tu na wyczerpujące omówienie wszystkich konsekwencji płynących z deklaracji niewinności człowieka. Trzeba jednak podkreślić, że programowe lokowanie zła w świecie zewnętrznym i jego wadliwych urządzeniach ogranicza swobodę decyzji człowieka. Skoro moje działanie podyktowane jest, powiedzmy, kompleksem Edypa, czy mieszczańskim wychowaniem, tracę odpowiedzialność za własne czyny, a tym samym wolność. Zyskuję wprawdzie niewinność, ale uzależniam się od bezosobowych sił i procesów. Im większa sfera moralnie neutralna, tym mniejsza odpowiedzialność i tym większe zniewolenie.

Deklaracja niewinności pociąga za sobą nie tylko eksterioryzację zła, ale także podporządkowanie człowieka inicjowanemu świadomości procesom „inżynierii społecznej”, które zmierzają do eliminacji zła. Skoro zło zlokalizowane jest w wadliwych konstrukcjach społecznych, odpowiedzialność za ich przeniesienie przejmuje nie jednostka, lecz społeczne (a najczęściej państwowe) urządzenia naprawcze. Urządzenia te zdejmują ze mnie odpowiedzialność za szereg decyzji życiowych i w imię tak mego własnego, jak również społecznego interesu dbają, bym nie podejmował zbyt wielkiego ryzyka i nie zrobił sobie krzywdy. Jest to nie tylko złośliwe schorzenie systemów opieki społecznej, lecz logiczna konsekwencja strachu przed cierpieniem i przeświadczenia, że cierpieć niewinnie, że cierpienie leży poza mną, w obiektywnych procesach świata. Walka z cierpieniem, powierzona powołanym do tego ekspertom i kierowanym przez nich instytucjom, to jeden z podstawowych elementów „kultury analgetyków” (opisanej przez Leszka Kołakowskiego), formacji cywilizacyjnej praktykującej znieczulenie szeregu procesów życiowych. „Do wybitnie wyróżniających się rysów naszej cywilizacji — pisze Kołakowski — należy przeświadczenie (praktykowane raczej niż wypowiedane), że bezpieczeństwo od cierpienia warte jest każdej ceny i że w szczególności dobra, których wartości wymierzyć niepodobna, a których bezboleśnie zarazem nie da się nabyć, są wymysłem maniaków lub popłuczyną po zabobonach.”¹⁸ Dodajmy, że cierpienie jest sprawą względną i w przypadkach mniej oczywistych niż fizyczny ból obiektywne wyznaczenie progu cierpienia jest rzeczą zgoła niemożliwą. W społeczeństwach ubogich cierpienie wywoływane będzie niezaspokojeniem elementarnych potrzeb człowieka. W społeczeństwach zamożnych natomiast, zwłaszcza tych, gdzie zamiera społeczna pamięć

dawnej nędzy, próg cierpienia sytuowany będzie w sferze gdzie indziej uważanej za luksusową.

Doświadczenia krajów zachodniej Europy pouczają (pisał o tym niedawno francuski socjolog Raymond Aron¹⁹), że zaspokojenie szeregu mniej lub bardziej elementarnych potrzeb na skalę społeczną nie tylko nie wywołuje stanu względnego zadowolenia, lecz przeciwnie: stwarzając nowe potrzeby, zaostża poczucie niesprawiedliwości i wzmacnia żądania dalszych korzyści. Na przykład w Szwecji brak domku letniego — jeśli nawet nie wywołuje poczucia ubóstwa w świadomości poszczególnych ludzi — stanowić może dogodny dla niektórych publicystów i polityków argument, świadczący o braku sprawiedliwości, a zarazem potrzebie przyspieszenia społecznych procesów rewindykacyjnych. W atmosferze przesyconej moralnym patosem walki w obronie uciszonych kwestionuje się czasem możliwość utrzymania się rodziny, której dochody i stopa życiowa mogą być przedmiotem zazdrości nie tylko ze strony znakomitej większości mieszkańców wschodniej Europy, lecz również ich lepiej sytuowanych bliźnich w wielu krajach Zachodu. A zdumieni przybyśże ze wschodniej Europy ubolewania nad nędzą przecietnej szwedzkiej rodziny nazywają po prostu bluźnierstwem.

Bluźnierstwo czy cierpienie? Rozsądek nie rozwiąże tego problemu *in abstracto*. Wszystko zależy od oczekiwań społecznych, od kontekstu cywilizacyjnego i od orientacji światopoglądowej wyznaczającej zakres wartości. Skoro jednak mówimy o cywilizacji współczesnego Zachodu, w której Szwecja, pomimo względnego odosobnienia, jest przypadkiem pod wieloma względami modelowym, musimy zwrócić uwagę na dwa bardzo istotne elementy dyktujące kierunek ludzkich poczynañ: stałe dążenie do maksymalnego wzrostu stopy życiowej oraz systematyczną eliminację cierpienia. Ponieważ w mitologii społecznej stworzonej przez myśl liberalną i lewicową oba te czynniki otrzymały nobilitację moralną poprzez włączenie ich w procesy rewindykacyjne, czerpiące inspirację z ideałów równości i sprawiedliwości, cierpienie i ubóstwo stały się jednoznacznym złem. Za ochronę przed nimi, za ich uniknięcie, człowiek współczesnej cywilizacji technologicznej gotów jest płacić niemal każdą cenę. Odruch przyjsia z pomocą drugiemu człowiekowi, odruch ulżenia mu w cierpieniu, przerodził się w stale postępującą rozbudowę społecznej analgezy. Analgeza zaś, czyli znieczulenie, przyczynia się do neutralizacji biblijnych norm moralnych, opartych, między innymi, na głębokim przeświadczeniu o wartości cierpienia. I w taki oto sposób po-

szerza się tradycyjnie mieszczańska „stera środka”, gdzie uczynki i myśli człowieka igrają swobodnie, nie narażone na wyroki moralnej władzy sądzenia.

Pomijamy tutaj próbę odpowiedzi na pytanie, dlaczego chrześcijański odruch pomocy bliźniemu wydał w naszych czasach owoce w postaci urządzeń i instytucji starających się zabezpieczyć hermetycznie człowieka przed cierpieniem i podejmowaniem ryzyka. Chodziło tu jedynie o uwypuklenie kontrastu między klimatem moralnym sytych i swobodnych społeczeństw Zachodu, które wyksztaciły „stere środka” zwalniającą nas w pewnej mierze od wyborów między dobrem a złem, a sytuacją dramatycznych napięć moralnych, powstałą w warunkach ustroju totalitarnego. W „kroleswie etycznej neutralności” rządy sprawuje kompromis, nie narażając nikogo na dramatyczne dylematy i na przymus radykalnych wyborów między dobrem a złem. Problematyka moralna, wchłonięta przez systemy społecznej analizezy, traci rozmach i ostrość. I w tym leży cały dramat.

Przybyszów ze wschodniej Europy niejednokrotnie wprawiała w zdumienie, na Zachodzie teatralność pewnych postaci protestu społecznego. Słowa bez pokrycia, dziwaczne grymasy obrzydzenia, niewytłumaczalne gesty ostatecznego potępienia, przeraźliwe krzyki zwiastujące upadek starego świata i powstanie nowego — wszystko to wydawało się nam często chorobliwym wynalazkiem ludzi, którzy utracili kontakt z rzeczywistością. Długie włosy jako symbol protestu społecznego byliśmy skłonni uznawać za zjawisko zbyt trywialne, by je brać poważnie. Filiacje polityczne zachodnich „poszukiwaczy sprawiedliwości” przerażały nas ze względu na niebezpieczne pokrewieństwa z tym, co dla nas było najgorsze: z totalitaryzmem brunatnym lub czerwonym. Dlaczego w księgarni przeznaczonej dla „długowłosej klienteli” w słynnym uniwersyteckim mieście Cambridge, obok traktatów mistycznych, kursów buddyzmu Zen, dzieł Hermanna Hesse czy *Kapitału* Marksa można było znaleźć *Mein Kampf* Hitlera, *Czerwony książęczek* Mao i kilka tomów *Dzieł Wybranych* Kim Ir Sena w angielskim przekładzie? Czy ten dziwaczny melanz nie świadczył o pomieszaniu myśli, przybranej w rewolucyjny kostium? A traktat amerykańskiego radykała Abbie Hoffman *Revolution for the Hell of It* (Rewolucja dla drakii) — czyż nie mówił o rewolucji pustego gestu, dokonanej na zamkniętej scenie własnej świadomości? Albo tak bardzo irytujący nas obyczaj nazywania każdego politycznego i ideowego przeciwnika — ba, nawet każdego Boga ducha winnego mieszcza-

— faszystą, czyż nie dowodził rozpaczliwej próby nadania wiarym poczynaniom wymiaru apokaliptycznego?

Zwykłym krótkowłosym mieszcuchem nikt się nie przejmuję, natomiast faszysta wywołuje ogólne potępienie moralne. Reformy społeczne nie budzą już ani szczególnego zainteresowania, ani patosu moralnego, rewolucja totalna natomiast roztacza wizję ostatecznego zmagania dobra ze złem. Liczni radykalowie lat sześćdziesiątych i wczesnych lat siedemdziesiątych najwyraźniej nie znajdują zaspokojenia swoich pasji moralnych w ramach istniejącego społeczeństwa. Wszelkimi środkami — zarówno w sferze myśli społecznej jak i koncepcji światopoglądowych — dążą do rozsądzenia istniejącego porządku rzeczy. Protestowi społecznemu i obyczajowemu towarzyszą narkotyki — ostateczne wyzwanie rzucone cywilizacji mieszczańsko-technologicznej, w której nie ma czasu na haszyszową kontemplację.

Większość tych pustych — jak sądziliśmy — gestów, błazeństw czy pozbawionych odpowiedzialności działań stanowi, w moim przekonaniu, rozpaczliwy protest przeciwko przerostowi sfery środka. Wiara, iż mój przeciwnik jest faszystą, nie tylko nadaje ostateczny zgoła sens moim zmaganiom, lecz również wprowadza mnie z zakłętego koła sfery moralnie neutralnej. Świat podzielony na faszystów i nie-faszystów to świat, w którym zło odzyskało utracone kontury i wyszło z sieci kompromisów utkanych przez procesy analgezji. Świat zmierzający ku rewolucji totalnej to świat, w którym na nowo obowiązują radykalne wybory moralne: ujawniając zło, ujawnia on sens życia zawarty w polaryzacji światła i ciemności. Wyzwalając mnie z kręgu niezliczonych kompromisów, świat ten daje mi niepowtarzalną, wspaniałą szansę: możliwość wyboru dobra i odrzucenia zła. Dlatego polaryzacja rzeczywistości na złe gnidy i dobre anioły byłaby zapewne niedosięgłym marzeniem wielu zachodnich radykalów.

Coż daliby sfrustrowani obojętnością „rewolucjonści” za szansę znalezienia się w ustroju rzeczywiście podzielonym na gnidy i anioły, coż daliby za możliwość wzięcia udziału w zmaganiach z realnym, namacalnym złem? Jakże marzyliby o tym, by ich protesty, skromne i pozbawione efektów teatralnych, brane byłby poważnie przez władze. Jakże by chcieli pojeść do więzienia w obronie elementarnej godności ludzkiej, jakże by chcieli cierpieć za przeciwstawianie się demonicznej sile, która dąży do panowania nad światem. Niestety — sfera neutralna zamiast mecenstwa proponuje kompromis, zamiast walki ze złem, analgezję.

Zatrzymałem się na chwilę przy pewnej, przebrzmiałej już zresztą dzisiaj, formie protestu społecznego na Zachodzie, by podkreślić rzetelność i moralną powagę opozycji w ustroju totalitarnym. W zestawieniu z podziałem ludzi na faszystów i rewolucjonistów, z marnieniem o totalnej rewolucji inspirowanej wizjami „społeczeństwa ekstatycznego”, polaryzacja rzeczywistości dotkniętej ustrojem totalitarnym jest realna. Zło, z którym każdy styka się na codzień, jest wystarczająco namacalne, by działaniom opozycyjnym nadać głęboki sens, wykraczający często poza odruch doraźnego protestu. A jednak za postrzeganie świata z „manichejską” prostotą, za radykalny podział bliźnich na dobrych i złych, trzeba płacić cenę bez względu na okoliczności. Cena ta polega przede wszystkim na utracie z pola widzenia szeregu istotnych polaci rzeczywistości. Quasi-manichejska polaryzacja rzeczywistości na zło i dobro nie tylko wypacza obraz świata, lecz również uniemożliwia jego naprawę. Postawa radykalnie bezkompromisowa nakazuje odsuniecie się od świata, w którym panuje nieuleczalnie zło. Pamiętajmy, że w klasycznej wersji manichejskiej świat jest nie tylko upadły, lecz stworzony przez złego demurga. Oto powód, dla którego nie może być zbawiony. W tej perspektywie jakiegokolwiek współuczestnictwo w budowie świata nie tylko pozbawione jest celu, lecz również moralnego sensu. Dotknięcie świata brudzi i naraża na pogrążenie się w bagno przygotowanym przez złośliwego demurga. Dlatego właśnie manichejczycy nie wstępowali w związki małżeńskie i nie płodzili dzieci. I jedno, i drugie pojmowane było jako zbyt daleko idący kompromis ze światem i jego immanentnym złem.

Tymczasem ufomność naszej natury popycha nas do kompromisów, a na sztuce kompromisu, kultywowanej świadomie lub narzuconej przez życie, oparte są wszelkie formy ludzkiego współżycia. Są sytuacje, w których z bagna „gnidowatości” wyciągnięcie mnie propozycja kompromisu, manifestacja „niezłomności” natomiast pogrąży mnie na dobre. Wyciągnięcie ręki do drugiego człowieka, wymaga wnikięcia w jego położenie, niejako uczestnictwa w jego losie. Prawzoru takiego uczestnictwa, jak wiemy, dostarcza chrześcijaństwo w postaci nauki o Wcieleniu: manicheizm natomiast inkarnacji zaprzecza, twierdząc, że istota tak wzniosła jak Chrystus nie mogła i, pojąć na kompromis ani z materią, ani z kondycją ludzką. Manicheizm zatem to postawa *par excellence* bezkompromisowa.

Bezkompromisowość to również element walki, krancowej postaci naszego zachowania, która często stanowi wynik załamania się ludz-

kiego *modus vivendi*. Istnieją oczywiście momenty, kiedy podjęcie walki stanowi o godności człowieka, ale cnoty powstałe na polu bitwy zawiodą na ogół w procesie tworzenia form wzajemnego współżycia. Zbiorowości ludzkiej ukształtowanej przez kodeks wojenny grozi zubożenie duchowe. Dlatego bałbym się społeczeństwa powołanego przez elitę aniołów, przez tych, którzy brzydzą się kompromisem, a ludzi dzielą na gnidy i anioły, faszystów i rewolucjonistów, bądź potępionych i zbawionych. Z drugiej strony bałbym się społeczeństwa „sfery środka”, gdzie wszystkie wartości roztapiają się w bezbarwnym kleju kompromisów. Czyżby tu właśnie leżał dylemat? Czy trzeba wybierać między manichejskim obrazem dobra i zła a moralną obojętnością, między czystością a tolerancją i wreszcie między niepodległością a współżyciem?²⁰ Wydaje się, że rozwiązanie problemu, wypracowywane ciągle na nowo w zależności od konkretów danej sytuacji, leży właśnie w sferze kompromisu, który byłby owocem nie tyle sfrustrowanych pryncypiów, co dojrzałej niądności. A jeżeli w kulturze, w której wypadło nam żyć, archetypem kompromisu jest Wcielenie, skoro sam „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się Bogiem”, kompromisem nie wypada pogardzać.

Rzeczywistość bardzo rzadko jest jednoznaczna. Dlatego radykalny dualizm światła i ciemności ciążyć będzie w stronę fałszu, prawdę natomiast niejednokrotnie odnajdziemy w paradoksie. Na wieloznaczność i paradoks natykamy się w każdej religii. W chrześcijaństwie będzie to choćby połączenie bezkompromisowego wezwania do doskonałości z kosmicznym „kompromisem” Wcielenia, czyli zstąpienia Transcendencji w immanencję. W taoizmie będzie to wymowny symbol połączenia światła i ciemności, zwany Yin-Yang. Ów prastary diagram przedstawia pełnię podzieloną na pole białe i czarne: część biała wszelako zawiera cząsteczkę czerni, czarna zaś — bieli. Dawny chiński symbol mówi zatem o przemieszaniu bytu, o tym, że każda istota zawiera załazek swego przeciwieństwa. Dualizm obrazu świata, skondensowany w symbolu Yin-Yang, nie jest radykalny: przeciwieństwa są w istocie rzeczy pozorne, a rzeczywistość leży w „harmonijnej jedności”²¹. Słowem, całkowicie „czarno-białe” rozdwojenie świata okazuje się fikcją.

Przypisy:

- ¹ Zob. Krytyka nr 1 (Londyn), s. 90.
- ² Zob. Piotr Wierzbicki, „Traktat o gnidach”, *Zapis* nr 9, 1979 (Londyn). W tym samym numerze *Zapisu* opublikowana została odpowiedź Adama Michnika pt. „Gnidy i anioły”. Podane poniżej w nawiasach numery stron odnoszą się do tych obu tekstów.
- ³ Zob. *Philosophical Faith and Revelation*, London 1967, ss. 338-344, „Socrates, Buddha, Confucius, Jesus”, ed. by Hannah Arendt, New York 1962, ss. 66-69.
- ⁴ *Ideals and Realities of Islam*, London 1975, ss. 95-6.
- ⁵ Zob. Leo Baeck, „Romantic Religion” w: *Judaism and Christianity*, New York 1958.
- ⁶ Zob. Frithjof Schuon, *The Transcendental Unity of Religions*, rozdz. 8: „Universality and Particular Nature of the Christian Religion”, New York 1975.
- ⁷ Tamże.
- ⁸ Zob. Marco Pallis, „The Veil of the Temple” w: *The Sword of Gnosis*, ed. Jacob Needleman, Baltimore 1974.
- ⁹ Psalm 130, przekład Czesława Miłosza („Księga Psalmów”, tłum. z hebrajskiego Czesław Miłosz, Editions du Dialogue, Paris 1979).
- ¹⁰ „Catholicism and the Bourgeois Mind”, s. 200, w: Christopher Dawson, *The Dynamics of World History*, New York 1962.
- ¹¹ Tamże, ss. 203-210.
- ¹² Zob. *Slavery and Freedom*, New York 1944, s. 181.
- ¹³ Tamże, s. 188.
- ¹⁴ Zob. S.H. Nasr, *Ideals and Realities of Islam*, op.cit., s. 96.
- ¹⁵ Zob. S.H. Nasr, „Who is Man?” w: *Sword of Gnosis*, op.cit., s. 209; Gai Eaton, *King of the Castle — Choice and Responsibility in the Modern World*, London 1977, s. 199.
- ¹⁶ Zob. G. Scholem, *Major Trends in Jewish Mysticism*, New York 1961, ss. 232-241.
- ¹⁷ Zob. *Three Treatises on Man — A Cistercian Anthropology*, ed. Bernard McGinn, Kalamazoo, Michigan 1977, ss. 62-3; Frithjof Schuon, *Light on the Ancient Worlds*, London 1965, ss. 96, 132-135; George A. Maloney, S.J., *The Breath of the Mystic*, Denville, New Jersey 1974, ss. 154-57.
- ¹⁸ *Obecność miu*, Paryż 1972, s. 90.
- ¹⁹ „My Defence of our Decadent Europe”, *Encounter*, wrzesień-październik 1977.
- ²⁰ czyli między polskością a człowieczeństwem, jak widział to Norwid, Zob. artykuł St. Stommy „Kapelusz zdejmam przed ulicznikiem”, *Tygodnik Powszechny* nr 15, 13 kwietnia 1980.
- ²¹ Zob. J.C. Cooper, *Taoism*, rozdz. 3 („Yin-Yang”), Wellesborough, Northamptonshire 1972.

Konstanty Jeleński

„KULTURA”: POLSKA NA WYGNANIU*

Było to w 1956 czy 1957 roku, w kilka miesięcy po „polskim październiku” i po powrocie Gomułki do władzy. Wspólnie z kilkoma przyjaciółmi przybyłymi z Polski rozmawialiśmy o tym, jak mały wpływ jednostka może mieć na przenijany zachodzące w kraju. Ciekawiło mnie, jak konkretnie funkcjonuje system, i zaproponowałem następującą grę: każdy napisze na kawałku papieru nazwiska piętnastu Polaków uszeregowane według ich rzeczywistego lub potencjalnego znaczenia. Dwa nazwiska znalazły się oczywiście na czele wszystkich list — nazwisko Pierwszego Sekretarza i nazwisko Prymasa Polski (czasami *ex aequo*). Po nich następowali dwaj lub trzej członkowie Biura Politycznego, a potem już w rozmaitej kolejności: szef policji politycznej, redaktor naczelny tygodnika „*Po prostu*”, któryś z generałów podejrzewany o niepodległościowe nostalgia, Jan Nowak — dyrektor Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa, Antoni Slonimski — wówczas prezes Związku Literatów Polskich, kilku innych niezależnych intelektualistów, których autorytet przetrwał lata stalinowskie. Wśród nazwisk umieszczonych bliżej końca listy (ale za to przez wszystkich) znajdowało się nazwisko Jerzego Giedroycia, redaktora naczelnego *Kultury*, miesięcznika powsta-

* Artkuł zamieszczony w dziewiątym numerze miesięcznika *Le Débat* (Luty 1981), ukazującego się w Paryżu od roku 1980 nakładem wydawnictwa Gallimard pod redakcją Pierre Nora przy współpracy Marcia Gauchet, Krzysztofa Pomiana i in. Skróty (nieznaczne) pochodzą od redakcji. Przekład autoryzowany.

tego w 1947 roku i wydawanego w kilku tysiącach egzemplarzy w Maisons-Laffitte. Mimo, że blisko współpracowałem z *Kulturą* od samego początku, i że zdawałem sobie sprawę z tego, że jako owoc zakazany musiała cieszyć się popularnością w warszawskich środowiskach intelektualnych, nie w pełni pojmowałem tę przesadną — jak sądziłem — jednomyślność.

I oto po ćwierćwieczu, w 1979 roku, *Nowa* wydała wybór tekstów z *Kultury* poprzedzony taką oto przedmową (pióra Adama Michnika):

„*Kultura*” ukazuje się od trzydziestu dwóch lat. Jest pismem zasługującym na oddzielną monografię: pismem, które ma już swoją historię i swoją legendę. Towarzyszy polskiej inteligencji poprzez wszystkie jej dole i niedole wraz z książkami i ich charakterystyczną okładką. Miara znaczenia tego pisma i wydawnictwa — tropionego przez urząd celny i służbę bezpieczeństwa — może być liczba książek i autorów, których obecność w polskim życiu umysłowym zawdzięczamy podparyskiej, kilkuosobowej redakcji. Długa to lista. Widnieją na niej m. in. nazwiska i dzieła Gombrowicza, Miłosza, Kołakowskiego, Hostowca, Herlinga-Grudzińskiego, Vlučenja, Czapskiego, Jeleńskiego, Hirszowiczowej, Wierzyńskiego, Bieńkowskiego, Hłaski. „*Kulturze*” zawdzięczamy niecenzurowane pamiętniki Witosa, pisma Stawara, dokumenty i wspomnienia pomieszczone w „*Zeszytach Historycznych*”. Dodajmy do tego długą listę przekładów: Koestlera i Orwella, Arona i Camusa, Simone Weil i Dżilasa, „*Doktora Żiwago*” Borysa Pasternaka.

„*Kultura*” — pierwsza! — zaczęła publikować prace rosyjskich dysydentów, a wśród nich Solżenicyna, Sacharowa, Amalrika i Siniawskiego. Na tych łamach zawsze znaleźć można było obfitą dokumentację sytuacji na Litwie, Ukrainie i Białorusi. Porozumienie z tymi narodami było fragmentem linii pisma, które pierwsze zadeklarowało, iż Polacy winni wyrzec się swych aspiracji do Wilna i Lwowa.

Była to linia realistyczna. Nie w tym sensie, by kapitulować przed zniewoleniem, które było faktem realnym, ale by w realiach nowej rzeczywistości dostrzegać ziarno przyszłych dążeń niepodległościowych i demokratycznych. Z tych też powodów „*Kultura*” przeciwna była kontynuowaniu „państwa na wygnaniu”. Od samego początku formułowała postulat kontaktu z krajem tzn. z tymi środowiskami, które tu, nad Wisłą,

zmierzały do poszerzenia zakresu swobód demokratycznych. Jednocześnie podkreślano na tych łamach, że „Polska nie kończy się nad Wisłą”, że emigracja jest trwałym elementem polskiej społeczności.

Oskarżano „Kulturę” na emigracji o kryptokomunizm, a w krajowej prasie — o agenturalne związki z wywiadami USA, RFN itd. Gdy w 1968 r. potępiono w piśmie antysemicką kampanię — doszły oskarżenia o syjonizm.

Powiedzmy krótko: w znacznej mierze paryskiej „Kulturze” właśnie zawdzięcza polska inteligencja przechowanie ciągłości myśli politycznej, nienonkonformistyczny model kultury narodowej, „hamburską giełdę” postaw i wartości.

Nie jest to laurka — „Kultura” często bulwersuje i wzbudza sprzeciw. Wiele sądów i opinii tam pomieszczonych cechuje słaba znajomość i niezrozumienie krajowych realiów. Uświadomić sobie jednak należy, porównując dokonania emigracji współczesnej z tą „Wielką”, XIX-wieczną, że tamta emigracja miała swoich „wieszczów”, ale nie miała swojej „Kultury”. Autor tych słów widział jak skromnie, wręcz ascetycznie, żyją ci mniemani „agenci wszystkich wywiadów”, jak ofiarnie, często w osamotnieniu pracują nad kontynuowaniem swego dzieła.

Linie „Kultury” prezentował swą publicystyką Juliusz Mieroszewski (do śmierci w 1976 r.) i Gustaw Herling-Grudziński. Wyznaczał tę linię zawsze redaktor pisma — Jerzy Giedroyc. Najbliższymi współpracownikami Redaktora byli — przez cały okres istnienia pisma Zofia i Zygmunt Hertzowie.

Niniejszy wybór jest, nie tylko propozycją pasjonującej lektury dla krajowego czytelnika; jest również świadectwem wdzięczności polskiej opozycji demokratycznej wobec tych kilku osób, bez których wysiłku polskie życie umysłowe byłoby tylekroć uboższe.

Cytuję tę przedmowę *in extenso* dlatego, że wszystko zostało tu zwięźle powiedziane i to w publikacji reprezentatywnej dla lewego skrzydła polskiej opozycji przez człowieka młodego, urodzonego po wojnie w rodzinie należącej do starej elity partii komunistycznej.

Pozostaje mi tylko wyjaśnić ten doprawdy tajemniczy proces, w wyniku którego pismo i książki zakazane w Polsce, docierające do Polski tylko nielegalnymi drogami, w niewielkich wobec tego ilościach, sygnowane nazwiskami, których w środkach masowego prze-

kazu — zanim doszło do porozumień gdańskich — nie można było nawet wspominać doprowadziły do powstania „legendy”, której promieniowanie dociera do całej Europy Wschodniej i do ZSRR. Wiąże się to oczywiście z jakością tekstów drukowanych p. *Kulturę*, wiąże się to w większym jeszcze stopniu, wrócimy do tego, ze specyficznymi cechami polskiej inteligencji, lecz jest w pierwszy: rządzie zasługą jednego człowieka — Jerzego Giedroycia, człowieka mało znanego w Polsce, zanim powziął to ryzykowne przedsięwzięcie.

Udzielne księstwo na Maisons-Laffitte

Redaktor naczelny *Kultury* wywodzi się z książęcej rodziny litewskiej, której część uległa rusyfikacji, a część się spolonizowała. Należy on do gałęzi zrujnowanej w XIX wieku, w której zrezygnowano z używania tytułu, jak to wówczas bywało z chwilą, gdy trzeba było obrać zawód, choćby lekarza czy inżyniera. Giedroyc urodził się przed pierwszą Wojną Światową, dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Rosji i przeniósł się do Polski dopiero w kilka lat po Rewolucji 1917 roku. Sądzę, że jego zadziwiający los został z góry określony przez wstępny paradoks: jest on z natury zwierzęciem politycznym, lecz pozbawionym większości tych cech, które czynią człowieka działaczem politycznym. Jest niesmiały, obraźliwy; samotnik niezdolny do wygłaszania przemówień, ma duże trudności w bezpośredniej komunikacji z ludźmi (stąd jego kolosalna korespondencja), nie mówi żadnym obcym językiem poza rosyjskim (mimo trzydziestopięcioletniego pobytu we Francji nadal słabo włada francuskim). Jakim szczęściem dla polskiej kultury okazały się te trudności! Gdyby nie one, Giedroyc byłby dzisiaj być może ministrem w polskim rządzie emigracyjnym w Londynie, a *Kultura* nigdy nie ujrzałaby światła dziennego. Cóż zatem czyni człowiek pasjonujący się polityką, jeżeli świat polityki jest mu niedostępny? Zakłada oczywiście pismo. To właśnie uczynił w 1929 roku Giedroyc, publikując pismo *Mysł Mocarstwowa* (jego tytuł brzmiał z czasem *Bunt Młodych*, a potem *Polityka*), które skupiało młodych, niekonformistycznych intelektualistów piłsudczykowskiach zarówno z lewicy jak i konserwatystów. Zauważmy przy okazji dziwny fakt: tytuły dwóch najważniejszych tygodników komunistycznych we współczesnej Polsce *Polityka* i *Kultura* zostały zapożyczone od dwóch pism utworzonych przez Giedroycia.

W przedwojennej *Polityce* obecne były już załączki podstawowych idei emigracyjnej *Kultury*. Marzenie starego marszałka Piłsudskiego o federacji z sąsiadami ze Wschodu (Litwa, Ukraina, Białoruś) było bliskie Giedroycowi i jego przyjaciółom, byli oni jednak świadomi kolonialnego posmaku wszelkiej nostalgii do imperium Jagiellońskiego, tej unii „równych z równymi”, która pod berłem dynastii litewskiej doprowadziła w gruncie rzeczy do polonizacji elit litewskich i ukraińskich, a w końcu do sytuacji typu irlandzkiego (jeśli nie algierskiego). Jeden ze współpracowników Giedroycia pisał w 1937 roku w jego piśmie:

„Twierdzę, że posługiwanie się terminem «idea jagiellońska» ożywia i odnawia nadzieje na powtórzenie tych procesów, które we własnym interesie powinniśmy jako zupełne mrzonki czym prędzej zlikwidować. Zrozumiejmy, że ani Litwini, ani Ukraińcy, ani Białorusini nie mają najmniejszej ochoty zostać Polakami — i uszanujmy tę wolę”.

Widzimy zatem, że ostateczna rezygnacja z Wilna i ze Lwowa, do której *Kultura* nawoływała od początku wbrew olbrzymiej większości polskiej emigracji — była za to oskarżana o „zdradę” — miała głębsze przyczyny niż zwykły polityczny oportunizm.

Jeśli słusznie sędzę, że Giedroyc został redaktorem naczelnym pisma, skoro mógł podjąć bezpośredniego działania politycznego, to należy dodać, że w tej roli wykazał nadzwyczajne talenty. Nigdy w życiu — o ile wiem — nie napisał artykułu (jego wypowiedzi w *Kulturze* podpisane „Redaktor” ograniczone do szczególnie ważnych okoliczności są rzadkie, krótkie, precyzyjne).

Ma on wyjątkowy zmysł rozpoznania najmniejszych załączków na talent lub oryginalność, cierpliwość i upór w pozyskiwaniu potrzebnych mu współpracowników i w inspirowaniu ich, i — przede wszystkim — prawdziwy geniusz zaskoczenia, naglej wolty, mimo że zawsze zmierza do tych samych celów. Miał również, zwłaszcza na początku, wiele szczęścia, potrafił wykorzystywać sprzyjające okoliczności, potrafił je mnożyć niemal nie opuszczając swojego niewielkiego gabinetu zatłoczonego książkami i teczkami, siedząc za maszyną do pisania, na której uparcie stuka instrukcje na wszystkie strony świata. Mówi się, że Giedroyc nie ma przyjaciół, że potrafi się posługiwać tymi, którzy ulegają niewątpliwie fascynacji jego osobą, że pogardza swoimi rodakami. Niewątpliwie jego duma jest ogromna, a podziwiać potrafi jedynie bardzo rzadko (przyświecają mu chyba tylko dwa wzory — Piłsudski i de Gaulle). Lecz przypisywane mu wady okazały

się cechami opatrznosciowymi w jego losie emigranta. Jego pasja niezależności pozwoliła mu utrzymać się z dala od wszelkiej utwierdzonej władzy, odrzucić wszelką pomoc finansową, która mogłaby zagrozić jego autonomii. W 1947 roku istniało jeszcze w Londynie prawdziwe polskie państwo na wygnaniu z „prawomocnym” rządem (Konstytucja z 1935 roku dawała głowie państwa prawo mianowania następcy w razie wojny, a więc prawo do uwiecznienia się), istniały uznawane jeszcze polskie ambasady (aż do początku lat pięćdziesiątych jeździłem często po Europie z paszportem polskim przedłużanym przez ambasadę rządu londyńskiego przy Watykanie), istniał parlament, niezliczone instytucje, związek pisarzy. Na emigrację polityczną złożyli się w olbrzymiej większości niedawni żołnierze, którzy opuścili swój kraj, aby się bić z Niemcami na wszystkich frontach (dwa korpusy armii, lotnictwo, marynarka, brygada spadochronowa). Przez wiele lat żywili oni poczucie, że „ojczyznę nieśli ze sobą w plecaku”. Poczucie to można było odnaleźć nawet w języku. Nie mówiło się nigdy „Polska”, lecz „Kraj”, mówiło się „rząd warszawski”, bo „rząd polski” znajdował się w Londynie. Owo silne poczucie prawomocności nadawało bezpośrednio po wojnie pewną moc i jedność polskiej emigracji. W niektórych sytuacjach był to istotny atut. Pierwszy dyrektor polskiej sekcji Radia Wolna Europa — Jan Nowak, bohater ruchu oporu w kraju, kurier między Londynem i Armią Krajową, wywodzący się z przedwojennego ruchu opozycyjnej lewicowej młodzieży studenckiej, został na to stanowisko „mianowany” przez ów prawomocny rząd. Chociaż był funkcjonariuszem opłacanym przez Amerykanów, uważał, że został delegowany na to stanowisko, co umacniało jego poczucie niezależności wobec bezpośrednich zwierzchników i niewątpliwie ułatwiało mu przekonanie ich, na przykład, że należy bezwzględnie poprzeć Gomułkę w październiku 1956 roku i dzięki temu oszczędzić Polsce losu Węgier.

Dla Giedroycia problem przedstawiał się inaczej. Warto przypomnieć, że emigracyjne pismo jest zazwyczaj robione przez ludzi, którzy opuścili swój kraj aby, prowadzić z zewnątrz walkę z władzą, pod której rządami sami ucierpieli, i którą odrzucają. Ani Giedroyc, ani żaden z jego współpracowników nie przeżyli ani jednego dnia pod rządami komunistycznymi. Natychmiast po układzie jaltańskim Giedroyc jednak przewidział, że Polaków, którzy wskutek zmiennych kolei wojny znaleźli się za granicą, czeka długa emigracja, i podjął zamiar założenia wydawnictwa przy pomocy kilkoorga przyjaciół, między

innymi Józefa Czapkiego, Zofii i Zygmunta Hertzów i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Byli oni wówczas żołnierzami II Korpusu armii polskiej znajdującego się we Włoszech pod dowództwem generała Andersa. Pożyczka z „Funduszu Społecznego Żołnierzy” (zorganizowanego przez polskie dowództwo, żeby pomóc zdemobilizowanym w początkach życia cywilnego na obczyźnie), pozwoliła na zakupienie drukarni w Rzymie. W 1946 roku Instytut Literacki zaczyna funkcjonować. W następnym roku ekipa Instytutu sprzedaje drukarnię i przenosi się do Paryża, gdzie wynajmuje domek w Maisons-Laffitte i rozpoczyna publikowanie *Kultury*. Jest charakterystyczne dla Giedroycia, że postarał się możliwie szybko zwrócić pożyczkę, aby móc swobodnie krytykować posunięcia polityczno-wojskowego establishmentu polskiego na wygnaniu, nie będąc posądzanym o niewdzięczność. Wewnętrzna organizacja zespołu Instytutu Literackiego do dziś przypomina organizację kibucu lub falansteru. Mieszkanie i jedzenie opłacane jest z wspólnych pieniędzy, a redaktor naczelny i troje jego współpracowników otrzymują takie same pensje, bliskie najniższym płacom francuskim. To minimum jest zapewnione dzięki abonamentom (niemal dziesięć tysięcy, obecnie abonament kosztuje 210 franków rocznie). Wszystkie nadwyżki są inwestowane w publikowanie książek (Instytut rozpoczął publikować książki dopiero w 1953 roku, po zapłaceniu długów). Czesław Miłosz w artykule poświęconym Zygmuntowi Hertzowi zmarłemu w październiku 1979 roku przypomina:

„Ów pierwszy dom *Kultury*, wynajmowany przez nią przy Avenue Corneille p a v i l i o n wielkiej brzydoty i niewygody, i chłód podparyskiej zimy, na którą niezbyt pomagały pękate c h a u d i è r s ładowane węglem, i ta dzielnica ciągnących się kilometrami kasztanowych alei, zwali suchych liści i razem coś z dziewiętnastego wieku w Twerze czy Sarajewie... Ci, którzy biorą do ręki roczniki *Kultury* i książki wydane przez Instytut Literacki, i którzy będą je brać do ręki w przyszłości, powinni pomyśleć chwilę o garnkach kuchennych, o przygotowywaniu śniadania, obiadu i kolacji przez tę tam trzy-cztery osoby odpowiedzialne za redakcję, korekty i ekspedycję, o zmywaniu, o zakupach, na szczęście we Francji łatwych, i pomnożyć liczbę tych i podobnych zajęć domowych przez liczbę dni, miesięcy i lat. A także o sznurkach, papierze pakowym, o dźwiganiu, noszeniu, nadawaniu przesyłek na pocztę.”

Wszystko to prawda, lecz nie należy tego przypisywać — jak to czyni młody autor cytowanego wstępu do wydanego w kraju wyboru z *Kultury* — „ascezie” czy abnegacji. Założyciele *Kultury* spędzili pięć lub sześć lat w wojsku, a niektórzy z nich dotarli do wojska dopiero po pobycie w syberyjskich gwałach. Ich dawne przyzwyczajenia do komfortu czy luksusu nie miały już żadnej siły. Jest jednak i inny powód, dla którego doświadczenie *Kultury* nie mogłoby zostać obecnie powtórzone. Należymy do pokolenia i pochodzimy z kraju, w którym każdy projekt stworzenia poważnego pisma literackiego wymagał ogromnych wyrzeczeń, w którym pisanie na serio w wyjątkowych tylko wypadkach pozwalało zarobić na życie. Jedynie zamknięty krąg emigracji pozwolił *Kulturze* na tak długie przetrwanie na tym samym poziomie, uniknięcie zniszczenia przez tygodniki lub dodatki do wielkich dzienników, na uniknięcie subwencjonowania przez wielkiego wydawcę (a tym bardziej państwo).

Korzystam z okazji, aby sprostować tutaj po raz pierwszy i raz na zawsze tezę, którą polskie władze starały się głosić w artykułach, w policyjnej broszurze poświęconej *Kulturze*, a także w trakcie procesów politycznych działaczy opozycji, których przedstawiano jako agentów inspirowanych poprzez *Kulturę*, przez CIA. Współpracowałem już blisko z *Kulturą*, gdy w r. 1952 zacząłem pracować w sekretariacie Kongresu Wolności Kultury (i w Komitecie redakcyjnym pisma *Preuves*), o którym później dowiedziano się, że był za pośrednictwem rzekomo niezależnych małych fundacji amerykańskich tajnie finansowany przez CIA. W ten sposób znaleziono powiązanie wykorzystywane w wersji polskiej, wedle której byłem ważnym agentem międzynarodowym działającym „w trójkącie Waszyngton, Bonn, Tel Aviv”. Jak w powieści Gerdarda de Villiers przyjmowałem rzekomo Giedroycia w luksusowym biurze i przekazywałem mu rozporządzenia moich szefów oraz pliki banknotów. Nie będę na tym miejscu opisywał Kongresu i jego roli w latach pięćdziesiątych oraz sześćdziesiątych. Powiem tylko tyle, że w tym konkretnym przypadku ironia rzeczywistości przekraczała fikcję szpiegowskiej powieści. To właśnie dzięki moim przyjaciółom z *Kultury*, Giedroyciowi i Czapskiemu, którzy należeli do założycieli Kongresu Wolności Kultury powstałego w wyniku wielkiego zebrania w Berlinie Zachodnim w 1950 roku (Czapski od lat dwudziestych znał Mikołaja Nabokowa, sekretarza generalnego Kongresu), otrzymałem tę posadę, i to nie bez trudności, gdyż trzeba było całego autorytetu Raymonda Arona, aby mnie tam narzucić. Mieliśmy nadzieję — należy wyznac — że to wielkie sto-

warzyszenie intelektualistów anty-faszystowskich i anty-stalinowskich, tak przecież bliskie pojęciu *Kultury* o swojej roli, będzie mogło przyjsć miesięcznikowi z pomocą. Nic z tego nie wyszło i jedynie z trudnością udało mi się uzyskać od Kongresu dwieście czy trzysta tysięcy dawnych franków, kiedy *Kultura* została usunięta ze swego domku, i kiedy Giedroyc ogłosił publiczną zbiórkę, która nieoczekiwanie przyniosła piętnaście milionów niezbędnych do nabycia innego domu, również w Maisons-Laffitte. Wszystkie inne moje wysiłki zmierzające do wydobycia od Kongresu jakichś pieniędzy dla *Kultury* spęzły na niczym. Kiedy wiele lat później wybuchnął skandal związany z finansowaniem Kongresu, jego sekretarz wykonawczy Michael Josselson wziął na siebie całą odpowiedzialność. Jak większość przyjaciół i współpracowników Kongresu, mimo doznanego szoku, zachowałem całą przyjaźń i szacunek dla tego człowieka, który potrafił zapewnić całkowitą niezależność wszystkim pismom i innym przedsięwzięciom Kongresu (Hannah Arendt powiedziała mi kiedyś, że Josselson prawdziwą swą walkę prowadził z CIA o zachowanie tej niezależności). W czasie jednej z wielu rozmów, jakie potem prowadziliśmy, Josselson powiedział mi: „Rozumiesz teraz, dlaczego nie chciałem nigdy pomagać *Kulturze*. Dla pisma emigracyjnego mogło to pewnego dnia stać się niebezpieczne...”. Natomiast jeśli chodzi o dawanie „dyrektyw” Giedroycowi, którego poglądy były i są nieposzlakowane demokratyczne i liberalne, to trzeba stwierdzić, że zachowywał się on zawsze w odniesieniu do pisma jak stuprocentowy autokrata. Wiem coś o tym, ponieważ przez jakiś czas byłem wraz z trzema przyjaciółmi członkiem „zespołu” *Kultury*, który Giedroyc powołał zapewne po to, żeby czytelnik uzyskał odpowiedni obraz funkcjonowania pisma. Żaden jednak z członków zespołu nie znał nigdy nawet spisu treści następnego numeru, sprawy najlepiej zachowanej w tajemnicy na całym naszym świecie, gdzie zawsze choćby nieliczni dowiadują się o wszystkim. Jestem przekonany, że Giedroyc nadal cierpi nad tym, że co najmniej jedna osoba spośród trójga jego najbliższych współpracowników musł choćby w drukarni poznać tę tajemnicę. Nic więc dziwnego, że ten pierwszy i jedyny zespół wkrótce się rozpadł i nie wspomniano o nim już nigdy, ani w piśmie, ani między nami. Nic nie zapowiadało wówczas nadzwyczajnego sukcesu *Kultury*, lecz już wtedy wiedzieliśmy, że niezwykła pasja tego człowieka wyzutego z wszelkiej ambicji osobistej, lecz zdecydowanego wyrzucić wpływ na losy swego kraju, na losy całej Europy Wschodniej (a podejrzewam, że i na losy całego świata), stanowiło siłę sprawczą

potężniejszą od wszelkiego wysiłku zbiorowego. Polacy dobrze zdają sobie z tego sprawę, ci Polacy, którzy napływają teraz do Maisons-Laffitte, tak prawie jakby to było emigracyjne Colombes-les-Deux-Eglises. Przecież przez przyjazną ironię młodego polskiego pisarza, który w jednym z „niezależnych pism” mówi o „udzielnym księstwie na Maisons-Laffitte”, przebija podziw.

Endecy i inni

Trzeba dokonać pobieżnej próby archeologii polskiej inteligencji aby uchwycić wspólny mianownik na pozór tak niejednorodnego środowiska współpracowników *Kultury*, w którym znaleźli swoje miejsce pilsudzczyści i eks-komuniści, lewicowcy i liberalni konserwatyści pochodzenia ziemiańskiego lub z burżuazji (często pochodzenia żydowskiego), rzadziej pochodzenia chłopskiego, i jeszcze rzadziej robotniczego. Wszyscy socjologowie zgadzają się co do tego, że polska inteligencja przejęła stereotypy od szlachty, klasy tak mało podobnej do europejskiej *noblesse*, choćby z racji liczebności — w końcu XVIII wieku stanowiła ona 12% społeczeństwa. Szlachty, która kultywowała mity wolnościowe i równościowe (przecież ustrojem polsko-litewskiego państwa przed rozbiorami była rzeczpospolita szlachecka) i która w dziewiętnastym wieku stała się podatna na idee lewicowe, gdyż jedynie lewica europejska popierała walkę Polaków o niepodległość. Zrujnowana, przebywająca na emigracji lub zsyłana na Syberię po kolejnych powstaniach, drobna polska szlachta odrywana była od ziemi, osiadła w miastach mieszała się z inteligencją. Inteligencja jako grupa działała na zasadzie kooperacji, która obejmowała nawet komunistów (wprawdzie nielicznych), tak że można dziś prześledzić rodowód polskiego establishmentu (zarówno od strony władzy jak i opozycji) co najmniej od powstania 1983 roku, a w każdym razie znacznie poza datę przejęcia władzy przez komunistów. Dopiero przejęcie władzy przez Gierka w 1970 roku oznacza zerwanie tej ciągłości przez nową, jednorodną, wyrosłą z awansu społecznego klasę ukształtowaną w szkołach partyjnych, mało zainteresowaną ideologią, wrogą wobec intelektualistów, która próbuje oprzeć się na „racji stanu” czy mglistej „solidarności moralno-politycznej narodu” (pojęcie to zostało upowszechnione w latach siedemdziesiątych i — paradoksalnie — zostało odwrócone przeciwko władzy przez robotników w Gdańsku). *Res Publica* tak

przedstawia ów „zastygły obraz przeszłości”. Jaki jeszcze niedawno (gdyż wydarzenia sierpniowe zburzyły ten stan rzeczy) rysował się w retoryce reżimu:

„Jest to wizja szlachetnych dziejów społeczeństwa, któremu często nienajlepsi zdarzali się przywódcy, które — w domniemaniu — dopiero teraz ma przywódców właściwych. Jest to wizja społeczeństwa, w którym wszyscy — wierzący i niewierzący, lewica i prawica — chcieli dobrze.”

W przededniu wybuchu wojny różnice pomiędzy lewicą i prawicą były w Polsce bardzo wyraźne, prawdziwa przepaść istniała jednak na planie nie tyle politycznym, co uczuciowym, oddzielając prawicę nacjonalistyczną, spadkobierczynię Romana Dmowskiego i głównego przeciwnika Józefa Piłsudskiego od pozostałych formacji politycznych, czy to z lewicy, czy z prawicy. Ta antysemitka i szowinistyczna prawica skupiona wokół wielkiej partii narodowo-demokratycznej miała dwa oblicza: oblicze masowe, a więc „Polaka-katolika”, drobnomieszczańską wcielenie wiecznego faryzeusza, oraz oblicze drugie, jeszcze bardziej ponure i groźne — faszystujący band ONR Falanga, które po wojnie zostały przekształcone przez ich przywódcę, Bolesława Piaseckiego i wkomponowane w ustrój komunistyczny, tworząc stowarzyszenie PAX — grupę katolików współpracujących z ustrojem. I nawet jeżeli po śmierci starego marszałka Piłsudskiego w 1935 roku część „mafii pułkowników” — jego bezradnych następców — uciekła się do kokieterijnych gestów pod adresem skrajnej prawicy, to nadal trwały liczne więzi, czy to osobiste, czy intelektualne pomiędzy piłsudczykami i ludźmi lewicy. Więzy te były zresztą silnie zakorzenione w przeszłości, gdyż starzy piłsudczycy wywodzili się w większości, podobnie jak sam Piłsudski, z partii socjalistycznej (nie należy zapominać, że zamach stanu przeprowadzony przez Piłsudskiego w maju 1926 roku przeciw systemowi parlamentarnemu został poparty przez polską partię komunistyczną). W pasjonującym wywiadzie przeprowadzonym przez Czesława Miłosza (dwa wielkie tomy zatytułowane *Mój wiek*), poeta Aleksander Wat, założyciel *Miesięcznika Literackiego*, intelektualnego czasopisma bliskiego partii komunistycznej (który, oczywiście, współpracował z *Kulturą*, kiedy opuścił Polskę w 1963 roku) opisuje z humorem to przedziwne przemieszanie komunistów i piłsudczyków: „Kiedy lewiczowi pisarze przyzywający z Zachodu, Niemiec lub Francji, choćby Priacel, sekretarz

247

Brabussa, nie mogli nadziwić się widząc nas, zeromadzonych przy jednym stoliku kawiarnianym, na przykład w Ziemiańskiej, w towarzystwie pułkowników... Rozumiesz, mieliśmy cudownie idylliczne stosunki z rządem, to strasznie rozjuszało, mieszcuchów. W warstwach wyższych to było bardzo dobrze widziane.

Wat przywołuje także wspomnienie graniczące niemal z groteską. Po zamknięciu przez rząd *Miesięcznika Literackiego* Wat i jego towarzysze zostali zatrzymani i osadzeni w więzieniu, gdzie otrzymali od Wieniawy-Długoszewskiego (adiutanta i tołumackiego Piłsudskiego) dwie skrzynki „wódki pierwszej kategorii, kawioru itd” od Hirsfelda.

Ten szkic nie ma oczywiście żadnej ambicji socjologicznej czy historycznej i jest w sposób oczywisty zabarwiony młodzieńczymi urazami (opuściłem Polskę w wieku 17 lat, w 1939). Mój młody przyjaciel z Polski (opozycyjny „neo-konserwatysta”) powiedział mi niedawno: „Jeden z najbardziej karygodnych uczynków endeków to to, że przez nich tylu Polaków twojej generacji na zawsze zakrepiło w lewicowej wrażliwości.” Mam jednak nadzieję, że dzięki temu mogłem także ukazać jedyny wspólny mianownik „środowiska Kultury”: wrogość wobec tego składnika polskiej tradycji, jakim jest nacjonalizm, którego odrodzenia — przed wydarzeniami w Gdańsku — tak się obawiałem, a który, tym razem, nastąpiłby przede wszystkim jako skutek najbardziej karygodnych uczynków systemu. Mam też nadzieję, że pozwoliło mi to wythumaczyć „pozaideologiczną” naturę tylu stosunków społecznych w Polsce przedwojennej, gdzie niemal każda „prawicowa” rodzina miała jakichś kuzynów „na lewicy” (i odwrotnie). Wychowywany przez babkę, za młodu słynną piękność, która ubierała się w Paryżu i spędzała czas pomiędzy Biarritz a Karlsbadem, często miałem okazję spotykać u niej jej brata, Stefana Czarnowskiego, marksistowskiego antropologa, który wywarł wpływ na większość komunistycznych intelektualistów polskich: Józef Czapski, jeden z najbliższych Giedroycowi ludzi, z arystokratycznej i kosmopolitycznej rodziny, jest bratankiem Cieczerina, pierwszego komisarza spraw zagranicznych ZSRR.

Pozwala to zrozumieć, dlaczego nigdy nie zostały zerwane związki między emigracją a krajem. Kontakty były rzadkie w pełni okresu stalinowskiego, ponieważ pozwalano wtedy wyjeżdżać za granicę jedynie uprzywilejowanej garstce: ludzie ci obawiali się naturalnie tego typu inicjatyw, mogłyby być one wykorzystywane przeciwko nim (zwłaszcza jeśli byli członkami partii) przy łada jakiej zmiany linii

politycznej w radzieckim bloku. Zdarzały się jednak wyjątki i kilku przyjaciół z moich dzieciennych lat, a także przyjaciele rodziców, którzy stali się dygnitarzami nowego systemu, widywali się ze mną zawsze podczas pobytu w Paryżu. Po Październiku 1956 związki te ustaliły się na dobre i żadne naciski wywierane przez władzę nie zdołały ich już nigdy osłabić. Nie więc dziwnego, że większość polskich pisarzy, którzy byli zmuszeni opuścić swój kraj (od Miłosza do Marka Hłasko i Leszka Kołakowskiego), od razu nawiązywali współpracę z *Kulturą*; i że jeden z najbardziej cenionych komunistycznych intelektualistów, Andrzej Stawar, będąc już ciężko chory udał się do Maisons-Laffitte aby tam umrzeć, powierzyszyszy przedtem *Kulturze* swoją ostatnią książkę. Od wielu lat dobra dziesiątka polskich pisarzy mieszkających na stałe w kraju publikuje książki w wydawnictwach *Kultury*, zaś swoje teksty w piśmie, podpisując je swoim własnym nazwiskiem (większość spośród nich jest pozbawiona prawa druku w Polsce), podczas gdy wielu innych, zwłaszcza spośród młodych, pisuje w nim pod pseudonimem.

Trzeba do tego dodać, że *Kultura* odrzekła się zdecydowanie od stosowania ostracyzmu wobec tych Polaków, którzy rezygnowali z powojennej wewnętrznej emigracji, aby włączyć się w nowy system kulturalny, ekonomiczny lub społeczny, a także wobec emigrantów, którzy zdecydowali się na powrót do Polski; ostracyzmu, który początkowo stosowany był przez całą emigrację.

Nonkonformizm w skali wschodnio-europejskiej

Odczytującemu stare numery *Kultury* rzeka się w oczy, że pismo w sposób precyzyjny i często proroczy chwyciło krajową rzeczywistość. Trzeba dodać, że oprócz zgodnej postawy dotyczącej zasady demokracji i równości społecznej, oprócz wyjątkowej czujności na wszelkie przejawy szowinizmu, a zwłaszcza antysemityzmu, ani Giedroyc, ani żaden z jego współpracowników nie byli obciążeni względami ideologicznymi, co pozwalało piśmu na często zaskakujące wolty. Tak więc po początkowym okresie popierania amerykańskiej polityki „liberation”, *Kultura* stała się pierwszym intelektualnym środowiskiem w Europie, które oskarżyło USA i ZSRR o „obiektywne” współnictwo i interpretowało „zimną wojnę” jako grę mającą na celu uwiecznienie podziału świata przeprowadzonego w Jaltie. Jeden z ówczesnych współpracowników *Kultury*, o błyskotliwej inteligencji, lecz politycz-

ny fantasta, stanowczo wręcz utrzymywał, że istnieje tajny układ tego typu, znany jedynie pierwszemu sekretarzowi partii w ZSRR i prezydentowi USA, i przekazywany ich następcom, którzy doznają szoku otwierając zapieczętowaną kopertę. Mówiąc poważniej: jeszcze zanim *Le Monde* wystąpił ze swoimi „neutralistycznymi” koncepcjami, *Kultura* sformułowała projekt „Klubu Trzeciego Miejsca”, mający na celu utworzenie bloku państw „niezaangażowanych”.

W odniesieniu do polskiej rzeczywistości, *Kultura* przeciwstawiała się od początku wszelkim rojeniom o powrocie do kapitalizmu, starała się rozpowszechniać koncepcje samorządu, spółdzielczości i syndykalizmu. Ten punkt widzenia był niestrudzenie podtrzymywany przez Juliusza Mieroszewskiego (mieszkającego w Londynie), który marzył o utworzeniu w Polsce socjalistycznego welfare state. Nic zatem dziwnego, że dosyć prędko doszło do porozumienia między pewnymi polskimi rewizjonistami a *Kulturą*, i że ta ostatnia udzieliła Gomułce w 1956 roku całkowitego poparcia.

Trudno jest dociec (można by to ustalić jedynie na drodze badań archiwalnych i historycznych, do których nie mam ani kompetencji ani czasu), czy te woltę *Kultury* w odniesieniu do polskiej polityki wewnętrznej wyprzedzały, czy też były następstwem zmian opinii i nastawienia opozycji krajowej. Zapewne większość tych wolt była uzasadniona. Jeśli więc *Kultura* wprawdzie udzieliła poparcia Gomułce, to przecież zrywa z nim definitywnie, gdy tylko likwiduje on w 1957 roku czołowe pismo Października, podczas gdy niektórzy polscy rewizjoniści nadal podtrzymywali to poparcie z braku realistycznej alternatywy. Natychmiastową reakcją *Kultury* na antysemitką kampanię rozpętaną w Polsce w latach 1967-68 pod płaszczykiem antysyjonizmu należy przypisać najbardziej trwałym rysom polityki pisma. Jest to poniekąd losem pism emigracyjnych (oczywiście, pod warunkiem, że są one bezinteresowne i niezależne), że mają one rację wcześniej niż inni, ale także mniejszym kosztem, funkcjonują one bowiem w oderwaniu od wszelkich układów społecznych i ich uwikłań. Giedroyc mógłby mi odpowiedzieć, że drogo zapłacił za tę niezbędną niezależność i kredyt politycznej bezinteresowności: pierwsze batalie, dzięki którym je zdobył, musiał przecież stoczyć przeciw polskiemu establishmentowi emigracyjnemu, a więc przeciw „swoim”. W ten właśnie sposób interpretuję także — choć w gruncie rzeczy nie wiem, czy była to z jego strony strategia całkowitego świadoma czy też instynktowna — stałą wojnę, często niesprawiedliwą, którą prowadzi z potężną radiostacją Wolna Europa. Wojna ta przy-

sporzyła mu wrogość Amerykanów i dużej części polskiej emigracji; jest także niezrozumiała dla krajowych czytelników pisma, dla których rozgłosnia ta stanowi źródło codziennej informacji. Jakby jednak nie było, te ciągle prowokacje, zaczepki, nieustanne nękanie, stanowiły próbę, przez którą trzeba mu było zapewne przejść, by ostatecznie utrwalić swój kredyt niezależnego sądu. Takie postępowanie nie obywat się bez ryzyka i *Kultura* straciła w wyniku tych i im podobnych zaczepek wielu prenumeratorów. Ale każda kolejna fala emigracji przynosiła nowych czytelników, którzy zastępowali zniechęconych tradycyjistów. Podczas gdy inni pozostawali mimo wszystko wierni piśmu, gdyż — trzeba to jasno powiedzieć — nonkonformizm *Kultury* nie odbiega od polskiej tradycji, z pewnością mniejszościowej, ale odwołującej się do tak nieposzlakowanych wartości kulturalnych, społecznych, politycznych, że większość zajadłych nawet polskich konformistów nie odważa się od niej odciąć, zwłaszcza jeśli pomyśli o Mickiewiczu, Słowackim, Norwidge, którzy przecież także za życia uchodzili za bluźnierców zanim zostali zabalsamowani i przerobieni przez szkolne nauczanie na święte relikwie.

Wreszcie, nie można także zlekceważyć „szczęścia”, które sprzyjało Giedroyciowi w pierwszych latach istnienia *Kultury*. „Dzieje narodów mają swoje misteria — pisze Czesław Miłosz w *Ziemi Ulro* — i do nich należy powołanie polskiego słowa, pisanego po różnych zagranicach”. W wieku XIX, w ponurych latach, które nastąpiły po klęsce powstania 1830 roku, najwięksi polscy poeci żyli i publikowali swoje najważniejsze dzieła w Paryżu. Podobnie stało się po ostatniej wojnie, i to właśnie w *Kulturze* dwaj najwięksi polscy pisarze współcześni — Witold Gombrowicz i Czesław Miłosz — opublikowali swoje najcenniejsze utwory. Niezależnie od wagi tych dzieł, wzmacniały one pozycję *Kultury*, zarówno w stosunku do zniewolonej Polski komunistycznej, jak do zastępczej Polski emigracyjnej. Jedyne wspólne mianownik pomiędzy Gombrowiczem i Miłoszem to właśnie podważanie stereotypów polskiej kultury, odgrywających równie ważną rolę w kraju, co na emigracji (jakkolwiek interpretowanych w skrajnie odmienny sposób). Obaj czynili to w imię polskości niezakłamanej, tej, którą polski establishment kulturalny wstydlawie skrywał, uparcie powołując się (trochę jak ubogi krewny) na swoją przynależność do wyidealizowanego „Zachodu”. „To nie jest sztuka dla sztuki, to sztuka dla Zachodu”, pisał Gombrowicz i oświadczał, że nie widzi, łączącego polski hreczkosiej „nie miałby być najnowocześniejszym

człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny". Miłosz zaś lepiej niż ktokolwiek krytykował polski prowincjonalizm, zawsze czyhający na ostatnią modę Zachodu. Obaj ustawiali się w pozycji rywali Zachodu i upominali się o prawo do odrębności: Gombrowicz broniąc swojej indywidualności („Jednostka jest ważniejsza niż naród. Jestem ważniejszy niż naród”), Miłosz w imię własnej wizji świata i polskiej historii. Nienawistne przyjęcie, jakie zgotowała im obu zarówno większość emigracji jak Polska „oficjalna”, przyczyniło się w ogromnej mierze do ustalenia pozycji *Kultury* i do wzmocnienia prestiżu, który spływał na nią po części z tego niezwyklego szacunku, jakim zaczęli niebawem się cieszyć w swoim kraju ci dwaj pisarze, i który jest im dziś okazywany nawet przez czynniki oficjalne i środki masowego przekazu. Przypomnijmy, że zanim Miłosz dostał nagrodę Nobla, Gombrowiczowi na rok przed śmiercią zabrakło do tej nagrody jednego głosu, oddanego na korzyść japońskiego pisarza Kawabata. Ten rzadki zbieg okoliczności dotyczący dwóch pisarzy publikujących na łamach jednego pisma emigracyjnego jeszcze dobitniej ukazuje wyjątkowy charakter przeznaczenia *Kultury*.

W liście, który napisał do mnie Giedroyc w czerwcu 1980 roku, gdy poinformowałem go o zamiarze napisania artykułu, wymienił on jako największe osiągnięcia *Kultury* jej walkę o normalizację stosunków Polski z „ULB” (termin ukuły przez Mieroszewskiego dla określenia krajów należących do dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego: Ukrainy, Litwy, Białorusi) i jej wysiłki dla przeprowadzenia rozróżnienia pomiędzy ZSRR (jego ustrojem i imperialną polityką) a Rosją.

Zasługa *Kultury*, polegająca na przeciwstawieniu się, od samego początku, tak w Polsce rozpowszechnionej nienawiści do Rosji jest tym większa, że na sześć osób, które stanowiły u zarania najściślejszy zespół pisma, cztery były deportowane do ZSRR po aneksji wschodniej części kraju: Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, Zofia i Zygmunt Hertz. Dwaj pierwsi napisali zresztą doskonałe książki o tych doświadczeniach w okresie, gdy większa część zachodniej opinii intelektualnej nie przyjmowała do wiadomości istnienia GUL-agu. Czapski cudem zresztą uniknął katyńskiej masakry.

Tekst Władimira Maksimowa ukazuje w jakim stopniu te wysiłki *Kultury* były owocne.*

* [Jeszcze w Rosji] „(...) otrzymałem specjalny numer rosyjski *Kultury*. Numer ten świadczy o tak żarliwym zaangażowaniu, o tak troskliwej przyjaźni dla pisarzy rosyjskich.

Stosunki polsko-rosyjskie i przyszłość narodów żyjących między tymi dwoma państwami są zresztą dla redaktora *Kultury* od siebie nieodłączne. „Za największy sukces — pisze mi on w swym liście — mający chyba znaczenie historyczne, uważam uzyskanie deklaracji czołowych dysydentów rosyjskich, uznających zasadę niepodległości dla Ukrainy i innych nierosyjskich republik związkowych”.

Po Gdańsku: Polska, rok zero.

Kiedy w ostatnich latach zdarzało mi się spotykać młodych polskich intelektualistów z opozycji, mówiłem o paradoksie, który wydawał mi się niezrozumiały. Jak to się dzieje, że w tym-tak zniechęconym systemie kultura polska osiągnęła właściwie we wszystkich niemal dziedzinach poziom znacznie przewyższający osiągnięcia przedwojenne? Odpowiadano mi, że przywiązuję nadmierne znaczenie do tego, co udało się mimo ogromnych trudności osiągnąć małej elicie artystyczno-intelektualnej, i że nie zdaję sobie sprawy z katastrofalnej sytuacji całego narodu: z niekompetencji i oportuniźmu warstwy inteligenckiej (zwłaszcza fachowej), z wyalienowania chłopstwa, ze stopnia demoralizacji klasy robotniczej, całkowicie złamanej. Od czasu elektryzujących wydarzeń z lata 1980 stało się oczywiste, że ten pesymizm był bezpodstawny. Analiza tych wydarzeń przekroczyłaby znacznie ramy niniejszego artykułu; ograniczę się więc jedynie do wskazania kilku aspektów, które wydają mi się istotne i związane z interesującym mnie tematem.

W roku 1972 *Kultura* święciła 25 rocznicę istnienia i dla uczczenia jej zamieściła artykuł podsumowujący swoje dokonania: „Ktoś powiedział, że nie ma w Polsce potrzeby *s a m i z d a t u*, bo istnieje *Kultura* i jej wydawnictwo. *Stanowisko to uważamy za błędne. Idealem Kultury* byłoby stać się zapleczem polskiego *s a m i z d a t u* w kraju.” I dalej: „*Kultura* do niedawna docierała prawie wyłącznie do sfer intelektualistów. Dzisiaj pod wpływem wypadków grudniowych (...) chce ona dotrzeć do inteligencji pracującej, która mogłaby jej zapewnić drobny choćby i cząstkowy kontakt z robotnikami.”

O takiej wrażliwości na los literatury rosyjskiej, że natychmiast ujrzałem w *Kulturze* bliskie mi pismo... moje własne pismo... Dlatego też gdy znalazłem się na Zachodzie i nosiłem się już z zamiarem wydawania *Kontynentu*, w pierwszym rzędzie zwróciłem się (a było to również życzeniem Solżenicyna) do redaktora *Kultury*, Jerzego Giedroycia, i do jego najbliższych współpracowników, Józefa Lipskiego i Gustawa Heilinga-Grudzińskiego (Władimir Maksimow, 1977).

Polska opozycja intelektualna zdobyła się na coś więcej aniżeli tylko samizdat: założyła po wydarzeniach z czerwca 1976 Komitet Obrońcy Robotników (KOR): domy wydawnicze i co najmniej czterdzieści cztery pisma ukazujące się „poza zasięgiem cenzury” (z których większość odrzuca zasadę tajności, upominając się o prawo teoretycznie zagwarantowane przez Konstytucję i umowy helsińskie); uniwersytet latający. Pismo *Robotnik*, które ukazuje się od 1977 roku, a którego tytuł nawiązuje do gazety Polskiej Partii Socjalistycznej założonej na początku wieku, osiągnęło nakład 10-20 tys. egzemplarzy, zaś po wydarzeniach gdańskich nawet 50 tysięcy.

W artykule, datowanym 27 sierpnia 1980 roku, opublikowanym w październikowym numerze *Kultury*, Kisiel (który współpracuje z *Kulturą* ogłaszając w niej swoje teksty podpisywane tym samym pseudonimem literackim co w *Tygodniku Powszechnym*) pisze:

„Mało też sprawiedliwości oddano cichym bohaterom przełomu: Kuroniowi, Michnikowi, Lipskiemu, Chojeckiemu, Lityńskiemu i innym. Nie są oni, jak wygodnie insynuowano, inicjatorami jakiejś politycznej intrygi (intrygi takie wymyśla się zgola gdzie indziej), są po prostu tymi, którzy pierwsi posiali niezbędne ziarno duchowej swobody.”

Ze ci „cisi bohaterowie” z kręgu KOR-u niejednokrotnie publicznie stwierdzali, jak wielki dług intelektualny i moralny zaciągnęli wobec *Kultury*, jest już samo w sobie wymownym świadectwem dokonanego przez Giedroycia i jego pisma. Wreszcie, nie jest także pozbawiony znaczenia fakt, że już w trzecim punkcie postulatów gdańskich (przyjętych przez rząd), strajkujący zażądali „respektowania wolności słowa i publikacji zagwarantowanych przez Konstytucję PRL”, jak również, że nawiązując do tego punktu umów Związek Literatów Polskich upomniał się w swej deklaracji z 9 września 1980 o integralność polskiej kultury.

Zatem — wypełnione zadanie *Kultury*?

Październikowy, ostatni, gdy piszę ten tekst, numer *Kultury* z 1980 roku pokazuje, że pismo nadal pozostaje żywe. We wstępnym artykule podpisanym „Redakcja”, *Kultura* podsumowuje nową polską sytuację, ocena ta pokrywa się w zasadzie z doskonałym artykułem André Fontaine’a z *Le Monde* z 18 października 1980: „Ostatnią szansą” Polski może się także okazać ostatnia szansa dla reżimu i Moskwy, jeżeli nie przeprowadzi się w porę niezbędnych reform. Natomiast surowa krytyka kazania kardynała Prymasa Wyszyńskiego wygłoszonego 26 sierpnia

(jego pierwszego kazania transmitowanego przez telewizję) przeprowadzona przez *Kulturę* w tym samym artykule, budzi u wszystkich moich przyjaciół z Polski i na emigracji ten sam komentarz: nie istnieje na całym świecie drugie polskie pismo, (wliczając w to nawet — i zwłaszcza — oficjalną prasę partyjną), które ośmieliłoby się w jakiegokolwiek formie, nawet pełnej szacunku, zwrócić słowa przykrej prawdy do Kardynała Prymasa.

A więc jednak, *Kultura* nadal jest niezastąpiona!

Na zakończenie kilka cyfr. W październiku 1980 ukazał się 397 numer *Kultury* (176 stron). W ciągu trzydziestu trzech lat istnienia *Kultura* opublikowała 321 książek (w tym serie: *Dokumenty*, poświęcone tajnym polskim oficjalnym dokumentom historycznym i tekstom opozycji oraz *Zeszyty Historyczne*, zajmujące się historią współczesną). Produkcję tego domu wydawniczego, niewątpliwie jednego z najmniejszych i najbiedniejszych na świecie, szacuje się na około pięć milionów wolumenów.

Październik 1980

Konstanty Jeleński

Tłum: IBM

NAKŁADEM ANEKSU

1956

**W DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ
Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI**

Materiały z konferencji zorganizowanej w Paryżu w XX rocznicę Polskiego Października i Rewolucji Węgierskiej, z udziałem m.in. B. Baczki, W. Brusa, L. Kołakowskiego, A. Michnika, K. Pomiana, A. Smolana oraz wielu wybitnych intelektualistów węgierskich, czeskich, rosyjskich i francuskich

Str. 160

US\$6.00, FF/Skr 25.00, £2.50

Anthony Burgess

DZIECI BAKUNINA*

Brak zaufania do państwa i strach przed nim nie są niczym nowym. Wiek dziewiętnasty pragnął jeszcze bardziej niż my zlikwidować państwo jako narzędzie ucisku. Wielu myślicieli, m.in. John Stuart Mill, uważało, że typowym wytworem państwa jest wojna — to straszliwe zło, do którego niezdolne są jednostki ani wolne wspólnoty ludzkie, co już samo wystarczy, by uznać państwo za sprzeczne z naturą potwora. Karol Marks widział w państwie narzędzie kapitalistycznej tyranii i wierzył, że kiedy proletariatus dojdzie do władzy, państwo ulegnie rozkładowi. Współczesny Marksowi Michaił Bakunin poświęcił życie ohalaniu tego złowrogiego olbrzyma. Duch Bakunina towarzyszy nam i dzisiaj, często nieświadomie wskrzeszany przez młodzież. Marks uważał Bakunina za głupca i pozera, a może nawet i carskiego tajnego agenta. Ale historia, w sto lat po śmierci Bakunina, nazywa go ojcem rewolucyjnego anarchizmu.

Dzięki Bakuninowi anarchizm zawsze kójarzy się z przemocą: w samym słowie niemalże da się wyczuć kordyt. Ale rozłożone na swe greckie składniki słowo to wygląda całkiem niewinnie: *an* — znaczy „bez”, *archos* — „władca”. Jednakże osobowość arystokraty rosyjskiego Bakunina pozostawiła na tym pojęciu własne piętno: Bakunin był dużym brodatym mężczyzną, uczuciowym, dobrego serca, pełen sprzeczności, niezręczny i bohaterski zarazem. W przeciwieństwie do Marksa nie potrafił on systematycznie myśleć, co doprowadziło go do

* Z książki Anthony Burgessa pt. *Rok 1985*, Hutchinson, London 1978.

przyjęcia zaskakujących sprzeczności, które uważał za własną filozofię. Bakunin kochał człowieka i głosił ideę powszechnego braterstwa, lecz nie znosił Żydów i Niemców. Jego kult bohatera o rozwianej brodzie na barykadach miał lekki posmak faszyzmu. Bakunin odrzucał władzę, ale przez pewien czas chwalał dyktaturę modelu leninowskiego. Był jak krwiste mięso w bardziej racjonalnej poławie anarchistycznej, smakowitsze niż suchy chleb teorii, który oferował przed nim Proudhon, a po nim Kropotkin. Gdyby nie Bakunin, anarchizm byłby tylko mało znaną koncepcją utopijną; to on nadał mu ludzki, czy bohaterski, kształt: z anarchisty zrobił postać bajroniczną.

Bakunin urodził się w roku 1814, przed klęską Napoleona pod Waterloo. Panujący w Europie despotyzm miał swój odpowiednik w matce anarchisty. Bakunin utrzymywał, że to tyrania matki stała się powodem jego późniejszej nienawiści do wszelkich ograniczeń wolności. Zdaniem innych, którzy pewnie mieli więcej racji, dzieciństwo Bakunina było tak sielskie, że jego późniejszy anarchizm był nieświadomą próbą powrotu do raju. Bakunin był najstarszy spośród jedenaściorga dzieci, idealizowany zarówno przez siostry jak i braci, ale świadom różnic upodobań i talentów, występujących w niewielkiej nawet społeczności, która zachowuje spójność pomimo różnic temperamentu wśród jej członków. Dlaczegoż by większa ludzka społeczność — miasto, naród, wreszcie świat cały — nie mogła być jak rodzina? Pod koniec życia Bakunin przyznał się do kazirodczej namiętności, jaką żywił dla swej siostry Tatiany, węży w raju, niemniej jednak zadziwia brak normalnego popędu erotycznego u tego skądinąd pobudliwego mężczyzny. Bakunin ożenił się, ale jego żona znalazła drogę do innych mężczyzn i innych ojców dla swych dzieci. Być może w marzeniach Bakunina namiętność kojarzyła się z rewolucją, a jego słowa były zawsze gorętsze niż czyny.

Bakunin został kadetem w armii rosyjskiej. Dzisiaj mało kogo stać na taką szczerość, by zgodzić się z jego opinią o wojnie. Otóż, zdaniem Bakunina, mężczyźni walczą nie po to, żeby zwyciężyć, lecz by fizycznie rozkoszować się poczuciem niebezpieczeństwa: większość ludzi woli bitwy od przytłaczającej monotonii codziennego życia. Z drugiej strony Bakunin zdawał sobie sprawę z tego, że wojna oznacza również upokarzające podporządkowanie się ogłupiającej dyscyplinie. Właśnie jego bunt przeciwko tej stronie wojskowego życia był siłą napędową jego rewolucyjnej żarliwości. Bakunin wystąpił z armii i udał się na uniwersytet berliński, by studiować Hegla. Heglowyska definicja

ducha ludzkiego — „ja” które jest „my” i „my” które jest „ja” — znajduje odzwierciedlenie w bakuninowskim „ja nie chcę być ja, chcę być my”, co z kolei prowadzi do tytułu powieści *Zamiatana My*. Hegłowska koncepcja historii zmierzającej do objawienia prawdy, historii jako dialektycznego procesu walki, a nie zwykłego kierunku zdarzeń, zainspirowała pokolenie Bakunina z jednej strony do odrzucenia filozofii zbyt silnie osadzonej w świecie ducha, a z drugiej do przyjęcia systemu, który można było zastosować do świata ślepej materii. Socjalizmowi potrzebna była metafizyczna interpretacja historii i heglowska dialektyka dostarczyła jej podstaw. Bakunin stworzył specyficzną dialektykę na własny użytek: historia szła w kierunku budowy lepszego świata, więc w następstwie, jest lepsze od starego — to, co stare, na jego miejsce przyjdzie nowe. Ergo, bierzmy się do niszczenia starego! To właśnie sprawia, że anarchizm wywołuje tak przerażające a zarazem tak atrakcyjne „jużenie”.

Bakunin obrał sobie za życiowy anarchizm jako zawód. Rok 1848 był w Europie wielkim rokiem powstań ludowych tzn. powstań zorganizowanych przez intelektualistów w imię ludu, a Bakunin jeździł od kraju do kraju, przybывая zawsze za późno na ich największe chwile. Chociaż spóźnił się na barykady paryskie, odznaczył się tam wielką żarliwością rewolucyjną w stolicy nowej republiki francuskiej, że rząd postąpił go, by organizował rewolucję w Polsce. Bakunin zairzymał się po drodze w Pradze, gdzie organizował krwawe bitwy uliczne uciskanych Słowian przeciwko habsburskim ciemnościom, których wynik był z góry przesądzony. W Dreźnie — ciągle jeszcze w drodze do Warszawy — Bakunin wmieszał się w rebelię saską, został pojmany przez władze królewskie i skazany na śmierć. Wyrok odroczono i Bakunin został przekazany w ręce carskiej policji, uwięziony w Petersburgu i zesłany na Syberię, skąd uciekł, by wreszcie dokonać próby — nieudanej — wyzwolenia Polski. Bakunin stanął na czele 24-godzinnej rewolucyjnej komuny w Lyons, założył niezliczoną ilość tajnych towarzystw, konfutował z Marksem o przywództwo w Pierwszej Międzynarodówce, a w końcu próbował zginąć śmiercią bohaterką na barykadach w Bolonii. Jednak powstanie włoskie poniosło sromotną klęskę i rozczarowany Bakunin umarł w łóżku, w Szwajcarii. Bakunin uznał, że siły reakcji muszą pokonać rewolucyjny anarchizm. Jednakże anarchizm parł dalej naprzód, a raczej kużył, od czasu do czasu wykonującagle i nieopanowane skoki.

Bezpośredni następcy Bakunina, opętani pragnieniem zniszczenia

tego, co stare, aby nowe mogło automatycznie zająć jego miejsce — podkładali bomby, podpalali i mordowali funkcjonariuszy imperia-
lizmu, napędzając stracha nie tylko burżuazji, ale i proletariatu, którego anarchiczne królestwo miało nadejść. Anarchizm miał złą
prasę i dostawał cieżgi od sił reakcji. Książę Piotr Kropotkin przywrócił
anarchizmowi część utraconego prestiżu filozoficznego, podkreślając
aspekty intelektualne i utopijne, a jednocześnie adaptując anarchizm
jako doktrynę do przyjęcia dla klasy robotniczej. Tak więc filozofia,
którą chyba tylko arystokraci potrafili wymyśleć, powoli zaczęła wy-
wierać poważny wpływ, zwłaszcza w Hiszpanii, gdzie w przemysłny
sposób pogodzonego z ruchem związkowym. W momencie wybuchu
hiszpańskiej wojny domowej wydawało się, że kolektywizm i koope-
ratywy mogą funkcjonować. George Orwell walczył u boku kataloń-
skich neobakuninistów. W Rosji w czasie rewolucji pracownicy uwijali
się anarchiści, o których później oficjalne radzieckie podręczniki
historii zupełnie zapomniły. Anarchiści ciężko pracowali dla rewolu-
cji, ale nie chcieli pogodzić się z bolszewicką dyktaturą. Zarówno w
Rosji, jak i w Hiszpanii, anarchistów rozstrzelowano — co na zawsze
nappełniło przerażeniem Orwella. Anarchizm okazał się nie do przy-
jęcia i dla marksistów, i dla kapitalistów. Wielu innych uważało, że
anarchizm jest zbyt romantyczny, za bardzo osadzony w swym wieku,
by przetrwać. A jednak doczekał się on całkiem niespodziewanie
swych świętych. Sacco i Vanzetti na pewno zostali kanonizowani, i to
nie tylko przez przyjaciół-anarchistów.

Anarchizm powrócił, ale głównie pomiędzy młodzież, która z re-
guly chce się odciąć i od socjalizmu, i od kapitalizmu, gdyż oba mają
policję i prawa, są materialistyczne i szanują własność prywatną. A jak
powiedział proto-anarchista Proudhon: „własność to kradzież”. Mło-
dzież ma skłonność do idealizmu, który może być symptomem cho-
roby zwanej dojrzewaniem, ale który wytworzył też odrodzenie ro-
mantyczne w literaturze. Młodzież na ogół buntuje się przeciwko
rodzicom, którzy są nudni, martwią się o pieniądze i mają niezdrowy
apetyt na dobra materialne. Rodzice gotowi są wysłać młodzież na
walkę i śmierć za ojczyznę, czyli za własność, której młodzi nie posia-
dają i której nawet nie chcą. Państwo jest — powtarzamy to ze
znużeniem — wyobrażeniem ojca. Wielkie podziały w świecie nie są
narodowe, religijne czy gospodarcze; sprowadzają się tylko do po-
działu na młodych i starych. Miałem tego przykład kilka lat temu w
Berlinie Zachodnim, kiedy przeszedłszy wzdłuż całego muru berliń-
skiego zapragnąłem odpocząć i napić się czegoś. Usiadłem przy sto-

liku przed piwiarnią pod nazwą *Moby Dick*. Klientela i obsługa to młodzi. Nikt nie podszedł, żeby mnie obsłużyć. Po pół godzinie podszedłem do baru i spytałem, dlaczego. „Dlatego — odpowiedział jasnowłosy młody chłopak o profilu *Herrenvolk* — że jest pan z pokolenia, które rozpętało wojnę.”

Wydawało się, że jest to powód dostateczny. Walka pomiędzy młodością a starością — a ściślej mówiąc między dojrzewaniem a dojrzałością — wywołuje przyptyw adrenaliny i nadaje życiu dynamikę i cel. Łatwiej ją przyjąć niż walkę między klasami czy narodami i ma ona romantyczne początki w prastarym micie. Ale powstaje tu inny problem: gdy walczymy o ziemię czy pieniądze, chodzi nam o konkretne przedmioty w przestrzeni, natomiast konflikt młodość-starość jest wojną w wymiarze czasowym. Młodość jest ulotna i pada ofiarą czasu. Przeobraża się w dojrzałość czy starość, swe przeciwieństwo i wroga, a nikt nie może dokładnie określić, kiedy przekracza się tę granicę. Starość też nie trwa wiecznie, ale kończy się śmiercią, która jest zjawiskiem zdecydowanym i nieodwracalnym. Młodość jest częścią procesu, ale dla młodych jest ważne, aby przedstawić ją jako coś stałego, statycznego i niemal przestrzennego. Młodzi przychodzą i odchodzą, ale młodość pozostaje. Każdy młody człowiek potrzebuje określić się jako młody poprzez przynależność do społeczności młodych. Jeśli jest z młodymi, którzy go akceptują, to wie, że jest młody. Starzy nie potrzebują grupowego potwierdzenia, że są starzy i oczekują śmierci w samotności.

Grupa młodzieżowa mniej interesuje się robieniem czegoś niż po prostu byciem. Nie może się ona określić poprzez stałe członkostwo. trudno też mówić o ciągłości kulturowej. Najważniejsze, żeby trzymać się w grupie i razem być młodym. Uprawia się działania z pogranicza beczynności, takie jak zażywanie słabych narkotyków lub środków halucynogennych czy słuchanie muzyki rock — namiastki sztuki i wiedzy. Nieokreślone poczucie wyobcowania z kultury i norm prawnych panujących w świecie dorosłych może wystarczyć, bez potrzeby podkreślania alienacji poprzez agresję. Niestety to właśnie przedstawiciele gerontokracji, czyli rządu starych, są agresywni i domagają się konformizmu. Młodość, zadowolając się po prostu istnieniem, musi przejść od esencji do egzystencji. A więc określa się na wzór dojrzałego społeczeństwa, z własną polityką i tzw. kontrkulturą. W protestie przeciwko zastanemu porządkowi przypomina dziewiętnastowieczną komunę, chociaż — zupełnie nie po bakuninowsku — nie ma nadziei na obalenie tego porządku.

Naturalnie jest to uproszczenie. Jeżeli ruchy młodzieżowe lat sześćdziesiątych da się opisać w kategoriach prymitywnego anarchizmu, to znaczy, że jest to termin zbyt mało ścisły. Niektórzy młodzi ludzie nadali swemu poczuciu alienacji inteligentne uzasadnienie polityczne, np. „pragmatycznej anarchii” w Niemczech i Skandynawii, przeważnie młodzi intelektualisci. W Chińskiej Republice Ludowej w prowincji Yunan powstał anarchistyczny ruch młodzieżowy, stłumiony przez rząd centralny w r. 1968. Młodzież w Europie i Ameryce odwoływała się do Bakunina, obnosząc podobizny proroka na demonstracjach potępiających wszystko, co stworzyli starzy — policję, telewizję, żywność w puszkach, autostrady, wojnę, bezmyślne zabijanie, więzienia. Bakunin może być świętym patronem każdego ruchu, który przewiduje dobrowolne członkostwo i zezwala na równie dobrowolne wycofanie się, a ma na celu nękanie państwa lub też usilnie udaje, że państwo nie istnieje. Natomiast jedynym celem dziewiętnastowiecznego ruchu anarchistycznego było stworzenie prawdziwej alternatywy dla państwa jako narzędzia władzy lub, najczęściej, ucisku. Młodzieńcze komuny a nawet dojrzale kibuce muszą, chcąc nie chcąc, uznać istnienie państwa: one same istnieją bowiem dzięki jego łasce. Nie ma dzisiaj miejsca, gdzie nie ma państwa.

Rozpatrząc polityczną przyszłość krajów wolnego świata musimy poważnie liczyć się z zagrożeniem, jakim ruchy młodzieżowe są dla tradycyjnie pojętej wolności. Stwierdzenie takie sama młodzież uzna za bezsensowne, bo uważa się przecież za jedynego obrońcę wolności w czasach, gdy starzy wydają się dążyć do coraz większego jej ograniczenia. To prawda, że wiek dojrzali starzy się ograniczyć wolność młodości, ale tylko dlatego, że ta wolność oznacza samowolę. Jeżeli ludzie rodzą się wolni, to zwierzęta rodzą się wolne tylko w sensie orwellowskim: swoboda wyboru między dwiema drogami postępowania zakłada świadomość konsekwencji tych wyborów. Wiedzę zdobywamy drogą bezpośredniego doświadczenia — jak oparzone dziecko, które boi się ognia, — lub też poprzez cudze doświadczenie. Zawarte w książkach. Neoanarchiści mówią: „książki nic nie dają” lub „młodym nie jest potrzebne wykształcenie”. Wysłuchawszy przedstawiciela prymitywizmu, Samuel Johnson rzekł: „Smutne to i bydlęce, drogi panie”. Przypomina to krowę raczej niż lwa: długi czas zajmie skubanie trawy, by zyskać odpowiednik proteiny zawartej w kawałku mięsa. My starzy ofiarujemy mięso wykształcenia, kontrkultura powraca do trawy.

Wykształcenie jest jak szybkie i pożywne posiłki ze spichlerza

zwanego przeszłością. Bakunin, swoiście interpretując Hegla, odrzucał przeszłość, która jest zła sama przez się, ponieważ nie jest nowa. Młodzi zupełnie logicznie odrzucają przeszłość, która wydaje się bezużyteczna ludziom żyjącym w wiecznej teraźniejszości. A kiedy starzy zaczynają ciemieć, młodzież, dzieje się to naturalnie w obronie świętej przeszłości. Młodzież niekoniecznie jednak potępia uczelnie i uniwersytety, ponieważ pod pretekstem uczenia się umożliwiają one młodym bycie wśród swoich, a nauka jest tylko nieistotnym dodatkiem, albo zapoznawaniem się z czymś, co następnie można odrzucić: takie ogniska protestu są mile widziane przez idealistyczną młodzież.

Warto zwrócić uwagę, jak bardzo młodzieńczy anarchizm zdolał wziąć górę nad władzami centralnymi od czasu pierwszego wydania *Roku 1984*. Żadnemu studentowi w r. 1949 nie śniło się nawet, że w dwadzieścia lat później władze uniwersyteckie tak chętnie wyrzekną się tradycyjnej dyscypliny. Studenci zdobyli niesłychane swobody, czy koncesje, po prostu żądając ich. Starzy pytali: dlaczego?, młodzi: dlaczego nie? Trudno jest w instytucji, gdzie panować mają prawa rozumu, uzasadniać zakaz mieszanych domów akademickich, ograniczenie powszechnej kopulacji, czy swobodnego dostępu do narkotyków. W społeczeństwie oddanym konsumpcji, zdeorientowanym studentom coraz trudniej odróżnić naukę od innych towarów wystawionych na sprzedaż. Jeśli studenci pragną studiować petromuzykologię, estetykę i historię muzyki rock, podstawy swahili czy poezję Boba Dylana, to jako konsumenci mają do tego prawo. Bardzo trudno jest przekonywająco uzasadnić, dlaczego należy studiować łacinę czy gospodarkę średniowieczną, czy przekonać kogokolwiek, że wykształcenie jest najbardziej wartościowe wtedy, gdy nie dociekamy zbyt dokładnie jego politycznych lub praktycznych treści.

Studenci muszą siłą rzeczy przekazać formułowanie swych pragnień czy niechęci obranym przywódcom. Nawet anarchiściom potrzebni są przywódcy; Bakunin to rozumiał, myśląc o sobie samym. Tak jak i jego następcy, Bakunin uważał, że nowi przywódcy nie będą skażeni przywarami dawnych tyranii i oligarchii: przywódcą wolnych ludzi będzie wyrazicielem ich potrzeb, a nie ich ciemniwcą. Gdyż samo pojęcie ucisku należeć będzie do zniszczonej już przeszłości. Dziwnym zjawiskiem naszych czasów jest wylanianie się przywódców studenckich, młodych ludzi takich jak Daniel Cohn-Bendit, bohater barykad w czasie paryskich ruchów studenckich w roku 1968, i Jerry Rubin, założyciel Międzynarodowej Partii Młodzieży. Dziś już zupełnie zapomniane są nazwiska związane z holenderskimi

„Provos” czy „spontanicznymi maoistami” we francuskich gimnazjach, którzy zachwalali zalety kradzieży, kazirodztwa i zabójstwa jako *acte gratuits*:

Trzeba sobie zadać pytanie, co to wszystko ma wspólnego z wykształceniem. Prawdziwymi przywódcami młodzieży powinni być jej nauczyciele, którzy mają odpowiednie kwalifikacje i mogą powiedzieć młodym, czego muszą się nauczyć, by przetrwać jako członkowie cywilizowanej społeczności. Argument o zdolności młodzieży do wybierania własnych przywódców doprowadzono nieuchronnie do ostateczności, kiedy dwunastoletnie dzieci zaczęły obierać swych rówieśników rzecznikami swych praw. To zwiększanie zasięgu praw nie objęło jeszcze wszystkich wieków, ale jest to, tylko kwestią znalezienia przywódców.

Przywódcy studentów, o których pisze prasa, to pełni patosu ekstremiści-eklektycy, mieszejący Marksa i Bakunina, Zen i hobbitów, w popisach słownych bez żadnego programu, oprócz domagania się coraz większej swobody dla młodzieży. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że dadzą się oni łatwo wykorzystać bardziej dojrzałym, prawdziwym radykałom, którzy wiedzą dobrze, czego chcą. Każda sprawa ogólna, która wypłynęła ostatnio, stała się sprawą studencką. Zbuntowani studenci paryscy w maju 1968 w dużej mierze kierowani przez dorosłych agitatorów. Ugrupowanie młodzieży jest bardzo wygodnym narzędziem: młodzi ludzie są pełni energii, oddania i ignorancji. Mają więc wszystkie cechy, które sprawiają, że są atrakcyjni dla zawodowych agitatorów, którzy pragną wprowadzenia socjalizmu z książki Orwella. Młodzi łatwo mogą pokochać Wielkiego Brata jako wroga przeszłości i tego, co stare. Ostatecznie nie każe oni do siebie mówić „Ojciec nasz”.

Świat orwellowski mógłby z początku pociągać młodych, ma on bowiem cechę typowo anarchistyczną: całkowity brak praw. Przeszłość traktuje jak próżnię, którą zapelnia się mitami, jakie wymyśla teraźniejszość. Jako godnych pogardy ludzi marginesu traktuje się tych wszystkich, którzy pielęgnują dawne tradycje, reakcyjne i konserwatywne, z gruntu s t a r e. „Staromowa” zostaje odrzucona, gdyż nie jest w stanie wyrazić tej wiecznej teraźniejszości, która jest domeną zarówno młodzieży, jak i Partii; „nowomowa” ma lakoniczną dynamikę języka młodości. Program ten, o ile nie rzeczywistość, znaleźć mógłby najbardziej gorących z olenników wśród młodzieży, beztrąsko gotowej zniszczyć przeszłość, ponieważ jest ona „przeszłością, i przyjmą rewolucję orwellowską z taką samą gotowością.

Z drugiej strony jednak jeżeli to, co nowe, wydaje się podejrzane nawet młodym i niewinnym, można to rozpatrywać tylko w świetle norm pochodzących z przeszłości. Chodzi mi oczywiście o owe bryłki przesianego kruszcu, które składają się na to, co luźno nazywamy tradycją, trając na myśli takie spojrzenie na ludzkość, które wnosi wartości inne niż tylko czysto zwierzęce utrzymywanie się przy życiu. Niestety jest to spojrzenie teocentryczne i opiera się na założeniu, którego nie da się udowodnić, a mianowicie, że Bóg stworzył człowieka, aby go miłować jako najdroższe ze swych stworzeń, bo najbardziej Jemu podobne. To nie ogół ludzkości zbliża się ku kondycji boskiej, lecz indywidualna istota ludzka. Bóg jest jeden, pojedynczy, odrębny — i podobnie każdy indywidualny człowiek. Bóg jest wolny i człowiek jest wolny, ale wolność ludzka zaczyna się dopiero wtedy, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę z natury tego daru.

Wolność ludzka jest najstarszym ze wszystkich tematów dyskusji, który nadal ożywia zebrania studenckie, chociaż często brak tym dyskusjom definicji, wiedzy teologicznej i metafizycznej perspektywy. Augustyń i Pelagiusz ścierają się w kwestii wolności ludzkiej; kalwiniści i katolicy przekrzykują się wzajemnie; nawet w piekle Milтона księżąta ciemności dyskutują o wolnej woli i predestynacji. Luminarne predestynacji utrzymują, że skoro Bóg jest wszechwiedzący, znane mu jest wszystko, co człowiek może kiedykolwiek uczynić, więc każdy przyszły czyn jest już z góry zdeterminowany i nie może być mowy o wolności. Opozycja rozwiązuje ten problem twierdząc, że Bóg uprawomocnia dar wolnej woli, świadomie odmawiając przewidywania przyszłości. Kiedy człowiek uczyni coś, czego przewidzenia Bóg odmówił, Bóg przywraca pamięć swej wszechwiedzy. Innymi słowy, Bóg jest wszechwiedzący z definicji, ale nie wykorzystuje swej wszechwiedzy.

Argumenty za wolną wolą i przeciw niej da się przeniesć na plan świecki. Człowiek jest tak bardzo genetycznie określony, otoczenie ogranicza go, podobnie jak struktura psycho-fizyczna: tak więc pozornie swobodny akt może być z powodzeniem wynikiem końcowym procesu określonego przez mnóstwo nieswiadomych i mechanicznych czynników. Człowiek nie ma wpływu na swe automatyczne reakcje. Historia jest ruchem cyklicznym, a człowiek płynie z jej

prądem: powraca do starych miejsc i powtarza dawne działania. Jest on stworzeniem społecznym, a społeczeństwo jest zaprzeczeniem jednostkowej wolności. I tak dalej. Trudno jest walczyć z poglądem, według którego człowiek nie jest wolny. Pogląd ten znalazł poparcie Freuda, który odkrył, że motywy działania człowieka dorosłego osadzone są w wydarzeniach z dzieciństwa, ukrytych w nieświadomości, oraz Marksa, któremu historia jawiła się jako ogromna lokomotywa, posuwająca się po jednym torze w określonym kierunku.

Obronicy ludzkiej wolności przyjmują cały szereg jej ograniczeń, ale upierają się, że istnieją obszary, na których wolność może operować, bo w przeciwnym razie człowiek przestaje być człowiekiem. Po pierwsze, tylko on spośród wszystkich stworzeń posiada zdolność wydawania sądów w oparciu o określone kryteria. Kryteria te mogą być związane z doświadczeniem; człowiek uczy się ich z połączenia doświadczenia i intuicji i ma zupełną wolność, jeśli chodzi o stosowanie ich w życiu. Wolno mu zgodnie z uznaniem powiedzieć, że coś jest piękne lub brzydkie, dobre lub złe, prawdziwe lub fałszywe. Winston Smith napisał w swym dzienniku, że wolność polega na możliwości stwierdzenia, że dwa i dwa równa się cztery, ale jest to tylko jeden z trzech możliwych rodzajów wolności. Należy umieć oddzielić te trzy kategorie, tak żeby nie twierdzić, że coś jest brzydkie, gdyż niemoralne, lub prawdziwe, gdyż piękne. Czuje się w tym wszystkim powiew religii: pamiętajmy, że prawda, piękno i dobro są atrybutami boskimi. Ale nawet w kategoriach czysto empirycznych nie można zaprzeczyć, że są to prawomocne obszary ludzkiej władzy sądzenia.

Jeżeli człowiek ma wolność sądzenia, wolno mu też działać w oparciu o własne sądy. Jednakże nie jest w stanie sądzić bez wiedzy, a tym samym bez niej działać. Wykształcenie polega na nabyciu zarówno wiedzy, jak i kryteriów sądzenia. A zatem nie możemy być zwolnieni od nabycia wykształcenia, gdyż ono właśnie jest pierwszym warunkiem wolności. Wykształcenia, które dostarcza kryteriów sądzenia, nie można uważać za tyranie: to tylko tradycja czy przeszłość, przemawiająca do teraźniejszości. Jeżeli jakaś nowa doktryna polityczna głosi, że obowiązkiem rządzących jest uwolnić rządzonych od ciężaru decydowania, co jest dobre, prawdziwe czy piękne, to wiemy, że tę doktrynę należy odrzucić, ponieważ tego typu decyzje może podejmować tylko jednostka. Gdy jakaś partia polityczna potępia dzieło sztuki jako fałszywe tzn. niezgodne z partyjnymi normami zachowania — mamy wówczas do czynienia z rażącym przykładem naruszania prawa jednostki do własnego sądu. Takich sądów nie

można pozostawiać grupie; mają one sens tylko w kontekście duszy jednostki.

Człowiek ma wolność postępowania zgodnie ze swymi sądami, ale może również wstrzymać się od takiego działania. Co więcej — i tu być może leży istota człowieczeństwa — ma wolność działania wbrew swym sądom. Jestem nałogowym palaczem, ale ponieważ nie zauważam w sobie żadnych objawów nałogu, uważam, że mogę palić lub nie palić. Jestem szczegółowo poinformowany o zagrożeniu, jakie stanowi dla zdrowia palenie i wnoszę, że palenie jest dla mnie szkodliwe. Mimo to działam wbrew własnemu rozsądkowi i nadal palę. Ta niechęć do przerywania „złego nawyku” z reguły wygląda bardziej na niewolę niż wolność, ale stanowi też ten specyficzny ludzki upór, z którym kościół — chociaż nie państwo — musiał się dawno pogodzić, z rezygnacją, a czasem nawet z prawnym współczuciem. Bez tej cechy literatura, czy to tragiczna, czy komiczna, przedstawiałaby się bardzo ubogo. Dawne teokracje Genewy i Massachusetts obiecywały wyzwolenie człowieka z niewoli grzechu — mając na myśli złe nawyki — przez ukaranie go. Świeckie teokracje — państwa socjalistyczne przedstawiają tę samą możliwość, lub zamieniają karę na „sodzic pozytywny” i chcą przejąć odpowiedzialność za zdrowie obywatela, a także za jego prowadzenie się. Właściwie nie mogą jednak tego uczynić, bo są to decyzje, które tylko jednostka jest w stanie podjąć.

Wielu młodych ludzi przyjmuje doktryny ucisku politycznego z braku zrozumienia natury ludzkiej wolności i warunków, które pozwalają na jej wykorzystanie. Odrzucając tradycję i jej przekaz drogą wykształcenia, odrzucają jedyne swe zabezpieczenie przed tyranią. Innymi słowy, nie wiedzą, co właściwie oznacza ucisk. Odcinając się od przeszłości i zakładając, że nowe jest na mocy jakiejś heglowskiej konieczności lepsze niż stare, anarchizm otwiera drogę tyranii. Co więcej, anarchista przypisuje zło państwu, które jest tylko narzędziem rządów, a nie uznaje, że przecież tzw. wolne społeczeństwo też musi znaleźć technikę wspólnego życia. Bakunin rozumiał lepiej niż większość jego następców, że niebezpieczne jest nie tylko państwo, ale każda świadoma swych celów potężna grupa, np. bankierów czy naukowców. W państwie jako takim nie ma żadnej nagii, która powodowałaby jakieś szczególnie silne pragnienie utrzymania się przy władzy. Tyrania może powstać w każdym ugrupowaniu społecznym.

Widziałem w Stanach Zjednoczonych przykłady „komun” mło-

dzieżowych, które były niebezpieczne z dwóch powodów. Po pierwsze, opierały się na ignorancji podstawowych zasad agronomii; jak uprawiać zboże czy hodować świnię trzeba się nauczyć z doświadczeń przeszłości, a przeszłość zostaje przecież odrzucona. Komuny te były również nieświadome rodzaju zasad, które podtrzymują społeczność, jakkolwiek niewielką. Zakładały one istnienie jakiejś woli ogółu w grupie, a okazywało się, że było to tylko zbiorowisko skłóconych jednostek. Najsilniejszy wśród nich zostawał przywódca, który wymagał posłuszeństwa. Często posłuszeństwo było egzekwowane w sposób irracjonalny i jak gdyby mistyczny. Grupa Charlesa Mansona była krańcowym przypadkiem, gdzie postać przywódcy nabrała cech mesjanistycznych: stał się on swego rodzaju skąpanym we krwi Jezusem. Jego zwolennicy popełnili mniej aktów przemocy niż państwo hitlerowskie, ale złą nie mierzy się ilościowo. Nie ma żadnych gwarancji, że społeczność odrzucająca rządy państwa będzie zachowywać się lepiej niż ci, którzy sprawują władzę państwową. Istnieje nawet wszelkie prawdopodobieństwo, że grupy anarchistyczne oparte na nieświadomości tradycji będą zachowywać się gorzej.

Anomalia każdej komuny, kibucu czy grupowego Walden według planu narysowanego przez B.F. Skinnera polega na tym, że odrzucają i akceptują zarazem większy organizm społeczny: odrzucają się od niego, a jednocześnie pozostają jego częścią. „Walden Two” Skinnera produkuje żywność i wytwarza energię na własne potrzeby, ale nie jest w stanie wyrabiać narzędzi czy budować maszyn. Nie może utrzymywać orkiestry symfonicznej, ale domaga się prawa słuchania Beethovena i Wagnera na taśmie czy płycie. Ma bibliotekę, ale nie może sobie pozwolić na wydawanie książek. Niektóre z bardziej dziwacznych komun w Ameryce zbudowały swe siedziby ze skrzynek po Coca-Coli i starych wraków samochodowych — odpadków społeczeństwa konsumpcyjnego, którego tak nie znoszą. Film Antonioniego „Zabriskie Point” kończy się apokaliptyczną wizją rozstrzaskania społeczeństwa konsumpcyjnego na drobne kawałki, w dobrej tradycji bakuninowskiej, ale wizja ta ma miejsce w głowie dziewczyny posiadającej samochód z radiem. Anarchizm nie jest możliwy. Bakunin jest przebrzmiałym prorokiem.

W społeczeństwach demokratycznych, takich jak Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania, których wielką zbrodnią w oczach młodzieży jest nastawienie konsumpcyjne i wojenne, odłamom społecznym i grupom protestacyjnym często udaje się zrobić wyłom w tradycyjnym porządku społecznym. Z czasem zmieniają prawa, a nawet

zwiększają biurokrację. Grupy działające na rzecz emancypacji kobiet i homoseksualistów sprawiają, że przestępstwem staje się dyskryminacja tych grup na rynku pracy — co jest słuszne i sprawiedliwe — ale grupy te gotowe są zmieniać język w drodze nakazu, tak że o ile jako pisarz użyję słów, które wskazują choćby na gramatyczną dyskryminację, grozi mi kara sądowa. To samo dotyczy naturalnie takich instytucji jak Brytyjska Rada Stosunków Rasowych, która słusznie potępia bigoterię, dyskryminację i język „rasistowski”, ale czasami odbiera jednostce prawo do własnego działania i sądenia.

Związki zawodowe, zwłaszcza w Europie, są rzucającym się w oczy przykładem siły, jaką kolektywy mogą dysponować w ramach większej grupy narodowej. Czasem siła ta jest usprawiedliwiona, czasem nie. Rząd nie może powoływać się na zasady moralne w konfrontacji z być może nierozsądnymi żądaniami wielkiej grupy nacisku. A poza prawowitą czy tolerowaną akcją grupową istnieją też polityczni porywacze, szantażujący rządy w sposób nie do wyobrażenia nawet w orwellowskim świecie. Słyszysz się, że wkrótce trzeba będzie płacić okup za całe wielkie miasta. Tu leży granica bakuninizmu. Karykaturalny anarchista dawnych czasów, brodaty jak i sam świątobliwy założyciel, niosący jak pieńnik świąteczny czarną dymiącą bombę, przeobraził się w śmiercionośnego potwora. Rewolucjonisci, którzy dążą do ustroju orwellowskiego, różnią się od tradycyjnych anarchistów brakiem niewinności i dużą inteligencją. Ustrój ten nie może powstać z żadnym z obecnych zachodnich systemów rządzenia: czeka na zewnątrz, z błogosławieństwem Bakunina.

Tylko jednostka może być prawdziwym anarchem. Orwell roz-
 miał to pisać: *Rok 1984* — alegorię wiecznego konfliktu między
 jednostką a grupą. Choć Winston Smith ma 38 lat, jest bardzo
 młody w swej ignorancji, która niezupełnie jednak jest jego własną
 winą. Jedyna wolność, jaką może on sobie wyobrazić, to prawo do
 powiedzenia: to jest prawda, a to jest fałsz. Jak słusznie zauważa
 O'Brien, nie dysponuje on żadną metafizyką, którą mógłby przeciw-
 stawiać doktrynie państwowej. Nawet gdyby miał jakiś zwarty system
 przekonań, nie mógłby przeciwstawić się potężnej machinie partyj-
 nej. Ale przynajmniej miałby stoicką satysfakcję — na wzór bohate-
 rów Seneki — że wie dokładnie, o co walczy w tej bitwie, którą musi
 przegrać. Jest to melodramatyczne przerysowanie sytuacji, w której
 każdy oddany wolności człowiek znajduje się dzisiaj, nawet w przy-
 wołującej demokracji. Jednostka, której prawdziwym patronem jest
 Thoreau, jest zawsze przeciwna państwu, a jej swobody siła rzecz

muszą zostać uszczuplone wraz ze wzrostem samowoli grup nacisku. Czas, który mógłby poświęcić na rozwijanie się, traci na wypełnianie formularzy i beznadziejną walkę z biurokratami. Zabiera mu się pieniądze, nie może swobodnie podróżować po świecie z powodu ograniczeń dewizowych. Przyjemności takie, jak tytoń i alkohol, są tak wysoko opodatkowane, że często nie może sobie na nie pozwolić. Ale wciąż ma swobodę osądu w kwestiach epistemologicznych, estetycznych i moralnych, oraz wolność działania lub nie działania na podstawie tych sądów. Może pójść do więzienia, bo uważa, że wojna jest złem. Może zabić, jeśli po namyśle dojdzie do wniosku, że zabójstwo jest jedyną odpowiedzią, jaka mu pozostaje na zamach na jego osobę, jego bliskich lub jego własność. Może kraść, znieważać, rysować lub wypisywać nieprzyzwoitości. Oczywiście musi być gotów cierpieć za swe wolne postępowanie, aż do ostatecznej granicy. Jak mówi powiedzenie hiszpańskie: „bierz co chcesz — ale zapłać za to”. Ważne jest, żeby człowiek działał z pełną świadomością znaczenia swego postępowania. Tak jest warunek ludzkiej wolności.

Tłum. W.D.

Anthony Burgess

ZAPRENUMERUJ ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce, ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego kraju, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać, ale i rozbudować *Zeszyty Historyczne*.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi FF160 (\$USA 37, \$Can. 44), a dla prenumeratorów *Kultury* FF140 (\$USA 33, \$Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

**INSTITUT LITERACKI, 91 Avenue de Poissy, Le Mans-le-Roi,
78600 Maisons-Laffitte, France**

Jeremi Sadowski

DEMOKRACJA A WSPÓŁCZESNE IDEE EMANCYPACJI

Martin Kriele, zaangażowany polityk liberalny, profesor prawa państwowego w Kolonii i sędzia Sądu Najwyższego Nadrenii—Westfalii, jest jednocześnie autorem wielu znanych (i uznanych) prac teoretycznych. Większość z nich obraca się wokół trzech różnych, choć powiązanych ze sobą spraw, tj. możliwości filozoficznego uzasadnienia norm prawnych, stosunków politycznych Wschód—Zachód i historii myśli liberalnej. Kriele łączy w swoich pracach argumentację typu filozoficznego z historyczną i prawniczą, dając zazwyczaj pierwszeństwo tej ostatniej. W swojej ostatniej książce, zatytułowanej „Wyzwolenie a idee polityczne Oświecenia” (Befreiung und politische Aufklärung), wydanej w grudniu 1980 roku w Herder-Verlag, Kriele raz jeszcze powraca do zaprzatającej go od lat problematyki. Tym razem rozpatruje przede wszystkim filozoficzno-prawne problemy demokracji w kontekście relacji Wschód—Zachód.

Kriele rozpoczyna od przypomnienia statystyki opublikowanej przez Najwyższego Komisarza do spraw Wychodźców przy ONZ. Wynika z niej, że w roku 1978 blisko 6,7 milionów osób opuściło własny kraj na skutek prześladowań (z czego 6,2 miliona stanowili uchodźcy z krajów o ideologii marksistowskiej). W tym samym okresie dalszych 6 milionów osób zostało zmuszonych (przesiedlenia, głód, terror) do zmiany miejsca zamieszkania w obrębie własnego kraju. I tym razem ponad 90 procent przypada na takie kraje jak Wietnam, Angola, Mozaambik czy Kambodża. Dane te nie będą zapewne zaskakujące dla czytelnika zaznajomionego z wynaturzeniami

politycznymi lat powojennych w Europie Wschodniej, natomiast dla czytelnika zachodniego mogą się okazać nowe. I tu zaczyna się właściwy temat książki.

Kriele zastanawia się w niej, skąd bierze się ta permanentna niewiedza. Fakty ujawniające prawdziwe a nie urojone bynajmniej niebezpieczeństwa związane z systemem komunistycznym są w końcu powszechnie dostępne, a także w gruncie rzeczy dobrze znane. Zachód sprawia jednak bardzo często wrażenie, jakby nie chciał przyjąć ich do wiadomości. Czy chodzi tu tylko o wygodnictwo i oportunizm, jak twierdzą najczęściej emigranci ze Wschodniej Europy? Krytycy konserwatywni Zachodu mówią raczej o zaniku poczucia odpowiedzialności lub o przewadze zasady przyjemności nad zasadą realizmu — podobno charakterystycznymi cechami współczesnych społeczeństw. Lewica przypomina natomiast o wadach zachodniego systemu, które tłumaczyć mają jej zdaniem pobłażliwość dla wad czy deformacji na Wschodzie. Główna teza Kriego leżeć będzie pomiędzy tezą konserwatywną a lewicową: Zachód gubi jego zdaniem nie nadmiar demokracji ani też jej rzekomy brak, lecz jeszcze coś trzeciego: tendencje antydemokratyczne. Współistnieją one — i to na równych prawach z elementami rzeczywistej demokracji, co prowadzi nie tylko do podkopywania korzeni demokracji, ale i do stopniowej utraty przez nią tożsamości politycznej.

Kriele zajmuje się w swojej pracy wyłącznie antydemokratyzmem lewicowym. Wskazuje także — i te uwagi należą do najważniejszych — na pewne niebezpieczeństwa zawarte w myśli liberalnej. Nie sposób oczywiście streścić tu wszystkich wniosków autora. Organizujemy się zatem do paru zasadniczych punktów, które pozwolą zrekonstruować główny tok jego myśli.

Kriele uważa, że współczesny antydemokratyzm (występujący zresztą najczęściej pod hasłami demokracji) daje się sprowadzić do jednego wspólnego jego różnym odmianom terminu: wyzwolenie (Befreiung). Marksizm w tradycyjnej postaci jest przy tym tylko jedną z wielu możliwych wersji ideologii „wyzwoleniowej”. Inne z nich to neomarksizm głoszący możliwość socjalizmu bez przymusu, progresizm, teologia wyzwolenia czy nawet technokratyzm. Wszystkim tym „izmom” wspólne jest przesładczenie, że człowiek nie jest wolny i dlatego trzeba go wyzwolić.

O jakie wyzwolenie będzie tu chodziło? Otóż o różne. W pierwszym rzędzie o polityczne, ale także o ekonomiczne czy obywatelskie. Zakłada się przy tym, że społeczeństwo, oprócz innych przymusów,

narzuca jednostce określone role społeczne, które potem odgrywa ona na ogół nieświadomie (także w swoim życiu prywatnym). Wyzwolenie od nich to jeden z ważnych kroków na drodze do indywidualnej emancypacji.

Kriele nie będzie zastanawiał się, w jakim stopniu taki program uwolnienia się od tradycji jest wskazany — więcej nawet: nieodzowny dla jednostki i jej rozwoju, w jakim natomiast stopniu zwraca się przeciwko człowiekowi w postaci groźby wykorzenienia. Autor pomija także skutki jakie tak pojmowane „wyzwolenie” przyniosłoby wspólnocie. W ogóle sporym minusem książki jest fakt, iż autor nie podejmuje bezpośredniej dyskusji światopoglądowej z antydemokratyzmem współczesnym i ogranicza się do analiz w aspekcie prawnoustrojowym, niezmiernie ważnym, ale przecież nie wyczerpującym tzw. całości zagadnienia.

Według programów „wyzwolenia” emancypacja dokonać się musi na skalę najszerzą w krajach Trzeciego Świata. Ucisk, jaki w nich panuje, jest bowiem największy i obejmuje wszystkie dziedziny życia. Wbrew pozorom także i na Zachodzie nie spełniono postulatów emancypacji, tzw. demokracja zachodnia, niegdyś wszystkim obiecywana równość i wolność, zawiodła. I zatrzymała się w pół drogi. Obecnie trzeba wobec tego pójść dalej. To „dalej” oznaczać ma zmianę instytucji, które jakoby ponoszą winę za zahamowanie procesu demokratyzacji (są to przede wszystkim własność prywatna i wolny rynek). Utrwalają one najrozmaitsze ślepe przymusy w życiu społecznym, a nierówność i egotyzm podnoszą do rangi zasady.

Kriele rozpocznie swoją polemikę od stwierdzenia, że to właśnie wolny rynek związany z instytucją własności prywatnej jest warunkiem demokracji. I to warunkiem koniecznym, choć jak uczy doświadczenie, niewystarczającym (na gospodarcę wolnorynkowej oparte bywają również dyktatury). Gospodarka planowa ze swoim centralizmem nie daje się pogodzić z zasadą samostanowienia grup czy jednostek. Kriele nie wdaje się przy tym w dyskusję, czy na tym naszym nie najlepszym z możliwych światów równość i sprawiedliwość zostały już dostatecznie urzeczywistnione. Podkreśla jedynie, ale za to z naciskiem, że równość, wolność i sprawiedliwość mają sens wyłącznie w obrębie instytucji, i dlatego mogą być realizowane tylko w sposób częściowy. O ile naturalnie „wyzwolenie” ma się odbywać kosztem innych ludzi. Całkowite wyzwolenie od zła czy niesprawiedliwości może dokonać się bowiem tylko poza instytucjami, ale właśnie dlatego nosi w sobie przesłanki nowego despotyzmu.

Kriele zauważa, że dla większości zwolenników hasel emancypacyjnych instytucje są jednak czymś w rodzaju złośliwego tworu, obdarzonego własnym życiem, który z zasady kieruje się przeciwko swemu twórcy. Aby uniknąć zatem dylematu demokracja (ale z instytucjami) — dyktatura, szukają oni rozwiązań w koncepcjach demokracji bezpośredniej. Dla autora są to jednak rozwiązania nierealne (wystarczy pomyśleć przez chwilę o złożoności współczesnego świata). Wizja świata bez instytucji staje się tym samym symptomem odwrótu od tradycji demokratycznej.

Odwrót ten wyraża się przede wszystkim w krytyce tzw. burżuazyjnego pojęcia wolności. Bez tego pojęcia, tj. po prostu bez pojęcia wolności indywidualnej, niemożliwe będzie, zdaniem autora, zrekonstruowanie innych wartości demokratycznych, na które zresztą ruch emancypacyjny chętnie się powołuje. O ile rezygnuje się z kategorii wolności jednostkowej, ani pojęcie godności ludzkiej, ani pojęcie praw człowieka nie dadzą się przekonywająco obronić. Kriele nalega przy tym, aby wolność tę rozumieć metafizycznie. Prawo naturalne mówi bowiem o równości ludzi w obliczu prawa, nie zaś o priorytecie jednostki w stosunku do państwa i prawa. Jest to jego zdaniem rozróżnienie brzemienne w konsekwencje.

W oparciu o pojęcie godności ludzkiej rozumianej naturalistycznie (jak chce tego ruch emancypacyjny) na człowieku dokonywać można najrozmaitszych eksperymentów, wręcz gwałtów; dowodzi tego chociażby przebieg Rewolucji Francuskiej. Nienaruszalność indywidualum gwarantować może zatem wyłącznie pojęcie wolności nawiązujące do tradycji metafizyczno-religijnej.

Kriele, polemizując z ideologią wyzwolenia, formułuje, ze swej strony rodzaj kanonu myślenia demokratycznego opartego na takich zasadach, jak: wolność jednostki, instytucje czy wolny rynek. Hasła emancypacyjne, a właściwie ich polityczne konsekwencje nie dadzą się z tym kanonem pogodzić. Dlatego rozprzestrzenianie się tych hasel wskazuje, zdaniem autora, jedynie na daleko posuniętą dezorientację społeczeństw zachodnich i zanik wspólnej skali wartości. Ich popularność natomiast powoduje stałą niepewność w konfrontacji z innymi systemami, sygnalizującą brak poczucia własnej tożsamości. Krytyki te zostały wsparte o celne analizy stosunku krajów zachodnich do Wschodu, będącego najczęściej osobliwą mieszaniną złej wiary, niechęci i jednocześnie ustepliwości.

Za rozprzestrzenianie się hasel emancypacyjnych, które swym wpływem obejmują tak środki masowego przekazu jak uniwersytety,

stając się dla zachodniej młodzieży rodzajem politycznego katechizmu. Kriele obwinia lewicę, a także — i tu uwagi jego są chyba najciekawsze — samą tradycję liberalną. To właśnie w niej doszły do głosu nadzieje, iż na pewnym etapie rozwoju ludzkiej instytucje polityczne mogą okazać się zbyteczne, gdyż konflikty, o ile oczywiście będzie do nich jeszcze dochodziło, rozwiązywane będą przez racjonalny namysł i wspólny dyskurs. Dla Krielego jest to jeszcze jedna forma złudzenia, podzielanego przez ideologów „wyzwolenia”, tyle, że wyrażona nie w języku anarchistycznym czy rewolucyjno-romantycznym, lecz w scjentyistycznym.

Zdaniem autora postęp, który obserwujemy na terenie nauki i techniki mógł objąć samego człowieka tylko w niewielkim stopniu. Wynika z tego, że porządek nauk i porządek ludzkich wartości nie są porządkami tożsamymi. Nauka i technika mogą człowiekowi służyć. Mogą być jednak — a mamy na to aż nadto przykładów — użyte przeciwko niemu. Same w sobie są jednak w stosunku do ludzkich wartości neutralne. Co więcej, z punktu widzenia naukowo zaplanowanego społeczeństwa pewne istotne wartości ludzkie, jak np. własność, wolność, są wartościami niepożądanymi. Kriele przypomina tu najrozmaitsze utopie technokratyczne od Bacona poczynając, a na współczesnym nam Skinnerze kończąc, które przedstawiają świat społeczny doskonale uregulowany, pozbawiony jednak — i nieprzypadkowo — pewnych nie nadających się do zaprogramowania wartości, jak sztuka, wolność, fantazja. Bezkonfliktowy świat przyszłości wyzbyty instytucji politycznych będzie zatem, konkluduje autor, światem bez pluralizmu wartości, a także bez kultury, gdyż istnieje ona tylko tam, gdzie dochodzą do głosu sprzeczności. Przedsmak tego świata dostarcza nam współczesne społeczeństwo masowe.

Wywód ten, a zwłaszcza jego wniosek brzmią trochę jak wyrok wydany na tradycję liberalną. Kriele jednak, sam liberal, choć o wyraźnie konserwatywnym zabarwieniu, nie odrzuca jej w całości. Poddając ją krytyce wskazuje jedynie, iż od początku cechowała ją dwoistość. Z jednej strony mieliśmy do czynienia z Rewolucją Francuską z 1792 roku, która przyniosła Europie terror. Z drugiej zaś z rewolucją z 1789 roku, która zapoczątkowała w tej samej Europie przemiany demokratyczne. Podobnie dwoista okaże się liberalna koncepcja jednostki, odwołująca się zarówno do technokratycznonaturalistycznych wartości (i od tej wersji będzie się Kriele odżegnywał), jak też do idei wolności opartej o instytucje polityczne jak o żywą jeszcze w XVIII, a częściowo także w XIX wieku tradycję

religijno-metafizyczną. Stopniowy zanik tej tradycji w zeświecczonych społeczeństwach współczesnych sprawił, zdaniem Krielego, iż ginąć zaczęła zarazem wiara w wartość wolności indywidualnej, a w jej miejsce pojawiły się doktryny kolektywistyczne. Kriele postuluje wobec tego konieczność powrotu do religii, która dla współczesnej demokracji jest jego zdaniem równie nieodzowna jak w swoim czasie nieodzowne było przeforsowanie świeckiego modelu państwa.

Kriele wraca w swojej książce stale do jednego leitmotiwu: wizja świata bez instytucji to z konieczności wizja świata bez wolności. To szczególne uwrażliwienie na jeden w gruncie rzeczy problem pozwala autorowi pokazać, iż ślady takiej wizji odnaleźć można nie tylko w anarchizmie, marksizmie czy w najróżniejszych postromantycznych utopiach odwołujących się do XIX wieku, ale i we współczesnych nam hasłach emancypacji czy w zwykłym scjentyzmie. Wnioski, jakie Kriele wyciąga z tych obserwacji, są alarmujące. Uświadamiają one bowiem, iż obok niebezpieczeństw grożących demokracji z zewnątrz, pamiętać trzeba stale o zagrożeniach powstających równocześnie w obrębie tego systemu. Współcześnie należy do nich scjentyzm (przebiegający niejako w poprzek głównych stylów myślowych epoki), a także hasła emancypacyjne. Początkowo popularność ich ograniczała się do subkultury młodzieżowej, obecnie sięgają one znacznie szerzej.

Wszystko to są uwagi przekonujące i słuszne; Kriele ilustruje je zresztą w sposób niekonwencjonalny odwołując się to do osobliwości wschodniej polityki Zachodu ujawniającej, jego zdaniem, istnienie antydemokratycznego myślenia w obrębie samej zachodniej Europy, to do upadku sztuki czy religii we współczesnych społeczeństwach będącego dla niego znamienym faktem o znaczeniu politycznym, nie tylko kulturowym.

Przy tym wszystkim — a przykładów oryginalności i trafności spostrzeżeń autora można by podawać więcej — nadmierna koncentracja na sprawie wolności jednostkowej nie pozwala mu dostrzec całego szeregu innych problemów związanych z istnieniem społeczeństw demokratycznych. Ich uwzględnienie doprowadzić by miało do częściowej przynajmniej relatywizacji zasady pierwszeństwa wolności indywidualnej i do zasadniczej rewizji głównej tezy autora na temat źródeł tendencji kolektywistyczno-totalitarnych w XX wieku. Ich zastanawiającą popularność w okresie niezaprzeczalnych sukcesów demokracji, Kriele stara się — jak wszystko zresztą — tłumaczyć zanikiem poczucia wartości indywidualnej wolności. Z tezą tą trudno

jest się zgodzić: wygląda tak, jakby skutek pomieszany został z przyczyną.

Zastanawiająca atrakcyjność teorii totalitarnych w XX wieku, o ile nie traktować jej naturalnie, jak chcą niektórzy, jako jeszcze jednego dowodu skażenia natury ludzkiej, wydaje się raczej wynikiem faktu, iż demokracja skoncentrowana na pojęciu wolności indywidualnej przez dłuższy czas zaniedbywała pojęcie wspólnoty, które dzięki temu stało się atutem ruchów antydemokratycznych. Myśląc o przyszłych modelach demokracji niezbędne jest zatem wyposażenie ich w silniejszą niż do tej pory komponentę „wspólnotową”, gdyż inaczej grozić im będzie rozsadzenie przez wewnętrzne sprzeczności. Końcowa sugestia Krielego o konieczności połączenia demokracji i religii w przyszłych społeczeństwach, o ile ją rozumieć właśnie jako konieczność nadania liberalnemu pojęciu wolności nowego, bardziej wspólnotowego sensu, jest sugestią, którą warto mieć na uwadze. Najsilniejsza strona książki Krielego polega jednak bez wątpienia na uporczywym podkreśleniu, iż demokracja bez wolności jednostkowej gwarantowanej instytucjami nie ma po prostu sensu.

Jeremi Sadowski

NAKŁADEM ANEKSU

APEL DO SPOŁECZEŃSTWA

i inne dokumenty

Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”

Cena: US\$2.00/£1.00

Adam Mazur.

PODCINANIE NAJZDROWSZEJ GAŁĘZI?

Literatura rosyjska jest dzisiaj jedna w dwu wcieleniach — krajowym i zagranicznym, emigracyjnym.

Są to dwie części składowe, by przywołać tuwimowską analogię — „ojczyzny-ruszczyzny”. Części nierówne. Charakter tej nierówności zmienia się w naszych oczach.

Literatura emigracyjna widziała się do niedawna usychającą gałązką, skazaną na biologiczną śmierć. Ale przyptyw żywotnych soków trzeciej emigracji dał tej literaturze nowe siły: żyje, rośnie, zyskuje na znaczeniu.

Literatura krajowa, mimo swych pozornie nieograniczonych rezerw, na odwrót, znacznie traci. Nie znaczy to, by brakowało jej ciekawych pisarzy, bynajmniej. Są oni jednak izolowani, nie tworzą wspólnej jakości. Ton nadają pół- i cali grafomani, antypisarze, wspierani przez antykrytyków, gotowi do wszelkich usług i opancerzeni ideologiczną prawomyslnością. Upadek rzemiosła jest przynębiający, od lat nie ma nowych, wybitnych zjawisk; miernoty zawiadnęły bez reszty kluczowymi stanowiskami w Związku Pisarzy i ściągają się z miernotami jeszcze większymi i bardziej agresywnymi. Korona krajowego drzewa jest przetrzebiona, toczona od wewnątrz toralitatnymi chorobami; liście leżą gęsto. Wyjazd Aksionowa i Wojnowicza i bodaj że nieodległy już *exodus* Władimowa będącym dramatycznym upustem sił i kryzys jeszcze jaskrawiej uświadocznili.

To, co w kraju ciągle jeszcze pozostaje, w sensie wartościowej pisarskiej *zbiornowości* (poza desperacko walczącymi o godność literatury jednostkami) — sytuuje się w określonej sferze. To *pisarze* i *pisarstwo* spraw wiejskich. Tu w cenie jest i prawda, i uczciwość, i rzetelność rzemiosła. Nazwiska Abramowa, Astafiewa, Rasputina, Bielowa, Liczutina, Możajewa, nieodżałowanego a ciągle wy-

rażnie obecnego Szukszyna, i innych jeszcze — firmują dobrą literacką robotę. Diagnozy są ostre, obrazy — szarpące nerwy, wymowa losów bohaterów — boleśnie jednoznaczna. W innych sferach tematycznych nie można sobie na nic podobnego pozwolić; obowiązując oportunistyczny balans wyważonych półprawd. Tutaj, w „Pożegnaniu z Matorą”. Rasputina znajdujemy przejmującą elegię na koniec rosyjskiej wsi — nie tylko jednej, tytułowej, zalanej spiętrzonymi falami rzeki, ale wsi w ogóle; jest to skrót zagłady chłopskiej Rosji. „Dom” Abramowa zamyka czterotomowy cykl powieściowy obrazem dnia dzisiejszego, jeszcze bardziej przygnębiającego niż dzika samowola stalinizmu, kiedy wierzono jednak w głębszy sens cierpień i ofiar. Teraz wieś jest zapita, zubożniona, z przetrąconym moralnym kręgosłupem, zdemoralizowana złym kierownictwem, pozbawiona nadziei. „Żywego” Możajewa rozchwymano w Polsce, kiedy się pojawił w przekładzie, spod ład księgarni. Rzadko się to zdarza z rosyjską książką (poza, oczywiście, Bułhakowem, Babłem czy Cwietajewą), ale czytelnicy krajowi dowiedli tym, że wiedzą co dobre; ta opowieść o biednym chłopie, któremu władza nie daje żyć na najroźniejsze sposoby, tłamsi go i niszczy, a on walczy cierpliwością i unikami. Jest małym arcydziełem. A to tylko parę wybranych przykładów.

Czemu właśnie pisarzom wiejskim tyle wolno? Bołajże toczy się tu cały czas skomplikowana gra z unikami i próbami wzajemnego przechytrzenia. Władza chce tę literaturę wprzęgnąć w swój ideologiczny rydwan, którego wystrój ma być supernarodowy, „rdzenny”, z soli i z roli, co jest oczywiście dekoracją dla hegemonistycznoimperialnych poczynań. Poza tym władza ma złe sumienie, bo przed półwieczem zmiażdżyła wieś kolektywizacją, zgnoila miliony chłopów w łagrach i zamorzyła miliony głodem, czego skutki są widoczne i odczuwalne po dziś dzień: dawny zbożowy koloś, zdolny wykarmić pół Europy, byłby dziś skazany na głód bez importu pszenicy. To złe sumienie każe z jednej strony dopuszczać pewną dozę gorzkiej prawdy, z drugiej — zabiegać u pisarzy tematu wiejskiego o ustawiczne potwierdzenie słuszności tego, co się stało i jak się stało. Zawsze znajduje się też pewna liczba serwilistów, którzy gotowi są do tych ostatnich usług, ale Bóg na szczęście nie dal im wiele talentu. Natomiast pisarze utalentowani, mniej czy bardziej świadomie, realizują cele własne, i ich gra — w głębszym tego słowa znaczeniu — idzie o wielką stawkę.

Jest nią mianowicie powtórna emancypacja rosyjskiego chłopca. Pierwsza dokonywała się stopniowo przez z górą sto lat, staraniami wielu pisarzy, od Radiszczewa poczynając. Nad chłopem się najpierw pochyłano, litowano, apelowano o uznanie w nim człowieka. Potem zaczęto go indywidualizować, udzielono mu głosu, zachłyśnięto się

jego krzepą, przejęto jego etyką, a jednocześnie przerażano ciemnotą; aż w przededniu pierwszej wojny pasowano na arcywzór Rosjanina i obrońcę ojczyzny, uczyniono mitem i modą. Również w pierwszych latach porewolucyjnych chłop, przeżywający w czasie NEP-u okres krótkotrwałej prosperity, widział się hegemonem nowego porządku, i chociaż szybko stało się jasne, że tak nie jest, pozycja wsi wydawała się ugruntowana.

Kolektywizacja wszystko to załamała, cofając chłopą do czasu pańszczyźnianego niewolnictwa. Wieś wyłączone nie tylko z materialnego, ale i duchowego mienia, przetrącono jej wewnętrzny kręgosłup. Podeptano chłopską etykę, uznając ją za „kulactwo” i propagując jej antytezy: zerwanie związku z ziemią i przyrodą, odrzucenie solidarności środowiskowej, relatywizm moralny. Efekty okazały się mordercze, bynajmniej nie tylko ekonomicznie, i to w skali ogólnonarodowej: zabrakło ważnego spoiwa, zmartwiały całe połacie duchowej tkanki. Nic dziwnego, że starczyło lekkiego rozluźnienia martwego chwytu w latach stalinowskich, by zaczął się nowy cykl emancypacyjny, który stał się skróconą repetycją pierwszego. Najpierw wieś była tylko przedmiotem, chorym pacjentem, obiektem współczucia. Potem stopniowo zyskiwała osobowość, rosła w znaczenie: jako ostoja zagrożonego środowiska, jako kolebka tradycji, wreszcie jako zaplecze tradycyjnej etyki, której potrzebę gwałtownie odczuło. „Naród rosyjski — napisał o tym Wasyli Szukszyn — w ciągu swojej historii wybrał, zachował i otoczył czcią ludzkie cechy nie podlegające zakwestionowaniu: uczciwość, pracowitość, prawość, dobroć...” Literatura ostatniego okresu to właśnie zrehabilitowała. Nie obieżyło się przy tym bez dewiacji, bez akcentów prymitywnej ksenofobii i glebo-manizmu, bez ulegania pokusom oficjalnej, wystawowej pseudoludowości i prymitywnego przeciwstawiania zdrowej „wsi” zepsutemu „miastu”. Były to jednak, i są nadal, marginesy. Sprawa główna: duchowe okrzepnięcie wsi, jej druga emancypacja — okazała się niewatpliwa.

Wiąże się to z goryczą konstatacji zniszczeń, jakie nastąpiły i ciągle następują. Awans duchowy niesie odwagę samowiedzy; prymitywna idealizacja może być na ręce jedynie małym pisarzom i marnym ludziom. Literatura prawdziwa pokazuje swoich współczesnych bez złudzeń, częściej w upadkach niż we wzlotach, wiedząc, kto jest czemu winien.

Hipokryzja / istoty swej i skazana na ustawiczne udawanie, że jest tym, czym nie jest, władza drepcze nerwowo, by przy pomocy różnych manipulacji dowodzić stale, że wszystko jest w porządku. Sytuacja względnej tolerancji i specjalnej taryfy dla pisarzy wiejskich

trwa nadal. Ale ponieważ starczy chwyt elity władzy, chcącej narzucić krajowi ideał martwego bezruchu, nie zapewnia jedności, a odwrotnie — maskuje rozdarcia, a więc w sferze idei, jak zawsze w bolszewickiej praktyce, złe atakowane jest przez gorsze, i każdy współczesny Iwan Groźny płodzi tywali — groźniejszych. Toteż nie brak sygnałów, świadczących o chęci okiełznania wiejskich pisarzy i zastosowania wobec nich twardszego kursu. Ale takie zamiary wywołują widoczne przeciwwzajemierzenia. Sytuacja jest jak zwykle zamazana, niejasna; posunięcia realizowane są przez osoby podstawione, starcia prowadzi się *per procura*, słowa znaczą co innego niż głoszą i obliczone są na specjalny rezonans ukrytych adresatów; liczą się nie tyle teksty, ile konteksty i podteksty. Cała ta totalitarna talmudystyka nie musi być jednak zgłębiana w każdym miejscu i na użytek niespecjalistów; wystarczy zdawać sobie z niej sprawę. Znamienne jest już i to, co widać na powierzchni, okiem nieuzbrojonym.

W sprawie piśarstwa wiejskiego widać zaś było przed kilkoma miesiącami żywienie dyskusyjne. Dokonywało się ono na łamach *Litieraturnoj Gaziety**. Zbyteczne jest dodawanie, że co jak co ale sowieckie dyskusje mają zawsze charakter szczególnie inscenizacyjny; organizuje się je tak, aby służyły założonym z góry celom, z reguły widocznym dopiero po pewnym czasie. Także i tym razem przyszłość pokaże pewnie, co wypowiedzane słowa naprawdę znaczą. Tymczasem rzuca się w oczy fakt, że rozmowa o literaturze wiejskiej poszła dwoma torami. Pisarze, publicyści i krytycy o mało znanych nazwiskach energicznie domagali się „modernizacji”, „patrzenia ku przodowi”, „wyjścia na główne magistrale współczesności”. Zarzucali też głównemu nurtowi prozy wiejskiej idealizację „cierpiącego, pozytywnie-pięknoduchowego” typu chłopca i wylewanie „słodkich łez zachwyty z racji niewzruszoności wiejskich układów”, a także „wleczenie się z tyłu w roli płaczki”. Tym wypowiedziom wtórowali również terenowi działacze partyjni; bez żenady, dobrze już wytrenowanymi głosami domagali się oni, by literatura „pomagała w pracy” i pokazywała „te stosunki międzyludzkie, które należy naśladować”.

Byłyby to oczywiście zapowiedzi końca tej sfery względných swobód i twardego przydeptania dobrych wiejskich pisarzy. Lecz sprawa wygląda nie tak prosto, ponieważ dyskusja biegła również torem drugim. Wyznaczały go głosy samych twórców: Możajewa, Liczutina, Krupina, którzy równie energicznie jak ich adwersarze, i bez kompleksu niższości, wykładali swe racje. Liczutin, notabene autor pasjonują-

* Od numeru 37 1979 do numeru 11 1980; ogółem dyskusja wyniosła ponad dwadzieścia wystąpień.

cych obrazów patriarchalnych układów rosyjskiego Pomorza, stwierdził: „Pisarz powinien pisać nie o tym, jak się produkuje chleb... lecz o etycznej wartości chleba” (L.G., 1/1980). Krupin, dobrze się zapowiadający prozaik, oświadczył: „Przecież w ostatnim czasie nie wyszło nic bardziej współczesnego niż opowieść Rasputina «Pożegnanie z Matorą», powieść Zalygina «Komisja», powieść Biełowa «W przededniu» czy cykl opowiadań Asfatiewa «Car-ryba» (L.G., 40/1979). W Jwa tygodnie po oficjalnym zamknięciu dyskusji *Literaturnaja Gazieta* udzieliła głosu niewątpliwemu leaderowi wiejskiej prozy, Walentynowi Rasputinowi. „Literatura wiejska — powiedział on — okazała się zdolna do precyzyjnego znajdowania zakończeń nerwowych na ogromnym ciecie, które nazywamy «narodem». Dające się w ostatnim czasie słyszeć coraz częstsze zarzuty, że proza wiejska nie spełnia jakoby wymagań życia i drepcze w miejscu — są do przyjęcia tylko o tyle, o ile skieruje się je pod adresem całej naszej literatury. Nie ma tu niczego strasznego, literatura nie jest parowozem, który ma obowiązek jeździć dokładnie według rozkładu” (L.G., 13/1980).

Była to więc energiczna riposta o określonym adresie. Na ile skuteczna, skoro druga strona puszcza w ruch nie tylko słowa? A jeśli skuteczna, to na jak długo? Tego nie wiadomo, podobnie jak nie wiadomo dokładnie, kto, co i kogo po drugiej stronie reprezentuje. Na razie widać tylko, że lepsza część wiejskiej prozy (oczywiście „wiejskość” jest określeniem hardzo względnie prawomocnym, gdy chodzi o utwory wysokiej klasy, wobec których szufladki tematyczne są zawsze za małe) podjęła wyzwanie i broni zasad swego postępowania. To, że pozwolono jej robić to publicznie, a nawet mieć ostatnie słowo, też o czymś świadczy. Być może całą dyskusję zainscenizowano właśnie tak, by prozę tę i trochę poszturchać, i ostatecznie obronić. Mogłoby to na przykład zapobiec na jakiś czas zamiarom bardziej niszczącym. Te są zawsze możliwe, chociaż — powtórzmy — proza wiejska ratuje dziś znaczną część honoru krajowej literatury radzieckiej i szkodenie jej byłoby podcinaniem najzdrowszej gałęzi podsycającego drzewa. Ale historia ZSRR uczy, że ręce niszczycieli w takich wypadkach nie drżą, usztywnione bezwzględnością politycznych czy „politycznych” racji. Skoro już, wbrew wszelkiej logice i interesom, a dla totalitarnego uzależnienia wszystkich od władzy centralnej, zniszczono przed półwieczem rosyjską wieś, to zniszczenie wiejskiej literatury z prawdziwego zdarzenia jest prawie głupstwem. „Prawie” — bo czasy nie są zupełnie te same. Aic ich łączność jest ciągle manifestowana, i to jak!

Na razie gałąź kwitnie i owocuje.

Adam Mazur

noty i refleksje

PRZEWODNIK DLA ZAGUBIONYCH

E.F.Schumacher jest autorem niesłyszanej na Zachodzie popularnej książki pt. *Small is beautiful* (1971; „Małe jest piękne” — po polsku ukaże się ona wkrótce nakładem PIW-u), w której podważał on same założenia, na których opiera się struktura ekonomiczna świata zachodniego, takie jak maksymalizacja zysku, postęp czy specjalizacja. Nie była to jednak praca wyłącznie krytyczna: przeciwnie, Schumacher przedstawił w niej w sposób przekonujący i, chciałoby się powiedzieć, porywający, taki system gospodarki światowej, który koncentrując się na wytwórcy, a nie na wytworze zdolny byłby przywrócić równowagę pomiędzy celami a środkami współczesnej cywilizacji. Schumacher wypowiadał się jako ekspert; był on światowej sławy ekonomistą, doradcą Państwowego Zjednoczenia Węglowego Wielkiej Brytanii, przewodniczącym największej brytyjskiej organizacji rolnictwa organicznego, naukowcem, wykładowcą, doradcą do spraw gospodarczych w wielu krajach Trzeciego Świata.

Ostatnia książka Schumachera, który zmarł w r. 1977, nosi tytuł *A Guide for the Perplexed* (J. Cape, London 1977) — „Przewodnik dla zagubionych”. Przyjęta entuzjastycznie przez krytykę i czytelników (m.in. Artura Koestlera), jest ona poświęcona zagadnieniom związanym z pojmowaniem przez człowieka swojego miejsca we wszechświecie. Jest to próba przedstawienia „mapy orientacyjnej”, która uwzględniłaby to, co rzeczywiście istotne w życiu; brak takiej mapy Schumacher — i z pewnością nie tylko on — odczuwał już jako uczeń i student. Nowoczesna szkoła uczy pogardy lub lekceważenia dla tradycyjnych światopoglądów wyznawanych przez setki pokoleń w rozmaitych kulturach, sama zaś nie udziela odpowiedzi na rzeczywiście istotne pytania (w rodzaju: jak żyć? co to jest dobro? prawda? jak osiągnąć szczęście?) — co więcej, podważa nawet samą sensowność

zadawania takich pytań. Schumacher mówi o trzech wiekach agresywnego „imperializmu naukowego”, którego skutkiem jest dezorientacja młodego pokolenia, grożąca upadkiem naszej cywilizacji. Autor przeciwstawia tendencji do redukcjonizmu, charakterystycznej dla materialistycznej nauki, spojrzenie całościowe na świat. Podkreśla on, że szczególnie ważny dla tego typu przedsięwzięcia, czyli sporządzenia adekwatnej mapy rzeczywistości, jest sam początek, bo jeśli raz przyjmie się niewłaściwe przesłanki, to najbardziej nawet skrupulatne metody na dalszych etapach badania nie będą w stanie uratować produktu końcowego. Sporządzanie mapy jest działalnością empiryczną, która winna uwzględniać wszystko, co napotykanymy, bez pomijania niczego.

Mapa Schumachera oparta jest na czterech zasadniczych i nie dających się pominąć punktach orientacyjnych, czterech „wielkich prawdach”, jak je nazywa autor: I) świat jest strukturą hierarchiczną, w której możemy wyróżnić przynajmniej cztery poziomy bytu; II) obowiązuje w nim zasada odpowiedniości pomiędzy podmiotem poznającym a przedmiotem poznania; III) należy umieć rozdzielić cztery różne domeny poznania; IV) wszystkie problemy, przed jakimi stoimy, można podzielić na dwie kategorie: problemy „zbieżne” i „rozbieżne”. Zanim przejdziemy do omówienia tych czterech punktów, należy podkreślić, że mapa ta nie ma naturalnie służyć do „rozwiązywania” problemów, przed jakimi staje każdy człowiek, ale do ich identyfikacji.

Ad I. Umiejętność rozróżnienia pomiędzy wyższymi a niższymi poziomami istnienia jest warunkiem koniecznym dla uzyskania właściwej orientacji w świecie. Łatwo da się zaobserwować cztery takie poziomy, pomiędzy którymi brak jest ciągłości, da się zauważyć rodzaj przeskoku, a jednocześnie każdy wyższy stopień zawiera w sobie niższy. Łańcuch „kamień — roślina — zwierzę — człowiek” można zapisać jako „materia (m) — materia+życie (m+x) — materia+życie+świadomość (m+x+y) — materia+życie+świadomość+samoświadomość (m+x+y+z)”. Fizyka czy chemia zajmują się poziomem najniższym (m), a ich próba określenia życia jako układu chemiczno-fizycznego zapoznaje właściwość „życia jako takiego”; przedstawić życie jako szczególną kombinację atomów to tak jakby utrzymywać, że *Hamlet* nie jest niczym innym, jak szczególną kombinacją liter. W rzeczywistości właśnie kombinacja liter nie jest niczym innym jak tylko właściwością *Hamleta*. (Inne niż oryginalna wersje językowe tego utworu będą miały inne układy literowe.) Re-

dukowanie człowieka do zwierzęcia o wyjątkowo rozwiniętym mózgu jest na tyle adekwatne, co określenie psa jako rośliny zdolnej do biegania i szczekania.

Warto tutaj zauważyć, że tylko poziom „m” jest dostępny obiektywnej obserwacji naukowej za pomocą zmysłów. Trzy pozostałe (życie, świadomość i samoświadomość) znamy jedynie z własnego wewnętrznego doświadczenia. Stosunkowo do niedawna ludzkość przekonana była, że te cztery poziomy bynajmniej nie są jedynymi i że łańcuch istnienia rozciąga się dalej wwyż, ponad poziom „ludzki”. Co więcej, najwięksi mędrcy uważali zawsze, że uświadomienie sobie tego jest najdonioślejszym zadaniem człowieka w życiu.

Posuwając się od najniższego, mineralnego poziomu wwyż, zauważamy progresję od bierności do aktywności i od konieczności do wolności. „Wewnętrzna przestrzeń” człowieka, dziedzińska samoświadomości, jest właśnie polem wolności. Im wyższy dany poziom, tym bardziej zinterioryzowany, mniej widoczny na zewnątrz. W tym sensie i człowiek, w przeciwieństwie do całkowicie widocznej materii nieożywionej, jest w dużym stopniu „niewidzialny”: widzimy bezpośrednio tylko jego ciało, natomiast to, co najbardziej w nim ludzkie (z poziomu samoświadomości) — myśli, uczucia, wyobrażenia, marzenia, nadzieje, wątpliwości itd. — jest niewidoczne dla innych. Co zaś najważniejsze, samoświadomość nie ma zakreślonych ram, jest właściwością o nieograniczonych możliwościach: w przeciwieństwie do niższych bytów, człowiek jest „niedokończony”. Nic dziwnego, że od zarania ludzkości postulowano egzystencję istot wyższych niż człowiek i całkowicie niewidzialnych.

Ad II. Druga z „wielkich prawd” omawianych przez Schumachera to zasada *adaequatio* (odpowiedniości), która głosi, że człowiek poznający musi dysponować narzędziem poznania odpowiednim do przedmiotu poznawanego. I tak nasze pięć zmysłów jest adekwatne do poznania świata materialnego. „Wyposażenie” zdrowych ludzi nie różni się specjalnie pod tym względem. Żeby jednak uporządkować dane zmysłowe, potrzebne są zupełnie innego rodzaju narzędzia — umysłowe, a pod tym względem ludzie ogromnie się między sobą różnią. Zdolność do zrozumienia i odczucia np. muzyki ma niewiele wspólnego ze słuchem jako takim; to, co dla jednego człowieka jest wspaniałym koncertem, dla kogoś innego może być mniej lub bardziej nużącym hałasem. Dotyczy to wszelkich ludzkich doświadczeń: istnieją dla nas tylko te zjawiska i fakty, które jesteśmy w stanie w danym momencie odebrać i przyswoić. Twierdząc: „fakty mówią

same za siebie: zapomina się, że fakty mówią tylko wtedy, kiedy potrafimy je usłyszeć i zrozumieć. Odróżnienie między faktem a interpretacją jest w rzeczywistości niezmiernie trudne.

Schumacher omawia następnie dwa typy wiedzy: jedna zmierza do zrozumienia (odwieczne poszukiwanie mądrości), a druga do jak najskuteczniejszej manipulacji rzeczywistością, na czym właśnie koncentruje się nauka nowoczesna ostatnich kilku wieków, mylnie dziś uznawana przez wielu za jedyną prawdziwie „naukową” i obiektywną.

Ad III. Cztery pola poznania odpowiadają czterem pytaniom: 1) Co dzieje się we mnie? (samowiedza); 2) Co dzieje się w wewnętrznym świecie innych? (wiedza faktyczna niezbędna dla ułożenia sobie stosunków z innymi ludźmi, od których w końcu zależy tak wiele, jeśli nie wszystko, w życiu osobistym. Innych możemy zrozumieć tylko na tyle, na ile znamy siebie samych, ale trudność polega na tym, że o ile siebie widzimy głównie w świetle naszych intencji, to innych szacujemy według ich dokonań); 3) Jak inni mnie widzą? (postawić się w sytuacji drugiego człowieka); 4) Co zachodzi w świecie mnie otaczającym? Tu następuje rozróżnienie między naukami a) opisu i b) „instruktażu”. Zainteresowanymi głównie tymi aspektami badanej rzeczywistości, które mogą być przydatne do osiągnięcia określonych praktycznych rezultatów. Jak z tego wynika, zajmują się one najniższym, martwym aspektem przyrody (m), a więc nie mogą prowadzić do rozstrzygnięcia natury filozoficznej (z poziomu $m + x + y + z$), jako że nie zajmują się w ogóle pytaniami tego typu. Nauka operuje kryteriami pragmatycznymi, na podstawie których buduje swoją definicję prawdy. (Ale wiadomo przecież, że nieprawdziwe przesłanki mogą również prowadzić do skutecznych rezultatów, np. poprawne, przed-kopernikowskie kalkulacje astrologiczne.)

Przykładem nieprawidłowego wyciągania wniosków co do natury rzeczy z naukowej obserwacji mechanizmu selekcji naturalnej jest teoria ewolucji. Z jej rozszerzeniami natury filozoficznej, przyjętymi zwłaszcza wśród laików, Schumacher rozprawia się krótko i zdecydowanie. Nauka opisowa (teoria Darwina) stała się nie naukowa i nieprawidłowa, kiedy próbowała sobie na całościowe teorie wyjaśniające, których nie da się zweryfikować eksperymentalnie. Takie teorie należą do terenu wiary, a nie nauki.

Ad IV. Dwa typy problemów. Pytania, na które istnieje odpowiedź jednoznaczna, z istoty swej rozwiązywalne, „zbieżne”, wymagające tylko czasu (np. problemy konstrukcyjne; dwukilowy polski na-

dzany ludzką energią = rower) oraz problemy, których nie da się raz na zawsze jednoznacznie rozwiązać (np. jak najlepiej kształcić dzieci?) — co więcej, im logiczniej i konsekwentniej rozwijamy jakieś założenie początkowe (np. „w szkole ma być dyscyplina” albo „dzieci potrzebują wolności do pełnego rozwoju”), tym bardziej różnić się będą otrzymane odpowiedzi. Te tzw. problemy „rozbieżne”, dotyczące żywego aspektu przyrody, zawierają bowiem w sobie z natury podstawowe przeciwieństwa (np. swoboda—porządek, rozwój—ohumieranie, wolność—równość), które można przezwyciężyć tylko wznosząc się niejako na wyższy poziom: hasło rewolucji francuskiej, nawołujące do „wolności” i „równości”, jest nierealistyczne bez trzeciego członu — „braterstwa”. Konflikty moralne, społeczne czy polityczne należą oczywiście do tej właśnie kategorii problemów rozbieżnych i naiwnością jest spodziewać się, że da się je rozwiązać raz na zawsze na drodze „lepszego ustroju społecznego” czy „nowej moralności”.

Przeprowadziwszy analizę tych „czterech wielkich prawd” i ich wzajemnych relacji, w epilogu Schumacher wyciąga wnioski i definiuje istotę prawdziwego postępu w życiu człowieka. Nowoczesny eksperyment życia opartego na prawach naukowych — z pominięciem praw metafizycznych i religijnych — gdy szczęście pojmuje się na ogół jako zapewnienie wygody i rozrywki na skalę społeczną, najwidoczniej nie zdaje egzaminu. Książka Schumachera wykazuje niezbicie, dlaczego tak być musi, a jego „mapa orientacyjna” wskazuje wyraźnie, w jakim kierunku musimy się zwrócić, jeśli zależy nam na uratowaniu siebie i całego zagrożonego dziś świata.

W.D.

ZROZUMIEĆ SOWIETYZM

Warto byłoby wprowadzić w *Aneksie* specjalną rubrykę, w której mówiłoby się o tym, jak system sowiecki jest na Zachodzie postrzegany i opisywany. Jak powiedział bowiem kiedyś Keynes, działania ludzi zależą w dużo mniejszym stopniu od ich interesów niż od ich przedwczorajszych koncepcji, pod wpływem których pozostają. Warto więc badać dzisiejszy stan zachodniej refleksji na temat sowietyzmu, aby wiedzieć, jaka będzie pojutrze polityka Zachodu w stosunku do Związku Radzieckiego i innych krajów obozu.

W szacownym piśmie slawistycznym (*Slavonic Review*, czerwiec 1979) ukazała się niedawno dyskusja na temat natury zjawisk politycznych w Związku Radzieckim. Dyskusja toczyła się wokół artykułu Stephen F. Cohena, młodego historyka amerykańskiego, autora interesującej książki o Bucharinie. Tytuł podsumowuje treść artykułu: „Przyjaciele i wrogowie zmian: reformiści i konserwatyści w ZSRR”^{*}.

Pojęcia „konserwatysty” i „reformisty” nie wystarczają, zdaniem autora, dla opisanego politycznej mapy Związku Radzieckiego, zarysowanej już w latach pięćdziesiątych, na której znaleźć można bogactwo poglądów — od skrajnie lewicowych do skrajnie prawicowych. Nawet ograniczenie się do członków partii wymagałoby uwzględnienia czterech grup: autentyczni demokraci, reformiści, konserwatyści i neo-stalinowscy reakcyjniści. Pierwszą i ostatnią grupę nazywa on ekstremistycznymi — nie odgrywają one większej roli na co dzień. Najbardziej interesują Cohena dwie środkowe grupy.

Owi reformiści i konserwatyści ze względu na styl myślenia, mentalność, postawę społeczną i polityczną nie różnią się niczym — zdaniem Cohena — od reformistów i konserwatystów na Zachodzie. Tak więc reformizm jako pogląd i postawa polityczna ma na celu poprawę istniejącego stanu rzeczy w ramach ustanowionego systemu ekonomicznego, społecznego i politycznego, w zgodzie z obowiązującymi wartościami ideologicznymi. Reformiści zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie utrzymują — zdaniem autora — że możliwości ideologii, jej obietnice (marksizm-leninizm na Wschodzie, doktryna liberalno-demokratyczna w USA) nie zostały zrealizowane, i że mogą i powinny być spełnione. Przesłanką rozumowania reformisty jest przekonanie, że zmiana jest postępem. Jest on nieczuły na historię i kult przeszłości. Konserwatysta, przeciwnie, okazuje głęboki szacunek dla przeszłości (mówimy o konserwatystach w USA i w partii komunistycznej), cechuje go „sentymentalna obrona istniejących instytucji, rutyny i ortodoksji”...

Ów powszechnie i zawsze występujący w płaszczyźnie społecznej i politycznej konserwaryzm i reformizm przejawiać się ma w różny sposób na różnych piętrach społeczeństwa: na dole w sentymentach i postawach, nieco wyżej w grupach, frakcjach i partiach, jeszcze wyżej — przybierając postać koncepcji ideologicznych i filozoficznych.

* Opublikowany następnie w: S.F. Cohen, A. Rabinovitch, R. Sharlet (wyd.), *The Soviet Union since Stalin*, Indiana University Press, 1980.

cenę szczęścia i spokoju umysłu...”

W traktacie Cyserona *Tusculanes*, jaki zawiera jeden z niewielu fragmentów, które zachowały się z zagubionych części trylogii, Prometeusz nie może już dłużej znieść tortur, jakim nie ma końca: *amore mortis terminum angustans mali* („Śmierć, której pożądam, niech przyniesie koniec memu cierpieniu.”) Prometeusz pragnie już zwykłej ludzkiej śmierci. Czas dany ludziom jest „boleścią aż do śmierci”.

W odzie Pindara, która także być może wiąże się z końcem tragedii Prometeusza, orzeł, który strzeże piorunów Zeusa, usnął do śpiwku Muz przy wtórze liry Apolla. Myślę, że to jest ten orzeł, który co rano zlatywał na skały Kaukazu, żeby karmić się wątrobą Prometeusza.

Orzeł na berle gromiowludey usnął.

Z dwóch stron zwisają jego chyże skrzydła.

(*Pvth.* 1)

Orzeł zasnął, gniew opuścił wrogów albo zapomnieli. Jest to koniec tragedii „absurdalnego buntownika”. Kafka znał zapewne traktat Cyserona i odę Pindara, skoro w swoim notatniku zapisał cztery legendy o Prometeuszu:

Według pierwszej, ponieważ bogów zdradził dla ludzi, przykuw został do skały w Kaukazie i bogowie posyłali orły, żeby karmiły się jego wątrobą, która zawsze odrastała.

Według drugiej, Prometeusz uchodząc przed dziohami, które go ćwiartowały, przywierał w mece coraz ciasniej i ciasniej do skały, aż stał się z nią jednym.

Według trzeciej, w ciągu tysiącleci zdrada jego została zapomniana, bogowie zapomnieli, orły zapomniały, on sam zapominał.

Według czwartej, wszystkich znużyło to, co już straciło wszelkie znaczenie, bogowie się znużyli, orły się znużyły, ze znużenia zasklepiła się rana.

Pozostały góry — niewytłumaczalne. Legenda próbuje wytłumaczyć niewytłumaczalne. Skoro jest fundamentem jest prawda, konczyć się musi powrotem do niewytłumaczalnego.

Kafka ze swoją nieporównaną inteligencją i intuicją absurdu dostrzegł, że kiedy topo-kosmos traci swój sens, zostają z niego tylko puste góry między niebem i ziemią. To jest na pewno koniec mitu o Prometeuszu. W całej historii dramatu są tylko dwa utwory, w których bohater od początku do końca nie opuszcza swego miejsca i pozostaje bez ruchu. Pierwszym jest *Prometeusz skąpy*. W drugim —

jedynie przestrzegania przez władzę ustanowionych przez nią samą praw.

Wizja historii Związku Radzieckiego kształtowanej w walce konserwatyizmu z reformizmem musi razić swoją naiwnością wschodnio-europejskiego czytelnika. A przecież Cohen zna dobrze Związek Radziecki. Czym więc wytłumaczyć można tego typu koncepcje? Przyczyn jest, jak sądzę, wiele. Pewną rolę odgrywa powszechne odrzucenie w środowiskach akademickich „ducha zimnej wojny”. Stąd między innymi niepopularność modelu totalitarnego, który w latach czterdziestych i pięćdziesiątych zrobił ogromną karierę dzięki autorom tej miary, co Hannah Arendt, Friedrich Brzeziński, Talmon. Istota tego modelu była niejako sprzeczna z oczekiwaniem zrodzonymi przez politykę *détente*, która mogła się bronić tylko przy założeniu, że czas wpłynie na złagodzenie najbardziej odrażających cech sowyetyzmu, przybliży moment demokracji i liberalizacji tego systemu. Sowietolodzy szukają więc źródeł przyszłej dynamiki systemu w reformach gospodarczych, w swoistym pluralizmie, w technokratach itp.

Nie bez znaczenia jest również logika badań naukowych i presja wywierana na badaczy przez obowiązujące standardy naukowości. Zajmowanie się wyłącznie tematem prowincjonalnym, jakim są badania sowietologiczne, jest skazywaniem się na drugorzędność. Wybrnąć z tego można na przykład poprzez badania porównawcze. Zamiast więc podkreślać cechy szczególne, niepowtarzalność sowyetyzmu, czy też porównywać go jedynie, jak to czynili „totalitaryści”, z nazizmem niemieckim, włącza się teraz sowyetyzm w szersze kategorie systemów. Traktuje się go więc jako jedno z wcieleni społeczeństwa biurokratycznego, jako „system modernizacji”, łącząc go z nacjonalistycznymi, niezładnymi państwami Trzeciego Świata, lub nawet zalicza się go praktycznie do tej samej kategorii, co kraje demokratyczne Zachodu, pokazując, że pluralizm nie musi mieć koniecznie zachodniego oblicza, że doskonale odnaleźć się go da i w Związku Radzieckim. Cohen podsumowując dyskusję krytykuje autorów pewnej książki o ZSRR za to, że pojęcia „reformiści” i „konserwatyści” pisali w cudzysłowie i że nie dostrzegali pluralizmu w KGB.

A.S.

SUKCESJA WŁADZY I CYKL GOSPODARCZY

Od 10 lat ukazują się wiele prac na temat politycznych cyklów gospodarczych na Zachodzie. Autorzy ich twierdzą, że czynniki polityczne, a przede wszystkim ambicje wyborcze, wpływają na decyzje i priorytety makroekonomiczne oraz na rozmiary sektora publicznego w rozwiniętych państwach przemysłowych. Okazuje się, że decyzje w dziedzinie polityki gospodarczej nie są określane jedynie przez intensywność potrzeb społecznych, ideologię, osobowość przywódcy, cele długookresowe czy presję systemową, ale również przez cele doraźne: przywódcy demokratyczni inaczej zachowują się i mają inne priorytety w miesiącach „miodowych”, inne zaś w okresach poprzedzających wybory (np. stosować będą raczej politykę deflacyjną w pierwszym, a inflacyjną, sprzyjającą zatrudnieniu w drugim przypadku — przewidywał to już na początku lat czterdziestych Michał Kalecki). Mówi się więc o cyklach gospodarczych wywoływanych interwencją państwa, które zamiast — jak to wyobrażał sobie Keynes — odgrywać rolę stabilizatora niezdolnej do samoregulacji gospodarki rynkowej, staje się źródłem jej fluktuacji.

W artykule „The Succession Connection: Policy Cycles and Political Change in the Soviet Union and Eastern Europe” (*The American Political Science Review*, December 1980) Valerie Jane Bunce stara się pokazać, że również w krajach socjalistycznych polityka gospodarcza jest w znacznej mierze zdeterminowana przez cykl polityczny, który, przy braku wyborów demokratycznych, określony jest przez niezinstytucjonalizowany proces sukcesji. Przywódcy komunistyczni, mimo iż nie dochodzą do władzy dzięki werdyktowi wyborczemu, w pierwszych latach swoich rządów starają się zdobyć poparcie społeczeństwa: następuje wzrost płac i dochodów na głowę, rosną inwestycje w sektorze budownictwa mieszkaniowego i w przemyśle lekkim, zwiększają się wydatki budżetowe na ochronę zdrowia, oświatę itp. Wrażliwość na żądania czy też raczej oczekiwania społeczne w okresie kryzysu związanego z przejęciem władzy wynika — zdaniem autorki — z obawy przywódców przed wybuchem społecznym, z dążenia do zdobycia mandatu społecznego i stworzenia pewnego consensus. Następnie, gdy zapewniona jest już stabilność polityczna, gdy dzięki popularnym decyzjom niebezpieczeństwo ewentualnego protestu zostaje zażegnane, następuje powrót do „normalnej” polityki i „normalnych” priorytetów: rozwój przemysłu ciężkiego, ograniczenie stopy wzrostu dochodów, podaż dóbr konsumpcyj-

nych, mieszkań etc. Polityka gospodarcza staje się mniej wrażliwa na opinię społeczną i bardziej poddana tradycyjnym uwarunkowaniom: ideologii, ograniczeniu informacji, czasu, zasobów, konfliktom instytucjonalnym i personalnym. Owa zmiana akcentów i priorytetów przejawia się, zdaniem autorki, nie tylko w konkretnych decyzjach lecz również w sferze deklaracji.

Tak więc antycypowanie porażki wyborczej w przypadku państw demokracji parlamentarnej skłania polityków do podejmowania w okresie poprzedzającym wybory popularnych decyzji: podobnie, obawa przed rewoltą mas (nieważne, czy taka reakcja rzeczywiście nastąpi, ważne, że przywódcy biorą pod uwagę taką możliwość) skłania przywódców państw bloku radzieckiego w okresie po przejęciu władzy do stosowania polityki gospodarczej znajdującej akceptację społeczeństwa. W obu przypadkach mamy do czynienia z antycypacją niebezpieczeństw, z dostosowaniem do przewidywanych a nie rzeczywistych ograniczeń. Tezę swoją W.J. Bunce dowodzi na przykładzie Związku Radzieckiego (rządy Chruszczowa i Breżniewa), ale próbuje rozszerzyć ją na inne kraje Europy Wschodniej. W przypadku Polski mamy oczywiście do czynienia nie z zachowaniem antycypującym reakcję społeczeństwa (Gomułka, Gierek...) lecz raczej z bezpośrednią odpowiedzią na silną presję społeczną.

Artykuł ten nie jest oczywiście pierwszym, który podejmuje problem cykliczności w gospodarce socjalistycznej. W licznych już dzisiaj pracach, które się na ten temat ukazały (na Wschodzie i na Zachodzie) analizowany jest jednak przede wszystkim cykl inwestycyjny i mechanizmy prowadzące do fluktuacji stopy wzrostu inwestycji, a w konsekwencji i wielu innych wskaźników makroekonomicznych. W pracach najbardziej godnych uwagi szuka się źródeł tego zjawiska w sferze pozaekonomicznej — w sferze polityki (traktując planowanie jako konfliktowy proces podejmowania decyzji, w którym ścierają się interesy różnych grup). Ale artykuł W.J. Bunce zdaje się być pierwszym, który wiąże w sposób jednoznaczny cykliczność gospodarki z procesem przejmowania władzy. Ujęcie takie — interesujące zresztą — nie jest w stanie uwzględnić całego bogactwa zjawiska cykli w gospodarce planowej. Do tego pasjonującego tematu powrócimy w następnych numerach „Aneksu”.

I.G.

ZACHÓD I POLSKA

Polacy nie mają złudzeń co do polityki Zachodu i jego gotowości niesienia pomocy drugiej Europie. Ale stosunek do obecnej sytuacji w Polsce ukazuje granice użyteczności posługiwania się pojęciem „Zachód” w analizie celów, motywów i zachowań aktorów sceny światowej. Trzeba wyraźnie odróżnić Europę i Stany Zjednoczone.

W Stanach Zjednoczonych nadszedł czas nieustępliwości — reakcja na upokorzenia wojny wietnamskiej, na sukcesy polityki sowieckiej w różnych częściach świata, na pocięzek irański. W sprawach polskich bez przerwy słyszymy ostrzeżenia kierowane przez najwyższych polityków amerykańskich pod adresem Kremla co do konsekwencji ewentualnej akcji zbrojnej. Pod tym względem polityka amerykańska (zresztą również europejska) korzystnie odbija się od polityki prowadzonej przed interwencją w Czechosłowacji czy Afganistanie, kiedy wybrano taktykę milczenia.

Nie wolno jednak zapominać, że dla Stanów Zjednoczonych, a w każdym razie dla wielu polityków i strategów obecnej administracji, Polska jest wyłącznie jednym z elementów globalnej gry strategicznej ze Związkiem Radzieckim. Jej celem zdaje się być renegocjacja utrwalonego w latach siedemdziesiątych światowego układu sił. Wiele inicjatyw rządu Reagana wpisuje się w tę perspektywę: zarówno rozgłos nadany pomocy, jakiej Kreml udzielał pośrednio rewolucjonistom w Salwadorze, walka z międzynarodowym terroryzmem, zapowiedź otwarcia dossier Salt II, jak zapowiedź pomocy partyzantom afgańskim łączy o możliwości takiej pomocy dla antykomunistycznej partyzantki w Kambodży i w Angoli. W tej optyce Polska stanowi dla wielu polityków tylko jeden z pionków, który, zresztą, ze względu na przyjęte reguły gry, należy do przeciwnika, nawet jeżeli chce się nieco ograniczyć jego prawa własności. Tak więc daje się słyszeć głosy, że interwencja w Polsce nie byłaby taką złą rzeczą, bowiem stworzyłaby poważne problemy Moskwie, ograniczając jej możliwości ekspansji na najbliższych parę lat, ocenianych za wielce dla Zachodu krytycznie ze względu na potencjał militarny ZSRR (tzw. window of possibilities). Wiele też daje się słyszeć opinii, choć nie one dominują, że pomoc gospodarcza dla Polski jest dla Zachodu niekorzystna nie tylko gospodarczo, co trudno zakwestionować, ale również politycznie, bowiem zwałnia się w ten sposób Moskwę do konieczności ratowania polskiej gospodarki.

Europa Zachodnia (choć daleko jej od integracji, w polityce

zagroźniczej widać niewątpliwie zmniejszenie stanowisk) nie ma i mieć nie może żadnego interesu, w sowieckiej interwencji w Polsce. Przeciwnie, najazd na Polskę oznaczać by musiał zwiększenie presji Moskwy, szczególnie na Niemcy Zachodnie, utratę korzyści płynących z dotychczasowej polityki *détente*.

Stąd szczere zaniepokojenie Paryża, Bonn, Londynu wizją interwencji. Stąd też nieustanne przypominanie Polakom o położeniu geograficznym kraju, tak jakby mieli oni szansę o tym zapomnieć. Stąd ciągle ostrzeganie Polaków, aby nie posuwali się zbyt daleko (szczyty komizmu, jeżeli tak można powiedzieć, osiągnął Giscard d'Estaing, który w czasie pewnej konferencji prasowej informował Polaków, iż reformy gospodarcze to maksimum tego, co mogą osiągnąć). Stąd ostrzeganie Moskwy przed awanturą, ale też — dyktowana słabością — niechęć do precyzowania gróźb o poważnych konsekwencjach najazdu na Polskę dla stosunków Wschód—Zachód.

Często oskarża się polityków zachodnich o krótkowzroczność i o prowadzenie w stosunku do Moskwy samohójczej polityki sprzyjającej ekspansji ZSRR. Nie widzi się przy tym, jak polityka ta jest związana z ewolucją nastrojów społeczeństw zachodnich, których uleganiu sprzyja nie tylko ewentualna słabość intelektualna czy brak charakteru zachodnich polityków, ale również logika mechanizmu demokracji.

Dwie ostatnio opublikowane w prasie francuskiej ankiety ukazują prawne źródła polityki Zachodu wobec Polski. Pierwsza, przeprowadzona została w lutym br. równocześnie we Francji, Niemczech Zachodnich i Stanach Zjednoczonych (wyniki opublikowane w *Le Point*, 9.3.1981). Pytania dotyczyły różnych aspektów polityki *détente*. We wszystkich trzech krajach ankietowani uważają, że Zachód dominuje z punktu widzenia potencjału gospodarczego i technologicznego, natomiast ustępuje Związkowi Radzieckiemu pod względem potęgi militarnej. Jest rzeczą charakterystyczną, że Europejcy uczestnicy ankiety znacznie ostrzej postrzegają militarny brak równowagi. Jednocześnie więcej widzą oni zalet w polityce *détente*, której dotychczasowy kształt przyczynił się walcie do owego braku równowagi strategicznej. Tak więc, o ile w Stanach 30% ankietowanych uważa, że *détente* służyła przede wszystkim krajom komunistycznym, 70%, że Zachodowi, a 34% — obu stronom w równym stopniu, to w Niemczech 65% zaakceptowało ostatnią odpowiedź, 13% widziało beneficjenta w Zachodzie, zaś 19% uważa, że bardziej skorzystał blok wschodni. Rezultaty we Francji zbliżone są do niemieckich.

Najbardziej symptomatyczne pytanie dotyczy polityki, jaką należy prowadzić wobec ZSRR. Tutaj też najwyraźniej widać różnicę między Amerykanami i Europejczykami. Brzydląca dla większości Niemców i Francuzów (67 i 52 procent) opowiada się za polityką ugody z ZSRR i przeciw polityce konfrontacji. Za twardą politykę wobec ZSRR wypowiada się 28% Niemców i 35% Francuzów. W przypadku Stanów Zjednoczonych pierwszy typ polityki uzyskał poparcie 34%, zaś drugi 57%.

Druga ankieta przeprowadzona została tylko na terenie Francji przez jedną z poważniejszych instytucji badania opinii publicznej na zamówienie miesięcznika *Actual*, gdzie wyniki zostały opublikowane (nr. 15, styczeń 1981). Tendencje neutralistyczne są bardzo wyraźne. W przypadku poważnego niebezpieczeństwa wojny między dwiema superpotęgami tylko 22% sądzi, że Francja powinna być raczej po stronie USA, zaś aż 63% odpowiedziało, że w takim wypadku należałoby zwrócić się do Związku Radzieckiego o pozostawienie naszego kraju na uboczu konfliktu. Nawet gdyby Związek Radziecki napadł na Niemcy, Zachodnie tylko 32% Francuzów uważa, iż Francja powinna być wypowiedzieć wojnę, to 31% Francuzów uważa, że gdyby armia sowiecka wtargnęła do Francji, należałoby natychmiast wszcząć negocjacje w celu zawarcia pokoju, a nie walczyć, 21% byłoby za obroną konwencjonalną, zaś 7% za użyciem broni atomowej.

Parafistyczne, neutralistyczne tendencje, coraz wyraźniejsze w Europie Zachodniej, poważny wachlarz środków pozwalających Kremlowi wywierac presję na te kraje (Bliski Wschód i groźba odcięcia zaopatrzenia w ropę, kontrola Berlina Zachodniego, nacisk militarny itp.) prowadzą do poważnego ograniczenia wolności Europy w dziedzinie polityki zagranicznej. Słyszysz często o jej finlandyzacji. Jest to porównanie krzywdzące dla Finów, którzy swój status wywalczyli w heroicznej walce. Jest to zresztą również porównanie niefortunne. Należałoby raczej mówić o groźbie hongkongizacji. Bowiem poza brakiem własnej polityki zagranicznej, co jest wspólne dla obu przypadków, Europa hongkongizowana stanowiłaby wyspę nowoczesnego przemysłu, wysoko rozwiniętej technologii i obfitości kapitału, wielce użyteczną dla europejskiej gospodarki, w jego kontaktach z resztą świata i przyszłością.

AS
w

Październik 1956

PORCJA WOLNOŚCI

Porcja wolności Marka Tarniewskiego (Instytut Literacki, Paryż 1979, str. 141) jest pierwszą książką w całości poświęconą wydarzeniom zwanym umownie polskim Październikiem. W sposób quasi-dokumentalny, sucho, choć nadzwyczaj wartko i czytelnie przedstawia ona działania różnych „podmiotów społecznych” (Kościół, prasa, robotnicy, partia) i najgłośniejsze fakty tego okresu. Z założenia opis ten dotyczyć miał tylko jawnego i sprawdzalnego wymiaru życia społecznego i opierać się przede wszystkim na ówczesnej prasie i dziennikach ustaw. Autor posłużył się także późniejszymi informacjami i materiałami, nie podając jednak ich źródeł, co nadzwyczaj utrudnia czytelnikowi ocenę i rozgraniczenie między różnymi rodzajami stwierdzeń i opinii wyrażonych w tej książce. Przedstawiając głównie to, co się wydarzyło, a nie jak do tego doszło, autor nie spekuluje na temat rozgrywek wewnątrz-partyjnych, nie opisuje nastrojów społecznych ani psychicznego, a więc niewymiernego, zasięgu zmian. Trudno więc wyczuć z tej książki atmosferę Października, można natomiast dowiedzieć się z niej mnóstwo o narastaniu, trwałych zmianach i zawiedzionych nadziejach liberalizacji. Pożyteczność tej porcji wiadomości, samej w sobie i jako części (jak można się domyślać) zamierzonego, wielotomowego opisu Polski powojennej, jest nieoceniona. A lekcja na dziś, jaką Marek Tarniewski zdaje się proponować — na przykład na podstawie pouczającego przypadku wyborów do Sejmu w 1957 roku — brzmi następująco: naprawdę skuteczne działanie społeczne winno w miarę możliwości tworzyć własne formy, bowiem istniejące instytucje państwowe, choćby nawet chwilowo ulepszone, jak wańka-wstańka zawsze ciągną ku swym pierwotnym kształtom.

I.G.G.

JAK SIĘ FAŁSZUJE WYBORY

Biuletyn Informacyjny (nr 1, 1980) przynosi interesujący opis dnia wyborów w Urzędzie Dzielnicowym jednego z większych miast Polski.

W skrócie: autor przedstawia mechanizm fałszowania wyborów na szczeblu pośrednim, gdzie sumowane są wyniki wyborów z poszczególnych punktów wyborczych, przesyłane dalej; do władz zwierzchnich. Podstawowe dane, o które dba władza na szczeblu Urzędu Dzielnicowego, to dane dotyczące ilości głosujących. Stąd też, w pewnym momencie, gdy wiadomo już, że frekwencja jest za niska w stosunku do oczekiwań władz, które nie kryją niezadowolnienia, szef określa, jaki ma być procent głosujących, przelicza się go na ilość i rozdziela „nowe” głosy na poszczególne okręgi wyborcze, żeby wszystko „pasowało”. Czyni się tak przy każdym kolejnym raporcie przychodzącym z okręgów wyborczych, ujawniającym niezgodność zachowania wyborców z oczekiwaniem władz.

Jaki ma sens ta działalność — pyta autor notatki — jeżeli obliczenia te miały i tak charakter prowizoryczny, bowiem ostateczna frekwencja ustalana jest po otworzeniu urn i podliczeniu głosów. Ale rozumowanie to na pozór jest tylko poprawne. Pierwotne nie są bowiem liczby rzeczywiście oddanych głosów, lecz wymyślone liczby głosujących. Sposób uzgadniania liczb wymaginowanych, lecz obowiązujących, z prawdziwymi, lecz nieważnymi jest bardzo prosty. Uzgadnia się obie liczby wpisując po fakcie przy pewnych nazwiskach na listach głosujących uwagę... „nieobecny usprawiedliwiony”. Zmniejsza się w ten sposób do woli ilość uprawnionych do głosowania, tak aby otrzymać w końcu zaplanowany procent głosujących.

Artykuł Janusza Kowalskiego zdaje się wyjaśniać znaczenie jednego z bardziej tajemniczych zapisów cenzury. Oto bowiem w „Księdze zapisów i zaleceń” Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (Dział XII ZALECENIA pkt 128) czytamy: „Do czasu opublikowania oficjalnego komunikatu zawierającego pełną listę kandydatów na posłów do Sejmu, nie należy podawać żadnych nazwisk kandydatów na posłów i radnych rad narodowych. Do czasu ogłoszenia wyników wyborów nie należy publikować żadnych liczb uprawnionych do głosowania. Nie należy także podawać w liczbach bezwzględnych ilości obywateli, którzy sprawdzili listy wyborcze (można tylko podawać dane w procentach)”. Pod tym zapisem

figurują dwie daty: wprowadzenia zapisu 18.2.76 i jego anulowania 25.3.76. Innymi słowy wprowadzony on został przed wyborami, o których pisze Kowalski i anulowany wkrótce po nich.

Pierwsza część zapisu wydaje się jasna. Przed ostatecznym zatwierdzeniem „na górze” nie wolno publikować listy kandydatów. Dwie pozostałe części zapisu zdają się dowodzić nie tylko prawdziwości relacji Kowalskiego, ale wskazują, że mamy tu do czynienia z powszechnie obowiązującym, odgórnie wprowadzonym sposobem fałszowania wyborów. Cóż innego bowiem może oznaczać zakaz publikowania przed wyborami liczby osób uprawnionych do głosowania, jak nie chęć zachowania możliwości „korygowania” tej liczby tak, aby osiągnąć zamierzony procent głosujących? Podobnie tłumaczy się również — jak się zdaje — zakaz publikowania nawet po wyborach ilości obywateli, którzy sprawdzili listy wyborcze. Dopuszczalne jest tylko podawanie procentu również niewątpliwie odgórnie wyznaczonego.

A.S.

LIST LEOPOLITY

Szanowny Panie Redaktorze.

Szczerze jestem wdzięczny za pomyśl o publikowaniu artykułu, napisanego przeze mnie po rosyjsku do „Kontynentu”. Niestety, zamieszczony w 22 numerze Pańskiego pisma przekład stawia mnie wobec alternatywy: albo przesłać obszerne, kilkustronicowe sprostowanie i wyjaśnienie, albo prosić czytelników, by nie traktowali tego tekstu jako przekładu mojego artykułu. Ze względu na „trudności komunikacyjne” wybieram to drugie.

Pan Andrzej Vincenz w liście zamieszczonym w numerze 23 ma oczywiście 100% racji. Tylko że ja nie napisałem „chłopski” (tj. po rosyjsku „chriestianskij”), ale napisałem „chołopski”, tj. po polsku: służący, lokajski.

Zechce Pan przyjąć wyrazy sympatii oraz życzenia, by podobne „incydenty” nie miały więcej miejsca w coraz ciekawiej redagowanym „Aneksie”.

Leopolda

W POPRZEDNICH NUMERACH

Nr 20

... KOLAKOWSKI: Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą; POLSKA GOSPODARKA — STAN I PERSPEKTYWY — materiały poprzedzone wstępem prof. E. Lipińskiego; Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju; W. BRUS: Na marginesie „Uwag o sytuacji gospodarczej kraju”; J. DREW-
NOWSKI: Tralna diagnoza, ale wątpliwa terapia; S. GOMUŁKA: Propo-
zycje zmian doraźnych i długofalowych; W. NIEDBAŁ, K. OSTANIEC,
A. SKRZYTNY: Diagnoza i program — dyskusja; KAROL S.: Dzień dzisiejszy i jutro polskiej gospodarki; I. DEMBINSKI: Prawo i władza; J. SZA-
DEK: 1968 — dziesięć lat później; K. DOROSZ: Wędrowki ziemia Ułro.

Nr 21

Wywiad z Raymondem Aronem; S. GOMUŁKA: sytuacja gospodar-
stwa Polski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych; JĘZYK TOTALITAR-
NY — I. BOD: Język i polityka; A. WAT: Semantyka języka stalinowskie-
go; K. MUELLER: Komunikacja sierošana; T. STRZYŻEWSKI: Zamiast
posłowna do „Czarnej księgi cenzury PRI.”; I. GRUDZIŃSKA-GROSS:
Świat zaaresztowanych słów; T. MARCZAK: Pożycie rzeczywistości jako
opium; J. ETKIND: Polityka i prawda: O książce A. Micewskiego —
I. DEMBINSKI: Totalizm i prawo do sprzeciwu; A. POSPIESZAŁSKI: Jak
korzystać z marginesów wolności; P. KOHOUT: Zasłużony pogrzeb: Histo-
ria jednego uwolnienia.

Nr 22

I. KOLAKOWSKI: Rewolucja jako piękna choroba; J. T. GROSS:
W zaborze sowieckim; J. LEWANDOWSKI: Wokół biografii Krzysztofa
Kamila Buczyńskiego; B. DEBICKI: Sztuka i rewolucja; SŁOWIANOFIL
— A. SINIAWSKI — wywiad *Aneksu*; A. BESANÇON: Solżenicyn i Za-
chod; ANONIM: Narod — religia — mista — odpowiedzialność; A. JANOW:
Państwo idealne Giennadija Szwinowa; DOKUMENTY — Towarzystwo
Kursów Naukowych.

Nr 23

K. DOROSZ: Śladami Kolumba: O MYSLI I SOCJALISTYCZNEJ
• CORNELIUS CASTORIADIS — wywiad *Aneksu*; BERGER: Mit so-
cjalistyczny; I. HOWE: Socjalizm a liberalizm — warunki pojednania;
A. BESANÇON: Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość; J. SZA-
DEK: Zjazd funkcjonariuszy: O „Stylach politycznego myślenia” Marcina
Krola — A. JAKUBOWSKI: Okolice *Buntu Młodych*; P. BUDNAR: Siła
politycznego myślenia; NOTY I REFLEKSJI

Wkrótce nakładem „Aneksu”

Leszek Kołakowski CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY?

i 25 innych kazań
poświęconych kulturze, chrześcijaństwu, socjalizmowi
i Polsce

W TOMIE MLN.: Szukanie barbarzyńcy — złudzenia uniwersalne. Fabuła mundi i nos Kleopatry. Malesyryka. Intelktualści. Czy diabeł może być zbawiony? Odwet Sacrum w kulturze świeckiej. Diabeł. Samozatracie otwartego społeczeństwa. Wolność i wielkość. Marksizm — wiecie, co to jest? Ludobójstwo i ideologia. Tezy o nadziei i beznadziei. Sprawa polska. O nas samych i inne eseje.

TOWARZYSTWO KURSÓW NAUKOWYCH

Wybór publikacji i dokumentów

W TOMIE MLN.: J. J. Szczepański — Edukacja narodowa; E. Lipiński — Myśli o gospodarce; W. Kuczyński — Po wielkim skoku; M. Głowinski — Rozmowa; K. Wallek — Plotka o socjalizmie; S. Baranczuk — Knebel i słowo; T. Burek — Jakiej historii literatury potrzebujemy; A. Dąwicz — Inna Rosja; W. Bartoszewski — Polska państwo podziemne; B. Cywiński — Oświadczenia z okazji pokonania; R. Zimand — O czym myśleć nie bójmy; J. Buchenski — Murzec; A. Michnik — Książki o Marcu; J. Jedlicki — Forma i treść umowy społecznej; J. Kurtzewski — Dawaj nam i rewolucja; S. Amsterdamski — Życie naukowe o monopolu władzy; DOKUMENTY TKN: Deklaracja założycielska, spis członków, spis publikacji TKN, uchwały, protesty, apele.

NARODOWA DEMOKRACJA

Antologia myśli politycznej „Przebiegu Wszechpolskiego”
1895—1905

Wybór, wstęp i opracowanie Barbary Toruńczyk

B. Toruńczyk: Myśl polityczna i „Antologia Narodowej Demokracji”. Wybór publicystyki — rozdziały: Polityka czynna (Przeciw tendencjom ugodyzmu. Stawka na lud. Polityka realna). Demokracja narodowa. Polityka narodowa. Oczyma wspólnych; Aneks — kronika — bibliografia.